



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(28) 2014

Rok VIII

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



fol. Michał Żywot



zabytek z okładki

Zespół pałacowo-parkowy w Rejowcu. Pałac klasycystyczny, wybudowany w 2 ćw. XIX w., pełnił rolę rezydencji różnych rodów szlacheckich i arystokratycznych. W bezpośrednim otoczeniu pałacu znajduje się XIX-wieczny park angielski, przekształcony w XX w., silnie zredukowany po ostatniej wojnie.



Pałac Ossolińskich w Rejowcu



fol. Michał Żywot

Spis treści

Słowo redaktora	2
Monografia szkoły	2
Rok księdza Zygmunta Pisarskiego marzec 2014 - marzec 2015	3
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Mosty nad ludźmi. Dramatyczne historie trzech braci	4
<i>Henryk Sieńko</i>	
Poezja - Stanisław Bojarczuk	8
Okруchy z historii wsi Góry	9
<i>Sławomir Włodarczyk</i>	
Muzeum wizytówką powiatu. Sukces współdziałania	11
<i>Edward Polski</i>	
Na żułowskich ścieżkach	13
<i>Zbigniew Atras</i>	
Twórcy i dzieje snycerskiego wyposażenia kościoła św. Zofii w Tarnogórze	20
<i>Agnieszka Szykuła-Żygawska</i>	
Poezja - Ryszard Kornacki	29
Unicka parafia pw. Najświętszej Marii Panny i św. Onufrego w Żulinie	30
<i>Sławomir Braniewski</i>	
Powiat krasnostawski na łamach „Kurjera Warszawskiego”. Część II, lata 1845-1852	37
<i>Kazimierz Stolecki</i>	
Śladami Achillesa	47
<i>Sergiej Roslyakow</i>	
Desant na... panienki. 70. rocznica inwazji alianckiej w Normandii	48
<i>Lucjan Cimek</i>	
Kontakty mojej rodziny z Rosjanami	49
<i>Irena Iwańczyk</i>	
Pielgrzymka z Krasnegostawu do Ziemi Świętej na zakończenie Roku Wiary odbyta w dniach 23.11.- 01.12. 2013 r.	57
<i>Leszek Janeczek</i>	
Poezja - Waldemar Michalski	75
Sobolowa Pani z krasnostawskiego zamku, czyli Baszta Carycy	78
<i>Zbigniew Atras</i>	
Guma za dziesięć groszy	83
<i>Karol Bosek</i>	
Trzy dni urlopu	84
<i>Arkadiusz Frania</i>	
Wspomnienie z wakacji	86
<i>Arkadiusz Frania</i>	
Prace nagrodzone w IX Konkursie Literackim „Mój Anioł – Zwiastun przemian”.	87

Spis treści

Przestrzeń i czas w powieści „Mistrz i Małgorzata” Michaiła Bułhakowa	91
<i>Jurata Bogna Serafińska</i>	
Poezja - Marzena Mariola Podkościelna	95
Poezja - Konrad Grochecki	96
Pasja - rzecz o Zdzisławie Beksińskim	97
<i>Elżbieta Petruk</i>	
Czasoprzestrzeń miłości	98
<i>Jurata Bogna Serafińska</i>	
Poezja - Jurata Bogna Serafińska	101
Gorąca linia	103
<i>Monika Nagowska</i>	
Listopadowe dzieci	104
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
„Nestor” w podróży poezją	105
Poezja - Izabela Monika Bill	105
Wiersze spod żrenicy nieba	106
<i>Lucjan Cimek</i>	
Poezja - Lidia Jurkiewicz	108
Z podróży na Wschód	108
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Wojenny pomost. Wspomnienia	109
Antoni Wieniarski - dziewiętnastowieczny prozaik. Literacka droga syna rządcy dóbr Wierchowina	109
<i>Artur Borzęcki</i>	
W taką noc Teatr Pokoleń nie śpi. Premierowe przedstawienie	113
„Dzieje siennickiego teatru”	113
Filmowe II LO w Krasnymstawie	114
<i>Ewa Magdziarz</i>	
Spotkanie autorskie z Katarzyną Enerlich	120
Sala im. Janusza Trzebiatowskiego w Siennicy Różanej	121
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Poezja - Mirosław Iwańczyk	122
Poetka z Kamienia	123
<i>Henryk Radej</i>	
Poezja - Bronisława Fastowiec	125
Wspominki z Gdeszyna	128
<i>Zbigniew Atras</i>	
Poezja - Marian Janusz Kawałko	131
Mało symbiozy tradycji z nowatorstwem	133
<i>Lucjan Cimek</i>	
Niezawodny sposób na odchudzanie	134
<i>Wiesław Krajewski</i>	



NR 2 (28) 2014 **NESTOR** Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnostaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:

Oficina Wydawnicza ELIPSA - Andrzej Misiura

Wydawca aktualny:

Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny: Paweł Piłat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnostaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnostaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i łamanie)
Zbigniew Atras

Stale współpracują:

Artur Borzęcki (Krasnostaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnostaw)
Lucjan Cimek (Krasnostaw)
Leszek Janeczek (Krasnostaw)
Ewa Magdziarz (Krasnostaw)
Ryszard Maleszyk (Krasnostaw)
Henryk Radej (Chelm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.

Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Słowo redaktora

Na ziemi krasnostawskiej trwa Rok ks. Zygmunta Pisarskiego. W poprzednich latach, dzięki „Nestorowi” i Radzie Miasta Krasnystaw czciliśmy pamięć i dorobek twórczy Stanisława Bojarczuka i Kaspra Niesieckiego, a dzisiaj przyszedł czas na bohaterskiego księdza. Okazuje się, że w naszej historii nie brakuje wielkich osobowości. Kandydatem obchodów 2014 roku mógł być także myśliciel i reformator August Cieszkowski, związany z pobliskim Surhowem, którego Rok aktualnie obchodzony jest w Wierzenicy i województwie wielkopolskim. Przypomnijmy, że A. Cieszkowski został patronem Zespołu Szkół CKR w Siennicy Różanej, a szerzej pisaliśmy o nim w 26 wydaniu „Nestora”. Kim będą jubilaci kolejnych lat w krasnostawskim? Zastanowimy się wspólnie, bo mam nadzieję, że Rada Miasta w nowym składzie także zechce kontynuować taką tradycję. Tymczasem proponujemy zamieścić specjalne informacje w miejskim rynku, które upamiętnią wszystkie te Lata oraz ich patronów.

„Nestor” na dobre wkomponował się w krajobraz krasnostawskiej kultury. Budzi sympatię i uznanie. Całkiem niepostrzeżenie stał się też społeczną własnością. I dlatego chyba każdy, kto go czyta, odczuwa, że jest to jego czasopismo. Wiele osób nieświadomie stało się współpracownikami redakcji, pomagając w dystrybucji, poprzez przekazywanie co najmniej kilku egzemplarzy „Nestora” swoim znajomym i przyjaciółom. Widać to doskonale na spotkaniach promocyjnych. Ale wszystko zaczyna się od spraw finansowych, które są trudne od samego początku. Dotyka nas powoli topniejąca liczba darczyńców. Na przestrzeni siedmiu lat wielu z nich użyczyło już swojej hojnej pomocy i zapewne oczekuje, że teraz przyszła kolej na innych. Niestety. Kochani, w dalszym ciągu liczymy na Was, bo tego, co udało nam się wspólnie zbudować społecznymi siłami nie możemy teraz utracić, a niestety wszystko ku temu zmierza. Nie zamierzamy się jednak poddawać!

Składamy serdeczne podziękowania za dotychczasowe charytatywne wpłaty na pokrycie kosztów papieru i druku, bo przecież pozostałe zadania redakcyjne od początku wykonujemy spo-

łecznie. Mimo dokonywanych wpłat, ciągle mamy zadłużenie w drukarni.

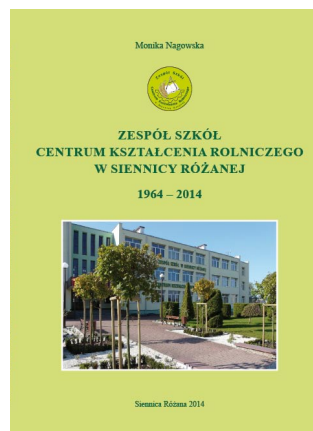
Podajemy numer konta przy Powiatowej Bibliotece Publicznej, a za każdą wpłatę dziękujemy już dzisiaj. Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 25 8200 0008 2001 0012 4067 0004. W tytule wpłaty można wpisać: „Nestor”.

Andrzej David Misiura

Monografia szkoły

14 czerwca 2014 r. odbyły się uroczyste obchody jubileuszu 50-lecia Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej. Obecna szkoła istnieje od 1964 roku, związanych jest z nią wielu mieszkańców regionu. Z myślą o nich powstała monografia dokumentująca pół wieku istnienia placówki. Książka ma układ tematyczny, wskazuje na metamorfozę, jaką przeszły szkolne obiekty, przybliża kolejne aspekty funkcjonowania szkoły, np. ewolucję oferty edukacyjnej, pracę pozalekcyjną, osiągnięcia sportowe, współpracę ze środowiskiem. Publikacja zawiera także kalendarium wydarzeń, zestawienie liczby uczniów w poszczególnych latach, wykaz absolwentów, spis kadry pedagogicznej, pracowników administracji i obsługi, liczne fotografie, wspomnienia o nieobecnych już nauczycielach oraz zbiór anegdot z życia szkoły. Autorem opracowania jest Monika Nagowska.

Autorem opracowania jest Monika Nagowska, która od lat jest animatorem siennickiej kultury i redaktorem czasopisma „Ziarno”. Monografia jest jej trzecią książką.



Monika Nagowska, Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej 1964-2014, ROMAR, Siennica Różana 2014, ss. 272.

Andrzej David Misiura

Rok księdza Zygmunta Pisarskiego marzec 2014 - marzec 2015

13 czerwca 2014 roku w sali Krasnostawskiego Domu Kultury, w 15 rocznicę beatyfikacji ks. Zygmunta Pisarskiego odbyła się okolicznościowa konferencja poświęcona pierwszemu błogosławionemu krasnostawianinowi. Stanowiła ona część obchodów ogłoszonego niedawno Roku ks. Zygmunta Pisarskiego. Wcześniej odsłonięto pamiątkową tablicę przy ul. Żurka obok domu,



w którym mieszkał błogosławiony. Po tej uroczystości, goście przybyli z parafii Gdeszyn, w której do końca życia posługiwał ks. Z. Pisarski i mieszkańcy Krasnegostawu udali się na uroczystą mszę do kościoła św. Franciszka Ksawerego.

Podczas konferencji wysłuchano interesujących referatów:

„Zygmunt Pisarski - lata krasnostawskie”, który wygłosił dr Leszek Janeczek,



„Męczeństwo ks. Zygmunta Pisarskiego” omówił ks. Józef Maciąg,

„Kult bł. Zygmunta Pisarskiego” przedstawił ks. Ryszard Ustasz.

W części artystycznej konferencji wystąpił chór „Słoneczny krąg” z Surhowa, chór „Amicus” i pianista Mariusz Dubaj.

W skład honorowego komitetu obchodów Roku księdza Zygmunta Pisarskiego weszło Starostwo Krasnostawskie, Urząd Miasta, Czasopismo Artystyczne „Nestor” i wszystkie trzy krasnostawskie parafie. Pomysłodawcą i animatorem tego wydarzenia był redaktor Zbigniew Atras.

Andrzej David Misiura
fot Janusz Sarzyński

ODNAWIANIE
pamiętek rodzinnych
obrazy – rami – rzeźby
tel. 609 653 211

Dane kontaktowe

Hotel RAPA

ul. Mostowa 39

22-300 Krasnostaw

tel/fax: 82 576 68 87, 82 576 00 79

tel. kom.: +48 510 108 013

e-mail: kontakt @ hotelrapa.pl

Zarezerwuj miejsce!

Henryk Sienko

M

Mosty nad ludźmi.
Dramatyczne historie
trzech braci...


Wacław

Kochani rodzice! Jestem zdrow i cały. Obecnie przebywam w Kozielsku na terenie sowieckiej Rosji. Czuję się dobrze, powrócę do Was, gdy się unormują wszystkie sprawy związane z wojną. W każdym razie wcześniej się nie spodziewam. 3 września byłem ranny pod Mławą w lewe ramię. Leżałem w szpitalu w Warszawie i Kowlu. Teraz jestem już najzupełniej zdrow i mogę pracować. O Was ani o Tadeu nie mam żadnym wiadomości. Napiszcie więc mi szczegółowo co się u was dzieje, czy wszyscy jesteście zdrowi, jak Tadeu i jak Wasze warunki materialne. Adresujcie do mnie po rosyjsku tak: S.S.S.R. (Rosja), Smoleńska obł., g. Kozielsk, pocztowy jaszczik nr 12. Bucht Wacław Josifowicz. Całuję wszystkich mocno. Niedługo się zobaczymy i będziemy razem. Wasz kochający syn Wacław Bucht.

List dotarł do Krasnegostawu przed Bożym Narodzeniem i był to jedyny list z niewoli. Nigdy już ppor. Wacław Bucht do domu nie wrócił, nie było jego nazwiska wśród żywych i umarłych - tajemnice jego ostatnich dni pochłonał las katyński.

Wacław, syn Józefa i Antoniny, urodził się 18 listopada 1914 roku w Lublinie. Ojciec był funkcjonariuszem służby więziennej, w 1925 roku otrzymał przeniesienie służbowe do Krasnegostawu. W tym mieście Wacław podjął naukę w klasie humanistycznej miejscowego gimnazjum, a później w Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Jagiełły. W 1934 roku uzyskał świadectwo dojrzałości. Jesienią tego roku rozpoczął naukę w Szkole Podchorążych Piechoty w Komorowie.



Wacław Bucht

Ukończył ją jako podporucznik, został skierowany do służby zawodowej w 80 Pułku Piechoty w Słoniemiu. Służył tu do wybuchu II wojny światowej.

80 pp był częścią dywizji piechoty dowodzonej przez płk. dypl. Wilhelma Liszkę-Lawicza. Dywizja wchodziła w skład Armii „Modlin”. Armią dowodził gen. bryg. Emil Przedzrymirski. 23 marca 1939 roku dywizja piechoty przystąpiła do niejawnego mobilizacji i w ciągu dwu dni osiągnęła stan pogotowia marszowego. 26 marca rozpoczęło przerzut wojska transportami kolejowymi do rejonów koncentracji. 80 pp rozmieszczono w rejonie Królestwo-Kolczab-Bolęcín. 3 lipca na inspekcję przybył Edward Rydz-Śmigły, sam wyznaczył pierwszą pozycję obronną. Zgodnie z rozkazem, 8 lipca 80 pp osiągnął rejon Mławy i rozpoczął budowę umocnień polowych. Było to około 10 km od granicy z Prusami Wschodnimi.

1 września z samego rana rozpoczęły się na całym przedpolu gwałtowne walki. W wielu miejscach były niezwykle zaciekle i krwawe. Niemcy atakowali pod wpływem alkoholu, oszołomieni, atakowali w zwartych plutonach. Polacy starali się zadać agresorowi jak największe straty. Kiedy wróg zbliżał się do linii umocnień, otwierano ogień z broni maszynowej. To było ogromne zaskoczenie dla agresora, który nie spodziewał się większego oporu. Efekt zaskoczenia był miażdżący - Niemcy potracili głowy, biegali bez ładu i składu, wreszcie zdziśnięci wycofali się. W południe ruszyło kolejne natarcie Niemców z użyciem czołgów, a po kilku godzinach kolejne natarcie. Jednak straciwszy 21 z 45 czołgów, Niemcy wycofali się.

2 września mławskie pozycje obronne Polaków artyleria niemiecka atakowała ogniem nękającym. Bombardowano je z powietrza. Piechota niemiecka usiłowała zdobyć je, lecz nieskutecznie. Po południu Niemcy rzucili silną grupę lotnictwa bombowego i myśliwskiego. Atakowano falowymi rajdami. Po bombardowaniach do natarcia po raz kolejny wyruszyła piechota i czołgi. I tym razem obrońcy z 80 pp odparli atak. Kolejny dzień był podobny, o 18.00 wojsko niemieckie przystąpiło do decydującego szturm, ale i tym razem atak został odparty. Właśnie podczas tych wieczornych walk ranny został Wacław Bucht.

Wkrótce na całym froncie Armii „Modlin” pojawiły się symptomy kryzysu. 20 Dywizja Piechoty opuściła mławskie pozycje i w trakcie wycofywania, 4 września została rozbita głównie przez lotnictwo niemieckie. Odtworzono ją w Modlinie, walczyła nad Bugo-Narwią, a 15 września, wycofawszy się na Pragę, weszła w skład obrony stolicy.

Zdradziecki cios 17 września zadany Polsce przez Armię Czerwoną przesądził o dalszych losach obrońców Polski. Z każdym dniem powiększało się zagrożenie terenów położonych na wschodzie. Uważano je za bezpieczne i liczono na silny opór wobec Niemców. Podporucznik Bucht mógł w miarę bezpiecznie opuścić Kowel i uniknąć niewoli. Na propozycję oddalenia się rzuconą przez jednego z kolegów powiedział: „wojna jeszcze się nie skończyła i ucieczka w takiej chwili byłaby zaprzeczeniem oficerskiego honoru”.

Wszystkim polskim jeńcom zabroniono jakichkolwiek kontaktów ze światem. Dopiero na kilka dni przed Bożym Narodzeniem 1939 roku do rodziców Wacława Buchta w Krasnymstawie dotarł jedyny list z niewoli, który cytujemy na początku tekstu.

- Wacek był młodzieńcem wysportowanym, uprawiał pływanie, podnoszenie ciężarów, jazdę na nartach i łyżwach. Był przystojny, o atletycznej budowie ciała. Poza tym był humanistą, wyrażał się płynnie z zaskakującą lekkością formułowania i porządkowania myśli. Posiadał bogate słownictwo, pisał wiersze. Tuż przed wybuchem wojny ukończył pierwszą powieść „Mosty nad ludźmi”. Nie zdążył jej wydać, książka została w Słonimie w jego służbowym mieszkaniu. - Opowieść o swoim wujku streszcza Artur Bucht, pracownik Cukrowni Krasnostaw i działacz sportowy w klubie Brat Siennica Nadolna.



Wacław Bucht, podporucznik WP (stoi pierwszy z lewej) też był sportowcem - uprawiał między innymi podnoszenie ciężarów i pływanie. Zginął w Katyniu zabity strzałem w tył głowy.

19 września w polskim Kowlu pojawili się Sowieci. Natychmiast zaczęli wprowadzać swoje porządki, jednym z zasadniczych celów było wyłapywanie polskich oficerów i policjantów. Grabiono dobytek, rozpoczęły się egzekucje domniemych „wrogów ludu”. Podporucznik Wacław Bucht, mający rękę na temblaku znalazł się w obozie przejściowym, a następnie został wywieziony do Kozielska.

Wojenna pożoga porwała w mrok wojny pierwotnego syna Buchtów. 13 kwietnia 2010 roku przy szkole w Siennicy Nadolnej posadzono „katyński dąb pamięci” poświęcony Wacławowi Buchtowi. Symbolika takiego uczczenia pamięci pomordowanych jest jasna „jeden dąb - jedno nazwisko”.

Tadek

Drugi z synów, Tadek urodził się 6 sierpnia 1919 roku w Lublinie. Szkołę powszechną ukończył już w Krasnymstawie, był zdecydowany, tak jak brat związać się na stałe z wojskiem - już w wieku 17 lat, we wrześniu 1936 roku jako ochotnik wstąpił do Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Młodocianych nr 2 w Śremie.



Tadeusz Bucht

Po dwóch latach, w stopniu starszego strzelca dostał przydział do Pułku Piechoty Legionów w Zamościu. Część tego pułku znalazła się w 39 Dywizji Piechoty Rezerwowej gen. bryg. Brunona Olbrycha, którą zorganizowano w Rembertowie, Białej Podlaskiej i Dęblinie. Dywizja była w osłonie środkowej Wisły w rejonie Puław, Dęblina i Maciejowa. Podporządkowana została dowództwu Frontu Północnego.

Do walki weszła bojem pod Krasnymstawem, a więc Tadeusz Bucht tutaj rozpoczynał walkę obronną - w okolicach swojego rodzinnego miasta. Było to 19 września 1939 roku. Walki wchodziły w skład II bitwy tomaszowskiej. Główna karta wojenna tych walk związana jest z trzydniowym bojem pod Cześnikami w dniach 20-22 września. Później były słynne walki pod Krasnobrodem, aż do kapitulacji 27 września w Terespolu. Kapral Tadeusz Bucht wkrótce, unikając niewoli, wrócił do rodzinnego miasta.

Od razu wstąpił do organizującej się w Krasnymstawie komórki Związku Walki Zbrojnej. Konspiracyjne kierownictwo miało za cel gromadzenie wraz z zaufanymi ludźmi broni i amunicji porzuconej w czasie działań wojennych, oraz zakonserwowanie jej. Tadeusz Bucht zadanie takie wykonywał także dla powiatu zamojskiego, z walk wrześniowych doskonale znał ten powiat. Oczywiście z zadania wywiązywał się bez zarzutu - był operatywny i odważny. Niestety, nastąpiła „wsypa” i 20 lutego 1942 roku został aresztowany na ulicy w Krasnymstawie. Wskazał go agent gestapo. Wracał wówczas z pracy w zarządzie drogowym powiatu. Krótko przebywał w areszcie, po czym

przewieziono go do Lublina, do więzienia na Zamku. Po śledztwie, ledwie żywego przewieziono go do Oświęcimia - otrzymał numer 35087. Zmarł z wycieńczenia i głodu 19 sierpnia 1942 roku, miał wówczas 23 lata. Jego ciało zamieniono w popiół.

Jakże złowieszczą zapisały się losy dwóch braci - zginęli zdradzeni w dwóch symbolicznych miejscach największych kaźni polskich żołnierzy - w Katyniu i Oświęcimiu. Tadek, dla którego Wacek był wzorem chciał się kształcić, by dorównać mu - chciał zostać oficerem. Karierę rozpoczął od szkoły wojskowej dla młodocianych, był na najlepszej drodze... Mówiono o nim, że ma „złote ręce” bo potrafił zrobić wszystko, zresztą podobnie jak starszy brat, też tkwiła w nim dusza artysty. Pięknie rzeźbił w drewnie, wykonywał z drewna różne przedmioty użytkowe według własnych pomysłów. Wielu znawców radziło mu kształcenie w tym kierunku, wróżąc nieprzeciętną karierę.

Twórcy czwartego rozbioru Polski owaładnięci zbrodnictwami ideologiami nazizmu i komunizmu, w swoich działaniach uciekali się do różnych metod. Używali niewyobrażalnego okrucieństwa. Katyń i Oświęcim na zawsze pozostaną symbolami tego okrucieństwa. Tam zabijano niewinnych ludzi, tam unicestwiano ich ciała...

- Nie potrafiono zabijać duszy! - spostrzega Artur Bucht, kiedy gawędzimy o minionych latach, o latach okrutnych, czasach walki naszych rodzin podczas wojny.

Franek

Najmłodszy z braci, Franek Bucht urodził się w 1925 roku. W chwili wybuchu wojny miał 14 lat. Szybko poznał trwogę związaną z wydarzeniami wojennymi oraz ogrom tęsknoty za braćmi, którzy byli doskonałymi sportowcami. Byli dla niego wzorem - przecież też chciał być sportowcem. Serce rwało się do szukania Wacka i Tacka w odmętach wojennej zawieruchy. Nie dopuszczał do siebie możliwości tego, że nie wróci z wojny. Przecież mieli jeszcze razem pograć



Franek Bucht

w piłkę, popływać, pojeździć na nartach. Czekał na powieść „Most nad ludźmi”, bo wiedział, że Wacek ją pisze, na nowe wiersze... Kiedy zrozumiał okrucieństwo prawdy, którą w końcu spotkał, postanowił być takim jacy byli ONI - starsi bracia. Przede wszystkim postanowił żyć godnie i być sprawny, tak jak bracia. Po pracy trenował i grał w piłkę.

Został jednym z najwybitniejszych sportowców w mieście. Zresztą pseudonim, jaki mu nadano mówi sam za siebie - Wacek miał „złote serce”, Tadek miał „złote ręce”, on - „złote nogi”. Zagrał dokładnie 309 spotkań piłkarskich w barwach Startu. Ten wynik mówi wszystko. Przez wiele lat niezastąpiony w podstawowym składzie. Jeden z tych, którzy pisali pierwsze lata historii klubu. Był w składzie zespołu, który w 1949 roku wywalczył awans do klasy A. Zdyskwalifikowany dożywotnio w 1954 roku za uderzenie sędziego po meczu z Kolejarem Lublin.

- Po dyskwalifikacji „Złotej Nózki” Kulawiak i Zieleńczuk znaleźli się w Lublinie. Start został zdegradowany do najniższej klasy rozgrywkowej, Franciszek Bucht do gry w piłkę już nie wrócił - mówi o swoim wujku Artur Bucht.



Artur Bucht: - Duszy nie da się unicestwić...



Start Krasnystaw. Drugi z prawej - Franciszek Bucht.

Już sam fakt, że rzekomo uderzył arbitra świadczy o charakterze tego zawodnika. Nie był mięczakiem. Grał bardzo twardo, czasem na pograniczu faulu i dzięki temu był skuteczny w walce. Był za to często napominany, a ponieważ nie było jeszcze kartek, scysje z „inaczej myślącymi” trwały latami. Sprawa rozróby na boisku w Krasnymstawie zyskała wymiar polityczny, wszystkie kary były wymierzane tak, żeby inni się bali protestować przeciwko „błędnym” decyzjom sędziów. Kibice w Krasnymstawie wiedzieli jedno - to była prowokacja.

Jeden ze znakomych piłkarzy Startu Tadeusz Zieleńczuk twierdził inaczej: - Prawda była taka, że sędzia miał doprowadzić do rozbicia drużyny, gdyż piłkarze i działacze nie chcieli odejść do wojskowego klubu w Lublinie swoich najlepszych zawodników - mnie i Witolda Kulawiaka.

Henryk Szymczyk, dziennikarz z Lublina przypomina sobie historię:

- Kiedy Kulawiak zobaczył sędziego tego meczu Pionka na stadionie Lublinianki, omal nie doszło do wielkiej bójki, tylko dzięki kolegom z Lublinianki nie doszło do rękoczynów. Kulawiaka przed zemstą powstrzymano, sędziego dyskretnie wyprowadzono ukradkiem z Wieniawy.

Losy trzech braci pozornie różne i jakże podobne. Łączył ich honor, przywiązanie do reguł czystej gry, pasja do sportu, dusza artystów w tym, co robią. Czy aby nie stoją teraz na „Moście rozpostartym gdzieś nad Krasnymstawem”? Może dyskutują nad losem swojego miasta i powiatu, może patrzą na drzewo Wacława Buchta? Może...

Henryk Sieńko

Stanisław Bojarczuk



Zalecanki

I

Po kamykach strumyk szmerze,
zazdroszczący wód ruczaju.
Głóg z tarniną zahaczają
w zadzierzyste swe oręże.

A motylki w lot się /czemże?/
bezszelestnie k kwiatkom czją.
Ptaszki troską otaczają
dziatwę, która w krzaczach się lęże.

Na lip kwieciach grają pszczoły.
Na wielgaśnym swym organie
dźwięki lecą w nieb bezdenie.

Z niewinności jaśniał czoły,
młódź czującą swych fibr drganie
tonie w wiosen dusz edenie.

II

Tym słonecznym blaskom dzięki,
które pstrzą cię w dróg osikach,
wiejską drogą młódź w pasikach
skacze, prezentując wdzięki.

W kaftanikach i gorsikach
barw łagodnych, ceniუსieńkich,
i trzewiczkach zgrabniუსieńkich
na niziutkich obcasikach.

Zaś chusteńki jak makówki -
barwy nieba, wód lub łąki,
róż, piwonii, bzów lub laków,

okrywają lniane główki.
A twardziutkich piersi pąki -
toż pokusa dla chłopaków!

Intermezzo C

I

W fragmencie rzeki, która w skrętach płynie,
nurtując zarośl w stromym wzgórzoskronie,
który pod siebie, zda się, rzekę chłonie,
kryjąc część onej w wiszącej wiklinie.

Na wodnej tafli w rokicin ostłonie
Sylfida, która z genial - kształtów słynie,
w łódeczce z muszli, kararyjskie linie
w mat blasku wtula, piersi i nadłonie.

Słoneczny oksyd promieńmi nie żegnie,
lecz wświetla w zieleń modro - białe blaski
i w bosko - piękne sylfidzie golaski.

z kwieci swych sypią pył rośliny brzegnie,
która się w barwnych szarf zamienia tęczę,
zaczepiającej nimfiej piersi sęcze.

II

W zenicie zefir drga, mruga w eterze.
Zatoka w słońcu kryształowo szkli się.
Na wiązce łodyg niby tratwie flisiej
płynie sylf, niby flis przy tratwy sterze.

Ujrzawszy nimfę w sterunku myli się.
Prąd tratwą łódkę druzgoce w październie.
Z bark spadły liście figowych odzieże,
i sylf z sylfidą już w toni mgli się.

I poszła z prądem sylfia tratwę z łodyg,
symbol naiwnej poezji prostoty,
ofiary psoty, trupie flory mumie.

A że sylf piękny był, gibli i młody,
w wodnym żywiole dzielnie pływać umie,
więc w florze faunie pomnożył istoty...

Krasnystaw - Rońsko, 2 IV 1869 - 1939

Sławomir Włodarczyk

Okruchy z historii wsi Góry



Wieś Góry położona była po prawej stronie rzeki Wieprz, nieopodal Krasnegostawu - dookoła sporej wyniosłości poprzecinanej wąwozami. Od północy graniczyła z osadą Lubańki, a od południa - z wsią Zastawie. Nazwę swą zawdzięczała zapewne charakterystycznemu ukształtowi terenu ze stromymi wzniesieniami. Była to jedna z tak zwanych satelickich wsi otaczających z dawien dawna krasnostawski gród - podobnie jak Zakręcie czy Rońsko. Dzisiejsze ulice: Torowa, Stokowa, Jabłonkowa, Kickiego, Nasienna i częściowo Witosa, to miejsca, gdzie kiedyś rozlokowane były grunty wsi Góry - teraz to część miasta Krasnystaw.



Krasnystaw i wsie satelickie. Fragment mapy topograficznej Królestwa Polskiego z 1839 r.

Pagórki i wąwozy nadają temu miejscu ciekawy i urozmaicony krajobraz. Tak zwana „wyrwa” ciągnie się od Lubańek prawie do wsi Łany. Dzisiaj tereny te są odgródzone od reszty miasta przez przebiegającą tędy linię kolejową, która wyznacza granice dawnej wsi. Linia kolejowa znacząco zmieniła krajobraz tej okolicy i stała się dla niej charakterystycznym elementem. Na „wyniosłości góreckiej” znajdowały się głównie włościańskie pola uprawne oraz ugory, które przechodziły w tzw. „wyrwy”. Nieco dalej położony był folwark Lubańki. Obecnie miejsce to znane jest z zakładu opiekuńczego i DPS. Widoku dopełnia będący

Okruchy z historii wsi Góry

na ukończeniu „Zalew Lubańki”, który powstaje na podmokłych łąkach, gdzie przepływa lokalna rzeczka. Ten niewielki ciek wodny był tak nazywany odkąd pamiętam. W dzieciństwie chodziło się nad „rzeczkę”.



Linia kolejowa na przedmieściu Góry - lata 30. XX w.

Wieś Góry to jedna z osad włościańskich, mocno zakorzenionych w historii miasta i gminy Krasnystaw. Stąd pochodził wieloletni wójt gminy Krasnystaw Michał Franczak, sprawujący swój urząd od początku XX wieku do odzyskania niepodległości po I wojnie światowej. W miejscu, gdzie znajdowało się jego gospodarstwo do dziś rośnie ponaddwustuletnia lipa będąca pomnikiem przyrody prawnie chronionym, o czym wspominałem już w jednej ze swoich wcześniejszych publikacji.

Wieś Góry odłączono od gminy Krasnystaw 1 lipca 1917 roku, przyłączając ją do miasta i tworząc tym samym Przedmieście Góry. Na terenie byłej wsi Góry znajdują się źródła doskonałej wody pitnej zwane „Stokami”. Stąd czerpano ją jeszcze w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia i rozwożono konnymi beczkownikami po Krasnymstawie.



Stoki - stąd wożono wodę do miasta w czasach, gdy nie było wodociągów - lata 20.-30. XX w.

Ze starych map wynika, że na południe od „Stoków” - w kierunku wsi Zastawie - znajdował się cmentarz. Współgra to z informacjami o odnajdywaniu szczątków ludzkich podczas niwelacji terenu przy budowie linii kolejowej na początku XX wieku. Jedno z okolicznych wzgórz nazywane było Górą św. Jana. Stał tam znacznych rozmiarów krzyż dominujący nad najbliższą okolicą. Znajdował się tu też Kopiec Kościuszki usypany w roku 1917 przez mieszkańców Krasnegostawu, jako symbol patriotyzmu i pamięci walki o niepodległość naszego narodu.

to jednym z nadrzędnych celów było nadanie ziemi na własność jej dotychczasowym użytkownikom. Car osiągnął cel i znacznie zmniejszył zainteresowanie chłopów powstaniem.

Z wsią Góry związanych było i jest wiele włościańskich rodzin, które żyły i pracowały na nadanej im ziemi. Najczęściej powtarzające się nazwiska pochodzące z metryk USC i innych dokumentów to: Banach, Bożko, Berbeć, Berez, Fronczek, Franczak vel Zwarencki, Marucha, Matwiej, Sidor, Wolski, Wójcik, Waręcki, Zwaręcki. Obywatele wyznania mojżeszowego nosili między



Widok w kierunku centrum Krasnegostawu ze wzgórza nad „Stokami” - pierwsza połowa XX w.

Tabela likwidacyjna wsi Góry sporządzona 28 grudnia 1865 roku na podstawie ukazu carskiego z 2 marca 1864 roku o Komisji Likwidacyjnej przekazuje nam sporo cennych informacji. Zawiera 64 pozycje opisowe gruntów o łącznej powierzchni 1064 mórg i 95 prętów. Z tego 42 gospodarstwa należały do ludności polskiej, a 18 było siedzibami ludności pochodzenia żydowskiego, bez prawa posiadania gruntów rolnych. Cztery ostatnie pozycje w rzeczonyj tabeli to grunty pod pastwiskami, wygonami, wiejską szkołą i kuźnią. Powyższym ukazem nadano dworską ziemię tutejszym włościanom, którzy byli do tej pory tylko jej użytkownikami. To sprytne polityczne posunięcie cara miało na celu zminimalizowanie zainteresowania chłopów ruchami narodowo-wyzwoleńczymi, których

innymi takie nazwiska jak: Cukier, Lejbus, Flug, Meseinger, Perlmuter, Rozenblat, Szaft, Szajer.

Na początku XIX wieku domy we wsi Góry posiadały już numery porządkowe. Z metryki urodzenia prapradziadka Bartłomieja Zwarenckiego vel Franczaka dowiedziałem się, że urodził się on w domu pod numerem dwudziestym.

Okруchami historii tego miejsca są w przenośni i dosłownie materialne dowody ludzkiego bytowania w postaci ceramiki (datowanej od średniowiecza do czasów współczesnych), starych monet, narzędzi krzemiennych oraz wiórów powstających przy ich wytwarzaniu, a także resztki przedmiotów, jakimi się posługiwali żyjący tutaj nasi przodkowie. Znajduję też odłamki kamienne, które nie występują tu naturalnie, a noszą ślady obróbki przez czło-

wieka. Prawdopodobnie pochodzą z żarn do mieleńia zboża, moździerzy oraz tłuczków kamiennych służących w gospodarstwach, jak i z palenisk. Na tej podstawie można wyciągnąć wnioski o ciągłości zasiedlenia tych terenów od czasów neolitu.



Przedmieście Góry widziane z orbity okoziemskiej
- źródło: Google Earth - 14.08.2010 r.

Ziemię tę darzę dużym sentymentem i emocjonalnym przywiązaniem. Tutaj mieszkali i pracowali rodzice mojej matki, tutaj spędziłem znaczną część swojego dzieciństwa. Do dzisiaj mam stąd wiele wspomnień. Pamiętam, jak w dzieciństwie biegałem „na zgórek” oglądać jadące pociągi, które wtedy ciągnęła buchająca dymem i parą lokomotywa. Chodziłem nad „rzeczkę” płynącą nieopodal torów, łowić cierniki przetakiem „pożyczonym” od babci, jak też na wyprawy do „wyrwy”. Tak się złożyło, że na Górach mieszkalem zaraz po urodzeniu, później wiele chwil spędzałem u dziadków, a zarządzeniem losu mieszkam tu obecnie z rodziną.

Więzi z tą ziemią są siłą sprawczą mojej skromnej publikacji, w której dzielę się okruciami historii, do których zdołałem dotrzeć.

Sławomir Włodarczyk

Materiały źródłowe:

1. Tabela likwidacyjna wsi Góry - Archiwum Państwowe w Lublinie, zbiór Tabele Likwidacyjne, sygn. 1442.
2. Akt notarialny nr 154 z 1878 r. Kancelaria notarialna notariusza E. Bulińskiego, sygn. 3 rep.154, Archiwum Państwowe w Zamościu.
3. Metryki urodzenia ze wsi Góry lata 1756-1945 - parafia św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie.
4. Księga do zapisywania uchwał Rady Gminy 1907-1919, sygn. 5. Zbiór akt gminy Krasnostaw, Archiwum Państwowe w Lublinie - udostępnione przez dr. Ryszarda Maleszyka.

Edward Polski

Muzeum wizytówką powiatu. Sukces współdziałania

Lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku były okresem trudnym pod względem polityczno-społecznym. W pierwszych latach tej dekady wszelki ruch zmierzający do powstawania stowarzyszeń był poddawany różnym nakazom, a często też zakazom. Częściowa odwilż nastąpiła po śmierci Stalina w roku 1956.

W tym okresie pojawił się w Krasnymstawie człowiek obdarzony charyzmą społecznika - patriota, regionalista, który społecznikostwem zaraził wiele osób. Tym człowiekiem był Zygmunt Tokarzewski, który podsunął myśl stworzenia organizacji stowarzyszeniowej, a właściwie reaktywowania z okresu przedwojennego - Towarzystwa Ziemi Krasnostawskiej.

Wszelkie organizacje wymagały zatwierdzenia przez władze lokalne z czym nie było większych problemów. Pracowałem w tym okresie w Powiatowym Oddziale Związku Nauczycielstwa Polskiego jako etatowy i z wyboru sekretarz oddziału. Z tej racji znałem się z Zygmuntem Tokarzewskim jako nauczycielem, a następnie kierownikiem domu kultury. Z racji sprawowania funkcji w ZNP, byłem członkiem Komisji Oświaty, Kultury i Sportu PRN (nie będąc radnym). Na posiedzeniach komisji opiniowano różne sprawy dotyczące oświaty, kultury, sportu. W ten sposób został zaopiniowany wniosek - i później zatwierdzony - powstałego Towarzystwa Ziemi Krasnostawskiej. W powstałej organizacji skupiło się wielu chętnych.

Na jednym z posiedzeń zarządu padła propozycja utworzenia muzeum regionalnego w Krasnymstawie. Głosy w dyskusji były zróżnicowane, a argumentem trudnym do rozwiązania był brak lokalu, bowiem po okresie wojennym warunki lokalowe były ograniczone. Miasto sięgało w okolice nowego budynku szpitala i domu kultury - w części zachodniej i do ul. Lwowskiej - we wschodniej części miasta. Racja Tokarzewskiego jednak zwyciężyła. Zarząd podjął ryzyko utworzenia muzeum. Należało jeszcze uzyskać zgodę władz, znaleźć zastępcze pomieszczenia na ekspozyty i opracować sposób

pozyskania eksponatów z całego ówczesnego powiatu, jako że muzeum miało być regionalne o zasięgu powiatowym.

Będąc członkiem Komisji Oświaty, Kultury i Sportu, której koordynatorem z ramienia PRN była Maria Rotmańska i pewnie już jednym z ostatnich świadków tamtych wydarzeń, muszę stwierdzić, że przychylność władz do tego przedsięwzięcia była zaskakująco pozytywna, biorąc pod uwagę trudności lokalowe oraz sytuację społeczno-polityczną. Jedynie na jednym z posiedzeń komisji, w której brał udział wiceprzewodniczący PRN J. Kwiatkowski, wynikała sprawa nazwy i charakteru działania muzeum. Kwiatkowski sugerował, by muzeum nazwano Muzeum Ruchu Ludowego, jako że powiat jest wybitnie rolniczy i ruch posiada znaczne tradycje. Przez większość członków został przekonany, że muzeum regionalne będzie miało szerszy zasięg i materiały dotyczące ruchu ludowego znajdą miejsce. Wniosek o zatwierdzenie powstania Muzeum Regionalnego został zaakceptowany i Prezydium PRN go zatwierdziło. Muzeum otrzymało kilka pomieszczeń przy kościele pw. św. Franciszka we wnętrzach pojezuickich, po przeniesieniu kilku lokatorów.

Zanim jednak uzyskano pomieszczenia, zaczęto zbierać eksponaty. Monitowano w prasie, ogłaszano też na wszystkich naradach różnych pionów organizacyjnych. Zaslugi w zbieraniu przedmiotów posiadało wiele osób, a m.in. Pankowski - prokurator, Fr. Podgórski - przez młodzież licealną, Stefan Żelisko - Technikum Mechaniczne, J. Świechowa, Kłosowski - technik dentystyczny, oraz wielu innych, których nazwiska uleciały z pamięci.

Osobiście, będąc w terenie przyczyniłem się do wyszukiwania przedmiotów. Wiele osób z pionu oświatowego zbierało eksponaty i przywoziło je pokaesem do Krasnegostawu. Niektórzy kierowcy i nauczyciele zebrali znaczną część eksponatów, np. W. Czwóróg z Rudnika zebrał wiele materiałów rzemiosła artystycznego kowalskiego z rejonu Borowa i okolic, Franciszek Lebeda ze Starej Wsi gm. Zakrzew - wyroby ludowe, plastyczne (sam był malarzem), J. Syetkowski - z okolic Rybczewic - przedmioty codziennego użytku, i wielu innych.

Wspomnę fakt, kiedy to w ramach „oczyszczania” wielkich i mniejszych obszarów zniszczono dwory pańskie - rozebrano dom Szymona Szymonowica w Czernięcinie gm. Turobin, mojemu

teściowi Pawłowi Chłodzikowi udało się ocalić belkę z tego odległego 50 km dworku do Krasnegostawu - leżała jakiś czas na zapleczu domu kultury, a później w obiektach muzeum.

Początkowo były trudności z umieszczeniem zebranych przedmiotów, dlatego czasowo gromadzono je w wydzielonych pomieszczeniach domu kultury. Przedmiotów zebranych było mnóstwo, a wśród nich były m.in. kołowrotki, przyrządy do maglowania, międlenia, powroźnice, gospodarstwa domowego, rolnicze, artystyczne, ale bywały również militaria, numizmaty, piśmiennicze i inne. Trudno dzisiaj w pełni odtworzyć po ponad półwieczu wszystkie fakty, a szczególnie kto, co i ile przywiózł, ale jest faktem zaangażowanie wielu, wielu ludzi, którym na sercu leżała ochrona dóbr kultury materialnej. W czasie otwarcia muzeum można już było pokazać znaczny zbiór, z którego zadowolony był główny organizator przedsięwzięcia Zygmunt Tokarzewski, któremu przypadło, obok zbiórki eksponatów dokonanie rejestru, selekcji, rozmieszczenia - tworzenie dobrego, prawdziwego muzeum.

Po Tokarzewskim, funkcję dyrektora objął Władysław Fedorowicz, który już jako uczeń interesował się zbiorami i często brał udział w ich tworzeniu, a ukończone studia przyczyniły się do wzorowego kontynuowania dorobku poprzednika. Wzbogacając muzeum, należało rozszerzyć stan lokalowy, co się udało po przeniesieniu lokatorów z dalszej części obiektu.

Obecnie muzeum rozrosło się, zyskało dużo pomieszczeń, zostało zmodernizowane i funkcjonuje już w trzecim pokoleniu kierowniczym. W roku 2007 obchodzono „złote gody” muzeum i pokazano znaczny dorobek i rozwój tak obiektu, jak też zbiorów. Wprawdzie nie uczestniczyłem w tej uroczystości (nie byłem zaproszony) to jednak sądzę, że było co pokazać, czym się pochwalić i na co jeszcze oczekiwać.

Dużym oczekiwaniem jest konieczność wydania monografii miasta, bo jest odczuwalny jej brak. Dobrze, że wydawane są „Zapiski Krasnostawskie” oraz istnieje czasopismo „Nestor” - tworząc takie małe monografie, dzięki znanym miejscowym regionalistom. Szkoda jedynie, że nie wznawia działalności Towarzystwo Krasnostawskie.

Edward Polski

Zbigniew Atras

N a żułowskich ścieżkach



Surhów, to niewielka wieś w pobliżu Krasnegostawu. Jest ona znana w całej okolicy ze znajdującego się tam XIX-wiecznego, klasycystycznego pałacu. Zbudował go w latach 1813-1819 Paweł Cieszkowski z żoną Zofią z Kickich. Wnętrze pałacu zdobią piękne polichromie pędzla włoskiego malarza Mikołaja Montiego, oraz rzeźby Antoniego Canovy. Nieopodal wznosi się klasycystyczny kościół sanktuarium Matki Boskiej i św. Łukasza Ewangelisty. To właśnie do tej świątyni i znajdującego się w niej cudownego obrazu, przez wieki, aż do okresu rozbiorów przybywały kilkutyśne rzesze wiernych pielgrzymów. Dzisiaj tradycja pielgrzymowania do surhowskiej Matki Boskiej Łaskawej niemal całkowicie zanikła, lecz mam nadzieję, że w niedługim czasie pątnicy powrócą na pielgrzymkowy szlak. Zwłaszcza teraz, gdy z różnych przyczyn obszar powiatu krasnostawskiego w swych dawnych, historycznych granicach ziemi krasnostawskiej został znacznie okrojony, a surhowska świątynia pozostała jedynym sanktuarium maryjnym na jego terenie.

W pobliżu kościoła znajduje się stara plebania pełniąca obecnie rolę domu parafialnego, a wcześniej domu pielgrzyma. Nie tak dawno, na jej frontowej ścianie umieszczono tablicę pamiątkową z następującym napisem: „W tej plebanii w czasie II wojny światowej przebywał ks. dr S. Wyszyński, późniejszy biskup lubelski i prymas Polski, ukrywając się w Żuławie na terenie parafii Surhów”. Fakt przebywania księdza Stefana Wyszyńskiego w Żuławie był mi dobrze znany, lecz widok tablicy upamiętniającej jego pobyt także w Surhowie rozbudził drzemający we mnie instynkt poszukiwacza i tropiciela tajemnic regionalnej historii. Bo przecież nie chodzi tu o jakieś błahе zdarzenie, czy mało znaną postać, ale o samego Stefana Wyszyńskiego, biskupa i kardynała, którego nie bez powodu nazywa się Prymasem Tysiąclecia. Jego zasługi dla Polski i dla Kościoła trudno przecenić, tak samo jak trudno wymienić je w kilku słowach. Bo jak opisać to wszystko, czego

dokonał człowiek, którego proces beatyfikacyjny jest właśnie prowadzony. Pasterz i Ojciec przeprowadził polski Kościół przez zbrodniczy okres komunizmu. Nie tylko utrzymał naród w wierze, ale umocnił go, hartując w ogniu walki niczym stal. Na końcu życiowej drogi i kapłańskiej posługi, Wielkiego Prymasa czekała największa nagroda w postaci spełnienia wielkich wizji oraz narodowych marzeń i nadziei milionów Polaków. 16 października 1978 roku o godzinie 18 minut 18 z kolumny nad Kaplicą Sykstyńską w Watykanie uniósł się biały dym, a kardynał Felici na placu Świętego Piotra wypowiedział do całego zdumionego świata pamiętne słowa: „Habemus Papam! Carolum Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinalem Wojtyła”. Później nastąpiło 9 czerwcowych dni wolności w 1979 roku, gdy razem z polskim papieżem na oczyszczoną ziemię zstępował Duch Boży, odnawiając jej oblicze, i jakże piękny finał lat 1980/81 powstania Solidarności i walki całego narodu o swoją godność i wolność pod jej sztandarami. Zasługi Stefana kardynała Wyszyńskiego najlepiej określił największy z Polaków, papież Jan Paweł II - niekwestionowany na całym świecie autorytet moralny, nazywając go Prymasem Tysiąclecia. 23 października 1978 roku, a więc w tydzień po pamiętnym konklawe Jan Paweł II skierował do kardynała Wyszyńskiego następujące słowa: *Czcigodny i Umiłowany Księżu Prymasie! Pozwól, że powiem po prostu, co myślę. Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża-Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twojego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem.*

Powróćmy jednak na ziemię krasnostawską, aby odwiedzić miejsca naznaczone obecnością prymasa Wyszyńskiego, a może nawet odnaleźć zachowane jeszcze ślady jego bytności. Zgodnie z informacją zamieszczoną na pamiątkowej tablicy w Surhowie, miejscowością, do której Wyszyński przyjeżdżał i to parokrotnie był Żułów w gminie Kraśniczyn. Inne okoliczne wsie odwiedzał raczej przy tej okazji. Najwcześniejsza wzmianka

o pobycie księdza Wyszyńskiego w majątku żułowskim pochodzi z 1928 roku i jest zamieszczona w pracach autorstwa ks. Piotra Niteckiego. Folwark był wówczas siedzibą administracji dóbr krańczożyńskich i własnością Karola hr. Raczyńskiego, spadkobiercy Jadwigi hr. Poletyło, która na mocy swego testamentu z 5.01.1918 roku zapisała także 200 tys. rubli srebrem na rzecz Róży Czackiej, założycielki Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi w Laskach pod Warszawą. Ta właśnie kwota została zabezpieczona hipotecznie na Żuławie i okolicznych folwarkach. W siedmiopokojowym „pałacu”, jak nazywano wówczas główny, murywany budynek majątku, mieszkał wraz z rodziną Mieczysław Szmurło - administrator dóbr, oraz buchalter Wiśniewski. Sąsiedni, drewniany, czteropokojowy domek zajmował rządcą, a trzy pobliskie czworaki zamieszkiwali robotnicy folwarczni, łącznie około 50 osób. I właśnie do tego miejsca na zaproszenie lub z rekomendacji ks. Andrzeja Chlastawy, przyjaciela z odbywanych właśnie studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, przybył i przebywał przez okres letnich miesięcy lipca i sierpnia ks. Stefan Wyszyński, przeznaczając cały czas swego pobytu w wiejskim zaciszu żułowskiego folwarku na pisanie pracy doktorskiej. Tutejsza atmosfera sprzyjała chyba twórczemu wysiłkowi, bo jak podaje ks. Piotr Nitecki, już w styczniu 1929 roku Stefan Wyszyński ponownie przyjechał do Żułowa. Przebywał tu aż do czerwca, kończąc pisanie pracy w temacie „Prawa rodziny, Kościoła i państwa do szkoły”, którą obronił w Lublinie w dniach 21-22.06.1929 roku i uzyskał stopień doktora prawa kanonicznego, po czym powrócił do swojej diecezji włocławskiej. W tym samym czasie w Laskach pod Warszawą matka Elżbieta Róża Czacka, założycielka Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi i Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, z pomocą ks. Władysława Kornilowicza, tworzyła wielkie „Dzieło Lasek”. Sama niewidoma od 22 roku życia, budowała nowy świat dla ludzi niewidzących, którym dawała nadzieję na lepsze życie. W 1934 roku Towarzystwo stało się prawnym właścicielem dóbr ziemskich wchodzących w skład folwarków w Żuławie, Krańczożynie i Wolicy. Stanowiło to łącznie 812 ha ziemi ornej i lasów wraz z budynkami mieszkalnymi i gospodarczymi.

1 września 1939 roku wybuchła wojna. Niemiecki najeźdźca szybkimi krokami zbliżał się ku Warszawie. Od pierwszych dni bombardowano stolicę i okoliczne miejscowości. Bomby spadły także na ośrodek w Laskach, gdzie wśród wielu innych ranna została matka Czacka. Władze wojskowe nakazały jak najszybszą ewakuację ośrodka i jego pensjonariuszy. Grupa 150 niewidomych, wraz z opiekującymi się nimi siostrami wywieziona została do folwarku w Żuławie. Razem z nimi do Żułowa przyjechał współtwórca Lasek, a od 1920 roku kapelan i ojciec duchowy całego dzieła ks. Władysław Kornilowicz. Małe budynki mieszkalne z trudem mieściły przyjezdnych. Panowała wielka ciasnota, ale gospodarstwo zdolne było do zapewnienia żywności dla wszystkich. Z zadania tego wywiązywał się należycie ówczesny administrator majątku Stefan Holyński. Od tego czasu, czyli od września 1939 roku liczy się powstanie filii Lasek w Żuławie, gdzie niewidomi przebywają nieprzerwanie aż do dziś. W lipcu 1940 roku pewna liczba niewidomych i sióstr wyjechała z Żułowa do Kozłówek, gdzie zamieszkali w przypałacowej oficynie. Z rekomendacji ks. Kornilowicza, matka Czacka poprosiła ks. Stefana Wyszyńskiego, który od początku wojny był poszukiwany przez Niemców i ukrywał się wówczas we Wrociszewie, by zechciał pełnić obowiązki kapelana. W majątku Zamoyskich w Kozłówce niewidomi przebywali około roku, po czym część grupy powróciła do Żułowa, a pozostali wyjechali do Lasek. Ks. Stefan Wyszyński udał się do Nasutowa, a następnie do Zakopanego, gdzie został zdekonspirowany. Zakopane opuścił 22 października 1941 roku i przybył do Żułowa, gdzie oczekiwał go ks. Kornilowicz. Znali się od dawna, tj. od czasu uczęszczania Wyszyńskiego do seminarium we Włocławku, gdzie ks. Kornilowicz był wykładowcą. Później los połączył ich na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Teraz ponownie spotkali się w Żuławie.

Dom sióstr franciszkanek prowadzących ośrodek dla niewidomych wydawał się być dobrym miejscem schronienia dla obu kapłanów poszukiwanych przez gestapo. Niewielka osada folwarczna położona na uboczu, z dala od większych skupisk ludzkich, otoczona licznymi wzgórzami, wąwozami i kompleksami leśnymi dawała nadzieję i szansę przeżycia. Warunki jednak nie

były do pozazdroszczenia. W dwóch wymienionych wcześniej budynkach - „pałacu” i rządcówce zamieszkiwało ponad sto osób, bo przecież była to dotychczas tylko placówka gospodarcza, a nie ośrodek pobytowy, przystosowany dla tak licznej grupy mieszkańców. Ciasnota była więc ogromna. W rządcówce mieszkali niewidomi mężczyźni i chłopcy. Kobiety, dziewczęta i siostry zamieszkiwały większy budynek. Księży ulokowano w małych niczym klasztorne cele pokoikach w piwnicach żułowskiego „pałacu”. Tam też urządzono kaplicę bez okien w jedynej większej i pięknie sklepionej piwnicy. „Miała ona swoisty katakumbowy urok, ale i wiele minusów, które boleśnie odczuwano w przeszłości. Było tam przede wszystkim ciemno. Światło i powietrze dochodziły do wnętrza tylko przez drzwi sąsiedniego pokoju. W przedłużeniu kaplicy była jeszcze jedna, równie ciemna piwnica, oddzielona zakratowanym oknem. Tam także gromadzili się wierni, a w innych godzinach niewidome dziewczęta obierały warzywa. Wewnątrz było zawsze chłodno i wilgotno, a zarazem duszno, zwłaszcza kiedy całe pomieszczenie wypełniali ludzie”¹. Ks. dr Stefan Wyszyński zamieszkał w pokoiku sąsiadującym z kaplicą, który w czasie nabożeństw spełniał także rolę zakrystii.

Nie lepiej było z wyżywieniem tak licznej grupy ludzi, często starych i schorowanych, a także małych, niewidomych dzieci. Trudności codziennego życia nagradzała wielka gościnność Gabrieli i Stefana Hołyńskich, ówczesnych zarządców majątku, którzy potrafili znajdować jeszcze miejsce dla szukających schronienia uciekinierów i miejscowej ludności. Siostra Petronela (Maria Kurek) przebywająca w Żuławie przez cały okres okupacji wspominała: *To były trudne czasy, choć dobry los oszczędził w wielu przypadkach nasz Żułów. Mieszkaliśmy w bardzo ciężkich warunkach, pomagając mimo to miejscowej ludności, która przerażona zjeżdżała się do nas z całej okolicy, szukając pomocy i pociechy. Żułowski park był przepełniony. Ludzie zjeżdżali się nad wieczorem i nocowali nawet w zabudowaniach gospodarskich, spędzając czas na mod-*

*litwach. W chwilach szczególnej grozy ks. Kornilowicz organizował zbiorowe modlitwy, a nawet procesję, która w nocy chodziła wśród budynków. (...) Pamiętam msze św., które odprawiał w kaplicy ks. Wyszyński². Funkcję kapelana w Żuławie pełnił ks. Kornilowicz, ale ks. Wyszyński włączył się w posługę religijną jak tylko mógł, wspomagając w pracy swojego duchowego mistrza. Odprawiał msze święte i inne nabożeństwa w kaplicy i poza nią, głosił rekolekcje, spowiadał oraz udzielał sakramentów świętych. Do prowizorycznej kaplicy w Żuławie przybywali mieszkańcy okolicznych wsi: Wólki, Wolicy, Drewnik, Czajek, a także Kraśniczyna i Skierbieszowa, gdzie okupant odebrał kościoły katolikom i przekazał na cerkwie dla prawosławnych, lub urządził magazyny. Przychodzili tu także partyzanci działający w tych okolicach, a siostry franciszkanki, księża i administratorzy Żułowa pomagali ich w potrzebie. Porucznik Józef Śmiech (pseud. „Ciąg”) ze Skierbieszowa, żołnierz Armii Krajowej, wspominając tamte czasy, podkreślał zaangażowanie siostr: *Wspierały nas materialnie, dostarczając żywność dla oddziału, przechowywały oraz opatrywały rannych, prowadziły radiowy nasłuch, dysponując zakonspirowanym odbiornikiem, a także, co było wówczas tak istotne, wspierały nas moralnie. Byłem zorientowany kto się ukrywa w folwarku, a nawet otrzymałem zlecenie z komendy obwodu AK w Zamościu, aby zwracać uwagę na Żułów i w sytuacji bezpośredniego zagrożenia ukrywających się tam osób miałem interweniować nawet zbrojnie. W informacji tej wymieniono m.in. nazwisko ks. dr. S. Wyszyńskiego, z którym miałem okazję zapoznać się osobiście podczas obiadu u siostry przełożonej. Zapamiętałem sylwetkę księdza Wyszyńskiego, stojącego o zmroku w żułowskim parku i znakiem krzyża błogosławiącego mój oddział maszerujący w kierunku bonieckiego lasu³. Ks. Wyszyński często wyruszał na piesze przechadzki do pobliskiego lasu Baraniec, oddalonego od Żułowa o niespełna kilometr. Tam, wśród szumu wiekowych drzew, pluskania leśnego strumyka, pośród głębokich wąwozów oddawał się modlitwie i medytacji. Tam też spotykał się z par-**

¹ W. Białasiewicz, *Śladami pobytu prymasa Polski na Lubelszczyźnie* [w:] „Wrocławski Tygodnik Katolicki” 1980, nr 47.

² Tamże, s. 6.

³ Tamże

tyzantami, udzielał spowiedzi i odprawiał dla nich mszę świętą nieopodal leśnego źródła, gdzie wysoko na drzewie polecił zawiesić kapliczkę z wizerunkiem Matki Boskiej. W kwietniu lub maju 1942 roku, za zgodą niemieckich władz okupacyjnych, w Surhowie odbył się pogrzeb ośmiu żołnierzy września poległych w lesie surhowskim, który prowadził ks. Stefan Wyszyński. Najpierw odprawił mszę świętą w miejscowym kościele, a następnie poprowadził kondukt żałobny od miejscowego kopca Kościuszki na surhowski cmentarz. Antoni Kuncerewicz udokumentował pogrzeb, robiąc kilka zdjęć, które zachowały się w kronice Ochotniczej Straży Pożarnej w Surhowie. We wsi opowiadano, że na pogrzebie był tylko jeden ksiądz (widoczny na zdjęciu), skrzypcy, wysoki, w sutannie. Po modlitwie nad mogiłą na cmentarzu, szybko zniknął z oczu. Większość ludzi nie wiedziała kim był, lecz kobiety opowiadały, że widziały go w Żuławie i na plebanii w Surhowie i że nazywa się Wyszyński.

Ksiądz Wyszyński często spacerował polnymi drózkami i wiejskimi bezdrozami w okolicy Żułowa. W czasie jednego z takich spacerów, pogrążony w modlitewnej zadumie, usłyszał krzyk kobiety dochodzący z pobliskiej chaty. Zamieszkiwała ją wdowa potępiana przez miejscową społeczność za złe prowadzenie się. Ksiądz skierował swe kroki w kierunku domostwa i przez uchylone drzwi ujrzał brzemenną kobietę leżącą w barłogu. Rozpoczął się poród, a na wezwanie pomocy było już za późno. Kobieta błagała by jej nie opuszczał. Cóż było czynić. Ksiądz Wyszyński zakasał rękawy i pozostał, choć nie wiedział jak jej pomóc, ale Bóg wiedział i dziecko urodziło się szczęśliwie. Jak później mawiał, nigdy nawet nie myślał, że będzie mu dane przeżyć tak realnie tajemnicę Narodzenia. Ksiądz doktor każdą wolną chwilę przeznaczał na pracę naukową. Po latach wspominał, jak pod kierunkiem ks. Kornilowicza, razem z innymi księżmi i siostrami zakonnymi studiowali Summę Teologiczną świętego Tomasza. „Prowadziliśmy wtedy niekończące się dyskusje tomistyczne. Ojciec kazał nam czytać, a myśmy się wypowiadać. Dyskusje były zawzięte”⁴.

Andrzej Micewski pisał, że ks. Wyszyński, przebywając w Żuławie, brał udział w konspiracyjnym nauczaniu młodzieży i niósł pomoc okolicznej ludności chorującej na tyfus⁵. Chorobę przynieśli jeńcy radzieccy przebywający czasowo na terenie majątku. Na tyfus plamisty między innymi śmiertelnie zachorował zarządca żułowskiego folwarku Stefan Hołyński. 10 stycznia do domu chorego przybył z Najświętszym Sakramentem ks. Wyszyński, udzielając mu ostatniego namaszczenia, a 18 stycznia w Żuławie, przy współudziale wszystkich miejscowych księży, sióstr zakonnych i okolicznej ludności uczestniczył w jego pogrzebie i wygłosił kazanie. Należy wspomnieć, że w okresie wojny w Żuławie przebywało czasowo wielu ukrywających się tu księży i zakonników. Byli to ks. Jan Zieja (od 3 XI 1940 do 15 XI 1941), o. Tadeusz Kozierowski CO (15 IV-1 IX 1942), o. J. Kozłowski SJ (1 VII 1942-1 II 1943), ks. M. Paszkiewicz, ks. B. Dąbkowski (10 IX 1942-10 IV 1945), ks. Marian Markiewicz, ks. Antoni Gościński, ks. Michał Czartoryski i przygotowujący się do kapłaństwa, późniejszy kapelan Żułowa Stanisław Piotrowicz. W kilku przypadkach została udokumentowana praca kapłańska ks. Wyszyńskiego w czasie pobytu w Żuławie: 30 listopada 1941 roku, w pierwszą niedzielę Adwentu w kaplicy katakumbowej w Żuławie odprawił Mszę św. i wygłosił kazanie. Tam też 24 grudnia celebrował pasterkę, a 31 grudnia na zakończenie roku kalendarzowego odprawił nabożeństwo z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. 6 stycznia 1942 roku odprawił Mszę św. i wygłosił kazanie z okazji uroczystości Trzech Króli, a 2 lutego, w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej celebrował Mszę św. i przewodniczył procesji z gromnicami wokół zabudowań dworskich. W Środę Popielcową 18 lutego, w kaplicy żułowskiej odprawił Mszę św., a 29 marca przewodniczył procesji w Niedzielę Palmową. W dniach 30 marca - 4 kwietnia w kaplicy celebrował liturgię Wielkiego Tygodnia, a 5 kwietnia przewodniczył rezurekcji i procesji wokół zabudowań żułowskich⁶. Mno-

⁵ A. Micewski, *Kardynał Wyszyński - prymas i mąż stanu*, Paryż 1982, t. I, s. 25.

⁶ M. P. Romaniuk, *Życie, twórczość i posługa Stefana kardynała Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia*, Warszawa 1994, t. I. ss. 189-191.

⁴ S. Wyszyński, *Poprzednik odnowy soborowej. Z okazji 50-lecia Lasek*. Łaski, 16 XII 1973, w: *Nasz Ojciec*, dz. cyt., s. 51.

gość posług kapłańskich udzielana w żułowskiej kaplicy wymagała prowadzenia dokumentacji, takiej miejscowej „księgi parafialnej”. I takie zapisy były prowadzone. Ksiądz Józef Kaproń, w latach 60. wikariusz pobliskiego kościoła w Skierbieszowie, a obecnie proboszcz parafii w Siennicy Różanej relacjonuje, że ówczesna siostra przełożona z Żułowa wręczyła mu zapisane ręką ks. Stefana Wyszyńskiego, wspomniane dokumenty. Zostały one później zabezpieczone i złożone w archiwum kościoła skierbieszowskiego, gdzie znajdują się do dziś. Siostra Jadwiga Vianney-Szachno wspominała, że w wolnych chwilach ks. Wyszyński pomagał w pracach gospodarskich, np. przy zbieraniu buraków, przerynaniu drewna czy kopaniu ziemniaków. W Żułowie zawsze chodził w sutannie. Gdy siostry prosiły, aby dla bezpieczeństwa podróżował w świeckim ubraniu, odpowiadał: „Nie na to włożyłem sutannę, by ją zdejmować”⁷.

Podczas pobytu w Żułowie ks. Stefan Wyszyński wyjeżdżał czasami do innych, nawet dalszych miejscowości. Nie było to bezpieczne, ale czuł potrzebę niesienia posługi duchowej także w innych środowiskach. Podróże takie wymagały posiadania przepustek wydawanych przez okupanta. Tu niezastąpiona okazała się p. Zofia Kasprzak, ówczesna pracownica starostwa w Krasnymstawie. To właśnie ona potrafiła wypisać dla ks. Wyszyńskiego dokument uprawniający go, jako dla przykładu ogrodnika, na wyjazd do Lublina w celu zakupu nasion dla żułowskiego gospodarstwa. Miała sposób na to, by wpisana w przepustce docelowa stacja podróży była naprawdę daleko. Prawdopodobnie dzięki umiejętnościom p. Zofii ks. Wyszyński mógł odbyć w tym czasie podróże do Kozłówki, Zarzecza k. Przeworska, Bełżyc, Nasutowa, Wrociszewa, a nawet Warszawy i Grójca⁸. Siostra Joanna Lossow, przełożona domu zakonnego sióstr franciszek w Żułowie w okresie okupacji, w swoich zapiskach wspomina wiele zdarzeń z udziałem ks. Wyszyńskiego. Wspomina częsty widok księży Kornilowicza i Wy-

szyńskiego spacerujących po alejkach żułowskiego ogrodu i odmawiających wspólnie brewiarz. Innym razem opisuje zdarzenie, gdy dwie siostry franciszkanki ubierały w kaplicy Grób Pana Jezusa na uroczystość Wielkiego Piątku i stojąc na rusztowaniu, tak nieostrożnie się przechyliły, że cała konstrukcja runęła, a obie przed bolesnym upadkiem na kamienną posadzkę uratował wchodzący właśnie do kaplicy ks. Wyszyński. Czy też specjalistyczny wykład księdza doktora udzielony młodszej z sióstr na temat prawidłowego trzymania siekiery i zasad rąbania drewna. Siostra Joanna wspomina też bogatą korespondencję, jaką ks. Wyszyński po wyjeździe utrzymywał z żułowskim zgromadzeniem. Żartuje z cichej rywalizacji między wspólnotą żułowską a laskowską o przyjaźń i serce księdza Wyszyńskiego, już wówczas nominata na biskupa lubelskiego. Bo choć pierwszy był Żułów, gdzie księdza ceniono i kochano jak najbliższego członka rodziny, to jednak heroiczne przeżycia w Laskach w czasie powstania warszawskiego mogły zrobić swoje i przechylić szalę uczuć na niekorzyść żułowskiej grupy. Było się czym martwić, ale list księdza biskupa wyjaśnił wszystko raz na zawsze, dlatego pozwolę sobie go zacytować: *Już jestem na Jasnej Górze. [...] Przed konsekracją biskupią. [...] Zwracam się do Was, jako do najbliższych mi osób na terenie diecezji, z którymi jestem najbardziej żyty i Was szczególnie proszę o modlitwę do Boga przez Matkę Najświętszą. Wiem, że Wy mnie najlepiej rozumiecie. Wcale nie wątpię w to, kogo bardziej kocham, boć chociaż duży kawał serca mojego jest w Laskach, to jednak mam obowiązek ex iustitia (przyp. S.J.: z tytułu sprawiedliwości) Was bardziej kochać jako powierzone mi owieczki. Spór toczony w Żułowie jest rozstrzygnięty bezapelacyjnie przez ordo caritatis (przyp. S.J.: porządek, czy hierarchia miłości). Ale Wy nawet nie wiecie, jakie to nakłada na Was ciężary. Dlatego, że ordo caritatis wymaga dwustronności. Sprawiedliwość dających oczekuje sprawiedliwości biorących. Uważam Was za najbliższe mi strażę modlitwy. Wszystkie moje niepowodzenia w pracy będę Wam przypisywał, uważając, że nie dość czuwacie przy mnie. [...] ale też wszystkie radości i owoce dla chwały Bożej będę po Bogu i Matce Najświętszej - Wam zawdzięczał. Oto jak rozu-*

⁷ Tamże, t. I, s. 188.

⁸ ks. Piotr Nitecki, *Włocławskie dzieje ks. Stefana Wyszyńskiego 1917-1946*, Soli Deo, Rozdz. X, cz. 4 *W Żułowie*, s. 218.

miem nasz stosunek wzajemny. [...] oddaję się Waszym modlitwom i dobrej opiece Waszej miłości. Będę tu o Was pamiętał na Jasnej Górze.[...] Sercem Wam oddany, Wasz biskup Stefan⁹.

Z bogatej korespondencji ks. Wyszyńskiego z żułowskim zgromadzeniem należy jeszcze wspomnieć list z 31 maja 1946 roku, w którym nowy biskup lubelski dziękuje za obecność i chwali doświadczenie życiowe żułowskich sióstr franciszkanek, które pozwoliło im stanąć tak blisko „swojego” biskupa w czasie uroczystości ingresu do katedry lubelskiej. Stwierdza przy tym, że akurat siostry z Żułowa miały do tego całkowite prawo i dobrze, że z niego skorzystały. O szczególnych związkach żułowskiego zgromadzenia z biskupem Wyszyńskim świadczy jeszcze jeden list będący odpowiedzią na potajemne „wyczyny” siostrzyczek. W Polsce roku 1946 pojawiły się problemy z żywnością. Nie ominęły one pałacu biskupiego, a zwłaszcza Seminarium Duchownego w Lublinie. W lipcu Polski Czerwony Krzyż wypożyczył ośrodkowi samochód ciężarowy na dowiezienie jakichś materiałów do Żułowa na potrzeby założonego właśnie przez siostry schroniska dla niewidomych żołnierzy - ofiar wojny. Ciężarówka przyjechała, dostarczając zamówiony towar. Wówczas pojawiła się szansa na wspomnienie biskupa i wychudzonych kleryków. Na skrzynię ładunkową PCK-owskiej ciężarówki załadowano klatki z drobiem i większym żywym inwentarzem oraz ogromną ilość kwiatów, zwłaszcza nasturcji, tak bardzo ulubionych przez biskupa. Po przyjeździe do Lublina, okazało się, że Stefan Wyszyński wyjechał. Siostry zawładnęły więc całkowicie biskupimi komnatami i w krótkim czasie zamieniły je na coś w rodzaju spiżarni i ogrodu tonącego w girlandach z nasturcji. Po dokonaniu tej „inwazji” opuściły czym prędzej Lublin. Ale, niestety, zostały „zdekonspirowane”, czego ksiądz biskup dał wyraz listem z 12 lipca 1946 r., w którym napisał: *Byłem przerażony spiżarnią, jaką urządzili Siostry w moim pokoju przedkaplicznym. [...] Takiego zmaterializowania dokonały Siostry „potajemnie”, gdy byłem zajęty pracą uduchawiania. Dziwne losy rządzą światem. Powiał wiatr od żułowskiego Wschodu. Pomimo wszystko jestem*

Wam wdzięczny za te nasturcje i wszystkie szczególności, które świadczą więcej o sercu niż o cnocie roztropności i umiaru. Mam jednak nadzieję, że i te cnoty, właściwe wiekowi dojrzałości, z czasem zawitają do Żułowa. Bóg zapłać i za orła Halusi [był to pięknie wyrzeźbiony orzeł - podarunek od niewidomej pensjonariuszki Żułowa, Halusi Malczyk - przyp. S.J.], i za dwukłos żytńi, i Pax z perełek od Szwalni, i za kilimek przed łóżko (co zachęca do snu, a więc opóźnia przyjazd do Żułowa - „kto sieje w ciebie, z ciała zbiera skażenie”). Bardzo muszę dziękować za dary „nieczyste” [jest to aluzja do poglądów Starego Testamentu - przyp. S.J.], za prosiatko i za cielątko (które oddałem na edukację do Seminarium), dziękuję za uduchowionego królika, za kurki itd., itd., itd. I osobno dziękuję za dary „tłuste”, słodkie, leśne i sadowe, osobno za dary sanitarne - a szczególnie osobno za makowiec. Jestem przytłoczony i zatłumiony. W dniach 27-30 grudnia 1946 roku biskup lubelski Stefan Wyszyński odwiedził swoją żułowską wspólnotę, przyjeżdżając na krótki wypoczynek. Ponownie zajął do Żułowa 25-26 września 1947 roku, a 23 maja 1948 roku, wracając do Lublina po wizytacjach kilku parafii powiatu zamojskiego: Łazisk, Kalinówki i Skierbieszowa nie zapomniał o kiepskiej drodze do Żułowa i wstąpił do sióstr by pobłogosławić swoją najwierniejszą drużynę. Chyba był z nich dumny, a może czasami nawet zaskoczony, że ich modlitwy o jego biskupią posługę były tak chętnie wysłuchiwanie przez Boga. Bo przecież już 12 listopada 1948 roku Ojciec Święty Pius XII mianuje młodego biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego arcybiskupem, metropolitą Gniezna i Warszawy, prymasem Polski, a pięć lat później tj. 12 stycznia 1953 roku wprowadza go do Kolegium Kardynalskiego. Wspomagany modlitwą swych wiernych, przetrwał okres aresztowań, represji i prześladowań. Umocnił swój Kościół i razem z żułowskimi siostrami, całym polskim narodem, sługa Boży Stefan kardynał Wyszyński wielki Prymas Tysiąclecia oczekuje zakończenia procesu beatyfikacji i wyniesienia na ołtarze.

Dziś Żułów to mała wieś, której próżno szukać w krajowym spisie miejscowości. Po prostu jej tam nie ma. Po okresie przemian socjalistycznych pozostało kilka niskich bloków, w czę-

⁹ S. Wyszyński, Częstochowa, 5.05.1946.

ści opuszczonych, a częściowo zamieszkałych przez byłych pracowników dawnego PGR-u. Kilka bardzo zaniedbanych budynków gospodarczych i piękny, zbudowany w ostatnich latach Ośrodek dla Ociemniałych Kobiet zwany Domem Nadziei - filia Lasek k. Warszawy, prowadzony nieprzerwanie od 1939 roku przez Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża. Część odebranej i upaństwowionej ziemi, po upadku PGR-u udało się odzyskać i dziś funkcjonuje tutaj gospodarstwo sadownicze będące własnością Zgromadzenia - jedyny, oprócz ośrodka pracodawca na terenie wsi. Do dziś zachowało się kilka budynków z okresu przybycia pierwszej grupy niewidomych z Lasek w 1939 roku. Nadal stoi żułowski „pałac”, choć znacznie przebudowany, stary budynek rządcówki zwany domkiem św. Franciszka i dwa nowsze budynki drewniane zwane domkami: Miłosierdzia Bożego i św. Józefa. Staraniem sióstr, w piwnicach „pałacu” odtworzono dawny pokój ks. Wyszyńskiego - raptem około 8 m² z zachowaną podłogą i kaflowym piecem oraz kilku pamiątkach po pobycie Wielkiego Prymasa: mosiężnym krzyżykiem na ścianie i obrazem Pani Jasnogórskiej. Przy ścianie stoi wąskie, metalowe łóżko, mały, okrągły stolik i krzesło. Obok pokoju zachowało się pomieszczenie dawnej, katakumbowej kaplicy z charakterystycznie wyżłobionym miejscem w ścianie, gdzie wstawiano tabernakulum. I chociaż to wszystko, co pozostało po pobycie ks. Stefana Wyszyńskiego w Żuławie, to jednak należy zaznaczyć, że do dziś czuje się tutaj jego obecność. Dzisiaj ośrodkiem kieruje siostra przełożona Lilianna, która razem z całym żułowskim zgromadzeniem stara się pielęgnować pamięć o pobycie prymasa. W nowym Domu Nadziei przebywa 70 niewidomych pensjonariuszek. Warunki bytowe spełniają wszelkie współczesne normy. W budynku obok mieszczą się warsztaty terapii zajęciowej. Całość otacza spory park z alejkami przystosowanymi dla niewidomych. Dawną katakumbową kaplicę zastąpiła nowa, piękna i duża. Chlubą Ośrodka jest chór „Słoneczny Krąg”, który od lat zdobywa nagrody i wyróżnienia wszędzie tam, gdzie występuje. W Żuławie dopełnia się wielkie dzieło sług Bożych - matki Czackiej, ks. Korniłowicza, a także prymasa Wyszyńskiego. Tutaj, zgodnie z nauką matki założycielki, nie-

widomi, przyjmując swoje kalectwo z męstwem i pogodą ducha stają się apostołami wśród widzących, zwłaszcza „niewidomych na duszy”, czyli ludzi oddalonych od Boga wskutek słabej wiary lub grzechu, których oczy są zamknięte na świat duchowych wartości. Tu zawsze widać uśmiech, życzliwość wzajemną, chęć niesienia pomocy. Tu wszędzie słychać dobre słowo. Tu jest wszystko to, czego tak brak w świecie ludzi zdrowych.

W 2009 roku żułowska wspólnota obchodziła 70-lecie swego istnienia. Uroczyste obchody zaszczylił swą obecnością prymas Polski kardynał Józef Glemp. Oddając hołd i szacunek wybitnemu Polakowi, 27 maja 2010 roku Szkoła Podstawowa w Kraśniczynie przyjęła imię kardynała Stefana Wyszyńskiego. Na uroczystości przybył arcybiskup metropolita lubelski Józef Życkiński, który pobłogosławił całą szkolną społeczność i poświęcił sztandar oraz pamiątkową tablicę. Wśród wawozów lasu Baraniec, nieopodal Surhowa, nad leśnym strumieniem w pobliżu źródła, przy którym często bywał i modlił się ks. Stefan Wyszyński, spotykając się z partyzantami i odprawiając dla nich mszę św., staraniem ks. Ciżmińskiego i fundacji Dom Trzeciego Tysiąclecia im. Stefana kardynała Wyszyńskiego w Zamościu, wybudowano leśną kapliczkę. 8 czerwca 2010 roku mszę św. celebrował i uroczystego poświęcenia kapliczki dokonał ks. biskup Wacław Depo, ordynariusz diecezji zamojsko-lubaczowskiej, w obecności miejscowego społeczeństwa, grupy ociemniałych pensjonariuszy ośrodka i sióstr franciszkanek z Żułowa, pocztów sztandarowych i delegacji młodzieży dwunastu szkół z terenu Zamojszczyzny noszących imię Wielkiego Prymasa, oraz zaproszonych gości. 31 maja 2011 roku, w rocznicę pogrzebu prymasa Wyszyńskiego i Święto Nawiedzenia spotkali się tutaj przedstawiciele zamojskiej fundacji Dom Trzeciego Tysiąclecia, Szkoły Podstawowej w Kraśniczynie i miejscowego społeczeństwa. Spotkania takie mają być organizowane corocznie. Ja jednak uważam, że las Baraniec ze swoją leśną kapliczką i Dom Nadziei w Żuławie z całą ks. Stefana Wyszyńskiego, katakumbową kaplicą, oraz niespotykaną gdzie indziej, tak widoczną atmosferą miłości i dobroci, to miejsca stworzone do corocznych spotkań młodzieży. Takich „Żułowskich Majówek

z Prymasem”, w formie powiedzmy spotkań młodych obu sąsiadujących tutaj diecezji: lubelskiej i zamojsko-lubaczowskiej. Przecież w czasach posługi biskupiej ks. Stefana Wyszyńskiego w Lublinie, był dla nas wspólnym ojcem, a diecezja lubelska i Zamojszczyzna stanowiły jedność.

*

Niniejszy tekst powstał w 2012 roku i został wykorzystany w prezentacji multimedialnej pt.: „Na żułowskich ścieżkach - czyli piętnaście miesięcy z życia Prymasa Tysiąclecia”, która wzbogacona dodatkowo o zapisy dokumentalne wywiadów z pensjonariuszką z Żułowa, jako rodzinna praca Michała, Teresy i Zbigniewa Atrasów w II edycji ogólnopolskiego konkursu edukacyjnego „Prymas Wyszyński. Drogi pamięci” zdobyła drugą nagrodę. Nagrodzona prezentacja została przedstawiona uczestnikom jednego z nestorowych spotkań promocyjnych. Po obejrzeniu zawiązała się ciekawa dyskusja na temat pobytu Stefana Wyszyńskiego na krasnostawskiej ziemi. Bardzo interesująco zabrzmiała wówczas wypowiedź Leszka Janeczka, który przed laty przeprowadził rozmowę z panią Zofią Kasprzak. W czasie tej rozmowy Pani Zofia miała opowiedzieć, że w czasie jednej z wizyt Stefana Wyszyńskiego w starostwie w Krasnymstawie, gdzie przybył w celu odebrania przepustki wyjazdowej, miał zostać zatrzymany przez niemieckich urzędników. Prawdopodobnie całą noc spędził w piwnicy starostwa. Został uwolniony następnego dnia dzięki interwencji, a raczej przekupieniu niemieckich urzędników odpowiednio wysoką kwotą pieniężną przez ówczesnego dziedzica wsi Bończa, hrabiego Andrzeja Potockiego. Dokładna data tego zdarzenia nie jest znana. Nie potwierdzają go też żadne zapiski źródłowe, co nie znaczy, że nie jest prawdziwe i nie miało miejsca. Jest za to dowodem na to, że jeszcze wiele zdarzeń z tego okresu nie znamy i być może nigdy się o nich nie dowiemy.

Zbigniew Atras

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Twórcy i dzieje snycerskiego wyposażenia kościoła św. Zofii w Tarnogórze



W kościele pw. św. Zofii w Tarnogórze znajdują się dwa drewniane, okazałe ołtarze boczne. Do snycerskiego wyposażenie świątyni należą też ołtarz główny i znajdujące się w jego zwieńczeniu rzeźby dwóch aniołów, a także ponadnaturalnych rozmiarów dwie rzeźby usytuowane na emporze chóru. Wyrzeźbione w drewnie są: obudowa organów i znajdujące się tam - rzeźba aniołka oraz putto. Jeszcze jedna rzeźba w drewnie jest przechowywana w pomieszczeniu magazynowym kościoła. Jest to wolno stojąca figura św. Katarzyny Sieneńskiej. Unikatowa pod względem ikonograficznym jest ambona i stojąca na niej figura zakonika trynitańskiego. W przedsionku kościoła znajduje się figura Chrystusa Ukrzyżowanego.

Kościół w Tarnogórze nie jest pierwotnym miejscem przeznaczenia większości z wymienionych obiektów. Dzięki temu, że zostały tu przeniesione, dotrwały do naszych czasów.

Dzieje

Wysokiej klasy artystycznej są XVII-wieczne rzeźby klęczących aniołów z ołtarza pw. Zwiastowania NMP. Jest to unikatowy przykład snycerki wczesnobarokowej na naszym terenie, ale brakuje informacji na temat pierwotnego miejsca usytuowania figur. Z pewnością umieszczono je wtórnie w obecnym ołtarzu. Oprócz różnic formalnych wynikających z różnego czasu ich wykonania (obiekty dzieli ponad sto lat), dostrzega się, że zostały wykonane z przeznaczeniem do oglądania z innej perspektywy. Pierwotnie znajdowały się wyżej, być może w zwieńczeniu ołtarza, co sugeruje ujęcie postaci w pozach klęczących, na obłokach symbolizujących najwyższą sferę - niebiańską. Być może flankowały środkowe wyobrażenie, np. Boga Ojca.

W 1772 roku, w wyniku I rozbioru Rzeczypospolitej Austria zajęła teren ówczesnego województwa ruskiego, okolice Zamościa i południową

Małopolskę. Wyrazem prowadzenia antyklerykalnej polityki cesarza Józefa II było dążenie do zmniejszenia funkcji Kościoła. Czyniono to m.in. likwidując parafie i rozwiązując siedziby zgromadzeń zakonnych. Wiązało się to z pustoszeniem wyposażenia kościołów i klasztorów. W zamkniętych obiektach sakralnych urządzano spichlerze i magazyny.

Niecałe sto lat później miała miejsce na interesującym nas terenie nieco inna, ale analogiczna w skutkach sytuacja. W celu rusyfikacji władze zaboru rosyjskiego w części kościołów rzymskokatolickich powoływały cerkwie prawosławne. Należało usunąć dotychczasowe przedstawienia figuratywne uznawane przez Kościół prawosławny za bałwochwalcze. Dzięki interwencji parafian, kapłanów oraz przedstawicieli władz administracyjnych Kościoła rzymskokatolickiego udało się zachować część wyposażenia z zamykanych kościołów. Rozdysponowano je do parafii w danych diecezjach. Pod koniec XVIII i w ciągu XIX stulecia pewne obiekty trafiły też do kościoła parafialnego w Tarnogórze.

W 1866 roku władze rosyjskie zdecydowały o przekazaniu klasztoru Bernardynów w Radecznicy grekokatolikom. W odpowiedzi na to rozporządzenie Konsystorz Biskupi w Lublinie zarządził rozdysponowanie wyposażenia klasztoru i kościoła do świątyn z terenu diecezji lubelskiej. Do kościoła w Tarnogórze przewieziono dwa przyściennie ołtarze boczne oraz stojące w jednym z nich rzeźby św. Jakuba i Jana Ewangelisty.

We wtórnym miejscu usytuowania stoją rzeźby św. Teresy z Ávila i starotestamentalnej postaci mężczyzny. Są to drewniane, drążone z tyłu, mierzące około 3 metrów rzeźby usytuowane na emporze chóru. Na temat ich pochodzenia brakuje informacji w źródłach i inwentarzach parafii Tarnogóra. Z racji ich ponadnaturalnych proporcji można przypuszczać, że były przeznaczone do o wiele większego obiektu. Użycie skrótów perspektywicznych oraz wybór drewna jako materiału rzeźbiarskiego sugerują, że wykonano je z zamiarem umieszczenia wysoko, we wnętrzu sakralnym - prawdopodobnie w ołtarzu głównym. Przez pewien czas musiały być poddawane wpływowi niekorzystnych warunków atmosferycznych, ponieważ wilgoć spowodowała zbutwienie ich dolnych partii. Obecnie mają dosztukowane wtórne ele-

menty (sumarycznie modelowane dłonie Teresy) i są przemalowane szarą farbą olejną, co zaciera ich pierwotny, jakże efektowny modelunek.

Z nieokreślonego kościoła zakonu trynitarzy pochodzi rzeźba zakonnika trynatarskiego umieszczona w zwieńczeniu ambony. O ile jej strukturę można datować na wiek XVII, rzeźbę zakonnika wykonano po połowie XVIII wieku.

Z powodu braku informacji w źródłach, nie wiadomo skąd przywieziono figurę św. Katarzyny Sieneńskiej. Jej ujęcie w lekkim kontrapoście, akomodowanie sylwetki ku środkowi sugerują, że pierwotnie wraz z inną rzeźbą (być może św. Dominika, z którym bywa przedstawiana) stała w ołtarzu jako rzeźba boczna, flankująca środkowe przedstawienie. Nierozpoznane pozostają dzieje rokokowej chrzcielnicy z elementami współczesnymi.

Obiektem, który wykonano z przeznaczeniem usytuowania go w prezbiterium kościoła w Tarnogórze jest ołtarz główny. Został wykonany w 1937 roku. Jest dwukondygnacyjny, wyodrębniony parą nieznacznie wysuniętych kolumn w części środkowej, zwieńczony półokrągło z dwoma wielkimi wolutami po bokach części górnej.

Twórcy i ich dzieła

Wiek XVII

Do najstarszych przedstawień figuratywnych z kościoła w Tarnogórze należą: rzeźby dwóch klęczących aniołów wtórnie usytuowane w ołtarzu Zwiastowania NMP, elementy ambony oraz głowa anioła z obudowy chóru. Wszystkie te obiekty reprezentują rzadko występujące na terenie Lubelszczyzny przykłady XVII-wiecznej snycerki wczesnobarokowej.

Ambona posiada wieloboczny tambur ze schodkami z jednej strony. Od dołu jest ujęta półkuliście i w tym kształcie jest też jej zadaszenie. Obecnie składa się z elementów pierwotnych XVII-wiecznych (płaskorzeźby) jak i dodanych - rokokowych, pochodzących z XVIII stulecia (zakonnik trynatarski, ornament *rocaille* dosyć swobodnie umocowany na zaplecku). Najstarsze są przedstawione na zewnętrznych ścianach tamburu płaskorzeźbione sceny ukazujące czterech doktorów



Ambona, elementy XVII- i XVIII-wieczne, fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.



Plaskorzeźba z tamburu ambony, św. Hieronim, XVII w. (?), fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.

Kościół na tle wnętrza lub z innymi atrybutami, należących do ikonografii danej postaci. Święty Hieronim, ubrany w strój kardynalski siedzi przed księgą. Na ścianie wisi kapelusz kardynalski, a przy jego stopach leży lew, któremu według legendy opatrzył skaleczoną łapę. Trzej kolejni doktorzy Kościoła również studiują treść ksiąg. Ubrani w szaty kapłańskie siedzą na tle wnętrza, trzymając w dłoniach laski biskupie lub papieskie. Widzimy typowy dla XVII-wiecznej snycerki modelunek twarzy okolonych przez grajcykowate włosy i brody.

Zbliżony poziom wykonania prezentują figury klęczących aniołów z ołtarza Zwiastowania NMP. Ich rysy twarzy są delikatne, subtelności



Ołtarz Zwiastowania NMP, anioł adorujący, XVII w., fot. A. Szykuła-Żygawska, 2008 r.



dodają pukle włosów poprzedzielane ażurami. Podobnie jest modelowana głowa anioła z obudowy chóru. Tego typu ujęcia oraz klasy artystycznej dzieła spotkać można w ołtarzu głównym kościoła w Tarnogrodzie (przeniesiony z zamojskiej kate-

dry). Zbliżone formalnie są głowy puttów z ołtarza głównego kościoła św. Dominika w Turobinie.

Ołtarze boczne

Dzięki odnalezieniu, przetłumaczeniu i opublikowaniu przez krakowskich historyków sztuki Andrzeja Betleja i Piotra Krasnego XVIII-wiecznej kroniki zakonu bernardynów w Radecznicy wiadomo, że wykonywaniem ołtarzy w sanktuarium św. Antoniego zajmowali się po połowie XVIII wieku snycerze Karol Burzyński i Józef Jakub Stanikowski. Wiadomo, że ołtarz Przemienienia Pańskiego wraz z usytuowanymi w nim rzeźbami wykonał Karol Burzyński, a ołtarz Zwiastowania NMP - drugi z wymienionych twórców.



Ołtarz Zwiastowania NMP, wyk. Józef Jakub Stanikowski (?), po 1760 r., fot. A. Szykuła-Żygawska, 2008 r.



Ołtarz Zmartwychwstania Pańskiego, wyk. Karol Burzyński, po 1760 r., fot. A. Szykuła-Żygawska, 2008 r.

Ołtarze wrzeźbiono w oparciu o jeden schemat kompozycyjny. Są to analogiczne, wysokie formy przyściennych retabulów, ustawione na podwójnych cokołach. Elementem charakterystycznym dla ich konstrukcji jest brak kolumn w kondygnacji środkowej, dzięki czemu sprawiają wrażenie lekkich i smukłych.

Do wertykalnej, środkowej części ołtarza autorstwa Karola Burzyńskiego jest dopasowane autorstwa Karola Burzyńskiego jest dopasowane znajdujące się w punkcie centralnym pole obrazowe ujęte w profilowaną ramę, zamknięte łukiem nadwieszonym o ściętych dolnych narożach, oraz rzeźby o wydłużonych proporcjach sylwetki. Po-

stumenty, na których stoją figury i podtrzymujące je kroksztyny dekorują ukwiecone *rocaille*.

Konstrukcje ołtarzy oplatają sporych rozmiarów ornamenty *rocaille*, którym często towarzyszy ukwiecona gałązka i koguci grzebienie. W zwieńczeniu ołtarza przywodzą na myśl długie, wijące się płomienie. Obydwa ołtarze były i są pokryte marmoryzacją imitującą granit. Bardziej oryginalną formę ma ołtarz pw. Przemienienia Pańskiego. Charakteryzuje go odważne i wyrafinowane operowanie ornamentyką i jej proporcjami. Dzieło to świadczy o dużych zdolnościach artystycznych Karola Burzyńskiego. Można je uznać za autonomiczne i nowatorsko kreowane dzieło.

W ołtarzu stoją figury św. Jakuba Apostoła (?) i św. Jana Ewangelisty. Postaci akomodują ku środkowemu przedstawieniu. Punkt ciężkości ciała wyznacza wysunięta do przodu noga, druga, cofnięta spoczywa oparta o skałę. Ich szaty piętrzą się wokół bioder. Uwidacznia się szata układająca się w formę rulonu między stopami, o pogrubionych, jakby sugerujących podszewkę krańcach.



Ołtarz Zmartwychwstania Pańskiego, św. Jan Ewangelista, wyk. Karol Burzyński, po 1760 r., fot. A. Szykuła-Żygawska, 2008 r.



Ołtarz Zmartwychwstania Pańskiego, św. Jakub Apostoł (?), wyk. Karol Burzyński, po 1760 r., fot. A. Szykuła-Żygawska, 2008 r.

Rysy twarzy postaci są dopracowane. Charakteryzuje je ascetyczność. Mają wystające, wymodelowane kości policzkowe i wąskie zuchwy. Należy zwrócić uwagę na występujące w twarzy św. Jana diagonalne zmarszczki na policzkach. Postaci mają zarysowane „po łuku” brwi i głęboko osadzone oczy.

Pierwowzory ikonograficzne dla ołtarzy oraz figur można odnaleźć wśród prac z obsza-

ru działalności w połowie XVIII wieku lwowskich rzeźbiarzy rokokowych. Spostrzeżenie to dotyczy przede wszystkim postaci św. Jana Ewangelisty, dla której pierwowzorem mogła być wykonana w 1758 roku przez najbardziej utalentowanego lwowskiego mistrza Jana Jerzego Pinsla rzeźba tego apostoła do niszczonego obecnie kościoła pw. Wszystkich Świętych w Hodowicy (obecnie wieś w rejonie pustomyckim obwodu lwowskiego, 6 km na południowy zachód od Lwowa). Ujęcie figury św. Jana zostało powtórzone przez innych rzeźbiarzy tego kręgu artystycznego w kościołach w Bohorodczanach (obecnie osiedle typu miejskiego na Ukrainie, w obwodzie iwanofrankińskim) i Busku (obecnie miasto na Ukrainie i stolica rejonu w obwodzie lwowskim, nad Bugiem). Ten schemat kompozycyjny wykorzystał też rówieśnik wspomnianego Jana Jerzego Pinsla, Antoni Osiński dla ukazania apostoła w tabernakulum ołtarza głównego kościoła Bernardynów w Leżajsku. Rzeźba powstała wraz z ołtarzem w latach 1752-1758. Analogicznie apostoł akomoduje ku środkowemu przedstawieniu. Jest ukazany *en trois quarts*, jedną rękę unosi na wysokości ramion, głowę kieruje wysoko w bok.

Poza kompozycją warto zwrócić uwagę na modelunek szat figury z Leżajska. Tak jak w Tarnogórze, wierzchnia piętrzy się na wysokości kolan, a przy dekolcie zachyla w charakterystyczną zakładkę pośrodku. Między stopami u obydwu, tknina zwija się w rulon, który w Leżajsku zagina się podszewką na zewnątrz. Fizjonomia postaci jest odmienna i bliżej postaci apostoła z Tarnogóry figurze autorstwa Jana Jerzego Pinsla z Hodowicy, ale porównywalne jest samo potraktowanie poszczególnych elementów twarzy. Analogicznie, twarze postaci okalają długie, wijące się pukle. Włosy są szrafowane, a szaty - zgeometryzowane.

Dostrzeżone analogie oraz poziom artystyczny figur z Tarnogóry umożliwiają nazwanie Karola Burzyńskiego utalentowanym twórcą z kręgu lwowskich rzeźbiarzy rokokowych. Był on zaznajomiony z ich realizacjami. Być może zanim realizował zamówienie na wyposażenie kościoła Bernardynów w Radecznicy pomagał przy rzeźbieniu figur w kościele tego zgromadzenia w Leżajsku.

Dwie rzeźby z empory chóru

Radecznickie ołtarze oraz figury znajdujące się obecnie w kościele w Tarnogórze można uznać za dzieła wysokiej klasy artystycznej. Podobną jakość wykonania prezentuje para figur z empory chóru. Są to rzeźby ukazane w ujęciach dynamicznych, wyrażonych zarówno pozami jak i układem szat. Ubrana w szaty zakonne (karmelitańskie) św. Teresa z Ávila jest przedstawiona w wydatnym kontrapoście. Odchyła górną część ciała do tyłu i spogląda wysoko, tak że patrząc na figurę na wprost, widzimy jej podbródek. Dostrzega się także skrót perspektywiczny w modelunku twarzy co utwierdza w przekonaniu, że figura była wykonana z przeznaczeniem do oglądania z pewnej wysokości. Późniejsze są wyrzeźbione topornie złożone na klatce piersiowej dłonie. Gest adoracji i wyraźny skręt twarzy wysoko w bok skłaniają do przypuszczenia, że postać flankowała środkowe przedstawienie w ołtarzu, umieszczone wyżej od figury. Wiadomo, że św. Teresa z Ávila ze szczególnym nabożeństwem czciła wizerunek Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego, zatem być może rzeźba pochodzi z ołtarza, w którego środkowej części znajdował się krucyfiks. Szaty są modelowane z wyczuciem. Nadają ujęciu rozmach. Nie posiadają jednak lekkości charakterystycznej dla ujęcia szat figur rokokowych. Są żłobione głęboko, w grube fałdy, co pozwala uznać przedstawienie za dzieło późnobarokowe, powstałe przed połową XVIII wieku.



Empora chóru, św. Teresa z Ávila, poł. XVIII w., fot. J. Sito, 2008 r.

Z powodu braku atrybutów, trudno określić kogo przedstawia druga postać. Widzimy mężczyznę w dojrzałym wieku. Ma wysokie czoło, wyraziste rysy twarzy, wydatną linię nosa i zuchwy. Twarz

okalają zaczesane do tyłu, podkręcane w pukle włosy opadające na kark oraz krótka broda podkreślająca linię zuchwy. Mężczyzna również jest przedstawiony w kontrapoście ze skretem twarzy w bok, spogląda przed siebie. Dłonie nieznacznie rozkłada na wysokości pasa. Jego dobrze zbudowane ciało uwydatniają szaty. W górnych partiach ubiór sprawia wrażenie wykonanego z cienkiego, przylegającego do skóry materiału. Na klatce piersiowej i niżej pasa załamuje się w formy nieregularnych strózek. Dosadniej jest rzeźbiona szata wierzchnia. Zarzucona przez jedno ramię, piętrzy się w formę zwoju z przodu na wysokości kolan. Fałdy są głębokie i wydatne. O talencie autora rzeźby dowodzi modelunek odkrytych partii ciała. Widzimy wymodelowane z wyczuciem fizjonomii dłonie, a na nich ścięgnięta i żyły. Z taką dokładnością jest wyrzeźbiona szyja, małżowiny uszne oraz kości policzkowe. Wyraziste rysy twarzy: wydatny nos i zuchwa, zapadnięte kości policzkowe pozwalają przypuszczać, że ukazano postać starotestamentalną. Doskonale opanowana fizjonomia, zróżnicowanie modelunku delikatnej szaty spodniej i wydatnej wierzchniej pozwalają uznać autora dzieła za twórcę utalentowanego. Podobnie jak rzeźba św. Teresy z Ávila, i ta musi pochodzić z ołtarza dużych rozmiarów, prawdopodobnie głównego. Nie wiadomo, czy pierwotnie figury stanowiły parę. Być może są to dwie z czterech zdobiących ołtarz.



Empora chóru, postać starotestamentalna (?), poł. XVIII w., fot. J. Sito, 2008 r.

okalają zaczesane do tyłu, podkręcane w pukle włosy opadające na kark oraz krótka broda podkreślająca linię zuchwy. Mężczyzna również jest przedstawiony w kontrapoście ze skretem twarzy w bok, spogląda przed siebie. Dłonie nieznacznie rozkłada na wysokości pasa. Jego dobrze zbudowane ciało uwydatniają szaty. W górnych partiach ubiór sprawia wrażenie wykonanego z cienkiego, przylegającego do skóry materiału. Na klatce piersiowej i niżej pasa załamuje się w formy nieregularnych strózek. Dosadniej jest rzeźbiona szata wierzchnia. Zarzucona przez jedno ramię, piętrzy się w formę zwoju z przodu na wysokości kolan. Fałdy są głębokie i wydatne. O talencie autora rzeźby dowodzi modelunek odkrytych partii ciała. Widzimy wymodelowane z wyczuciem fizjonomii dłonie, a na nich ścięgnięta i żyły. Z taką dokładnością jest wyrzeźbiona szyja, małżowiny uszne oraz kości policzkowe. Wyraziste rysy twarzy: wydatny nos i zuchwa, zapadnięte kości policzkowe pozwalają przypuszczać, że ukazano postać starotestamentalną. Doskonale opanowana fizjonomia, zróżnicowanie modelunku delikatnej szaty spodniej i wydatnej wierzchniej pozwalają uznać autora dzieła za twórcę utalentowanego. Podobnie jak rzeźba św. Teresy z Ávila, i ta musi pochodzić z ołtarza dużych rozmiarów, prawdopodobnie głównego. Nie wiadomo, czy pierwotnie figury stanowiły parę. Być może są to dwie z czterech zdobiących ołtarz.

Autor dzieł pozostaje anonimowy, nie występują też na terenie diecezji zamojsko-lubaczowskiej oraz kościołach wschodniej i południowej części archidiecezji lubelskiej dzieła porównywalne, o takich rozmiarach i rozmachu wykonania. W poszukiwaniach pierwotnego miejsca ich usytuowania należy rozważyć parafie z terenu diecezji, do której Tarnogóra należała na przestrzeni stuleci. Przed 1809 rokiem była to diecezja chełmska,

a następnie lubelska. Podpowiedzią mogą być tematy przedstawień. Skoro ukazano św. Teresę z Ávila, być może figura trafiła do Tarnogóry z klasztoru karmelitanek.

Rzeźba zakonnika trynitarского ze zwieńczenia ambony

Analogiczne przypuszczenie można wy stosować na temat figury zakonnika trynitarского ze zwieńczenia ambony. Wiadomo, że zakonnicy ci mieli swoje siedziby w Tomaszowie Lubelskim i Lublinie. Być może z jednego z tych miejsc przeniesiono omawianą figurę.

Jest to niewielkich rozmiarów rzeźba ołtarzowa powstała w ostatniej ćwierci XVIII wieku. Jej autorem był twórca wzorujący się na dziełach stylu rokoko. Przedstawił postać proporcjonalnie, nadając szatom charakterystyczną dla form rokokowych bryłowatość. Brakuje im jednak ekspresji widocznej w omawianych rzeźbach autorstwa Karola Burzyńskiego. Figurę można określić jako statyczną. Sumarycznie są potraktowane dłonie oraz twarz.



Zwiewczenie ambony, zakonnik trynitarский, 2. poł. XVIII w., fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.

Rzeźba św. Katarzyny Sieneńskiej

W ołtarzu stała też pierwotnie figura Katarzyny Sieneńskiej (obecnie w salach magazynowych). Postać jest usytuowana na prostej bazie, ukazana w lekkim kontrapoście, *en trois quarts* względem oglądającego. Pochyla nieco górną część ciała i wyciąga ręce (obecnie brak jednej dłoni) w geście adoracji. Te spostrzeżenia potwierdzają jej pierwotne usytuowanie w ołtarzu jako



Św. Katarzyna Sieneńska, kon. XVIII w., fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.

figury bocznej, flankującej wraz z inną (nieznaną obecnie) rzeźbą środkowe przedstawienie.

Widzimy postać w szatach zakonnych, odbieraną jako o nieco przysadzistych proporcjach, być może ze względu na obfite i mało zróżnicowane formowanie fałd ubioru. Spodnia szata jest suto namarszczona i zebrana w pasie. Niżej układa się rytmicznie w pionowe fałdy z lekkim wywinięciem do zewnątrz przy zakrytych stopach. W rząd poziomych fałd uformowano kołnierz pod szyją, a okrywający głowę i ramiona kaptur przywodzi na myśl płaskie tafle. Głowę zakonnicy wieńczy korona. Twarz jest okrągła. Charakteryzują ją pucułowane policzki, małe oczy i usta.

Postrzeganie figury jako mniej interesującej formalnie od wyżej opisanych potęguje przemalowanie jej farbami olejnymi. Datować ją można na powstałą na początku XIX wieku w lokalnym warsztacie.

Obudowa organów

Organy kościoła w Tarnogórze są XX-wieczne, z elementami XVII- i XVIII-wiecznymi. Najnowszą jest architektoniczna konstrukcja składająca się z pięciu członów, z których trzy - dwa zewnętrz-



Chór, organy, elementy XVII-, XVIII-wieczne oraz współczesne, fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.

ne i środkowy są największe i wysunięte do przodu. Wszystkie są zwieńczone wydatnym uskokowym gzymsem. Do części bocznych są przymocowane uszaki. W dolnej części, pod środkowym wy-

suniętym członem znajduje się głowa anioła. Jest to wczesnobarokowe XVII-wieczne dzieło snycerki wtórnie usytuowane w tym miejscu. Zarówno wazy stojące w zakończeniu członów wyższych - dwie nawiązujące kształtem do rokokowych, jak i te usytuowane na częściach niższych, klasycyzujące w formie, są współczesne.



*Chór organy, aniołek grający, XVIII w.,
fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.*

Usytuowane w zwieńczeniu obudowy prospektu organowego putto stoi w kontrapoście. Jedną rękę rozkłada przed sobą, w drugiej trzyma trąbkę, na której gra. Głowę przechyla nieco w bok. Twarzy nadano regularne, typowe dla dziecka krągłe rysy. Policzki są pełne, nos wydatny i zadarty, usta mięsiste, a oczodoły głębokie. Twarz okalają wymodelowane w sposób niewymuszony kosmyki włosów. Układ szat jest swobodny ale nieco powściągliwie wyrzeźbiono pulchne ciało. Modelunek szaty okrywającej biodra, rozpościerającej się z jednej strony w rulon wskazuje na znajomość dzieł rokokowych. Szatę charakteryzują zagniecenia o ostrym konturze. Efektownie jest ujęty wyodrębniający się jej kraniec. Te cechy formalne pozwalają datować obiekt na ostatnią ćwierć XVIII wieku.

Chrzcielnica

Rokokowa jest w swej formie i zdobieniach chrzcielnica. Stoi obecnie przy ścianie prezbiterium, na tle czarnej, zakończonej półokrągłą ramy ze snycerskim wyobrażeniem gołębic symbolizującej Ducha Świętego. Chrzcielnica ma kształt kie-



*Chrzcielnica, elementy XVIII-wieczne i współczesne,
fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.*

lica o kwadratowej uskokowej bazie, gruby trzon z wydatnym pierścieniem i nieco gruszkowatą w kształcie czarę. Można przypuszczać, że współczesna jest baza ozdobiona rytmem woli oczu, a XVIII-wieczne - potraktowane z większym wyczuciem formy wici roślinne okalające czarę i pokrywę. Z pewnością rokokowy jest ornament *rocaille* w zakończeniu pokrywy, na którym umocowano krzyż na kuli. Zarówno gołębicą, jak i znajdujące się wokół niej łezki symbolizujące promienie są realizacjami późniejszymi być może XX-wiecznymi.

Rzeźby aniołów w ołtarzu głównym

Dwa ukazane w pozach siedzących na wprost anioły z górnej kondygnacji ołtarza głównego pochodzą z wcześniejszego, XVIII-wiecznego retabulum. Ich ułożenie rąk - bokiem, jednej na wysokości pasa, a drugiej wyżej głowy sugerują, że stanowią parę i pierwotnie znajdowały się bliżej siebie. Podtrzymywały prawdopodobnie ramę z wyobrażeniem malarskim, element zdobienia lub napis. Są to prace XVIII-wieczne, na co wskazuje typowe dla tego okresu modelowanie szat w ostro załamujące się fałdy.

Bardziej szablonowo są modelowane ich twarze i odkryte partie ciała. Wprawdzie autor wyrzeźbił nogi i ręce ze znajomością fizjonomii, ale



Ołtarz główny, 1937 r.,
fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.



Ołtarz główny, figury aniołów, 2. poł. XVIII w.,
fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.

są one zbyt toporne względem sylwetek. Szyje są krótkie i szerokie. Ścięte po bokach twarze charakteryzują zadarte brody, wąskie nosy i szerokie, wysokie czoła zaakcentowane przez zaczesane do tyłu włosy. Patetyczności ujęciom dodają rozpostarte skrzydła.

Krucyfiks w przedsionku

Znajdujący się w przedsionku krucyfiks to rzeźba z przełomu XVIII i XIX wieku. Obecnie jest przemalowana farbami olejnymi, co zaciera jej pierwotny dukt dłuta. Widzimy ukazane proporcjonalnie, z wyczuciem i znajomością fizjonomii ciało Ukrzyżowanego. Jezus został przedstawiony z głową zwieszoną w dół, nieznacznie w bok i stopami przybitymi jednym gwoździem. O ile dłonie i ręce oraz nogi są wyrzeźbione pobieżnie, więcej



Chrystus Ukrzyżowany, pocz. XIX w.,
fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.

starania twórca włożył w wyrzeźbienie stóp, korpusu i bioder. Widzimy zebra i mostek wraz z ich nieregularnościami, a stopy mają wyodrębnione palce wraz z pieczętowlowicie wyrzeźbionymi paliczkami. Ten sposób ujęcia jest echem dzieł rokokowych. Natomiast spokojna w wyrazie twarz wyrażająca bardziej zamyślenie, niż cierpienie, obłe pukle włosów zaczesane do tyłu oraz wyważony modelunek perizonium są zapowiedzią kolejnej epoki - klasycyzującej w formie.

Mniej szczęścia miały figury dwóch aniołów znajdujące się obecnie w kapliczce św. Michała na terenie Tarnogóry. Są to figury ołtarzowe flankujące środkowe przedstawienie, być może



Kapliczka św. Michała Archaniola, XIX w.,
fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.



Kapliczka św. Michała Archanioła, anioł adorujący, 2. poł. XVIII w.,
fot. A. Szykuła-Żygawska, 2009 r.

tabernakulum. Postaci są ukazane w ukłęk, z lekkim pochyleniem do przodu, z dłońmi złożonymi na klatce piersiowej. Ich modelowane w ostre fałdy szaty sugerują, że zostały wykonane w 2. połowie XVIII stulecia. Autor nie był twórcą utalentowanym, o czym świadczy szablonowe ujęcie odsłoniętych partii ciała: korpusu, rąk, częściowo nóg oraz twarzy.

Figury są obecnie w złym stanie. Przemalowane szarą farbą olejną z widocznymi śladami drewnojadów. Wynikiem złego wpływu warunków atmosferycznych są spękania oraz ubytki. Figurom brak częściowo rąk, a krawędzie szat są spróchniałe.

Zaprezentowane dzieje dzieł snycerki z kościoła w Tarnogórze są zawile i z powodu braku zapisów w inwentarzach, częściowo tylko możliwe do odtworzenia. W wielu innych kościołach archidiecezji lubelskiej i diecezji zamojsko-lu-

baczowskiej znajdują się obiekty przemieszczone z innych miejsc. Warty zaanonsowania jest neorokokowy ołtarz z kaplicy kościoła św. Franciszka w Krasnymstawie ze stojącymi tu pięknymi rokokowymi rzezbami dwóch aniołów. Nie wiadomo gdzie



Krasnostaw, kościół św. Franciszka Ksawerego, anioł poł. XVIII w.,
fot. J. Sito, 2009 r.

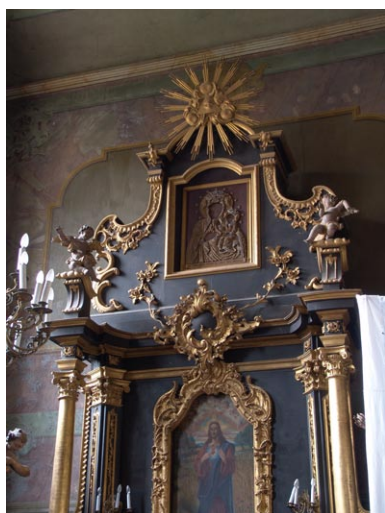
znajdował się pierwotnie, ani na czyje zlecenie zostały wykonane figury autorstwa anonimowego, dobrej klasy artystycznej twórcy znanego w Polsce południowo-wschodniej.

Typowe z powodu zawilej historii jest dla naszego terenu przemieszczanie dzieł snycerki, ale i obrazów. Jest to temat obszerny, warty i czekający jeszcze na opracowanie.

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

Bibliografia:

1. Betlej A., Krasny P., *Późnobarokowe wyposażenie kościoła oo. Bernardynów w Radecznicy*, [w:] *Sztuka dawnej ziemi chełmskiej i województwa białskiego*, red. P. Krasny, Kraków 1999, ss. 83-110.
2. *Katalog zabytków sztuki w Polsce*, T. VIII, *Województwo lubelskie*, red. R. Brykowski, E. Smulikowska, Z. Winiarz, z. 8, *Powiat krasnostawski*, opr. T. Suleczyńska, F. Uniechowska, E. Rowińska, Warszawa 1964.
3. Ostrowski J. K., *Z problematyki warsztatowej i artystycznej rzeźby lwowskiej XVIII w.*, [w:] *Sztuka Kresów Wschodnich. Materiały sesji naukowej*, Kraków marzec 1994, T. I, red. J. K. Ostrowski, Kraków 1994, ss. 79-105.
4. Szykuła-Żygawska A., *Od Karola Burzyńskiego do Michała Wurtzera młodszego. Warsztat rzeźbiarski 2. poł. XVIII wieku w Ordynacji Zamojskiej*, Lublin 2012.
5. Zahajkiewicz M. T. ks., *Diecezja lubelska. Informator historyczny i administracyjny*, Lublin 1985.



Krasnostaw, kościół św. Franciszka Ksawerego, ołtarz XIX w.,
fot. J. Sito, 2009 r.

Ryszard Kornacki



Obraz pierwszy

Jarzębina już nie czerwona
jak w dawnej piosence
i zda się, że
obrodziła plectwem,
które zamawia barwy
na deszcz z kawałkiem słońca
Rzucona bezmyślnie
w wir wiatru
i zmierzwioną
czuprynę artysty
chce zaznać
niebiańskiego spokoju
złotej kreski
sumującej
wyraz artystyczny.

Wątpącym

Przed południem młode wiersze są
czarne jak gawrony na śniegu
Z tego co wiem redakcje nie lubią czarnych wierszy
i poetów w czerni. Okazuje się, że kolor ten
nie wprowadza naczelnych w zachwyt. Jedynie czarna
kawa (lekko zabieleną) ma u nich szansę.
Mówią: najlepsze wiersze są po drugiej stronie
księżycy a tam jeszcze nie było poetów. Tam docierają
jedynie wzdychania pensjonarek i krytyków
którzy chcieli być poetami. Słowa syją się tu
jak z rękawa a metafory podobne do gwiazd.
Pytam więc czy kolor wiersza ma znaczenie by był
czytany? Na białym tle brzoźowego pnia
odbywa się egzekucja współczesnych kanonów.
Zostaje jeszcze słowo niewypowiedziane
oparte o myśl, która dopiero się narodzi.

Oswoić samotność

Najlepiej oswoić się z samotnością,
zaprzężyć mimo różnicy wieku
płci i upodobań.
We dwie to zawsze różniej
podróżować na koniec świata.
Tam tęsknoty i winy nie są

zbyt wyraziste i silne -
fizycznie i emocjonalnie.
Za to dojrzewają w nas
ziemskie dzienne sprawy.
Niewiele dzieje się wbrew
naszej nieprzymuszonej woli
a wszystko nazwane
banalnym jutrem
jest do zalegalizowania.
w papirusach i księgach.
Nie czekajcie więc na
romantyczny dramat.

Kolejny dzień czyli podróż w miejscu

No i kolejny dzień pod nogami...
Warto się w nim zaplątać
To cena za niezależność współczesności:
Najpierw najczarniejsza na świecie kawa
Potem rzut oka na zegar,
który dziś nie zasnął i delirycznie
tłoczy godziny pod sufitem.
Teraz krok za krokiem
Do tu, do tam, do obok
No i do ciebie
jak w filmie science fiction
nierealne w rzeczywistości.
Podjeżdża - spocony smok na kołach
Stacja siedzi na ławce i drzemie
niczym spóźniony pasażer.
Gołębie gruchają z dziewczynami
Słońce dogrzewa do bólu lampą kwarcową
a my jak niemądre dzieci
w drzewach szukamy cienia.
Dość tego - mówisz
Skaczemy w kolejny dzień



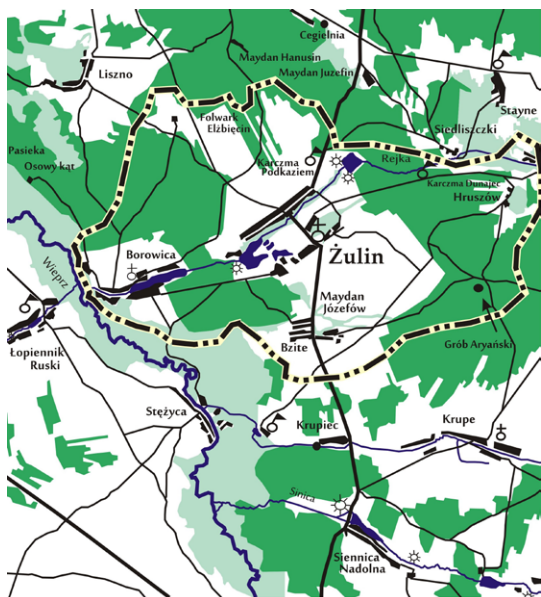
„Zaljubjeni”, Emilia i Stojče Tocinovski
ze stolicy Macedonii Skopje.

Sławomir Braniewski

Unicka parafia pw. Najświętszej Marii Panny i św. Onufrego w Żulinie



Żulin jest wsią położoną nad rzeką Rejką, w odległości ok. 10 km na północ od Krasnegostawu. Brak odpowiednich materiałów źródłowych, spowodowany licznymi zawirowaniami dziejowymi przyczynił się do tego, że historia Żulina jest jak dotąd mało znana. Wyjątek stanowi tutaj opracowanie Stanisława Kalinowskiego „Dwory i dworki w dobrach Stajne i Żulin” oraz informacje na witrynie internetowej parafii w Żulinie¹.



Najstarsza wzmianka o Żulinie pochodzi z 1409 r., kiedy właścicielem wsi był Pieczo². Kolejna pochodzi z 1421 r., wtedy bowiem biskup chełmski Jan Biskupiec erygował i uposażył parafię w Pawłowie, do której między innymi przyłączył wieś Żulin³. Miejscowość wymieniana jest również

w 1564 r., kiedy to była własnością rodziny Żulińskich. Na początku XVIII w. Żulin był własnością rodziny Potockich z Potoku, co potwierdza informacja z 1720 r., kiedy to przedstawiciel rodu Feliks Potocki, pisarz polny, koronny, kasztelan słoński i starosta krasnostawski wydał dokument typu *prezent* dla miejscowej parafii. W II połowie XVIII w. właścicielem omawianych dóbr był Kazimierz hrabia Krasieński, ostatni oboźny koronny i starosta krasnostawski. Po nim majątkiem zarządzali: Józef, Maciej, Wawrzyniec, Onufry Krasieński, senator i kasztelan Królestwa Polskiego, literat i pamiętnikarz, major wojsk Księstwa Warszawskiego, a po nim Maria Łubieńska z Krasieńskich i jej syn Franciszek Łubieński i córka Emilia Sobañska. W latach 1883-1913 właścicielami Żulina byli Ludwik Krasieński i jego córka Ludwika Czartoryska. Od Krasieńskich Żulin odkupił Nikodem Budny, właściciel Jastkowa⁴.

W historię Żulina wpisują się również dzieje parafii pw. Najświętszej Marii Panny i św. Onufrego. Parafia unicka funkcjonowała tu w latach 1596-1875. Do najważniejszych źródeł, które dostarczają cennych informacji na ten temat należą protokoły wizytacji kanonicznych przechowywane w Archiwum Państwowym w Lublinie w zespole Chełmskiego Konsystorza Greckokatolickiego⁵. Ważnym źródłem informacji są zbiory kartograficzne, m.in. mapy z XVIII i XIX wieku, które rejestrują Żulin wraz z przyległymi miejscowościami. Austriacka mapa *Carte von West-Gallizien 1801-1804* pokazuje układ urbanistyczny Żulina z wyraźnym zaznaczeniem cerkwi. Mapa *Topograficzna Karta Królestwa Polskiego*, oprócz samego Żulina przedstawia również wsie: Borowica, Bzite, Maydan, Józefów i Hruszów.

Podstawę niniejszego opracowania stanowią akta wizytacji kanonicznych i diekańskich dekanatu krasnostawskiego i siedliskiego. Najwcześniejsze z nich pochodzą z I poł. XVIII wieku. Pierwszą odnotowaną jest wizytacja przeprowadzona 12 grudnia 1720 r. przez biskupa Józefa Lewickiego. Kolejne wizytacje przeprowadzono

¹ <http://parafiazulini.pl/>

² *Słownik Historyczno-Geograficzny ziem polskich w średniowieczu*, s. 86.

³ A. Wawryniuk, *Leksykon miejscowości powiatu chełmskiego*, Chełm 2002, s. 309.

⁴ Z. Kalinowski, *Dwory i dworki w dobrach Stajne i Żulin*, s. 9. [<http://kalinowski.weebly.com>]

⁵ Pod sygnaturami: 10, 101, 110, 119, 125, 131, 135, 137, 145, 146, 184, 636, 840 i 879.

w latach: 1770, 1774, 1779, 1793, 1805 i 1806. Pierwsze protokoły wizytacyjne odznaczały się znaczną lapidarnością i zawierały jedynie podstawowe informacje na temat parafii i jej uposażenia. Duże znaczenie w zakresie określenia stanu materialnego parafii w Żulinie miała wizytacja przeprowadzona 20 lutego 1793 r. przez ks. Teodora Potuchowicza, plebana rateńskiego, która dotyczyła „Wizytowania Cerkwi, Filiów, Kaplic, Cmentarzy i innych miejsc poświęconych w dekanacie krasnostawskim tytułowanych”. Sześciostronicowy dokument zawierał dokładny spis wyposażenia cerkwi - naczyń i szat liturgicznych, ksiąg i gruntów cerkiewnych.

W zbiorach Archiwum Państwowego w Lublinie znajdują się ponadto dwa dokumenty typu *prezent* na beneficja parafialne. Pierwszy z nich pochodzi z 1759 r. i wystawiony został przez F. Potockiego. W tym czasie na stolicy biskupiej w Chełmie urząd pełnił ks. Maksymilian Ryłto. Prezenta cerkwi w Żulinie jest typowym formularzem dokumentu z XVIII wieku. Warto więc przyjrzeć się temu dokumentowi. Składał się z trzech części - intytulacji, inskrypcji i promulgacji. W intytulacji jest informacja o samym wystawcy, którym jest właściciel dóbr i wsi „JW. Pan Felix z Potoka Potocki”. W inskrypcji wymieniono hierarchę „JW. X Maxymiliana Ryłto Biskupa *Ritus Greci Uniti* Chełmskiego y Belzkiego lub w Jego Duchowieństwie namiestnika”. W promulgacji, czyli ogłoszeniu woli wystawcy „przy zaleceniu życzliwych chęci moich”⁶, wystawca informuje biskupa o wakującej parafii w Żulinie, czego przyczyną była śmierć ks. Grzegorza Gilińskiego, „teyże cerkwi Parocha y Rządcy”. Kolator żulińskiej parafii przedstawia biskupowi kandydata na beneficjum, a jest nim „zalecany z Nauk, Życia pobożnego przykładów Chrześcijańskich WX Antoni Chodonowski aktu Prezbyter”. Potem określa jej uposażenie (plebania, zabudowania parafialne, pola, łąki i ogrody). Dokument dla „Lepszej Wiary” został własnoręcznie podpisany i opieczętowany „w Woysławicach dnia 15 października R.P. 1759” przez F. Potockiego.

Drugim dokumentem uposażającym parafię w Żulinie była prezenta wystawiona w 1787 r. przez K. Krasieńskiego. Wystawca, dając ją klerykowi Andrzejowi Chodonowskiemu, prosi biskupa Teodozjusza Rostowskiego „abyś instytuować raczył, staranie pilne o duszach, administracją sakramentów i obrządków duchowych onemu poruczywszy, któremu i ja mocą prawa mego, rząd i dyspozycję ogrodów, łąk, gruntów i wszelkich przychodów parochialnych w dożywotnią posesyją i używanie oddając, przy wszelkich wolnościach osobom duchownym przynależących zachowuję oraz cerkiew pod tytułem Protekcji Najświętszej Panny w Żulinie z gruntami do niej z dawna należącymi, prawem *fundationis* zjednaczam, przyłączam i temuż parochowi konferuję”⁷. W istocie powyższe przykłady są dokumentami uposażeniami cerkwi w Żulinie.

Parafia unicka w Żulinie prawdopodobnie powstała na bazie istniejącej parafii prawosławnej. W pierwszym okresie funkcjonowania tj. po 1596 r. należała do protopopii (dekanatu) chełmskiej unickiej diecezji chełmskiej. Potwierdza to wzmianka w spisie pochodzącym z lat 1619-1620⁸. W latach 1715-1725 parafia należała do dekanatu krasnostawskiego⁹, a po jego rozwiązaniu ponownie wróciła do dekanatu chełmskiego. W latach 1757-1795 parafia była w strukturach dekanatu krasnostawskiego, a w latach 1795-1802 była częścią dekanatu siedliskiego. Po 1802 roku, kiedy to biskup Porfiriusz Skarbek Ważyński, dostosowując sieć parafii do potrzeb eparchii chełmskiej, przeprowadził kolejne zmiany w jej strukturach, parafia w Żulinie wróciła do dekanatu krasnostawskiego. Taki układ przetrwał do 1875 r., kiedy to carska administracja zlikwidowała unicką diecezję w Chełmie i przyłączyła ją do Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego.

Parafia unicka w Żulinie położona była w zachodniej części chełmskiej diecezji. Na przełomie XVIII i XIX wieku od zachodu graniczyła z parafią w Łopienniku, od północy z parafią Kanie

⁷ APL, ChKGK, sygn. 10, ss. 105-106.

⁸ A. Gil, *Duchowieństwo unickiej diecezji chełmskiej w XVIII wieku*, IEŚW, Lublin 2005, s. 299.

⁹ A. Gil, *Chełmska diecezja unicka 1596-1810. Dzieje i organizacja*, IEŚW, Lublin 2005, s. 162.

⁶ Zwykle w tego typu dokumentach promulgacja przyjmuje standardową postać: „Wszem i wobec, i każdemu z osobna, komu by o tym wiedzieć należało”.

i Krasne, od wschodu z parafią Rejowiec i Krupie, a od południa z parafią Stężycą. Do 1795 r. wieś Żulin wraz z obszarem parafii unickiej należała do województwa ruskiego I Rzeczypospolitej. Po III rozbiorze tereny te weszły w skład Galicji Zachodniej Cesarstwa Austriackiego i administracyjnie obszar parafii wchodził w skład cyrkułu chełmskiego (1795-1803). W okresie wojen napoleońskich, w latach 1809-1815 Żulin należał do Księstwa Warszawskiego, a po Kongresie Wiedeńskim w 1815 r. znalazł się pod zaborem rosyjskim (powiat krasnostawski, obwód krasnostawski, województwo lubelskie).

W dokumentach archiwum konsystorskiego nie przetrwało zbyt wiele informacji na temat wyglądu pierwszej żulińskiej świątyni. Nie zachował się też dokument erekcyjny parafii. Pierwszy opis cerkwi sporządził w 1720 r. bp J. Lewicki. Była to świątynia drewniana „w ścianach, dachach i parkanach dobrze opatrzona”. Przy cerkwi znajdowała się plebania oraz dwie komórki. Budynek plebanii posiadał dwie izby - białą i tzw. piekarnię, pomieszczenie z piecem do wypieku chleba. Z opisu sporządzonego w 1760 r. wynika, że cerkiew była małą, starą budowlą, posiadała okna „w otwór oprawne” i dwoje drzwi. Przy niej znajdował się oparkaniony cmentarz z dzwonnica z czterema dzwonami. Prawdopodobnie w II poł. XVIII w. powstała nowa świątynia. Świadczy o tym zapis pochodzący z 1793 r., który informuje, że cerkiew w Żulinie poświęcono „za komensem M. Ryłły”, biskupa który administrował diecezją w latach 1756-1784. Wpis pochodzący z 1774 r. mówi o świątyni w ścianach i dachach porządnej, posiadającej osiem okratowanych okien i troje „na zawiasach żelaznych i biegunach drewnianych” drzwi. Dokładny jej opis sporządził w 1806 r. ks. A. Gruszecki. Jak wynika z jego relacji, cerkiew miała drewnianą, „pobitą gontami” kopułę. Posiadała osiem okien i czworo drzwi, z których jedno prowadziły do zachrystii. Wewnątrz znajdowały się cztery ołtarze. Ołtarz główny, wykonany „snycerską robotą” posiadał mense ołtarzową z płytą leżącą na podstawie do sprawowania liturgii mszy św. Nad mensą znajdowało się, również snycerskiej roboty cyborium, pomalowane chińskim pokostem, a w części pozłacane. W ołtarzu umieszczono obraz „Protekcji Matki Boskiej”. Postać głów-

nej patronki świątyni miała na sobie posrebrzaną sukienkę, a dodatkowym elementem dekoracji obrazu były trzy korony. W ołtarzu bocznym (po prawej stronie od wejścia) umieszczono obraz św. Onufrego, pustelnika. Patron żulińskiej świątyni w szczególnie sposób czczony był w kościele prawosławnym, jak i w unickim. Jest patronem mnichów, dorożkarzy, pielgrzymów, tkaczy. W ikonografii św. Onufrego przedstawiano z długimi włosami i brodą. Jego atrybutami są: anioł z hostią, czaszka, grota przy źródle, dwa lwy kopiące mu dół, korona, kruk z chlebem w dziobie, krzyż w dłoni, duży, stojący krzyż, łańcuch wokół go opasujący¹⁰. W unickiej diecezji chełmskiej był szczególnie czczony w Mogielnicy, Siedliszczu, Wojsławicach i w Warszawie, gdzie przy cerkwi „Parafialney w Mieście Warszawie” było bractwo pw. tego świętego¹¹.

W ołtarzu bocznym po lewej stronie znajdował się obraz Najświętszej Marii Panny Różańcowej, której postać szczególnie związana z modlitwą czy nabożeństwem różańcowym, a nie z określonym wizerunkiem, figurą, sanktuarium czy kościołem. W protokole wymieniany jest również czwarty ołtarz, w którym umieszczono wizerunek św. Mikołaja Mirejskiego, biskupa z Miry, który żył na przełomie III i IV wieku. Zapewne cuda, które za życia czynił, sprawiły, że był szczególnie czczony w unickiej eparchii chełmskiej, skoro biskup Porfiriusz Skarbek Ważyński w 1793 r. wydał zalecenie, by w każdej parafii założono bractwo religijne jego imienia. Obrazy żulińskiej świątyni posiadały zasłonki „półtałasową, zieloną, dwoistą na Matce Boskiej, na św. Mikołaju z chustki jedwabnej”.

Z protokołu wizytacji przeprowadzonej w 1806 r. wynika, że cerkiew była dosyć zasobna w księgi, naczynia i szaty liturgiczne. Wizytator wymienia następujące księgi drukowane - ewangelie lwowską, dwa mszały (uniejski i poczański), oktoich, tryod cwićną, psalterz oraz trebnik. W księgozbiórce parafialnym były również inne księgi religijne, m.in. „Teologia moralna albo do Obyczajów zciągających się” ks. Narolskiego, Nauka dla nowych spowiedników, Mowy parochialne

¹⁰ <http://ewangelia.dlanas.wordpress.com/>

¹¹ W XVIII w. parafia unicka w Warszawie należała do unickiej eparchii chełmskiej.

na niedziele i święta całoroczne oraz katechizm dla bractw nowo zaprowadzonych „w roku przeszłym rozdany”, a „Księgi chrztu, ślubów i pogrzebowe dobrze opravione, jednak nie we wszystkim podług aryngi”.

Spośród naczyń była puszka *pro Venerabili* z krzyżem, tombakowa, pozłacana, również pozłacana, inkrustowana 24 kamieniami (niebieskimi i czerwonymi) monstrancja na podstawie z czterema aniołkami i koronką, dwa srebrne, pozłacane kielichy, srebrna łyżeczka, srebrna patena służąca w posłudze dla chorych, trzy krzyże cynowe, osiem dużych lichtarzy i dwa małe, cynowe, troiste miernice, mosiężny trybularz i dwie blaszane lampy. Na wyposażeniu znajdowały się również cztery chorągwie (kitajkowa, karmazynowa, z obrazem Matki Boskiej Począjowskiej, druga różowa z krzyżem niebieskim, trzecia mieniona niebieska z krzyżem, czwarta zielona kitajczana z krzyżem żółtym) oraz *umbraculum* (łac. zasłona) „z materii partyrowej w kwiaty złote z galonkiem złotym”.

Do uzewnętrznienia charakteru sprawowanych obrzędów używano szat liturgicznych w różnych kolorach. Stanowiło je sześć *apparatów* (dwa gredyturowe, zrobione z ciężkiego francuskiego jedwabiu, dwa kitajkowe zielone z rekwizytami, kałamajkowy, żałobny z rekwizytami oraz adamaszkowy bez rekwizytów, bogato zdobiony w różne kwiaty z rekwizytami). Oprócz tego było pięć alb (trzy z płótna szwabskiego, dwie lniane), trzy humerały, cztery korporały, dwa paski, dwie antemisy, dwie „szwabskie” komże (jedna z koronkami, druga bez) i osiemnaście sztuk obrusów oraz pozostałej bielizny.

Szczegółowych danych dotyczących liczby parafian dostarczają protokoły z wizytacji parafialnych oraz spisy wiernych. Z wizytacji bpa Lewickiego z 1720 r. wynika, że do parafii, oprócz Żulina należały wsie Hruszów i Bzite. W 1774 r. parafia liczyła 360 wiernych. W 1778 r. do parafii należała też wieś Borowica. Według spisu wiernych, jaki przeprowadzono w 1796 r., w parafii w Żulinie było 463 wiernych, w tym 253 mężczyzn i 210 kobiet. Parafia była drugą pod względem liczby wiernych w dekanacie siedliskim, po parafii w Tarnowie - 620 wiernych (329 mężczyzn i 291 kobiet)¹².

Na początku XIX w. do parafii należała wieś Józefów.

W Kościele unickim obowiązywał zakaz samowolnej zmiany wiary z grekokatolickiego na łaćciński. Jednak dość często zdarzały się przypadki łamania tego zakazu. Przypadki „zmiany obrządku” odnotowano w protokole w 1793 r. Zmienili wyznanie: z Żulina - „Teodora Sztuki żona, Katarzyna drugiego Sztuki żona, Anastazja Łuszevska, Adam Zajac, Helena Kurpikowa, od wielu lat nie wiadomo, z przyczyny tej że zaślubiły mężom obrządku łaćcińskiego, z Borowicy - Jacko Marczuk i jego trzech synowie, Krystyna Skrajnowska, z Hruszowa Stefan Hrysiuk i Bazyli Semenjuk, z powodu odbywania służby we dworze, od wielu lat nie wiadomo, z Bzitego - Apolonia Drozdówna, Ewa Hawrylicha, Anna Marcenicha, Jan Traluk i Bazyli Taluk, Apolonia, Ewa i Anna dla tej przyczyny co służbę odbywali po Polakach, Jan i Bazyli co poszłubili żonom obrządku łaćcińskiego od wielu lat nie wiadomo”.

Informacje o duchownych, które znajdują się w protokołach powizytacyjnych niekiedy są bardzo skąpe i dotyczą głównie wieku księży, daty ich święceń, a ponieważ księża unicy mogli się żenić, notowano liczbę ich dzieci, a niekiedy ich wykształcenie. Pierwszym odnotowanym duchownym w Żulinie był ks. G. Giliński. Jego następcą został ks. Antoni Chodonowski (ur. w 1724 r.). W dokumentach zachowała się wzmianka, z której wynika, że posiadał on pewne braki w przygotowaniu do posługi kapłańskiej. Wizytujący parafię zalecił mu poprawę poziomu wiedzy oraz umiejętności potrzebnych w pełnieniu posługi kapłańskiej, w efekcie czego musiał dokształcić się w seminarium w Chelmie oraz złożyć egzamin. W przypadku niezadowolającego wyniku miał kontynuować naukę przez kolejny miesiąc¹³. W 1788 r. parafią w Żulinie administrował ks. Bazyli Laurysiewicz, paroch z Kaniego, późniejszy dziekan dekanatu siedliskiego¹⁴.

Kolejnym proboszczem został ks. Andrzej Chodonowski (1765-1839). Pochodził z Galicji Wschodniej. W wieku 23 lat wstąpił do seminarium duchownego. 27 sierpnia 1790 r. przyjął święcenia kapłańskie z rąk biskupa włodzimierskiego

¹³ ChKGK, sygn. 110, ss. 298-299.

¹⁴ ChKGK, sygn. 131 s. 156.

¹² ChKGK, sygn. 8, ss. 15-16.

Szymona Stefana Młockiego. 1 sierpnia 1787 r. otrzymał prezentę na proboszcza w Żulinie od K. Krasińskiego. 4 maja 1792 r. został instalowany przez biskupa chełmskiego Porfiriusza Skarbka Ważyńskiego. Z zapisków wynika, że był żonaty i miał dwóch synów.

Ks. A. Chodonowski nie cieszył się dobrą opinią wśród parafian. Jego „kariera” jako duchownego od samego początku obfitowała w rozliczne uchybienia, a nawet naruszenia dyscypliny. W 1793 r. sądził się o pieniądze ze swoim parobkiem Jackiem Gumieniukiem. Przedmiotem sporu była kwota w wysokości 1 zł polskiego 1 grosza. Wizytujący w 1806 r. parafię ks. B. Gruszecki zarzucił mu niedopełnianie obowiązków kapłańskich i zalecił jak napisał „w mocy Posłuszeństwa Świętego aby lud Pastwie swej poruczony wydoskonalą w artykułach wiary Świętej tak w tym który każdy katolik pod Utratą Zbawienia wierzyć, iako też y tych które pod grzechem Śmiertelnym umieć powinien. Aby nie był ospałym w szafowaniu SS. Sakramentów, w odprawianiu w Niedziele y Święta Mszy Świętej Nieszporów y Jutrznii, aby spokojnie tak z Dworem, iako z Parochianami sprawował się wystrzegając się wszelkiej okazji, któraby stan Duchowny w podłość y nieprzyzwoitość podawała. Co wszystko Rządcy miejscowemu do Pamięci podawszy przy położeniu Pieczęci Podpisem Ręki własnej Stwierdzam. Dan w Żulinie Ru Dnia y Miejsiaca *ub Supra*”.

W 1824 r. hrabia Jaraczewski oskarżył ks. A. Chodonowskiego o utrzymywanie „przy sobie niewiasty podejrzaney, Konstancji Korniejówny”¹⁵. W tej sprawie sąd konsystorski wydał wyrok by ten „niewiastę od siebie oddalił”¹⁶. W 1827 r. ks. A. Chodonowski został przez sąd zawieszony w wykonywaniu swych obowiązków i musiał „wstrzymać się od zwyczajnych wykroczeń i nałogów”. Karą było odbycie obowiązkowych rekolekcji w klasztorze Bazylianów w Chełmie¹⁷. Wyrokiem sądu konsystorskiego (21 stycznia 1828 r.) paroch skazany został na odbycie „pod dozorem ks. Jana Pocięja Proffesora iako Oyca Duchownego Rekolekcji” w seminarium w Chełmie, by go „naprowadzić na

drogę powołania i przeblaganie Boga, a w razie oporu i nieuległości, przedstawić Wyższej Komisji Rządowej aby go iako krnąbrnego Władzy Duchownej y dla poprawy w Zamościu osadzić”¹⁸.

Dobrą opinią nie cieszył się też administrator Żulińskiej parafii ks. Michał Kurmanowicz, paroch w Syczynie. W 1858 r. doszło do konfliktu pomiędzy nim a ks. Malinkowskim, duchownym parafii rzymskokatolickiej w Pawłowie. Proboszcz z Pawłowa, zarzucił mu, że ten pochował ciało zmarłego Wincentego Mielechowicza, przed upływem 48 godzin od chwili jego śmierci, co nie było zgodne z przyjętymi zasadami¹⁹. Innym razem ks. Kurmanowicz „dopuścił się nadużycia” i pochował parafiankę obrządku łacińskiego Katarzynę Łuszkową²⁰. Z tych też powodów biskup chełmski udzielił ks. Kurmanowiczowi upomnienia „co do baczniejszego i względniejszego nadal pod tym względem postępowania”²¹.

W 1861 r. doszło do konfliktu pomiędzy ks. M. Kurmanowiczem a parafianami, którzy zarzucili mu „zdzierstwo, oddawanie się pijaństwu, niedopełnienie obowiązków Duchowych, nietrafność i nadużycia w postępowaniu jego z parafianami w Kościele, w domu i w szkołach” i poprosili o przyjazd w tej sprawie ks. Ignacego Sieniewicza, dziekana krasnostawskiego. Stosowne pismo zredagował i podpisał wójt Żulina Jan Zajac. W obliczu tak poważnych zarzutów konsystorz postanowił działać. Oddelegowany do zbadania sprawy dziekan krasnostawski wezwał świadków i spisał protokół, w którym znalazły się liczne opinie potwierdzające stawiane zarzuty. Zeznawali parafianie: Paraskiewa Świszczowa, Jan Adamczuk, Józef Banaszuk, Maciej Cybulski, Grzegorz Kałakucki, Bartłomiej Luszawski, Jan Steciunek, Andrzej Pawlus i należący do bractwa cerkiewnego Jan Lewczuk i Tedko Ziemczuk.

W relacji jednego ze świadków Jana Steciunka czytamy: „Dał memu chłopakowi ale Kuzy-

¹⁵ ChKGK, sygn. 33, s. 36.

¹⁶ ChKGK, sygn. 33, s. 37.

¹⁷ ChKGK, sygn. 33, s. 40.

¹⁸ ChKGK, sygn. 33, s. 41.

¹⁹ ChKGK, sygn. 879, ss. 14-15.

²⁰ W 1835 r. Komisja Rządową Spraw Wewnętrznych i Oświecenia Publicznego wydała rozporządzenie, aby „kapłani ograniczali się w wypełnieniu obowiązków cywilnych nad swoimi tylko podrzędnymi i nie mieszały się w zakres Księży Łacińskich”.

²¹ ChKGK, sygn. 879, s. 15.

nowi kołędę przed tygodniem, który mnie prosił, abym te kołędę odniósł Księdzu, bo żadnym sposobem nie chciał u Księdza służyć - a kiedy ja przyszedłem zwrócić Kołędę [...] uderzył mnie batogiem przez twarz, rozciął mi szramę, że krew poszła". O przypadku pobicia opowiedział również Józef Banaszuk: "...uderzył mnie w głowę kilka razy kiejem, że mnie krew oblała i z tem wyszedłem"²².

Relacja Jana Adamczuka dała barwny opis wydarzeń, do których doszło w cerkwi podczas poświęcenia chleba w czasie świąt wielkanocnych: „U nas jest zwyczajem, kiedy Ksiądz święci chleby w czasie Świąt Wielkanocnych oddawać po jajach - te odebrał jeden Bratczyk i jeden ze sług księżych - podobnież w tym roku odbierał Bratczyk, Jan Lewczuk i Księży parobek. Lecz Księdzu się to nie podobało, odmówił więc poświęcenia chleba dopóki po trzy jaja nie złożą. Kiedym ja przemówił, że ludzie tak długo czekają, Ksiądz uniósł się, zerwał z siebie Ornat i rzucił go na Bratczyka i wtedy dopiero czekającemu ludowi chleby poświęcił”²³. Inny opis wydarzeń podawał Jan Lewczuk: „W czasie Świąt Bożego Narodzenia kiedy po ukończeniu nabożeństwa Ksiądz Kurmanowicz dawał Krzyż do całowania ludziom, z kolei nadeszła Paraskiewa Świszczowa, tej nie wiem dlaczego Ksiądz odmówił ucałowania Krzyża, lecz ona postąpiła, ucałowała Krzyż, ucałowała Krzyż leżący. Ksiądz obrażony jej postępkami kazał jej wybić sto pokłonów - chcąc ją koniecznością zmusić, zaczęli się szarpać, wtenczas to wezwał mnie i Tedka Ziemczuka jako Bratczyków, abyśmy tę kobietę do pokłonów naglili - Tedko Demczuk nie mógł jej zmusić, a ja skryłem się za Ołtarz, lecz Ksiądz przyszedłszy rozkazał, aby ją skłonić do pokłonów, a kiedym ją wziął za rękę, ta mi odpowiedziała - dajcie mi pokój - ja odstąpiłem”.

Po wysłuchaniu wyjaśnień i spisaniu protokołu delegowany udał się do miejscowej plebanii, w celu przeprowadzenia rozmowy z miejscowym administratorem, lecz go nie zastał, „ten pomimo tego, że wiedział, wyjechał z Żulina”. Raport ks. I. Sieniewicza zakończył się konkluzją, którą zawarł w „Uwagach Delegowanego”: „Ksiądz Michał Kurmanowicz postępowaniem swoim w domu i Koś-

ciele nie tylko postradał powagę i szacunek u własnych parafian, którzy jednomyślnie oświadczają, że nie mieliśmy i nie chcemy takiego Księdza - tembardziej że plenipotent i cała władza miejscowa najgorszą o nim szerzą opinię [...] delegowany przeto ma obowiązek sumiennie władzy Duchowej, aby J. X. Kurmanowicza z parafii Żulin usunąć i oddać go pod ścisły dozór Ojca lub innego Proboszcza potrzebującego Kooperatora - nie mogąc zamilczeć, że i nałogowi zarzucanemu ulega, gdyż w dzień przybycia na śledztwo, zastał go w bardzo poniżającym stanie i to w obecności Wójta Gminy miejscowego, czego pokryć już niepodobna”²⁴.

Przykładem dobrego pasterza był ks. Aleksander Koncewicz, który w latach 1862-1866 administrował parafią. Urodził się 21 października 1836 r. w Kobylanach Nadbużnych (powiat bialski, gubernia lubelska). Pochodził z rodziny kapłańskiej. Jego ojciec Kalikst Koncewicz był proboszczem parafii unickiej w Kobylanach. Matka Tekla pochodziła z rodziny Chałampowiczów. Uczęszczał do szkoły początkowej w Białej, gdzie otrzymał świadectwo „kwalifikujące go Zakładów Naukowych Wyższych”²⁵. W latach 1853-1858 kształcił się w Seminarium Duchownym w Chełmie, które ukończył 14 lipca 1858 r. Święcenia kapłańskie przyjął 23 października 1859 r. i objął funkcję kooperatora parafii w Łopienniku. Od 1865 r. pełnił funkcję administratora parafii w Żulinie i sumiennie wykonywał swoje obowiązki, na co wskazuje opinia ks. Ignacego Sieniewicza, dziekana krasnostawskiego. Z dokumentu wystawionego przez dziekana, że ks. A. Koncewicz „zachowywał się bardzo przykładnie, jak na wzorowego kapłana przystało, a obowiązki względem Kościoła, nabożeństwa i parafian gorliwie dopełniał”²⁶. Potwierdza to również opinia M. Zajęca, wójta gminy Liszno, który stwierdza, że ks. Koncewicz, dbając o za budowania parafialne wykonał „nowe poszycie dachów”. Jego postawa nacechowana jest „miłością powszechną i przywiązaniem” do swoich parafian, „słowem nie tylko jest wzorowym pasterzem w pełnieniu z wyżej wymienionych

²⁴ ChKGK, sygn. 879, s. 34.

²⁵ ChKGK, sygn. 840, s. 14.

²⁶ ChKGK, sygn. 840, s. 21.

²² ChKGK, sygn. 879, ss. 29-30.

²³ ChKGK, sygn. 879, s. 31.

czynów duchownych, ale w ogóle oddany jest Ksiądz Koncewicz swemu powołaniu”²⁷.

Pomocnikiem proboszcza w parafii był diak - śpiewak cerkiewny, psalmista, który często pełnił funkcję kościelnego i bakałarza²⁸. W protokole ks. T. Połuchtowicza z 1793 r. odnotowano przypadek pełnienia posługi diakowskiej w parafii w Żulinie. Diak Jan Niedzielski, lat ok. 60 był żonaty. Umiał dobrze czytać i śpiewać po rusku i po polsku, miał wyznaczony dla siebie ogród cerkiewny, na którym była zbudowana izba. Posiadał też wyznaczony od miejscowego parocha niewielki kawałek pola „do usiewania” i pobierał corocznie „od parochian żulińskich z każdego dymu po snopów dwa zboża”.

Na beneficjum parafii w Żulinie składały się dobra ziemskie, nieruchomości parafialne, dziesięciny oraz pozostałe źródła dochodów. Uposażenie w ziemię było w tym czasie podstawą dla utrzymania parocha i służby. Najstarsze źródła, które opisują ziemię plebańską w Żulinie pochodzą z 1720 r. Parafia dysponowała półłankiem pola na „korcy dwanaście miary krasnostawskiej” i łąki „na kosarzów dwanaście” oraz ogrodem. Beneficjum żulińskie rozrosło się w 1759 r. po otrzymaniu darowizny od F. Potockiego. Stanowiło je: „półłanek pola na Woli z jednej strony Jusiuka z drugiej Stadniczuka, poczyną się od wsi Żulina kończy się u granicy Liszewskiej. Tamże i pastewnik na kosarzów trzy, ogród w swoim dawnym ograniczeniu na warzywo, ogród drugi przy cmentarzu z łączką na kosarzów dwa, sianozęć pod Dobryniowem między łąkami poddanych żulińskich na kosarzów szesnaście”. W 1778 r. łąka ta podzielona została „na gromady”.

Szczegółowy spis dóbr ziemskich sporządzony w 1793 r. przez ks. T. Połuchtowicza wymienia półłanek pola o zagonach 35-sochowych z ogrodem i pastwiskiem „poczyną się od wsi Żulina a kończy się u granicy liszeńskiej między miedzami z jednej strony Józiuka z drugiej Stadniczuka, wysiewa się na nim korców piętnaście, pole pod Dobryniowem nad Wieprzem razem z zaroślami na półtora sążni wzdłuż na osiemnaście wszierz,

leży z jednej strony między łąkami żulińskimi, z drugiej siedliskiem zaczyna się od boru wielkiego a kończy się u Wieprza, ogród z zagumieniem na staj dwa z pastewnikiem, na którym plebania jest zbudowana, ogród przy cmentarzu cerkiewnym, przy tym ogrodzie pastewnik na kosarzów dwa”.

W skład beneficjum parafialnego, oprócz plebanii wchodziły także inne budynki plebanijne: dwie stodoły - nowa i stara z szopami i chlewami gospodarskimi oraz stajnie i spichlerz. Obok uposażenia w ziemię, podstawowe źródło dochodów probostwa stanowiły dziesięciny. W 1774 r. dziesięcina wynosiła „z dawnych czasów z ćwierci pola pół kopy żyta z półłanka kopa żyta ze wsi Żulina, która tak od Polaków jak i Rusinów corocznie dawana bez żadnej sprzeczki”. Oprócz dziesięcin, dochody parafii stanowiły wszelkiego rodzaju wolnizny. W parafii w Żulinie było to „wolne warzenie piwa, kurzenie gorzałki na własną domową potrzebę, wolny wrąb w lasach do tychże dóbr należących tak na opał jak i pobudowanie budynków”.

W 1875 r. unicka parafia w Żulinie przeszła na prawosławie. Taką decyzję w stosunku do wszystkich parafii unickiej eparchii chełmskiej podjęły władze rosyjskie po stłumieniu powstania styczniowego. W 1939 r. cerkiew w Żulinie przeszła na własność Kościoła katolickiego²⁹.

Zadaniem powyższego artykułu była rekonstrukcja dziejów parafii unickiej Żulinie, jej uposażenia w dobra ziemskie i nieruchomości parafialne - cerkiew i inne zabudowania oraz problem duchowieństwa. Zaistniałe w artykule problemy poruszyły tylko niektóre aspekty funkcjonowania parafii unickiej w Żulinie. Wiele z nich nie mogło być w pełni rozwiązane, ze względu na niepełne informacje znajdujące się w archiwum Chełmskiego Konsystorza Greckokatolickiego. Chcąc przeprowadzić bardziej szczegółowe badania należy poszerzyć podstawę źródłową w czasie, jak i sięgnąć po księgi grodzkie chełmskie i krasnostawskie.

Sławomir Braniewski

²⁷ ChKGK, sygn. 840, s. 16.

²⁸ W. Bobryk, *Problem posługi diakowskiej na terenie unickiej eparchii chełmskiej*, Rocznik IESW, Rok 3 (2005), s. 55.

²⁹ G. Kuprianowicz (red.), *Akcja burzenia cerkwi na Chełmszczyźnie i południowym Podlasiu w 1938 roku - uwarunkowania, przebieg, konsekwencje*, Archiwum Chełmskie, t. 4, Chełm 2009, s. 157.

Kazimierz Stołecki

Powiat krasnostawski
na łamach „Kurjera Warszawskiego”.
Część II, lata 1845-1852



Opracowanie ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. (Pominięto wiadomości opisane w „Gazecie Warszawskiej”, a wydrukowane już w „Nestorze”).

pułku Charkowskiego, z Panną Florentyną Ostrowską, Córką W. Ostrowskiego Naczelnika Pow. Krasnostawskiego. Błogosławił tej parze W. JX. Boiarski Administrator Parafii Krasnostawskiej, poprzedzwszy nauką, iak w ciągu życia swego, też zacna para ma się prowadzić.

1845, nr 203, 03 VIII. Dnia 18go z. m. na przestrzeni od miasta Chelma do miasta Janowa, przez 8 godzin z chmur prawie niewzruszonych, ciągle padał **deszcz ulewny**, tak, że wszystkie parowy zamieniły się w rzeki, zlewiając wodę do rzeki

KURJER WARSZAWSKI

D. 16. Marca.

ŚRODA.

ROK 1831.

N^o 74.

WSPOMNIENIA.

Odejście znacznej części Francuzów z Warszawy 1807.

1845, nr 103, 18 IV. Z Krasnegostawu 14go Kwietnia. **Wody na rzece Wieprzu pod Krasnymstawem, są nadzwyczajnie wielkie** iakich nie pamiętają; most jednak uszkodzony nie został. Pod Hrubieszowem na rzece Huczwie komunikacja przerwana, przez co Poczta iedna do Krasnegostawu niedoszła. *** Od miesiąca JP. Okoński ze swem towarzystwem scenicznem bawi Publiczność Krasnostawską, w teatrze urządzonym w koszarach. Ma zamiar udać się do Radomia, z obawy przeprawy na Wiśle, dotąd w Krasnymstawie pozostaie. Jednocześnie z Panem Okońskim przybył do tutejszego miasta i P. Semur Szyff Fortepjanista, któremu Koncert nie powiódł się i odjechał lekko; przy koncercie na prowincji sam Artysta więcej powinien zajmować się urządzeniem miejsca i instrumentu, bo do tego nie ma usposobionych pomocników iak w stolicy i dla tego pjano-forte oparte na pryczy, nie odpowiadało oczekiwaniom Słuchaczy. leżeli P. Szyff miał nieszczęście wyiechać z Krasnegostawu na lekko, to widać, że Publiczność tamtejsza bardzo lekko ocenia talent.

1845, nr 134, 25 V. Rada Administ: 9go b.m. darowiznę r. s. 15 iako fundusz stały na rzecz Zgromadzenia XX. Augustjanów w Krasnymstawie, przez Teresę z Pastuszków Mąkową, uczynioną.

1845, nr 162, 22 VI. Z Krasnegostawu. Na dniu 10tym b. m. w Kościele parafjalnym Krasnostawskim, odbył się Obrzęd Zaślubin Wgo Zygmunta Władysława Ziemeckiego Podpułkownika

Wieprza, która w kilku godzinach na 5 łokci (288 cm) nad stan zwyczajny wezbrała i zrządziła szkody w sianie, ieszcze niesprzątniętem; belki przygotowane do spławu porznośliła, mosty i młyn porznośliła, w dobrach Tarnogóry, Rakolup, Surhowa, iedynie most w Krasnymstawie iest niewzruszony. W parowach znaleziono 3ch ludzi zatopionych i 4ry konie; a mnóstwo wozów, od których ludzie ze sprzężaiem uciekli, po drogach pozamulało, gdyż grunt z glinki potopowej w Powiecie Krasnostawskim, iest łatwo płynący, i dla tego za każdą powodzią znaczne są uszkodzenia na drogach, których utrzymanie iest połączone z mozolną pracą.

1845, nr 214, 14 VIII. W mieście Krasnymstawie, dnia 2 Sierp: r. b. obchodzono niezwykłą uroczystość: Włościanie dziewięciu wsi z dóbr mioraty Krasnystaw i Białka składających, przeięci wdzięcznością dla Najjaśniejszego Pana za oczynszowanie i urządzenie kolonjalne, własną chęcią intencjonowani, zakupili solenne Nabożeństwo w Kościele niegdy katedralnym w Krasnymstawie, gdzie zgromadziwszy się z familjami, wobec Naczelnika Powiatu, Komisarza Ekonomicznego Nestorowicza, urządzenie tych dóbr wykonywającego i innych Urzędników, złożyli dziękczynne modły Najwyższemu Stwórcy, prosząc o pomyślność i długie panowanie N. Pana. W czasie Nabożeństwa miejscowy Administrator kościoła X. Boiarski przemówił do zgromadzonych Włościan, przedstawiając im ważność osiągniętego dobrodziejstwa

ustalającego ich byt, a zarazem zachęcał do pracy i rzadności; w ciągu tej mowy wszyscy Włościanie, głosem ogólnym, wdzięczność i podziękowanie dwu-krotnie wynurzyli. Obchód ten daie nam przekonanie, że Włościanie nasi umieją cenić dobrodziejstwa i pojmują dostatecznie korzyści, iakie im oczyszczowanie zapewnia.

1845, nr 235, 05 IX. Zapisy na stały fundusz: dla Kościoła w Tarnogórze rs. 30; dla Kościoła farnego w Krasnymstawie rs. 30; dla Szpitalu Śgo Łazarza w Krasnymstawie rs. 30; przez Annę Bernardt poczynione, Rada Administracyjna zatwierdziła.

1845, nr 325, 04 XII. W d. 11 z. m. w m. Krasnymstawie, Łukasz W. kominiarz, nagle życie zakończył. Powodem śmierci iego miało być zbytne użycie wódki, i mocne uderzenie w głowę drewnem w szynku przez obecną tamże kobietę.

1846, nr 10, 11 I. W miesiącu Sierpniu r. z. mianowany i zatwierdzony został: JX. Adam Małecki, Przeorem Klasztoru XX. Augustjanów w Krasnymstawie.

1846, nr 49, 20 II. Mianowani przez Radę Administracyjną 10go b. m.: Klemens Skawiński, Dziedzic dóbr Borowa, i Ant: Kosiński, Dziedzic dóbr Krasne, Sędziami Pok: Okr: Krasnostawskiego; Karol Milowicz, Dziedzic dóbr Modryńca, i Ig: Deboli, Dziedzic dóbr Dzierżąni, Sędziami Pok: Okr: Hrubieszowskiego; Stanisław Matczyński, dzierżawny posiadacz dóbr Łukowa, i Xiądz Jan Iwaszkiewicz, Dziekan i Proboszcz Parafji Szczepieszyn, Sędziami Pok: Okr: Zamojskiego; Xiądz Mat: Belcikowski, Proboszcz Parafji Potok, i Xiądz Andrzej Łukasiewicz, Proboszcz Parafji Biłgoraj. *** Dyrekcja Poczł Królestwa Polskiego. W zamiarze ułatwienia wczesnej wypłaty należności Obywatelom przypadającej za konie pod przeizady Najjaśniejszych Osób dostawiane, 6) D. 1/16 Grud: 1845 r., za spodziewaną a nieodbyłą podróż N. Pana, która w Czerwcu 1845 r. była zapowiedzaną; dla Powiatów: Hrubieszo: Rs. 840 51, Krasnostaws: Rs.360 k.95, Lubels: Rs. 525 k. 40.

1846, nr 166, 26 VI. Z Krasnegostawu. W dniu 17 b.m. **Leon Ostrowski**, Naczelnik Powiatu Krasnostawski, na czynności superrewizyjnej w Krasnymstawie odbywającej się, o godz: 8ej z południa w domu własnym, do którego dojść ieszcze zdołał, tknięty został paraliżem ręki i nogi

lewej; pomimo spiesznej i gorliwej pomocy miejscowych Lekarzy, iednak w przeciągu godzin kilkunastu **życie zakończył**. Obrzęd pogrzebowy z wielką okazałością przez życzliwość dla zmarłego Naczelnika odbytym został; zajmował się nim miejscowy Proboszcz W. JX. Boiarski.

1846, nr 174, 05 VII. Przyjechał do Warszawy. Kochanowski, Jenerał z Krasnegostawu.

1846, nr 209, 09 VIII. Z Krasnegostawu. Na smętarzu parafji Tarnogóry w Powiecie Krasnostawskim, z przynależną czcią i poszanowaniem na wieczny spoczynek schowano do katakumby zwłoki ś.p. **Franciszka Czyżewskiego**, Dziedzica dóbr Tarnogóry, który po przeżyciu lat 52, przeniósł się do wieczności dnia 25 Lipca r. b.

1846, nr 212, 12 VIII. Dnia 4go b. m., tknięty apoplexią, **żyć przestał** ś. p. **Ludwik Preszel**, Dziedzic dóbr Żółkiewki w Powiecie Krasnostawskim; zostawił Żonę i 4ro Dzieci.

1846, nr 260, 01 X. W nocy z 14 na 15 z.m. przez wystawienie okna w Kościółku we wsi **Borowicy** Pow: Krasnostaws:, skradzione zostały przez niewiadomych sprawców następujące rzeczy kościelne: Kielich srebrny duży zewnątrz i wewnątrz wyłaczany z patyną, u którego pod spodem znajdował się napis w okrąg: na pamiątkę zaślubin Hr: Franciszka Łubieńskiego z Panną Hrabianką z Potockich; Puszka od Sanctissimum srebrna wyłaczana z nakrywką, na której znajdował się Krzyżyk; Krzyżyk metalowy biały posrebrzany z dzwonkiem; Trybularz metalowy biały posrebrzany z trzema łańcuszkami; Łódka do kadzidla metalowa biała posrebrzana z takąż łyżeczką; iakoteż niektóre przedmioty z bielizny i firanki koloru perłowego 3 łokcie długości maiące z obrazu. Ktoby dostrzegł który z tych przedmiotów, niech udzieli wiadomość do najbliższej władzy.

1846, nr 268, 09 X. Przyjechał do Warszawy. Kwiatkowski Lud: Budown: z Krasnegostawu.

1846, nr 292, 03 XI. Były pożary w miastach: Władysławowie i Krasnymstawie.

1847, nr 6, 07 I. W dniu Ś. Franciszka Xawerego r. z. 10-te Nabożeństwo odpustowe, odprawione zostało w niebotycznej Świątyni panującej nad miastem Krasnymstawem. Miejscowy Pasterz umiejący czuwać nad ludem, który pokrapia w kołebce wodą odrodzenia a pierwszy rzuca garść ziemi na trumnę zmarłego, umiejący czuwać nad

ludem biednym, który otrzymał w swoim Proboszczu podporę, radę, przyjaciela, przewodnika wtem doczesnem życiu; ten to Proboszcz X. Andrzej Boiarski usiłowania swoje połączy i z Dziekanem X. Karolem Boniewskim, z którym nadzień uroczysty 3-go Grudnia zaprosili wszystkich Xięży świeckich i zakonnych z całego Dekanatu, a liczbę tych powiększyli przybyli i ze stron odleglejszych Dyecezji Proboszczowie, dla uświetnienia 50-cio letniego jubileuszu X. Andrzeja Gościckiego Proboszcza z Turobina, Kanonika Gremialnego kolegiaty Zamojskiej, który powtórne prymicie odbył w asystencji Kanoników. Kościół, zamek, miasto nasze najodleglejszej sięgające starożytności, ma swoje dzieje, akta, pamiątki podania, lecz te równego obchodu nieobejmują. Na głos olbrzymich dzwonów, tysiące zbiegło się Ludu, którego tak obszerna świątynia ze swoimi gankami i gzymsami objąć nie mogła. Lud ten ciągle był obecny Nabożeństwu, a trudno opisać iakie myśli i wzruszenia przepełniały i unosiły każdego w niebiosy, gdy śpiewano poważnemi głosami licznych Kapłanów pieśń *Veni Creator*. W czasie Mszy wielkiej celebrowanej przez Jubilata, pobożni otoczyli mównicę dla słuchania nauki opowiadanej przez X. Karola Boniewskiego, którego płynna wymowa zawsze odznacza się prostotą, czuciem i tym powabem, który dniu się łatwiej pojąć sercem, aniżeli słowami określić. W roku 1845 z tejże mównicy X. Kanonik Walenty Baranowski, Proboszcz z Bychawki, mową pełną energii, objawił nam czyny S. Franciszka Xawerego, po której równie iak i dzisiaj Lud cichy, spokojny uniósł do domów swoich przekonanie, że tylko wiara z dobremi uczynkami złączona zbawić nas może! B.

1847, nr 34, 15 II. Most na rzece Wieprzu pod Krasnymstawem, będzie wkrótce nowemi balami pokryty. O istnieniu mostu w Krasnymstawie, są ślady historyczne z wieku XVI-go. Zygmunt I-szy albowiem wydał w r. 1524 przywilej na mostowe w mieście po ternarze od sztuki bydła, to jest po trzeciej części szeląga, na dochód Rajców miejskich opłacać się mające. *** We wsi **Żulinie** w Powiecie Krasnostawskim, założoną została nowa **fabryka Araku krajowego**.

1847, nr 51, 22 II. Komisja Rz: Spraw W. i D. przeznaczyła następujące Osoby na Komisarzy Duchownych Dyecezji Lubelskiej, do odnawiania 25-letnich układów o zmianę dziesięcin zawar-

tych, a mianowicie: W Dekanacie Krasnostawskim: JX. Mich: Gorajskiego Dziekana miejscowego Proboszcza w Chłanowie, i JX. Erazma Krassowskiego Proboszcza w Łopienniku.

1847, nr 81, 24 III. Zarządzoną została reparaacja Kościoła parafialnego w mieście Żółkiewce w Powiecie Krasnostawskim, na summę rs. 1,022 k. 25 wyanszlagowana.

1847, nr 96, 11 IV. Wmieście Turobinie w Pcie Krasnostawskim, wybudowany będzie nowy dom murowany dla Wikariuszów przy Kościele farnym. O farze w Turobinie iest wzmianka iako istniejącej pod rokiem 1574. W r. 1623 była po wyrestaurowaniu, poświęconą przez Biskupa Swirskiego. Gdy następnie Kościół ten pogorzał, odbudowano go, i r. 1713 konsekrowano za Tomasza i Teressy z Michnowskich Zamojskich. Paweł Rzeczycki Doktor Teologii, rodem z Turobina, ofiarował do presbyterjum Kościoła farnego, wielki Obraz, przedstawiający Zdjęcie z Krzyża.

1847, nr 103, 18 IV. W Powiecie Krasnostawskim r. z. nakładem Dziedzica, ukończoną została w stylu gotyckim murowana nowa budowla Świątyni parafialnej we wsi Siennicy-różanej, w miejsce drewnianej, do której uposażenie pierwsiastkowo roku 1468 w Czerwcu, nadał Mikołaj Wojcieszkowski Kasztelan z Zawichostu, a w Listopadzie tegoż roku Kazimierz IV Jagiellończyk, później zaś r. 1607 Jakób Siennicki trzeciem nadaniem gruntów, powiększył pierwsiastkowe fundusze. Wieś Siennica-różana, należy do Państwa Rakolup, dziedzicznego Jana Hr: Poletyło, nie szczędzącego gustu i ozdób dla przyozdobienia przybytku Boga poświęconego. Administrator probostwa, Xdz Marcelli Sielski, godnie odpowiedział przyiętemu zobowiązaniu się przez zaprowadzenie wzorowego porządku w odbywaniu Nabożeństwa według przepisów Kościoła Rzymsko katolickiego, iakoteż przez nabycie wyszywanych na kanwie ozdób Ołtarzów, za co pozyskał prawdziwą wdzięczność Parafian. W tejże wsi Siennicy-różanej na przeciwnej stronie nowo zbudowanego Kościoła za rzeczka, przy braniu fundamentów na Browar piwny, odkopano bardzo wiele Urn starożytnych, napelnionych zdaie się szczątkami przepalonymi; przy urnach było kilka noży, wyrobionych z krzemieni; ieden nóż taki przesłano Michałowi Wiśniewskiemu do Krakowa, a Urnę do Redakcji

Kurjera. Urny w ziemi były tak miękkie, że rydłem łatwo były kraiane, na wolnym powietrzu stwardniały, a nawet schnąc, popękały.

1847, nr 104, 19 IV. W Krasnymstawie dnia 3 b. m. przed południem, powstała **ogromna burza** z ciągłymi grzmotami i piorunami, iakie wśród lata rzadko wydarzają się, po których grad bardzo gęsty padał, tak, że zupełnie ziemię pokrył. Zwykle po gradzie bywa powietrze oziębione, tu przeciwnie ciepło dochodziło przeszło do 18 stopni, i tak trwało aż do wieczora; dopiero w dniu następnym Barometr zaczął opadać i już siedm dni stoi na 27 1/4 calach (941 mm Hg); jest też ciągle oziębione powietrze z wichrem, deszczem i śniegiem na przemiany, także siewów w polu odbywać nie można. *** Nad brzegiem rzeki Wieprza między Krasnymstawem a wsią Stężycą, jest 14 tysięcy sztuk belek przygotowanych do spławu na Wisłę do Gdańska. Dostarczyły ich lasy z Krupego, Rałup, Sielca, Płonki i Żółkiewki.

1847, nr 110, 25 IV. Proboszcz Xdz Andrzej Boiarski, odprawił żałobne Nabożeństwo w Kościele Parafialnym w Krasnymstawie, za duszę ś.p. **Antoniego Wierzbickiego**, Dziedzica dóbr Suchodół i członka Rady instytutów dobroczynnych Powiatu Krasnostawski, zmarłego dnia 21-go Marca r. b. w dobrach dziedzicznych Chwałowice w Galicji austriackiej. W wieku młodzieńczym zappełnił szeregi Artylerji konnej, wojska Xtwa Warszawskiego, pod dowództwem Włodzimierza Potockiego; był ozdobiony krzyżem złotym polskim i francuzkim Legji honoro; powróciwszy w domowe zacisze, poświęcał się trudnemu zawodowi Obywatela Ziemianina. *** Gmach Po Jezuicki w mieście Krasnymstawie, zostanie wyrestaurowanym za sumę rsr. 7422 kop. 76 i 1/2, dla dogodniejszego pomieszczenia w nim lazaretu.

1847, nr 130, 15 V. Z Krasnegostawu. Przy spławie 14 tysięcy belek dębowych i sosnowych, było w obrocie półtora miliona złotych, co w tym czasie było wielką pomocą dla klasy zarobkującej. Chrabąszcz iest mnóstwo, co ma być oznaką urodzaiów; lecz za to przy najmniejszym deszczu, zaraz grad pada, co przekonywa o wielkiej obfitości materji elektrycznej w powietrzu, które ma niekiedy nawet zapach bitumu, to iest taki, iaki powstaie z potarcia krzemienia o krzemień.

1847, nr 160, 18 VI. W dobrach Żulin, dziedzicznych Kazimierza Hr: Łubieńskiego pod Krasnymstawem, założono **Fabrykę do wyrabiania narzędzi rolniczych**; na co zakupią surowiec żelazny z przedmiotów zepsutych i zużycia wyszłych. Zakład ten zdaie się odpowie swojemu celowi, gdyż dotąd do zbyt odległych fabryk żelaznych pod Suchedniowem, spekulanci bezcennie zakupywali szczątki odlewów żelaznych, a które teraz z korzyścią dla mieszkańców na miejscu będą przerabiane. Zakładem dyryguie młody uzdolniony Górnik Pokutyński. *** We wsi Mościskach w Pow: Krasnostawskim, W. Roman Załęski w tym roku cały obsiew kartoflany korcy 250, uskutecznił z kartofli wyhodowanych z nasienia. Mozolny ten środek gospodarowania, zasłonić może kartofle od zgnilizny.

1847, nr 162, 20 VI. Z Krasnegostawu. Ciągłe mamy oziębione powietrze; sprawdza się więc przepowiednia starych Gospodarzów na Rusi Czerwonej w okolicy m. Chelma, którzy słysząc wczesne grzmoty r. b. dnia 3 Kwiet: wyrzekli: „Ponieważ grzmoty zastały lody i śniegi, zimne będzie lato.”

1847, nr 187, 16 VII. W dniu 9 z. m. w mieście Krasnymstawie, Agnieszka T., lat 10 licząca, służąca tamecznego mieszkańca, obawiając się kary za popełnione przewinienie, chciała dostać się na drugą stronę rzeki Wieprz, lecz natrafiwszy na głębinę, utonęła.

1847, nr 207, 05 VIII. Dnia 27 z. m. **rozstał się z tym światem**, u wód w Szwalbach w Niemczech, ś. p. J. Kr: Wysokość **Adam Karol Wilhelm Stanisław Eugenjusz Paweł Ludwik Xiążę de Wirtemberg**. J. Kr: Wysokość zmarły Xiążę Adam, był Jenerałem Lejtnantem wojsk Rosyjskich, i Jenerałem-Adjutantem N. Cesarza i Króla, był Jenerałem Brygady i Dowódczą 2ej brygady dywizji ułanów b. Wojsk Polskich. Przez lat wiele konsystował z swą brygadą w mieście **Krasnymstawie**. Xżę Adam urodził się dnia 16 Stycz: 1792 r.; żył lat 55.

1847, nr 325, 04 XII. W d.11 z.m. w m. Krasnymstawie, Łukasz W. **kominarz, nagle życie zakończył**. Powodem śmierci iego miało być zbyt uczucie wódki, i mocne uderzenie w głowę drewnem w szynku przez obecną tamże kobietę.

1847, nr 346, 28 XII. Rząd Gubernjalny Lubelski doniósł o wyassygnowaniu do Kass Po-

wiatowych swojej Gubernji, summy rs. 628 k. 65 tytułem nagród do różnych osób **za uбиcie wilków**. Największa nagroda przypada na dobra Wojsławice w Powiecie Krasnostawskim; największej nagród na Powiaty Krasnostawski i Łukowski.

1848, nr 33, 04 II. Z rozkazu wyższej władzy, mają być zabezpieczone na rzecz skarbu, wszelkie fundusze **Bolesława Dolańskiego**, syna zmarłego dzierżawcy wsi Stawce, w Pcie Krasnostawskim położonej, który początkowo pobierał nauki w Szkołach Szczebrzeszyńskich; następnie w Lublinie zajmował się sztuką Zegarmistrzowską; później przybywszy do m. Warszawy, zostawał u tutejszych Cukierników; a w końcu według podania Opiekuna jego, w r. 1844 wydalili się do Kalisza, a stamtąd do Pruss, gdzie został aresztowanym.

1848, nr 37, 08 II. Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchownych, przeznaczyła następujących Duchownych na Komisarzy w Dyecezyi Chełmskiej, do odnowienia 25-letnich układów o zamianę dziesięcin zawartych, a mianowicie: w Pow: Hrubieszowskim: X. Michała Lawrysiewicza Dziekana Dekanatu Dubienickiego, X. Antoniego Lebedyńskiego p. o. Dziekana Dekanatu Hrubieszowskiego; w Pow: Krasnostawskim: X. Leona Smoleńca Dziekana Dekanatu Krasnostawskiego.

1848, nr 164, 23 VI. Przyjechał do Warszawy. Głazenap Jene:-Lejt: z Krasnegostawu.

1848, nr 170, 30 VI. Przyjechał do Warszawy. Potocki Henr: Hr. z Krasnegostawu.

1848, nr 204, 03 VIII. N. Pan udzielić raczył Pensje emerytalne. Otrzymali: Xaw: z Czarneckich Ostrowska, Wdowa po Naczelniku Ptu Krasnost., rs. 234 k. 37 1/2.

1848, nr 205, 04 VIII. Pensje emerytalne otrzymali: Maciej Adamski, Expedytur Poczty w Krasnymstawie, rs. 90. Wikt: z Piotrowskich Poznańska, Wdowa po Rachmistrzu Ptu Krasnostaw., rs. 41 k. 62 1/2.

1848, nr 206, 05 VIII. Darowiznę rs. 81 k. 75 przez Xiędza Michała Leszczyńskiego, na rzecz szpitala Śgo Ducha w Krasnymstawie uczynioną, Rada Administr: zatwierdziła.

1848, nr 207, 06 VIII. We Lwowie dnia 9 Lipca r. b. wydając na świat córkę, umarła **Marya ze Świeżawskich Kajzerowa**, dziedziczka dóbr Siennicy nadolnej w Pcie Krasnostawskim, po przeżyciu lat 36.

1848, nr 208, 07 VIII. Przyjechał do Warszawy. Bielogórew Jene:-Lejt: z Krasnegostawu.

1848, nr 215, 14 VIII. Komitet Centralny zapobiegający **Cholerze w Królestwie Polskiem**. W mieście Krasnymstawie **od dnia 6 Sierpnia** r.b. zachorowało na cholerę: siedmiu tamiecznych mieszkańców i trzech wojskowych.

1848, nr 225, 25 VIII. Przyjechał do Warszawy. Hrabia Stadnicki Porucz: Huzarów z Krasnegostawu.

1848, nr 230, 30 VIII. Na budowę Kościoła i plebanji we wsi Rządowej Czuczycach (w Pcie Krasnostawskim), przeznaczoną została summa rs. 4,894 k. 30, a to stosownie do anszlagu przez Komisję R.S.W.iD. zatwierdzonego.

1848, nr 280, 20 X. Rada Administracyjna mianowała pełniącego obow: Naczelnika Ptu Krasnostawskiego, Assessora Kolegjal: Grzegorza Buczyńskiego, pełniącym obow: Naczelnika Ptu Lubelskiego; a pełniącego obow: Naczelnika Ptu Lubels:, Radcę honorowego, **Igna. Sypniewskiego**, pełniącym obo: Naczelnika Ptu Krasnostaw:.

1848, nr 284, 24 X. Komisja Rzą: Spraw Wew: i Duch:, **za odznaczenie się w szczepieniu ospy ochronnej** w r. z. 1847 w Gub: Lubelskiej, przyznała nagrody osobom następującym: Wunderowi Lekarzowi Ptu Hrubieszows:, **Tomaszowi Krauze** Lekarzowi Ptu Krasnostawskiego; Pożaryckiemu Lekarzowi miasta Chełma; Żelkowskemu Lekarzowi m. Tomaszow.

1848, nr 331, 12 XII. O postępie cholery od czasu okazania się tej epidemji w Król: Pol. t.j. **od d. 3 Sierp: do 11 Grud: r.b.:** Gubernia Lubelska (podsumowanie):

Miejsce	Zach:	Wyodr:	Um:	Zost:	Um: %
Lublin	696	319	377	0	54,2
pow: Lubelski	2344	1318	1022	4	43,6
Krasnostaw	307	152	155	0	50,5
pow: Krasnostaw:	1638	812	826	0	50,4
Hrubieszów	506	263	243	0	48,0
pow: Hrubieszów	870	495	368	7	42,3
Janów	224	70	151	3	67,4
pow: Zamojski	1481	470	886	125	59,8
Siedlce	522	355	167	0	32,0
pow: Siedlecki	1165	624	537	4	46,1
Łuków	601	407	194	0	32,3
pow: Łukowski	324	85	235	4	72,5

Biała	638	559	79	0	12,4
pow: Bialski	1415	1003	397	15	28,1
Radzyń	211	79	132	0	62,6
pow: Radzyński	2137	1322	784	31	36,7
RAZEM	15079	8333	6553	193	46,2

1848, nr 347, 30 XII. W następujących miejscach w Królestwie **były pożary**, w skutku których spaliły się: We wsi Borowicy Pcie Krasnostawskim tartak z maszyną angielską, na summe rs. 2960 ubezpieczony. We wsi Studziańskiej Woli Pcie Krasnostawskim, wiatrak drewniany na rs. 300 ubezpieczony.

1849, nr 94, 07 IV. Na restaurację Kościoła w mieście Rządowem Krasnymstawie, przeznaczoną została przez Rząd summa rs. 6368 k. 82 1/2 czyli zł. 42,458 gr. 25.

1849, nr 128, 16 V. Podziękowanie. Gwałtowna a niebezpieczna słabość Croup, czyli dławnik zwana, połączona z wrzodami szyjowymi po ogniku, dotknęła nasze jedyne dziecko, niespełna rok mające, i tylko odzyskanie już prawie straconego dziecięcia, W. **(Tomaszowi) Krauze**, Lekarzowi Ptu Krasnostawski: winni jesteśmy. Przebaczyć więc Szanowny Mężu że ośmielamy się obrażać Twą skromność, i publiczne wyrazić podziękowanie za wzięcie się energiczne, połączone z znajomością zawodu, wsparte pomyślnemu doświadczeniami, pieczołowitością bez granic i bezinteresownością. Wdzięczność w sercach naszych z szacunkiem powstała, zostanie niezatartą, a Bóg dobry, przyjmując naszą prośbę, i nadal ci w tym życiu błogosławić nieprzestanie. J. J. Kozarscy.

1849, nr 141, 01 VI. Z Krasnegostawu. Na dniu 21 z. m. mieszkańcy miasta Krasnostawu o trzy kwadranse na 12-stą przed północą, **przebudzeni zostali łoskotem zapadającej się starożytnej Bazyliki**, która w formie Panteonu rzymskiego wystawioną była. Wstrząśnienie Kościoła kolosalnego tak silne było, że nie tylko mury Kościoła zatrzęsły się, ale w całym mieście w odległości na kilkaset kroków ziemia i mury wzruszone zostały. Sprzęty po domach, łóżka ze śpiącymi, kołyski z dziećmi zakołysały się; to trwało przez kilka minut. Bania, czyli Rotunda, która była w środku Kościoła blachą miedzianą pokryta, wewnątrz tegoż Kościoła zapadła się, nie tylko posadzki marmurowe powyrzywała i takowe poniszczyła w całym

Kościele, lecz i groby pozawalała, a powietrze będące w grobach, niemogące się wydobyć, wyparte zostało, zrobiwszy sobie otwór w fundamentach; strata niepowetowana, bo była nie tylko ozdobą całego miasta i okolicy, ale ku chwale Bożej przez obszerność i wielkość dla ludu przystępna; a że groziła niebezpieczeństwem od lat kilku, przeto wyniesiony został Przenajświętszy Sakrament do Kościołka drewnianego Przemienienia Pańskiego, i tamże modły i śpiewy Parafjan odbywają się. Dodać trzeba, że na tejże Rotundzie na samym wierzchu na bani miedzianej i pół xiężycy, stała figura N. Panny Niepokalanego Poczęcia, z drzewa, blachą miedzianą pokryta, mając koronę z siedmioma gwiazdami, mocno wyzłaczanemi; na dniu 6 z. m. taż korona z gwiazdami oderwana została, i tylko na jednej szrubie gwiazdy nad Głową Najświętszą na wszystkie strony obracały się, tak, jakoby mieszkańców miasta o niebezpieczeństwie nadchodzącem ostrzegali; dzięki Najwyższemu, że to stało się w nocy, bo nikt w całym mieście nieuległ nieszczęściu. Zebrane święte szczątki tejże figury, na nowo złożone i na pamiątkę przed tymże Kościołem na pomniku kamiennym wystawione będą. *** W r. 1695 Anna Chrystyna córka Ignacego Lubomirskiego na Ostrogu i Zasławiu Xiężna, a żona Felixa Potockiego, Kasztelana Krakowskiego, tę Bazylikę wzniosła, którą w roku 1741 Józef Łaszcz, Biskup Antypatryjski, na cześć Śgo Franciszka Xawerego poświęcił. Fundatorka na pierwsze Nabożeństwo 40-sto godzinne **z całym dworem piechotą z miasta Uchań przybyła**, i klęcząc pod tą Rotundą modliła się, a dnia 6 Maja 1699 r. w tymże Kościele pochowaną została. W r. 1723, Franciszek Adam Swach, Zakonnik Franciszkański, wewnątrz całego Kościoła, jako też i Rotundę w formie panteonu rzymskiego będące, pędzlem swej ręki wprawnej, arabeskami i wyłoceniem przyozdobił. W r. 1773, Xięża Jezuici tenże Kościół opuścili, udając się na siedzibę do miasta Połocka, a w miejsce Ich, Gremium Katedralne z miasta Chełma sprowadziło się, które do roku 1826 wraz z stolicą Biskupa Lubelskiego utrzymywane było; do dziś dnia Xięża Administratorowie tą Bazyliką zarządzali. F.J.S.

1849, nr 261, 04 X. Przyjechali do Warszawy. Łubieńscy Kazim: i Stan: Hr. Z Krasnegostawu.

1849, nr 272, 15 X. Postanowieniem Rady Administracyjnej d. 21 z. m., Dobra Bończa z 3ch realności, to jest wsiów: Bończy, Olszanki i Zalesia złożone, odłączone zostają od Ptu Hrubieszowskiego, a wcielają się do Powiatu Krasnostawskiego.

1849, nr 314, 27 XI. W mieście Krasnymstawie był pożar; w czasie tego pożaru, dziecko pogorzelca, lat 2 liczące, zostając w największym niebezpieczeństwie, gdyż rodzice jego z przestachu zapomniawszy o niem, zajmowali się wynoszeniem swych rzeczy, przez 14to-letnią córkę wyrobnika, nazwiskiem **Marjanę Sokołową**, z gorejącego domu wyniesione zostało. Wspomniona dziewczynka zaledwie poświęcenia swego życiem nie przypłaciła, gdyż przy wychodzeniu, przez spadające na nią odłamy drzewa i snopki z ogniem, mocno poparzoną została.

1850, nr 8, 09 I. Do pułku piechotnego Mohilewskiego, potrzebnym jest kapelmajster, któryby znał uczenie Trębaczy, Doboszów i Muzykantów, oraz zupełne strojenie instrumentów muzycznych. Życzący zająć takowe miejsce, raczy się zgłosić listownie, lub leż osobiście, do Dowódcy tegoż pułku, konsystującego w Krasnymstawie.

1850, nr 71, 14 III. N. Cesarz, objawić raczył Monarsze zadowolenie: Porucznikowi: Teodorow w Krasnostawie; za to, że w powierzonych im oddziałach, **nie było w ciągu lat dwóch, zbiegłych niższych stopni.**

1850, nr 103, 18 IV. W Zakonie XX. Augustjanów został: X. Adam Małecki, Przeorem Klasztoru w Krasnymstawie.

1850, nr 119, 04 V. Przyjechał do Warszawy. Bychowski Jene:-Major z Krasnegostawu.

1850, nr 343, 29 XII. Pierwsze dni bieżącego miesiąca Grudnia 1850 r. na długo będą pamiętne dla miasta i okolic Krasnegostawu. Wspaniała i ozdobna Świątynia Bozka, w m. Krasnymstawie r. 1695 pod wezwaniem Śgo Franciszka-Xawerego, wielkiego Apostoła wschodnich Indjan, kosztem błogiej pamięci Felixa-Kazim: i Anny Krystyny, z Xiążąt Lubomirskich, Córki Wielkiego Hetmana Koronnego, Kasztelaństwa Potockich, dla sławnego Zakonu XX. Jezuitów zbudowana i przez Łaszczu Biskupa Koadjutora Kijowskiego, Sufragana Chełmskiego, konsekrowana; a po zniesieniu w r. 1773 Zakonu Jezuickiego, na Kościół parafialny i na Katedrę Chełmską, łacińskiego obrządku zamieniona, skut-

kiem działania ręki czasu, uległszy zniszczeniu, zmusiła miejscową Władzę do zamknięcia tegoż Kościoła, i przeniesienia parafialnego Nabożeństwa, w r. 1846 do małego drewnianego Kościółka na przedmieściu. Następnie zaś wznosząca się po nad nią w Rzymskim stylu kopuła, ulegając zupełnemu osłabieniu, z gwałtownym łoskotem i przerażeniem mieszkańców, całym swoim ogromem runęła w nocy z d. 20 na 21 Maja 1849 r., pociągnawszy za sobą upadek znacznej części kościelnego sklepienia, zawalenie grobów i uszkodzenie całej tej, tak pięknej Świątyni. Lecz szczerobliwość Rządu i niezmordowana czynność miejscowego Pasterza W. JX. Andrzeja Bojarskiego, tudzież Szanownego z miejscowych Obywateli i Urzędników, złożonego Komitetu, i niesione pomimo ubóstwa wielu tutejszych mieszkańców, (wskutek urzędowego rozkładu kosztów), dość liczne przez pobożnych parafian ofiary bo około 60,000 zł. wynoszące, **w przeciągu niespełna roku, tę wspaniałą Bazylikę z gruzów znowu podniosły**, i na nowo w niej chwała Przedwiecznego zabrzmiiała, z wielką pociechą i zasługą tych wszystkich, którzy się do tego znakomitego dzieła czynnie przyłożyli. Przejacni Chrześcianie, należący do parafii Krasnostawskiej, około 7000 dusz obejmującej, z uszczerbkiem i poświęceniem własnego mienia, potężnem ramieniem Wiary i pobożności dźwignęli, z upadku swoją parafialną Świątynię. Oby więc stali się oni przykładem wszystkich, zwłaszcza tam, gdzie Przybytki Boże, potrzebują silnej pomocy i wsparcia. Skoro tylko rozeszła się wieść, o mającem nastąpić uroczystem przeniesieniu Nabożeństwa, do świeżo odnowionej Bazyliki w Krasnymstawie, tysiące Ludu z okolic, w promieniu kilku-milowym, zgromadziło się na ten rzadki w swoim rodzaju obrządek. Wcześniej zaproszone przez W. JX. Bojarskiego tak świeckie jak zakonne Duchowieństwo, licznie się zebrało d. 30 z. m. pod naczelnictwem W. JX. Felixa Kwiatkowskiego, Kanonika Katedralnego, który z upoważnienia władzy Dyecezalnej, odnowioną rzeczoną Świątynią, pobłogosławił. Po czym Duchowieństwo otoczone tłumem pobożnych, udało się procesjonalnie do wspomnionego na Przedmieściu Kościółka, z kąd N. Sakrament uroczystie przeniesiono do wielkiego parafialnego i świeżo z gruzów powstałego, w m. Krasnymstawie leżącego Kościoła. Tam pierwszymi i uroczystymi Nieszporami z wystawieniem

N. Sakramentu, i stosownem Kazaniem, rozpoczęte okazałe Nabożeństwo, odbywało się przez dni 3, z równą świetnością i natłokiem pobożnego Ludu, a zwłaszcza też w d. 3 b. m., jako poświęconym dorocznej pamiętce Patrona tego Kościoła i parafii Apostoła indjan, Śgo Franciszka Xawerego. Słynna wymowa kaznodziejska W.JX. Kanonika Wal: Baranowskiego, tudzież innych wybranych na ten cel i wezwanych Duchownych mówców, wiele tej uroczystości dodała ozdoby; a nader licznie zebrane Szan: Duchowieństwo, za przykładem i przewodnictwem W. JX. Kanonika Karola Boniewskiego, z niezmordowaną gorliwością, niosło Duchowną usługę i religijną pociechę cisnącemu się do nich codziennie tysiącami ludowi, który nieustannie prawie Świątynię Pańską, Z radością i skupieniem ducha napelniając, przystępował w liczbie około 4000 dusz do ŚŚ. Sakramentów Pokuty i Komunii. Cały zaś ten pamiętny obchód, ukończony został wielkiem żałobnem Nabożeństwem, w d. 4 b. m. odprawionem, za duszę ś. p. zmarłych fundatorów, dobrodziejów i parafian tegoż Kościoła. Chwała przeto niech będzie Cudownej Opatrzności Boga, który natchnął wiernym czcicielom swoim, tak zbawienne myśli, i sposoby do pomnożenia swej chwały zmierzające; ożywił wiarę i gorliwość o własne zbawienie, wielu zobojętniałych Chrześcian. Chwała i wdzięczność opiekuńczej Władzy i dostojnemu Pasterzowi miejscowemu, za podjęcie w tymże celu, tak wielu trudów i kosztów. Chwała nareszcie i nagroda od Boga, czeka was, zacni Obywatele i Parafianie, Kościoła Krasnostawskiego, a pociecha, której doznaliście na widok powstałej z gruzów tej wspaniałej Boga Świątyni, niech się dla was zamieni na wieczną nagrodę i błogosławieństwo Nieba. X.O.

1851, nr 22, 24 I. Wczoraj od jednego z szanownych Czytelników naszych z Krasnegostawu, otrzymaliśmy listowne zlecenie o wezwanie artysty naszego P. Apolinarego Kątskiego (skrzypka), aby w podróżach swoich, zawadził także i o Krasnystaw, gdzie go z upragnieniem oczekują, i dawni przyjaciele, i miłośnicy talentu jego. Czyniąc przeto zadosyć życzeniom szanownego Czytelnika, oświadczamy zarazem z upoważnienia Artysty naszego, iż nie będzie mógł już tej zimy wywiązać się z tego, albowiem pospiesz do m. Kijowa przeszkadza mu w wykonaniu najszczęśliwszego zamiaru. Przy powrocie wszakże swoim do

kraju, będzie to dlań najpierwszym obowiązkiem, któremu nieomieszką zadosyć uczynić.

1851, nr 96, 10 IV. I w tym także miesiącu jak zwykle, opilstwo stało się powodem kilku smutnych wypadków w Królestwie, a między nimi i we wsi Kryniczki Pow: Krasnostawskim, gdzie tamieczna włościanka Helena H., lat 40 licząca, skutkiem użycia nad miarę wódki, zakończyła w kilka godzin życie.

1851, nr 121, 07 V. Przyjechał do Warszawy. Renenkampf Jene:-Major z Krasnegostawu.

1851, nr 153, 12 VI. Przez Najwyższy Rozkaz J. C. K. Mości, otrzymują rangę: Sekretarzy Gubernjalnych: Sądów Pokoju Okręgów Lubelskiego Pisarz Smoleniec; Podpisarze: Krasnostawskiego Makowski; Hrubieszowskiego Bereza; i Kazimierskiego Beczkowicz, ze starszeństwem, z tytułu posiadanych stopni Rzeczywistych Studentów Uniwersytetu.

1851, nr 159, 20 VI. Donosimy Szanownym Czytelnikom naszym na prowincji, iż P. Apolinary Kątski, wywiązując się z przyrzeczenia swego, ma zamiar dać się słyszeć swym rodakom w następujących miastach: W m. Lublinie, d. 29 b. m. i d. 1 Lipca; **w Krasnymstawie d. 3 Lipca**; w Nowej Alexandrii (Puławach) d. 6go Lipca; w Radomiu d. 11 i 13 Lipca; w Kielcach dnia 16 Lipca; w Płocku d. 20 i 22 Lipca; w Włocławku d. 24 i 27; a w Kaliszu d. 27 i 30 Lipca.

1851, nr 178, 10 VII. Po wiadomościach o powodzeniach Appolinarego Kątskiego w Lublinie, otrzymaliśmy także i z Krasnegostawu, gdzie Artysta ten dawał koncert dnia 3 b. m., pozostawwszy tamże niewygasłe wrażenie. Liczne grona z trzech przyległych Powiatów, z ziemi Chełmskiej, z ziemi Belskiej, z nad Buga i z nad rzeki Wieprza, jak tylko ranne słońce spojrzało na pogodne niebo, ciągnęły do owego grodu, aby podziwiać grę słynnego współziomka swojego. Salę koncertową starannie, nawet wystawnie urządził Budowniczy P. Alexan: Zabierzowski. Magister Farmacji Aptekarz P. Felix Stankiewicz, bezinteresownie ułatwił uprzejme przyjęcie, a wszelki porządek zapewnił Burmistrz P. Żelkowski. Słyszac Kątskiego, nikt się nie zawiódł w oczekiwaniu, o czym przekonywa jedno-głośnie przez wszystkich wywołanie Koncertanta, podziękowanie mu hucznymi oklaskami i obsypanie go przez nadobne Damy różami i nie-

zapominajkami, wywołane z zachwytu i przejęcia rzewnem uczuciem. Artysta nasz miał zaszczyt otrzymać zaproszenie od J. W. Gubernatora na wspaniały wieczór, na którym znajdowały się znakomite osoby poci obojczy. Chwile te jak sam się wyraził listownie, liczy do najpiękniejszych chwil życia swojego, a podawane mu z rąk pięknych kwiaty, zachowa, jako najdroższy upominek w życiu.

1851, nr 179, 11 VII. Między poleceniami Władzy Wyższej, mającemi na celu wznoszenie lub odnawianie Przybytków Pańskich, zarządzoną także została budowa nowej Plebanji przy Kościele w Częstoborowicach w Gubernji Lubelskiej. Częstoborowice są wsią parafjalną, położoną w Powiecie Krasnostawskim, i słynną z tego, że fundowany w niej Kościół drewniany w roku 1429 przez Jakóba Dłuto, ówczesnego Dziedzica, Aryanie trzymali w swem posiadaniu przez lat kilkanaście. Niegdyś bowiem cała owa okolica bez wyjątku prawie, od Piasków aż za Krasnostaw, do Krupego, przez samą Szlachtę Aryańską, lub też innych różnowierców, była zamieszkaną.

1851, nr 181, 13 VII. Przez Rozporządzenia Kom: Rz: i Władz oddzielnych, w Zarządzie Zakładów Dobroczynnych, mianowani: Właściciel dóbr **Winc: Bielski**, Opiekunem Prezydującym w Radzie Opiekuńczej Zakładów dobroczyn: Pow: Krasnostawskiego; Właściciel dóbr Winc: Świeżawski, Pomocnik Naczelnika Pow: Krasnostawski: Roman Dziewicki, i Rachmistrz tegoż Powiatu Kajan Kułagowski, Członkami tejże Rady.

1851, nr 184, 16 VII. Przez Rozporządzenia Kom: R. i Władz Oddzielnych, w Wydz: Kom: R. S. W. i D., Uwolnieni na własne żądanie: Xiążę Adam Woroniecki, od obow: Opiekuna Prezydującego w Radzie Opiekuńczej zakładów dobroczynnych Ptu Krasnostawskiego,

1851, nr 186, 18 VII. Wyjechał z Warszawy. Burhard Jen:-Major do Krasnegostawu.

1851, nr 203, 04 VIII. Aż z dwóch stron z Lubelskiego doszły nas jednoznaczne wiadomości o gradach, jakie przed zaćmieniem Słońca, nawiedziły okolice tameczne. Owóż d. 24 z. m. przed samem południem, we wsi Hajownikach o trzy mile od Krasnegostawu, wraz z ogromną burzą, spadł **grad wielkości kurzego jaja**, wybił jarzyny dworskie i włościńskie, i zamulił łąki i pola. Taką burzą wraz z gradem poniszczyła wszelkie

zasiewy począwszy od Żulina, aż do Tomaszowa za Zamościem. W przeddzień zaś zaćmienia, dwie burze o południu nawiedziły okolice Hrubieszowskie. Spadły w tym dniu grad ważący od 10 do 24 łutów (125-300 g, średnica 6-8,5 cm). Burza ta objęła znaczną przestrzeń ziemi, i do kilkunastu wsi albo całkowicie albo częściowo zniszczyła. W godzinę po niej, na zniszczonych polach znajdowano wybite bociany, zające i różne ptastwo.

1851, nr 204, 05 VIII. Według korespondencji z Krasnegostawu, dotyczącej **zaćmienia Słońca**, dowiadujemy się, iż z dnia 26 na 27 Lipca, zjawisko to poprzedzone było błyskawicami i deszczem ulewnym całą noc. Dnia 27 Lipca o godz.: 2ej po południu, zaczęło się zmierzchać przez pół godziny, lecz prawie cały dzień deszczu nie było. Dnia 28 deszcz cały dzień padał i pochmurno było, tak, iż żadnych spostrzeżeń przez szkło kopcone robić nie można było. Nagle deszcz zaprzestał, i 20 minut na godzinę 5tą zaciemniło się tak, że w stacji bez świecy obejść się nie można było, co trwało minut pięć, czyli do minut 25 na godzinę piątą; nakoniec o 26 minut na piątą, zaczęło się wyjaśniać, co trwało minutę jedną. Dnia 28 przypadł jarmark w mieście, podczas więc zaćmienia lud zaczął uciekać i kupić się pod domami, a bydło i trzody ryk wydawały.

1851, nr 215, 17 VIII. Dnia wczorajszego o godz: 7ej wieczorem, w Kościele Archi-Katedralnym i Metropolitalnym Śgo Jana, z rąk JW. JX. Antoniego Fijałkowskiego, Biskupa Hermopolitańskiego, przyjął Sakrament małżeństwa, Antoni Jeliśa Saryusz z Olbrachcic Bielski, Dziedzic dóbr Fajslawic, Syn JJWW. Zofji z Hrabów Suchodolskich i Ignacego Bielskiego, b. Pośła Powiatu Chełmskiego, Dziedzica dóbr Wygnanowic; z Panną Jadwigą, Córką JJWW. Teresy z Schrederów, i Rzeczywistego Radcy Stanu Tomasza Le Brun. Pannę Młodą do Ołtarza prowadził JW. Radca Tajny Ignacy Turkuł, Minister Sekretarz Stanu Królestwa, z Bratem Pana Młodego Henrykiem Bielskim, a Panu Młodemu towarzyszyły Panny: Jadwiga Bielska i Cecylja Le Brun. W chwili zbliżenia się Państwa młodych do stopni Wielkiego Ołtarza, przed którym zawierany był związek, zebrani na chórze Amatorowie, wykonali na głosy *Veni Creator*, poczem dostojny Pasterz zwrócił swój głos do Nowożeńców. Liczne Duchowieństwo, a mię-

dzy tem W. JX. Kanonik Płocki Karol Boniewski, Dziekan Krasnostawski, Proboszcz z Fajslawic, wznosiło modły za długie szczęście i pomyślność tej młodej pary. Po dopełnieniu obrzędu, Pannę Młodą odprowadzili od Ołtarza obecni Ojcowie, a Pana Młodego, Matki. Nowo zaślubieni, wyjechali do dóbr Pana Młodego w Pow. Krasnostawskim.

1851, nr 220, 22 VIII. Donoszą nam z Lubelskiego, iż tam w niektórych miejscach, od czasu zaćmienia Słońca, panują nadzwyczajne i straszliwe upały, a mianowicie też w dniach: 7, 8 i 9 Sierpnia, w których robotnicy użyci do pokrycia dachu u jednego z właścicieli domów w Krasnymstawie, ledwie od godziny 3 do 6 z rana pracować mogli.

1851, nr 253, 25 IX. Powodowani wdzięcznością dla W. (**Tomasza**) **Krauze** Lekarza Medycyny Obwodu Krasnostawskiego, który znajomością swjej sztuki, i poświęceniem się, uratował życie drogiej nam osoby, składamy mu niniejszem najczulsze podziękowanie, nie widząc innego sposobu do wyrażenia naszych uczuć, za jego szczególniejszą bezinteresowność. W. K.

1851, nr 309, 21 XI. Z Krasnegostawu. Po ścisłem rozpoznaniu i przekonaniu, mamy sobie za obowiązek oddać sprawiedliwość i podziękowanie, której nikt zaprzeczyć nie może, że Pan **Woźniakowski**, Obywatel, Technik i Przedsiębiorca z Lublina, wykonał podjęte roboty w śmiałych sklepieniach, dachach i rusztowaniach, przy naszym Kościele, z talentem i znajomością sztuki. Obywatele Krasnegostawu.

1851, nr 339, 22 XII. W tych dniach wyszedł na fortepjan Mazur, *Pamiętka z Krasnegostawu*, ozdobnie litografowany w zakładzie J. V. Flecka; ułożony i ofiarowany Pannie Marji Bayer, przez G. G. amatora i znawcę muzyki, którego mazury grywane są z upodobaniem przez Rajczaka w Dolinie Szwajcarskiej.

1852, nr 70, 13 III. Jak zmienną była tej zimy aura, możemy to widzieć z wypadków stanu powietrza. I tak np., okolice Krasnostawskie, tam 10 i 11 Lutego, było w jednej z cieplarni od godziny 11-iej do 1-iej z południa, stopni ciepła 25, na dworze zaś na słońcu 23, podobne wypadki zdarzają się tylko w lecie; nakoniec w cieniu od północy, stopni ciepła 14 przy wietrze północnym. Za kilka dni znów stan rzeczy zmienił się, bo 20 Lutego spadł śnieg i korzystano z jak najlepszej sanny.

Nazajutrz, to jest dnia 21-go było stopni mrozu 12; co za skok od 23 stopni ciepła? Za dni 3, to jest 24, znowu ciepła 7 stopni. To samo z małą różnicą możnaby powiedzieć i o Marcu, tylko zimne powietrze więcej się go nieco trzymało. I tak, d. 8 nad wieczorem upadł znaczny śnieg, który przyszył noc całą. Rano ukazała się wyborna sanna, a przy wietrze północnym, było 3 stopnie mrozu. Dnia 10 Marca, to jest onegdaj, utrzymał się ten sam mróz, i dzień 40-tu Męczenników. *** W wycieczkach swoich do miast Królestwa, P. Samuel Kossowski (wiolonczelista), odwiedził także i m. Krasnystaw. Mnóstwo mieszkańców, mianowicie z okolic, ściągnęło na koncert, który dany był 16 z. m. Miłośnicy muzyki, a mianowicie PP. W.R. i F.S. składają mu imieniem wszystkich Obywateli podziękę, za zairzenie do nich i sprawienie im grą swoją nadzwyczajnego zadowolenia.

1852, nr 88, 01 IV. W dniu 10 z. m., w przejeździe (w drodze) w mieście Zamościu, po 16to-dniowej ciężkiej chorobie, opatrzona ŚŚ. Sakramentami, **zakończyła doczesne swe życie**, JW. **Ewelina z Hrabiów Kickich Maciejowska**, Dziedziczka dóbr Orłowa w Powiecie Krasnostawskim położonych. Stroskany Mąż zwłoki Jej przewióził do dóbr Rachanie, gdzie w grobach rodzinnych złożone zostały.

1852, nr 110, 25 IV. N. Pan, wynagradzając poświęcenie się niżej wymienionych osób przy ratowaniu ginących, Najłaskawiej udzielić im raczył medale srebrne z napisem: „Za uratowanie ginących”, a mianowicie: 2) Młynarzowi we wsi Wygnanowice w Pcie Krasnostawskim, **Anto: Sołowskiemu**, za wyratowanie 26 Lutego 1851 roku z objętego płomieniem domu włościanina wsi Wygnanowice Antoniego Kornet, dwu-letniej córki tegoż, Józefy.

1852, nr 117, 02 V. W Dobrach Czystejdębnie Pcie i Okręgu Krasnostawskim, jest do wydzierżawienia Gorzelnia z Propinacją, lub bez Propinacji, posiadająca Aparat Pistorjusza zupełnie nowy, na 16 korcy dziennego zacieru kartofli. Gorzelnia murowana, gętami kryta; Propinacja wynosi rocznie do 2,000 garncy Okowity. Dziedzic obowiązuje się udzielić drew potrzebną ilość, tak na opał dla Dzierżaw, jakoteż na potrzebę Gorzelni.

dr Kazimierz Stolecki

Sergiej Roslyakow

Śladami Achillesa



Północno-zachodnie wybrzeże Morza Czarnego jest znany jako miejsce kultu antycznego bohatera - Achillesa. Apollodoros zapisał, że po śmierci bohatera, został on pochowany na Białej Wyspie razem z Patroklosem, gdzie kości obydwu bohaterów zostały ze sobą wymieszane. Apollodoros pisze także, że po śmierci, Achilles, znajdując się na Wyspach Szczęśliwych, poślubił Medeę. Na mapie Abrahama Orteliusa z 1590 r. w rejonie ujścia Dniepru i Południowego Bugu zostały ukazane wyspy i półwyspy: wyspa Berezan, półwysp Bieg Achillesa - Półwysp Tendrowski, wyspa Berezan -



jeden z fragmentów Wysp Szczęśliwych. Co dotyczy się Białej Wyspy, to jest to Leuke - dzisiaj nazywana Wyspą Węży, a znajduje się naprzeciw ujścia Dunaju. Takim sposobem określiliśmy dwa główne punkty kultu Achillesa na północno-zachodnim wybrzeżu Morza Czarnego: Wyspa Węży, gdzie Achilles został pogrzebany i gdzie istniała najznakomitsza w świecie antycznym świątynia Achillesa (ruiny świątyni można było zobaczyć jeszcze w połowie XIX wieku), w której składano dary przez wszystkie przepływające statki, a drugim punktem były Wyspy Szczęśliwe. Pod latarnią, która znajduje się na zachodnim krańcu Półwyspu Tendrowskiego, znajdują się ślady drugiej świątyni Achillesa. To jest ten sam Bieg Achillesa, gdzie grecki bohater gnał za córką Agamemnona - Ifigenią.

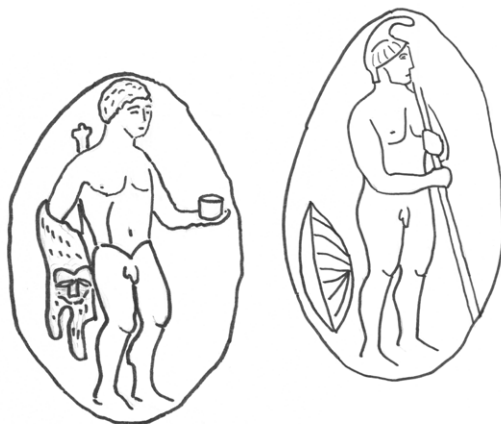


Obecnie, by móc zwiedzić ziemie Achillesa, potrzebna jest specjalna ekspedycja. Wyspa Węży przynależy Ukrainie i tam znajduje się baza wojskowa, do zwiedzenia której potrzebne jest zezwolenie władz. Do tego wyspa znajduje się dość daleko od brzegu i nieodzowne jest wynajęcie łodzi lub śmigłowca. Przy wizycie na Tendrowskim, Kinburskim Półwyspie i innych wyspach nie są wymagane specjalne pozwolenia, ale również istnieje potrzeba wynajęcia łodzi.

Do dziś nikt nie przeszedł po śladach legendarnego Achillesa, temat nie był opracowywany.

Sergiej Roslyakow

Sergiej Roslyakow, dyrektor Wojewódzkiego Muzeum Sztuki im. Wierieszczagina (Mikołajów, Ukraina), kandydat nauk historii sztuki, docent, zasłużony działacz kultury Ukrainy.



Grafika i zdjęcia ze zbiorów autora

Lucjan Cimek

Desant na... panienki. 70. rocznica inwazji alianckiej w Normandii



Projekt najbardziej zdumiewającego desantu na drugą stronę kanału La Manche, w czasie II wojny światowej, zrodził się w trakcie biesiadnej rozmowy w kwaterze dowódcy Winstona Churchilla w podziemiach gmachu brytyjskiego Ministerstwa Obrony. Zastępca szefa wywiadu wojskowego miał podobno wspomnieć marginesowo, że jedyną instytucją cywilną, która pozostała jeszcze na wybrzeżach Normandii w rejonie między Cherbourgiem a Hawrem jest luksusowy dom publiczny dla wyższych oficerów ze sztabu Rommla, obsługiwanych przez sześć urodziwych dziewcząt i zarządzającą przybytkiem rozkoszy „madame”. Uważał, że jest to wysoce zabawne.

Churchill zareagował w sposób nieoczekiwany. Przez chwilę sprawiał wrażenie głęboko zamysłonego. *Sześć dziewcząt i madame* - mruczał do siebie, a następnie podniósł głowę i stanowczym głosem oświadczył: *Sprawdźcie je szybko!*

Chociaż sprawa ta nie pozostawała w bezpośrednim związku z planami sztabu operacyjnego przygotowującego inwazję na kontynent, sztab ten otrzymał polecenie zorganizowania w styczniu 1944 r. desantu po drugiej stronie kanału. Polityczne tło tej operacji było skomplikowane. Doniesienia wywiadu sugerowały, że w wyniku nominacji Rommla na szefa grupy armii stacjonującej we Francji, doszło do ostrych konfliktów między marszałkami niemieckimi. Mówiło się, że Rommel rozczarował się w stosunku do Hitlera, a jego sztab znajduje się w tak rozpaczliwym nastroju, iż bliski jest buntu. Uważano, że „panienki” musiały słyszeć rozmowy między klientami i będzie rzeczą łatwiejszą uzyskać informacje od nich, aniżeli od samych oficerów, których zresztą nie byłoby łatwo schwytąć.

Miały być więc dokonane dwa ataki lotnicze, mające na celu wsparcie dwóch niewielkich desantów dywersyjnych w rejonach położonych około 10 lub 15 mil na wschód i zachód od celu, jakim był pewien punkt pomiędzy wybrzeżem a miasteczkiem Lisieux. W myśl planu, te wsparte z po-

wietrza akcje dywersyjne miały odciągnąć uwagę przeciwnika w chwili, gdy niewielka główna grupa uderzeniowa wyląduje w ściśle określonym miejscu. Niektórzy doświadczeni oficerowie sądzili, że chodzi tu być może o próbę schwytania Rommla.

Oddziały, które miały być użyte do akcji dywersyjnej, nie były powiadomione o celu tego przedsięwzięcia. W przeddzień operacji zwołano do siedziby sztabu oficerów głównej grupy uderzeniowej i powiedziano im jaki łup mają przywieźć ze sobą. Polecono im jednak, by swych żołnierzy poinformowali o tym dopiero w drodze. Oświadczono, że ich zadaniem jest „uratowanie” pewnej liczby kobiet, utrzymywanych w charakterze niewolnic przez oficerów sztabu Rommla, którzy odwiedzali je każdej nocy i zniewalali je. Należy je dostarczyć całe i zdrowe do Anglii.

Desantowcy nie napotkali żadnego oporu i bez kłopotu załadowali przerażone i zdumione panienki do ciężarówek, tłumacząc im przy tym, że wszystko to czynią dla ich własnego dobra. Wszystkie dziewczęta, z wyjątkiem jednej, która zgodnie z regulaminem miała dzień wolny od pracy, dotarły do Wielkiej Brytanii, gdzie zostały ulokowane w tajnym ośrodku przesłuchań. Naciskane przez oficerów wywiadowczych „Wolnej Francji”, przypominały sobie o wiele więcej na temat zasłyszanych rozmów, aniżeli autorzy desantu mogli się spodziewać. Relacje ich potwierdziły to, co głosili niemieccy spiskowcy antyhitlerowscy. A mianowicie, że mają oni znaczne poparcie wśród wysokich rangą oficerów sztabowych podlegających marszałkowi Rommlowi i generałowi Stuelpnagelowi, gubernatorowi wojskowemu Francji, przy czym obaj ci dowódcy najprawdopodobniej (co się zresztą później sprawdziło) byli uczestnikami spisku.

Informacje te nie tylko rzuciły światło na morale przeciwnika w przeddzień inwazji, ale stanowiły również bezpośrednie potwierdzenie poszlakowych dowodów, znajdujących się w teczках alianckiego wywiadu oraz były zapowiedzią zamachu na życie Adolfa Hitlera w jego kwaterze wojennej na Mazurach, zwanej „Wilczym Szańcem” (Wolfschance). Zamach doszedł do skutku 20 lipca 1944 r. - niestety, bez powodzenia.

W wyniku tego desantu władze wojskowe znalazły się w wysoce kłopotliwej sytuacji. Dziewczęta francuskie niełatwo podporządkowały się dy-

scypplinie. Utrzymywanie ich w niewoli było rzeczą bardzo przykrą, ale zwolnienie ich było też wysoce ryzykowne. Zostały one zwolnione dopiero po skutecznej inwazji na kontynent europejski.

Do działań inwazyjnych, opatrzonych kryptonimem „Overlord”, przeznaczono w pierwszej fazie 36 dywizji, 10 samodzielnych brygad pancernych i 11 tys. samolotów, 700 okrętów wojennych różnych klas, w tym 6 pancerników, 22 krążowniki i 93 niszczyciele, eskortowało przez kanał La Manche największą w dziejach flotę desantową, zestawioną z około 4300 jednostek pływających, od statków oceanicznych po ciężkie barki. Pośród krążowników znalazł się polski „Dragon”, a pomiędzy niszczycielami - „Błyskawica”, „Piorun”, „Krakowiak” i „Ślązak”. Polski krążownik „Dragon” 8 lipca 1944 r. został tak ciężko uszkodzony przez niemiecką „żywą torpedę”, że zaniechano remontu okrętu i przeznaczono go do wtopienia w falochron sztucznego portu. Załoga, z wyjątkiem 37 poległych, z czasem przeszła na drugi polski krążownik; był to brytyjski „Danae”, który po przekazaniu polskiej Marynarce Wojennej otrzymał nazwę „Conrad”. Tak uczczono największego w literaturze światowej pisarza morskiego, Józefa Conrada Korzeniowskiego.

Natomiast „panienki”, za wkład w walkę nad rozgromieniem faszyzmu, zostały odznaczone wysokimi odznaczeniami francuskimi.

*Na podstawie tygodnika „Sunday Times”
i „Wielkich dni małej floty” J. Pertka
- opracował Lucjan Cimek.*



„Zaljubjeni”, Emilia i Stoјče Tocinovski
ze stolicy Macedonii Skopje.

Irena Iwańczyk

Kontakty mojej rodziny z Rosjanami



Olimpiada sportowa w Soczi, złote medale zdobyte przez Kamila Stocha, Justynę Kowalczyk i Zbigniewa Bródkę, siedmioletnia budowa ośrodka sportowego budowanego podobnie jak Petersburg, a więc analogia Soczi i Petersburga, gdzie jeszcze przed Rewolucją Październikową mieszkała wraz z mężem i dwojgiem dzieci siostra mojego dziadka, przekonały mnie, że powinnam napisać o związkach mojej rodziny z Rosją i Rosjanami, które znam bardzo dobrze, gdyż wielokrotnie mi je opowiadali moi dziadkowie.

Na wstępie parę słów o rodzinie. Jest ona najważniejszą wartością w życiu człowieka, a każda ma swoją historię, czyli sagę, często tajemniczą, romantyczną lub tragiczną, a czasem i jedną, i drugą. Warto znać swoje drzewo genealogiczne i warto je opisać, a więc podzielić się wielopokoleniowym życiem z innymi, a szczególnie z młodym pokoleniem, by młodzi uczyli się jak żyć, bo choć przeczytaliśmy wiele książek, życie nigdy nie będzie zgłębione do końca. Bywa, że rodzice przekazują swoje doświadczenie dzieciom, które korzystają z ich rad, inne nie chcą korzystać, kierują się swoim rozumem, ucząc się na błędach, a gdy nieco zgłębią tę najtrudniejszą sztukę, jest już za późno, bo życie jest chwilą we wszechświecie, dlatego dany nam czas i zdolności należy wykorzystać do maksimum.

Nie można żyć tylko konsumpcyjnie, trzeba ciągle rozwijać swoją duchowość, bywa, że niektórzy z nas pod koniec życia stwierdzają „Zmarnowałem życie, nie zaznałem szczęścia”. Mówią to czasem i ci, którzy żyli w luksusach. Dlaczego tak mówią? Myślę, że tęsknią za tym, czego jeszcze nie zaznali, za mało mieli czasu. Nawet bardzo starzy ludzie uważają, że ich życie jest tak krótkie, jakby ktoś otworzył i nagle zamknął drzwi. Taka jest natura człowieka, który chciałby żyć wiecznie. A dane jest nam tylko zakosztować życia, a nie nasycić się nim do końca. Uważam, że historia każdej rodziny zasługuje na uwagę. „O przeszłości nie pisze się dla niej samej, lecz dla przy-

szłości, a raczej dla człowieka ponadczasowego”.

W mojej rodzinie, aż trzy pokolenia miały kontakty z Rosją. Zacznę od najstarszych, od moich dawno już nieżyjących dziadka i babki. Stary dom po rodzicach mojego dziadka, Józefa Berdaka, krył w sobie smutną historię. Będąc dzieckiem, często odwiedzałam moje dwie ciotki Anielę i Zofię, mieszkające w tym domu. Rodzice dziadka mieli kilka hektarów pola i pięcioro dzieci - cztery córki i jednego syna. Należeli do zamożnych ludzi we wsi. Niestety, nagle zmarł ojciec w wieku 45 lat. Została wdowa z gromadką dzieci, zupełnie bez środków do życia, bo brat jej męża, a stryj dzieci zawłaszczzył ziemię po zmarłym bracie. Marcin Berdak, ślepy na jedno oko, nie miał litości, zostawił rodzinie tylko stary dom i mały skrawek ziemi otaczający chatę krytą słomą. Wdowa nie miała pieniędzy, by się procesować. Chciał jej przyjść z pomocą pop ze szczebrzeszyńskiej cerkwi, obiecał, że na pewno wygra sprawę pod warunkiem, że wdowa wraz z dziećmi przejdzie na religię prawosławną, ale kobieta się nie zgodziła.

Po wielu trudach i chorobach, rodzinie przyszła z pomocą hrabina Zamoyska. Piętnastoletniego Józefa oddała do terminu kowalskiego, do Stanisława Klimka do Biłgoraja, córki - do szkoły podstawowej do Szczeczeszyna. Aniela, po ukończeniu szkoły nauczyła się krawiectwa. Trochę też pracowała jako nauczycielka w Zaburzu. Bardziej jednak odpowiadała jej praca krawcowej. Zofię zatrudniono w pralni przy pałacu w Michalowie, a Różę i Annę - w pałacu Zamoyskich w Warszawie.

Mój dziadek, Józef Berdak, gdy uzyskał kowalski dyplom rzemieślniczy, podjął pracę w kuźni Jana Pańczyka, który miał cztery córki i syna Stanisława. Obaj chłopcy już od najmłodszych lat żyli w przyjaźni. Odtąd warunki rodziny Józefa nieco się poprawiły, a on zakochał się w najpiękniejszej z córek Pańczyka, Katarzynie i marzył o małżeństwie.

Niestety, Jan Pańczyk po paru latach, mając na uwadze lepsze warunki życia, za poradą swoich szwagrów,

a szczególnie Franciszka Szewczyka, postanowił wraz z rodziną wyjechać do Rosji. Był to okres zaborów. Sprzedał więc dom, budynki gospodarcze i kilka hektarów ziemi. Z uzyskanymi pieniędzmi furmankami wyruszyli w drogę. Podróż była bardzo długa

i niebezpieczna. Po wielu trudach dotarli do dużego miasta Orła, a stamtąd do wsi Konubry. Tam Jan Pańczyk, kupił dom, budynki gospodarcze, ziemię orną i trochę lasu, wybudował też kuźnię. Wraz z synem Stanisławem wykonywali roboty kowalskie, a także uprawiali rolę. Rodzinie dobrze się powodziło, czym zwracała uwagę Rosjan. Dziewczęta gustownie i ładnie ubierały się. Wkrótce znalazł się konkurent do ręki Kasi. Był nim rosyjski porucznik Sasza Demianin, oświadczył się dziewczynie i prosił ojca o zgodę na małżeństwo. Niestety, ojciec był przeciwny, czekał na zięcia Polaka, a i Kasia miała w sercu innego.

A mój dziadek, będąc w Polsce nie miał żadnych wiadomości o losie rodziny Pańczyków, bardzo tęsknił za ukochaną dziewczyną. Jako kowal pracował u swojego mistrza Klimka w Biłgoraju i choć w tym mieście poznał wiele dziewcząt, ciągle myślał o Katarzynie. Szukał więc sposobu, jak by ją odnaleźć. Wypytywał o nią krewnych Pańczyków i różnych ludzi. Niestety, nikt nic nie wiedział. Mawiał: „Odnaleźć ją, to tak, jakby szukać szpilki w stogu siana. Rosja jest taka wielka”.

Wreszcie zaświtała mu myśl, że przecież jego siostra Róża Stühler od kilku lat mieszka w Petersburgu. Na pewno też zna wielu Polaków, może oni coś wiedzą o jego ukochanej, a pisanie listu i czekanie na odpowiedź będzie zbyt długo trwało. Zdecydował, że napisze list do siostry, trochę poczeka, by ona rozeznała się w jego sprawie i pociągami pojedzie do niej, do Petersburga, przecież ma jej



Franciszek Szewczyk, szwagier dziadka



Józef Berdak



Róża Berdak-Stühler, 1900 r.

adres. „Koniec języka, za przewodnika” - mawiał zakochany i odważny młodzieniec. I tak zrobił, wyruszył w nieznaną drogę. Po długiej podróży dotarł do Petersburga. Największe trudności miał z odnalezieniem domu, w którym mieszkała jego siostra z mężem i dwójgiem dzieci. W końcu odnalazł rodzinę. Radość była wielka, łzy szczęścia popłynęły z oczu rodzeństwa.

- Wreszcie mam mojego, jedyne, ukochanego brata. Przywiołeś mi ze sobą Polskę. Moje dzieci, choć w szkole posługują się świetnie językiem rosyjskim, w domu mówią po polsku. Aleksander chce być oficerem, jak jego ojciec, Marysia - nauczycielką. Jestem szczęśliwa, mam udaną rodzinę. Józiu, otrzymałam twój list pełen rozpaczy, ale i miłości, i wierności. Jesteś jak Don Kichot, poszukujący Dulcyniei albo jak Romeo, który utracił Julię. Przecież w Polsce w każdym mieście i w każdej wsi jest tyle pięknych dziewcząt, a ty tułasz się po świecie i szukasz Kasi jak w korcu maku.

- Siostrzyczko, nie ma słów, którymi mógłbym wyrazić ogrom miłości. Ona ma wielką moc, pomogła mi pokonać trudy podróży i działa jak narkotyk. Nie ma nic piękniejszego ponad jej czar, ona jest silniejsza niż śmierć. Ja muszę ją odnaleźć, ale czy masz jakieś rozeznanie o losach polskich emigrantów? - zapytał brat.

- Nie na tyle, bym mogła coś wiedzieć o twojej ukochanej. Rozpytywałam wśród naszych tu, w Petersburgu, dowiedziałam się, że duża część Polaków, przybyłych z Lubelszczyzny, osiedliła się w okolicach miasta Orła na wsiach, bo to przecież najczęściej są rolnicy. W Orle mieszkają moi znajomi, dam ci do nich adres, w drodze powrotnej do Polski, wstąpisz do nich, może Ci pomogą.

- Świetnie - uradował się brat - to już coś mamy. Długo u ciebie nie zabawię, udam się do Orła, do twoich znajomych. Mam przecucie, że jestem na dobrej drodze, a w tobie, siostrzyczko oparcie.

- Józiu, doprawdy zachowujesz się jak szalony, dopiero przyjechałeś, a już chcesz nas opuścić. Musisz się nacieszyć moją rodziną, poznać piękne i zabytkowe miasto, do którego przybyłeś po raz pierwszy, i nie wiem, czy jeszcze kiedyś tu będziesz. Petersburg to niesamowite miasto, wielki port nad Zatoką Fińską, liczy prawie dwa miliony mieszkańców, ośrodek przemysłowy, kulturalny



Petersburg - widok na Nowę.

i naukowy, węzeł komunikacyjny. Posiada uniwersytety, muzea, a największe muzeum to Ermitaż, jest też Pałac Zimowy, twierdza petropawłowska z soborem, giełda morska, sobór Kazański, pałac senatu i synodu, a ile teatrów, parków, placów,



Petersburg - centralna aleja Letniego Parku.

pomników, nie sposób wszystkiego zapamiętać i wymienić. Nie wiem, czy damy radę tak wiele obejrzeć, a i udźwignąć to wielkie i niespotykane piękno, którym nasycimy nasze dusze po brzegi. Wiem, że kochasz zabytki, lubisz podróżować i zwiedzać, to twoja pasja, którą zapamiętałam na zawsze. Masz więc okazję zobaczyć to, czego oko nie widziało, a miliony ludzi nigdy nie obejrzą. Myślę, że obrazy tego miasta na zawsze zapadną w twoją duszę.

- Siostrzyczko zgadzam się, ale jeszcze chciałbym się dokładnie dowiedzieć, jak to się stało, że znalazłaś się tak daleko od Polski. Wprawdzie co nieco pisałaś w listach, ale chciałbym się dowiedzieć trochę więcej.

- Otóż wiadomo ci, że razem z siostrą Anną byliśmy zatrudnione u Zamoyskich w pałacu na Nowym Świecie w Warszawie. Anna w czasie wielkiego upału wymoczyła sobie nogi w zimnej wodzie, a była bardzo rozgrzana i spocona, dostała gruźlicy i choć ją leczono, zmarła i pochowano ją

na cmentarzu na Bródnie w Warszawie, o czym zawiadamiałam całą rodzinę. Zostałam więc bez siostry, było mi przykro i smutno. Gdy miałam wolną od pracy niedzielę, czasem udawałam się na spacer do Ogrodu Saskiego. Pewnego razu, a dzień był wiosenny i słoneczny, idąc aleją, myślałam o zmarłej siostrze, nie patrzyłam na ludzi siedzących na ławkach, żal mi było, że świat taki piękny, a Anna już go nigdy nie zobaczy. Nagle jakiś żołnierz stanął przede mną. Spojrzałam, porucznik z trzema gwiazdkami, rosyjski oficer. Oczywiście zasalutował i przedstawił się „Jestem Sasza Stühler” - powiedział. Był grzeczny, proponował spotkania, na których mnie adorował i przekonywał o swojej miłości, którą i ja odwzajemniałam. Byliśmy zakochani. Okazało się, że jest niemieckiego pochodzenia, jego rodzice mieszkają w Petersburgu, tam, gdzie on się urodził. Po dwu miesiącach znajomości wzięliśmy ślub i przyjechaliśmy do Petersburga. Tu na świat przyszły moje dzieci. Sasza pracuje w wojsku, a syn Aleksander i córka Marysia chodzą do szkoły. Ot i wszystko. A teraz ty mi opowiedz, jak żyją moje siostry Aniela i Zosia?

- No cóż, obie mieszkają razem w Michalowie, w tej naszej starej chacie, gdzie jest zawsze czysto i schludnie, a często tłoczno. Aniela jest krawcową i znachorką, pomaga ludziom zwalczać choroby za pomocą ziół, pijawek, chińskiego grzybka oraz spalania Inu. Służy też radą. Zofia pełni rolę gospodyni. Ich otoczenie i dom tętni życiem, bo każdy człowiek znajdzie u nich poczęstunek, radę i pocieszenie i za małe pieniądze Aniela uszyje w zależności od potrzeby, różne ubrania. Dookoła domu rosną wiśnie, a ogródek latem tonie w różnorodnych kwiatkach i krzewach jaśminu. W ich lśniącym od czystości domu każdy znajdzie odpoczynek. Obie siostry przyszyły i wychowały do pełnoletności sierotę, daleką krewną ze Skiernewic. Z Anielą koresponduje jej koleżanka ze szkoły Janka Kwiatkowska z Deszkowic, od wielu lat mieszkająca w Kanadzie. Przysyła jej paczki, a nawet dolary. Cieszę się siostrami, bo mają szacunek i uznanie u ludzi. Ale i ty, Rózo, zaskoczyłaś mnie. Raduje się moje serce, że masz tak udaną i piękną rodzinę, tylko szkoda, że nasza siostra Anna tego nie widzi.

Rozmowom nie było końca, często siostra z bratem rozmawiali do późnej nocy, do rozmowy

włączał się też Sasza, mąż Rózy i dzieci. Najwięcej czasu poświęcili na zwiedzanie miasta. Olśniewające i wyrafinowane piękno architektury, teatrów, hoteli, dworców, mostów na Newie, soborów, Ermitaża, fontann, licznych rzeźb, parków wywarły na zwiedzającym ogromne wrażenie. Józef ciągle powtarzał:

- To wszystko jest wprost porażająco piękne. Nie mogę wyjść z podziwu. Znalazłem się nie wiem gdzie - na ziemi, czy w niebie? Gdzie ja jestem? Jak można było wybudować tyle tak potężnych i pięknych budowli i tak wspaniale wszystko zaprojektować. Podziwiam tych architektów, urbanistów i wszystkich ludzi, którzy zbudowali miasto cara Piotra I.

- Najbardziej zdumiewa - wtrąciła się Róża - że Petersburg zbudowano na bagnach, które zasypano ziemią, a budynki wzniesiono na palach.

- Myślę, iż ci ludzie mieli siłę tytanów i niesamowite talenty, jak bogowie dokonali wielkich dzieł - mówił Józek. - Wprost nie do wiary, że Petersburg jest dziełem ludzkich rąk. To wszystko zakrawa na cud.



Petersburg - Ermitaż.

Ogromne też wrażenie wywarł na nim Ermitaż. Tu oglądali dzieła najlepszych artystów świata: Leonarda da Vinci, Rafaela Santi, El Greca, Claude Moneta, Camille'a Pissarra i innych artystów, nie sposób wszystkich wymienić. Były to obrazy: Madonny z Dzieciątkiem, portrety postaci biblijnych i świętych, sytuacje, martwa natura, a wszystko naturalne, jak żywe, tylko dotknąć. Patrząc na obrazy, ulegali ich tajemniczemu urokowi. Przy obrazie Caravaggia „Grający na lutni” siostra i brat zatrzymali się dłużej, by podziwiać urodę młodzieńca i odbicie jego przeżyć w muzyce tęsknej i rzewnej. Z kolei, patrząc na obraz „Pieta” Paolo Caliari’ego, odczuwali ogromny smutek i współczucie dla Mat-

ki Bożej, która opłakiwała śmierć syna, Chrystusa. Oglądając coraz to nowe obrazy, brat z siostrą ciągle dzielili się swoimi wrażeniami.

- A wiesz, Rózo - mówił brat - przekonałem się, jak bardzo sugestywnie te dzieła sztuki działają na człowieka. Wprawiają w taki podziw, że czuję się jak zahipnotyzowany. Tu znajduję się w jakimś innym świecie, w świecie postaci z obrazów, ale myślę też o twórcach, o wyjątkowo utalentowanych artystach, o geniuszach, którzy, choć minęły wieki, przemawiają do nas i przemawiać będą do następnych pokoleń swoimi dziełami.

Długo zwiedzali Ermitaż. Stamtąd udali się na odpoczynek do centralnej alei Letniego Parku, ozdobionej kopiami posągów antycznych z mitologii greckiej. Wieczorem wrócili do domu. I tak przez kilka dni zwiedzali ciągle coś innego.

Pobyt mojego dziadka Józefa Berdaka u siostry Róży Stühler przedłużył się do trzech tygodni. Wreszcie z adresem do Wiktora Gołębiowskiego, polskiego emigranta z Lublina, wyruszył pociągami do Orła. Znajomość języka rosyjskiego ułatwiła mu odnalezienie rodziny Gołębiowskich.

Było to małżeństwo w średnim wieku, mieli troje dzieci. Córnka Ola uczęszczała do szkoły podstawowej, a dwaj synowie - Jerzy i Artur byli dorastającymi młodzieńcami. Antoni Gołębiowski, krawiec z zawodu i jego żona Halina, gdy dowiedzieli się, że Józef Berdak jest Polakiem z Lubelszczyzny i bratem Róży Stühler, bardzo się ucieszyli i ugościli przybysza, a nawet zaproponowali mu dwa dni pobytu w Orle dla zwiedzania miasta.



Oka i widok na miasto Orzeł.

Miasto Orzeł, położone nad Oką, liczyło wtedy 100 tysięcy ludności, miało wiele uroku, zażytkowe, prawie czterystuletnie budowle i pomniki,



Orzeł - Muzeum W. A. Rusanowa.

muzea, teatry, hotele, warsztaty usługowe, restauracje, sklepy, a wszystko w otoczeniu drzew, parków, kwiatowych rabat, budziło zachwyt. Podczas zwiedzania miasta, gdy dokuczał upał lata, obaj mężczyźni usiedli na ławce w cieniu drzew, by odpocząć. Antoni Gołębiowski ciągle wypyttywał o Polskę. Gdy mężczyźni byli zaabsorbowani rozmową, oczywiście w języku polskim, nagle podszedł do nich jakiś człowiek.

- O Boże, słyszę polską mowę! Panowie, skąd jesteście? - zapytał.

- My z Lubelszczyzny. Ja mieszkam od paru lat w Orle - rzekł Antoni. - A ja jestem spod Zamościa z Michalowa - powiedział dziadek. - Byłem u siostry w Petersburgu, a teraz poszukuję rodziny Pańczyków i spokrewnionych z nimi Kowalskich, Daniłowiczów i Szewczyków.

- Panie, masz Pan szczęście toż, to oni wszyscy mieszkają tam, gdzie i ja, w dużej wsi, w Konubrach, 30 km od Orła, a Pańczykom najlepiej się powodzi. Jestem furmanką, mogę Pana zabrać ze sobą.

- Chyba Bóg mi Pana zesłał - rzekł Józef. Pożegnawszy się z rodziną Gołębiowskich, dziadek wsiadł na furmankę Tomasza Popielca i wyruszyli w dalszą drogę. Jechali przez rozległe przestrzenie, rozmawiając o Polsce i podziwiając piękno przyrody.

Dość duża wieś Konubry leżała w otoczeniu pól i lasów. Po dwu stronach drogi rozłożone były zabudowania. Przed okazałym budynkiem woźnica zatrzymał konie i wskazał ręką na dom, w którym mieszkała rodzina Pańczyków.

Dom, budynki gospodarcze i cały okólnik, ogrodzony drewnianym płotem, przypominały

polską, dobrze utrzymaną zagrodę świadcząca o dobrej kondycji gospodarzy. Na odgłos otwieranej przez Józefa furtki, młode dziewczęta wybiegły przed dom. Śmiech, uściski, krzyk radości, a nawet łyż towarzyszyły powitaniu. Ogromne szczęście Józefa i Katarzyny przepełniało ich serca. Padli sobie w ramiona, ściskali się i całowali, jakby dalej nie dowierzając, że to o czym marzyli jest faktem, że po trzech latach niewidzenia wreszcie odnaleźli się. Cztery siostry Katarzyna, Marynia, Aniela i Teresa, a także ich brat Stanisław, przyjaciel mojego dziadka, oraz rodzice Zofia i Jan Pańczykowie byli zachwyceni i niemal wstrząśnięci tym, że zwyciężyła miłość. Przybyli krewni i wielu Rosjan, pytali: „Co się dzieje? Kim jest ten młodzieniec?” Wszyscy odpowiadali chórem: „Polak, narzeczony naszej Kasi, szukał jej trzy lata i dopiął swego”. Wtedy mężczyźni chwycili dziadka i zaczęli podrzucać go do góry z okrzykiem: „Sto lat dla bohatera. Zwycęstwo miłości!”. Ludzi ciągle przybywało, niemal cała wieś uczestniczyła w spotkaniu. Oczywiście był poczęstunek, gorzałka i piękne śpiewy: „Oczy czornyje, oczy rzguczije i prekrasnyje, oczy czornyje... kak lublju ja was, kak bajus ja was...”, a także „Wołga, Wołga, mać radnaja, Wołga ruskaja riek...” Ten dzień zapadł w serca młodej pary na zawsze, do końca swoich dni, zawsze sobie wierni, z przyjemnością wspominali to spotkanie po długiej rozłące.

Wkrótce, bo we wrześniu 1915 roku, w kościele w Orle odbył się ślub Józefa z Katarzyną. W uroczystości uczestniczyli mieszkający w Konubrach Polacy i Rosjanie. Odtąd Józef stał się członkiem rodziny Pańczyków i razem z teściem i szwagrem pracował w kuźni. 1 stycznia 1917 roku urodziła się tam moja mama Helena i wkrótce została ochrzczona w kościele katolickim w Orle.

Niestety, radość, szczęście i dobrobyt trwały krótko. W 1917 r. wybuchła Rewolucja Październikowa. Pradziadka, właściciela gospodarstwa i kowala uznano za pomieszczyka (bogacza), na podwórzu, przed własnym domem rozstrzelano go, prababka zmarła na atak serca. Pochowano ich na cmentarzu w Orle. Gdy podpalono im kuźnię i budynki gospodarcze, musieli ratować swoje życie. Naprędce rodzina Pańczyków, Berdaków i krewni opuścili wieś Konubry. Podzielili się na dwie grupy, licząc, że ktoś z nich ocali życie i dotrze do Polski.

Moja babka Katarzyna z dziewięciomiesięczną córką Heleną oraz z dwiema siostrami Anielą i Marynią wracali do kraju pociągiem. Reszta rodziny i krewni udali się do Polski czterema furmankami. W drodze zatrzymywali ich czełkiści, sprawdzali dokumenty, rewidując zabierali, co im się podobowało. A gdy krewny rodziny Pańczyków Wincenty Daniłowicz nie chciał oddać koni, rozstrzelali go. W czasie tej podróży zmarła też żona Stanisława Pańczyka, zostawiając trzyletniego synka sierotą. Po wielu trudach i z narażeniem życia dwie grupy rodzin dotarły do Michalowa - babka z dzieckiem i siostrami, dziadek i reszta rodziny furmankami. Żalowali nieżyjących rodziców oraz dwojga krewnych Feliksy Pańczyk i Wincentego Daniłowicza, których ciała zostały w ziemi rosyjskiej. Dziękowali Bogu za cud ocalenia i z trwogą wspominali straszną masakrę, którą zapamiętali na zawsze. Życie trzeba było zaczynać od nowa. Z dawnego dobrobytu zostały tylko zaoszczędzone i dobrze przechowane ruble, za które dziadek kupił dom, zabudowania gospodarcze i 50 arów ziemi.



Katarzyna Berdak



Metryka urodzenia Heleny Malec, wydana w Orle w 1917 r.

Założył kuźnię i przyjął czeladników. Sam też został podkuwaczem koni u hrabiego Zamoyskiego. Tu przyszło na świat jeszcze troje dzieci: Stefania, Jan i Józef. Dziadek poszukiwał swej siostry Róży, jej męża i dzieci, niestety do końca życia ich nie odnalazł.

Rodzina była na dorobku, wtedy ziemia dla każdego mieszkańca wsi miała ogromną wartość, a dziadek, mając czworo dzieci, chciał każde z nich wyposażyć ziemią, więc często kupował po kilka arów. Starał się również, by każde z nich zdobyło zawód. Gdy dzieci dorosły, obie córki Helena i Stefania wyszły za mąż również za kowali, a syn Jan też nauczył się od ojca rzemiosła i był mistrzem w podkuwaniu koni. Michał Malec, mój ojciec, wraz z teściem i szwagrem pracowali w kuźni mojego dziadka. A drugi zięć Lucjan Głowacki założył własną kuźnię. Młodzi małżonkowie z pomocą rodziców wybudowali własne domy i budynki gospodarcze.

Anajmłodszy syn Józef studiował na UMCS-ie w Lublinie, początkowo był nauczycielem, a następnie kierownikiem zaopatrzenia w tłuszczowni w Bodaczowie. Synowie również założyli rodziny. Dziadkowie doczekali się czworga wnuków i dwojga prawnuków. Dziadek zmarł w wieku 76 lat, a babcia doczekała dziewięćdziesiątki.

Tak więc w największym skrócie przedstawiłam kontakty mojego najstarszego pokolenia z Rosją. A teraz kolej na następne związki, mojej najbliższej rodziny tj. ojca Michała Malca i mamy Heleny Malec, z Rosjanami.

Jest rok 1945, Niemcy wycofują się z Rosji i Polski. Wtedy miałam 9 lat, gdy zawitał do naszego domu żołnierz radziecki. Przedstawił się, że jest Gruzinem pilotem, a nazywa się Jasza Jakowlew (Яша Яковлев) i poszukuje kwatery. Podobał mu się nasz domek z gankiem, więc chciałby u nas zamieszkać. Poinformował nas, że samolot „kukurużnik”, którym on lata jest na lotnisku w Klemensowie, tam też znajduje się jego sztab wojskowy.

Młodzieniec, w wieku ponad 20 lat był przystojny i sympatyczny, więc rodzice zgodzili się przyjąć go na sublokatora. Pamiętam to pierwsze z nim spotkanie. Jasza wkrótce stał się członkiem naszej rodziny, wesoły dowcipny, często śpiewał, lubił tańczyć. Wnosił radość do naszego domu. Bywało tak, że lecąc samolotem, zniżał lot i krążył



Helena i Michał Malcowie, Jasza Jakowlew, 1945 r.

nad naszym domem, wtedy machaliśmy do niego rękoma, a on do nas. Proponował też mojemu ojcu, by przejechał się z nim „kukurużnikiem”, więc obaj poszli na lotnisko do Klemensowa, ale ojciec, gdy obejrzał z bliska samolot bez kabiny, nie odważył się na lot.

Jaszę, którego koledzy Rosjanie nazywali „Starszyna”, czyli podoficer, odwiedzał w naszym domu jego brat - lekarz wojskowy, Sasza Jakowlew. Pilot zadomowił się i zaprzyjaźnił z nami i szukał sposobu, jak by pozostać w Polsce, co było jego wielką tajemnicą, tylko mojemu ojcu o tym powiedział. Wkrótce, za zgodą swoich przełożonych zajął się handlem. Kupował od chłopów tytoń i woził samochodem do Lwowa, gdzie sprzedawał, z czego miał zysk. On był zadowolony i plantatorzy także, bo otrzymywali zapłatę. Ze Lwowa przewoził produkty spożywcze i różne przedmioty, jak patefon, rower damski, zegarek itp. Kiedy wracał, zapraszał sztab oficerski na spotkania towarzyskie do naszego domu. Wtedy mama piekła ciasto, kurczaki, gotowała bigos i podawała gościom. Przychodzili wyżsi rangą oficerowie. Rosjanom bardzo smakowały polskie potrawy. Przez dłuższy czas Jasza uskladał walizeczkę rubli, ale ktoś zapewne zazdrosny, że pilotowi dobrze się układa, zdradził go. Wkroczyło NKWD, zrobili w naszym domu rewizję, szukali wszędzie, nawet i w budynkach gospodarczych, ale niczego nie znaleźli. Zabrali patefon i płyty, a „Starszynę” zaaresztowali. Zamknęli go w jednym z pomieszczeń folwarcznego magazynu w Michałowie. Agdy na Boże Narodzenie, wysłana przez rodziców, poszłam do uwięzionego, by zanieść mu produkty spożywcze, nie pozwolono mi na widzenie się z nim, a w tym, co przyniosłam,

szukali zapewne jakiejś informacji, rozrywając nawet pączki.

Jako już 9-letnia dziewczynka cierpiałam z powodu krzywdy, która go spotkała. A najbardziej wtedy, gdy przyprowadzono go w kajdankach, pod strażą, do szkoły, do której uczęszczałam. Podczas przerwy między lekcjami zobaczyłam naszego pilota, jak szedł do kancelarii na przesłuchanie, omal nie zemdlałam. Ta sytuacja była dla mnie i dla moich rodziców ogromną tragedią, ale nie mogliśmy mu pomóc, byliśmy bezradni. Wkrótce wywieziono go do Lwowa i zapewne umieszczono w więzieniu.

Po latach dotarł do nas od Jaszy list, był zniszczony, pisany ołówkiem, bez znaczka, zapewne komuś podany, bo nie przyszedł pocztą. Jasza pisał, że jest w więzieniu, ale po pieniądze wróci. Mama pieczołowicie strzegła cudzych oszczędności, a można było za nie kupić majątek. „Starszyna” już nigdy się nie odezwał. Po wymianie rubli pieniądze spalono w piecu. Kiedy dorosłam i byłam już nauczycielką, poszukiwałam go poprzez gazetę „Prawdę”, bez skutku. Może zginął gdzieś w łagrach, bo gdyby żył, odezwałby się do nas. Rodzice, gdy żyli, często go wspominali, ja dotąd o nim myślę.

Wreszcie przyszła kolej na najmłodszych. Nie tak dawno, moja córka Kasia, to już trzecie pokolenie, zaprzyjaźniła się z koleżanką Maszą (Marią) Aleksandrową z Orła, gdzie moi dziadkowie brali ślub i gdzie była chrzczona moja mama

i gdzie na cmentarzu zostali pochowani moi pradziadkowie. Kasia korespondowała z nią kilka lat, pisały o sobie, przesyłały fotografie, widokówki, kalendarze i inne drobiazgi. Jedna i druga chodziły do szkoły muzycznej, uczyły się gry na pianinie. Obecnie obie są dorosłe, mają własne rodziny i podobne zainteresowania. Kasia mieszka w Kalifornii, w Bueno Venturze, a Masza w Orle. Obie marzą o spotkaniu.



Katarzyna Iwańczyk, 1990 r.

Dzięki znajomości mojej córki z Maszą, zawsze miałam i dotąd mam nadzieję, że pojedę do Orła i odwiedzę Konubry, miejsce, gdzie żyli moi przodkowie i gdzie urodziła się moja mama. Jak widać, życie dostarcza historii ciekawszych niż fikcja. Różne są dzieje człowieka: jedne przez nas zaplanowane, inne zaskakujące, jakby przeznaczone przez los. Często towarzyszy nam radość, smutek, a nawet i rozpacz. Wszystko to dźwigamy na swoich barkach, ale nigdy nie należy się załamywać, bo warto żyć, choćby dla jednej chwili szczęścia, a tyle jest piękna wokół nas. Zarówno w chwilach szczęścia jak i rozpacz zawsze należy mieć kontakt z drugim człowiekiem, bez względu na to jakiej jest narodowości. On wzmocni radość i osłabi cierpienie. Dzielimy się sobą, tym, co w nas jest, bo jesteśmy najlepszym lekarstwem dla drugiego człowieka.



Maria Aleksandrowa, 1990 r.

Irena Iwańczyk
zdjęcia z archiwum rodzinnego

Leszek Janeczek

Pielgrzymka z Krasnegostawu do Ziemi Świętej na zakończenie Roku Wiary odbyta w dniach 23.11.-01.12. 2013 r.



Sobota, 23.11.

Krasnystaw - Warszawa - Tel Aviv - Nazaret

Zanim szarzącym porankiem wyjedziemy z Krasnegostawu, uczestniczymy we mszy świętej w kościele Trójcy Przenajświętszej, odprowadzając o pomyślność wyprawy przez dwóch naszych księży Romana i Jacka. Mglisty poranek. Ksiądz proboszcza Romana Skowrona żegna jego „dwór”. Ksiądz Robert macha białą chusteczką, którą zabrał przeźornie dla ocierania łez. Zabawa jest przednia. Ksiądz Roman, widząc śmiejącego się wikarego Adama, wyraża obawę, czy będzie od czego wracać. Proboszcz, jak zwykle żartujący od samego rana. Autobus wiezie nas do Warszawy. Warszawski airport niezbyt tłoczny. Lecimy Wizzair`em airbusem 230. Zachód słońca nad chmurami zjawiskowy. Niektórzy aż to fotografują. Większość spokojnej podróży odbywamy nocą. Widzimy światła Stambułu i Cypru. Brzeg izraelski widoczny z wielką ilością świateł, linia brzegu morza jak ciemna tafla, z nielicznymi świetlikami statków. Z pewnym niepokojem oczekujemy na kontrole paszportowe. Nie chcemy, aby wbijano nam do tego dokumentu podróży izraelską wizę. Potem mogą być kłopoty z wjazdem do krajów arabskich, w których taka jest nienawiść do żydowskiego państwa, że nawet ci, którzy je odwiedzają nie zostają wpuszczani. Izraelczycy sami, nie proszeni dają wizę na osobnej kartce.

Na zewnątrz ogarnia nas ciepły wieczór. Palmy zdają się niemo mówić, że jesteśmy bardzo daleko od domu. Na pobliskim przystanku dla autokarów oczekują nas przewodniczka Anna i autobus z palestyńskim kierowcą. Do naszego hotelu do Nazaretu jedziemy nocą, widzimy tylko światła. Hotel Galilea prowadzony przez palestyńskich chrześcijan. Na ulicy, pomimo późnej pory daje się dostrzec nieporządek, śmieci. Pokoje czyste, schludne robią dobre wrażenie. Przyjęcie pielgrzymów sympatyczne, ciepłe, żadnych zastrzeżeń mieć nie moż-

na. Kolacja w hotelowej stołówce wypada późną nocą. Kelnerzy to sami mężczyźni, widoczne na ich twarzach zmęczenie. Na stołach ponad zastawą i sztuczkami leży żółta, kwadratowa serwetka z napisem „Nazareth”. Sama nazwa jest dla nas zbyt święta, aby taką chusteczką wytrzeć sobie po prostu głowę po jedzeniu. Co wrażliwsi nie mogli tak po prostu sprofanować, jak im się zdawało, tego napisu na chusteczce higienicznej, przynajmniej tego pierwszego wieczora. I zabrali ją lekko złożoną do pokoju, wkładając do bagażu, aby wyciągnąć w domu jak relikwię. To pierwsze nasze zderzenie z mitem skrywanym przez całe dotychczasowe życie głęboko w sobie. Jezus z Nazaretu. Napis na krzyżu: „Jezus Nazarejczyk Król Żydowski”. To ten Nazaret. Idąc zmęczonym tej nocy do łóżka, warto było sobie uświadomić myśl - rano wstałem w Krasnymstawie, wieczorem kładę się w Nazarecie.

Niedziela, 24.11.

**Nazaret - Góra Siedmiu Błogosławieństw
- Kościół Prymatu Piotra - Kafarnaum Jezioro
Galilejskie - nocny Nazaret**

Śpiemy mocno. Choć jest jeszcze noc, budzi nas śpiew muezina z minaretu. Niecierpliwie czekamy dnia i leżąc na poduszce, zadajemy sobie pytanie: jak wygląda ten mityczny Nazaret? Niebawem, gdy zaczęło się rozwidniać, widzimy z okna domy pnące się na wzgórzu, gdzieniegdzie rośnie drzewko, ulicą przejeżdża śmieciarka, cudowne kwiaty, szum samochodów. Ach, to jest dzisiejszy Nazaret! A jaki był w naszych wyobrażeniach? Idziemy na śniadanie, czekając niecierpliwie, aby wyjść i zobaczyć jak wyglądają święte miejsca: dom Marii, dom Józefa, studnia, z której Maryja brała wodę. Nasza ciekawość zostaje zaspokojona tego dnia, ale trochę później.

Przewodnicy wiozą nas autokarem przez górystą, porośniętą z rzadka drzewami Ziemię Świętą. Wszystko to budzi w nas zdziwienie i zaciękanie. Przecież te góry i doliny widział Jezus Pan, a teraz rosną tu plantacje bananów, gaje oliwne, leży mnóstwo kamieni, czyniąc ziemię nieurodzajną, a nawet - o zgrozo - dziś jest mnóstwo śmieci. Autokar tymczasem przywozi nas na niewielkie wzniesienie. Góra ma tylko 150 metrów wysokości. Z ciekawością spoglądamy na horyzont, gdzie

błyszczący niewyraźnie, spowita mgłami tafla Jeziora Galilejskiego. Za spowitą oparami płaszczyzną ledwie mającą wzgórze Golan, o których tak często wspominało w Polsce 30 lat temu. Autokar wiezie nas dalej krętą drogą, przy której rośnie coraz więcej przepięknie kwitnących krzewów. Gdy wysiadamy jest ciepło, palmy, kolorowe kwiaty, a powietrze przeszywa piękne odgłosy nieznanych nam ptaków. Stoimy u szczytu wzgórza, które kończy brzeg jeziora. Jest to miejsce, na którym Chrystus Pan przemawiał do tłumów, dając w ten sposób siedem błogosławieństw, o którym mówi Ewangelia. Idziemy wśród palm i różnobarwnych kwiatów w kierunku miejsca, gdzie patrząc na Jezioro Galilejskie, będzie nam dane sprawować Eucharystię. Nie wiadomo przecież, w którym dokładnie miejscu stał Jezus. To zresztą nieważne, my i tak w naszej wyobraźni widzimy owe tłumy, a jedynymi świadkami tamtego czasu są wielkie, czarne bazaltowe kamienie. Być może te ptaki tak samo śpiewały jak dzisiaj. Niejednokrotnie słyszeliśmy w naszych kościołach ewangelie o siedmiu błogosławieństwach. Teraz oto stoimy w miejscu, gdzie Jezus je wypowiedział. Jeszcze kilka słów o wzgórzu. Na jego pochyłości wciśnięte dyskretnie znajdują się niewielkie marmurowe tablice z wypisanymi po łacinie błogosławieństwami. Błogosławieni... albowiem oni... Na szczycie stoi kościół. Kopuła, jak gdyby kończy, a jednocześnie rozpoczyna drogę ku niebu. Miejsca strzeże starsza zakonnica, spoza Europy. Nigdy jeszcze słowa o siedmiu błogosławieństwach nie przemawiały do nas tak mocno i prosto jak dziś. Gdy autobus wiózł nas z Góry Siedmiu Błogosławieństw, wewnątrz rozbrzmiewały strofy Ewangelii o cudownym rozmnożeniu chleba i ryb.

Nie ochłonęliśmy jeszcze z wrażenia, jakie dała nam Góra Błogosławieństw, a już autokar przywozi nas na miejsce, gdzie stał kościół i klasztor „Rozmnożenia Chleba i Ryb”. Nieurodzajne, kamieniste, porośnięte wyschniętymi trawami, łagodnie opadające ku jezioru wzgórze. To gdzieś tutaj Jezus dokonał cudu, a my ciągle spoglądaliśmy na górę, widząc na niej kościół, który przed chwilą opuściliśmy. Niestety, brama następnego kościoła jest zamknięta, mur wysoki. Zatrzymujemy się tylko, aby przez chwilę poczuć to miejsce i aby zadziałała nasza wyobraźnia. Za grzbietem wzgórza, zaledwie 300 metrów dalej, nasz autokar zatrzymuje się, wysiadamy.

Cienistą alejką dającą przyjemny chłód, kamienistą drogą idziemy nieco w dół w kierunku Jeziora Galilejskiego. Uderza nas kontrast dwóch faktów. Oto stajemy przed skromnym kościółkiem z czarnego bazaltu, wybudowanym już za naszego życia przez Niemców, w miejscu gdzie Jezus podjął jedną ze swoich najważniejszych decyzji. To tutaj, gdzie jest kamienisty brzeg, trochę porośnięty trzcinami oraz spokojna toń jeziora Jezus powiedział Piotrowi, przekazując łaskę: „Piotrze, paś owce moje”. A tu kościółek skromny, mały, pomieści może 50 ludzi, a wydawać by się mogło, że winna tu stać ogromna, wspaniała bazylika. Nasuwa się myśl - nie wielkość, ale ludzie i słowa czynią moc, potęgę. Obok kościoła, w cieniu niewysokich drzew, mosiężny pomnik, pokryty nieco patyną czasu, przedstawiający naszego Pana i kłęczącego Piotra. Chłoniemy wszystko z ogromnym zdziwieniem i fascynacją. Oto na ziemi, pod sklepieniem kościoła, nieregularna skała zachowana jako świętość, stanowiąca swoisty ołtarz, przed którą stoi napis MENSE CHRISTI. To na tym, jedynym w swoim rodzaju stole, Jezus przygotował dla uczniów pieczoną rybę. Jezioro, o którym słyszeliśmy setki razy w ewangelii jest kilkanaście kroków dalej. Na jego spokojnej toni łódź rybacka, z której łowią ryby. Minęło 2000 lat, a jakoby nic się nie zmieniło. Idziemy i każdy z nas dotyka wody jak czegoś świętego. Wyciągamy małe kamienie, a gdy je zawieziemy do domu, będą jak relikwie. Trudno się nadziwić, że niedaleko stąd Jezus nakazał ponownie zarzucić sieć. Heraklit powiedział, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, ale przecież dla nas to jest ciągle to samo biblijne jezioro. Wracamy. Po nas przyszli pielgrzymi z Peru, trochę później - z Kenii. Z pośpiechu niemal przeoczamy nasz polski akcent. Oto gdzieś, z 50 metrów od pomnika Jezusa i Piotra stoi niewielkie półkole ściany mające być dzisiejszym ołtarzem, a na nim wizerunek Jana Pawła II z uniesioną prawicą, niby Chrystus pokonujący śmierć. Dopiero w tym szczególnym miejscu wydaje się oczywiste, jak mówiliśmy o nim „Piotr naszych czasów”. Jedziemy nieco dalej wzdłuż jeziora. Na wielkim parkingu barwny tłum z całego świata. Tym miejscem było po wielokroć słyszane przez nas miasto Kafarnaum. Naszym oczom ukazały się wydobyte z ziemi, niemal czarne ściany z bazaltu. Miasto liczyło podobno sto tysięcy ludzi, leży na płaskim terenie schodzącym do jeziora.

ra, ale to, co najważniejsze - widzimy zręby domu Piotra, widoczne zarysy ścian z okrągłym pomieszczeniem na środku. Musiał to być dom zamożnych ludzi, wyróżniał się wielkością. To tu mieszkał Jezus u teściowej Piotra. Uzdrawił też gospodynię tego domu. Tak jak i paralityka. Przy tych murach zostaje odczytany stosowny fragment Ewangelii o cudownym uzdrowieniu paralityka. Ksiądz Roman, któremu już uśmiech błąka się po wargach, dodaje zaraz komentarz do tego czytania:

- A wiecie dlaczego Piotr zaparł się Jezusa?
- No, nie wiemy.
- Bo mu teściową uzdrowił.

No, musimy wybuchnąć śmiechem. Nie ma rady. Zaskoczył nas.

Widniejące fundamenty domu, to mityczne miejsce przykrywa teraz gigantyczna kopuła będąca kościołem Świętego Piotra. Ksiądz Jacek Lewicki nawiązuje w drzwiach świątyni rozmowę z pięcioma zakonnicami. Dziwi nas miejsce ich pochodzenia: Egipt, Iran, Liban. Od domu Piotra gdzieś około 50 metrów, łagodny brzeg Jeziora Galilejskiego z olbrzymimi agawami. Przy brzegu stoi potężny, z brązu odlany pomnik Piotra, jakby szedł od jeziora. Po przeciwnej stronie domu znajduje się w dużej części zachowana synagoga postawiona przez Rzymian dla Żydów. Sterczą kolumny i ściany. Dla nas ważne jest to, że została zbudowana na fundamentach starej synagogi, w której nauczał Jezus. Dane jest nam zobaczyć fragment ściany z czarnych kamieni, które są niemymi świadkami słów Jezusa. Na dnie leży kilka kartek z wypisanymi modlitwami. To z Kafarnaum Jezus miał niedaleko na Górę Błogosławieństw i na miejsce rozmnożenia chleba. Większość górzystego terenu pokrytego czarnymi kamieniami i wysychającą o tej porze roku roślinnością wygląda zapewne tak jak za Jego czasów. Wypełnieni duchową treścią, zostajemy zawiezieni do restauracji, gdzie podają nam rybę niemającą polskiej nazwy, gdyż ma ona występować tylko w tym jeziorze. Jemy pieczoną rybę świętego Piotra. To takie biblijne zareklamowanie się.

Myśli się kłębią, jedna refleksja pogania następna. Biblia, jezioro, Jezus, Piotr, papież Polak. Wszystko minione zdało się wlać w jedno i tylko jak echo odbija się w naszych duszach i umysłach. Zresztą na refleksję nie ma dużo czasu. Autokar zawozi nas na inny brzeg jeziora. Po drodze mijamy

kibuc - taki izraelski kolchoz, w którym Żydzi wykonują sami wszystkie prace. Są tam również przyjmowani różni ludzie, z różnych krajów próbujący odnaleźć swoje miejsce w życiu. Mamy wypłynąć na głębie. Jezioro Galilejskie.

Żaloga dużej łodzi to Żydzi. Gdy wsiadamy na pokład, wita nas melodia słynnej pieśni - „Bar-ki” właśnie, którą śpiewają z nami po polsku Izraelczycy. Najmłodszemu z nas, 12-letniemu Kubie, zakładają kapitańską czapkę, dają flagę, a gdy chłopiec będzie ją wciągał na maszt, rozlegnie się „Mazurek Dąbrowskiego”. Puszczony z płyty na tę okazję. Wszystko zaplanowane z pomyślnikiem. A nas chwytą za serce, że nawet kieszeni żałować nie będziemy. Na pokładzie niezbyt dużej łodzi przenosimy się po niedawnych przeżyciach w całkiem inny świat. Oto nas, co nieco zmęczonych, szukających miejsc na ławkach, poderwają do tańca żydowskie pieśni. Płynąc po jeziorze na deskach krypy, będziemy tańczyć „Hawa nagila” i „He-venu, szalom alejchem”. To wszystko nas zaskoczy, łącznie z tym, że izraelscy Żydzi śpiewają i mówią trochę po polsku. Są względnie młodzi, życzliwi, przyjacielscy, nauczyli się dla interesu. Jak wielu tu na Wschodzie.

A gdzieś w oddali, w mglistych zarysach brzegu wyobrażamy sobie wpływający do jeziora Jordan. Jeden z Żydów, potężny mężczyzna o gęstej czarnej brodzie i ciemnych włosach przywdziewa białą, długą szatę, bierze sieć i jawi się naszym oczom niby biblijny Piotr. On świadomie chce się takim wydać, to wszystko w ramach atrakcji pokładowych. Gdy uwaga wszystkich skupia się na nim, on tymczasem zarzuca sieć do wody, a nie jest to łatwa sztuka. Chcemy zobaczyć jak łowi się ryby. Dzisiejszy Piotr zarzuca sieć dwa razy z jednej strony, a gdy nic nie złowił idzie na drugą burtę, z takim samym rezultatem. Można poznać po tym, że Jezusa z nami nie było. Może dzisiejszy rybak nie był ochrzczony? Widać samo obrzezanie nie wystarczy.

To, co dzisiaj do tej pory przeżyliśmy mogłoby wystarczyć na trzy dni. W głowach wrzało, a autobus wiezie nas dalej, do nowych doświadczeń. Skalista i górzysta kraina, miasta każde inne, ale jakby do siebie podobne.

Po południu docieramy do Nazaretu, a w nim do miejsc najświętszych i najważniejszych.

Po drodze, poznając odrobinę kultury ludzi żyjących tu. O zmroku idziemy w górę, aby dotrzeć do Bazyliki Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny. Zaglądając w otwarte wnętrza stojących otworem arabskich sklepów, napawamy się do woli orientem. Zanim wejdziemy do tego niezwykłego miejsca, powietrze wypełnia bez reszty głos muzułmanina nawołujący niczym dzwony do modlitwy, a pomyśleć, że w Krasnymstawie zacięci obywatele naszego miasta piszą skargi, że w czasie sumy spać nie mogą w pobliskich blokach. No, jeśli spać nie mogą, niech piszą. Mamy wolność. Widać arabskie społeczeństwo jest bardziej tolerancyjne niż krasnostawskie niedoświadczone, bo tutaj takie nawoływanie słychać pięć razy dziennie.

Uderza nas nowoczesność przecież niedawno zbudowanego kościoła, gdy tymczasem anioł zwiastował Pannie Maryi 2000 lat temu. Na wysokim murze okalającym bazylikę, od wewnątrz widzimy cały rząd Madonn przyniesionych tu przez narody z całego świata. Stajemy przed polską Maryją, wykonały ją dzieci w czasie ostatniej wojny, które wyrwały się z nieludzkiej ziemi czyli ze Związku Radzieckiego i dotarły tutaj z armią Andersa. Obok naszej Maryi, po lewej stronie stała Madonna z Malty, a po jej prawej - Maryja koreańska. Rozważamy tutaj o śmierci Maryi, jej ostatnich latach i jej wniebowzięciu, co miało się zdarzyć koło Efezu, w dzisiejszej Turcji. Ogromna kopuła bazyliki, skonstruowana niczym odwrócony kwiat lilii ukrywa coś najcenniejszego, jak odwrócony kielich przykrywa grotę, która była częścią mieszkania Maryi. Pozostała część jej domu została dziewięćset lat temu przeniesiona stąd do Loreto w Italii. Nam natomiast zostało modlić się przy wnęcie z łacińskim napisem na ołtarzu „Tu słowo stało się ciałem” i spoglądać na niewielkie schodki, które prowadziły do pieczary ukrytej w skale. Na górnym kościele bazyliki polska niespodzianka - wśród wielkich wizerunków Madonny widzimy Matkę Boską Częstochowską. Trochę jakby inną, ale to na pewno Ona.

Jest już noc. Przy wyjściu z bazyliki zaskakują nas dwie, wielkie jak drzewo, pięknie kwitnące gwiazdy betlejemskie, może sto razy większe niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Co ciekawe, w innych miejscach w Betlejem ich nie ma. Dosłownie o rzut beretem („moherowym”) za wielkim fikusem niespodziewanie nachodzimy na kościół

Świętego Józefa. Ku naszemu zdziwieniu, na ścianie polska tablica z modlitwą „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie” z 1944 r. Kościół Świętego Józefa jest jak ruska lalka matryoska. Kościół kryje w sobie synagogę. Synagoga ma zachowaną mykwę. Tutaj znów się zadziwimy, dowiadując się jakże na wiele sposobów, kobieta może być nieczystą, według żydowskiej tradycji. My nie mieliśmy o tym pojęcia. Mykwę - łaźnię rytualną, do której prowadziło siedem stopni, gdy schodziło się nieczystym, a drugie siedem wyprowadzało po ablucji, zamieniono na wielką chrzcielnicę. Miejsce to ma mieścić dom, w którym mieszkał Józef zanim poślubił Maryję. Choć był już wieczór, a wyjeżdżamy jutro rano, Nazaret wciąż nie pokazał nam swoich świętych tajemnic. Po drodze wstępujemy do meczetu tzw. Białego, w którym następuje niespodziewane przeistoczenie. Nasze niewiasty - brunetki i blondynki zakładają chusty, wyglądając niczym sznur bogobojnych muzułmanek sunących do tej części meczetu, którą Żydzi w synagodze nazywają „babińcem”. Nieliczni mężczyźni, zdejmując buty, wchodzą nie bez obawy o złapanie jakiejś grzybicy stóp, i dostępują zaszczytu zwiedzenia tego islamskiego przybytku. Strzegący meczetu muzułmanin ochotczo prowadzi i otwiera najważniejszą część, zapala światło i pokazuje coś w rodzaju wysokiej ambony, z której imam prowadzi modlitwę, a także stary zegar подарowany meczetowi przez sułtana, o czym z dumą oznajmia. Malowniczymi uliczkami docieramy do cerkwi Archanioła Gabriela. Prawosławni uważają, że to tu przy źródle archanioła objawił Maryi plan Boży. Ciemnymi ulicami, zaglądając do okien, idziemy w dół do miejsca bardzo pewnego. W Nazarecie, w czasach Maryi znajdowała się tylko jedna studnia. To tu na pewno Maryja przychodziła po wodę. Ledwo dotykamy tego miejsca, wody zresztą tu nie ma - puszczona gdzieś pod ziemią, a miejsce nie przypomina naszych studni. Jest to żółtawy budynek z kamienia z półkulistą wnęką. Obok niego rośnie bardzo stare drzewo.

No cóż, trzeba wracać. Zostaje jeszcze kolacja. A tutaj sacrum miesza się z profanum. Modlitwa przed posiłkiem. Ksiądz Jacek z wielkim przejęciem, jak najbardziej uzasadnionym, wspomniawszy co dzisiaj przeżyliśmy, odczytuje Ewangelię według świętego Łukasza o zwiastowaniu Najświętszej Maryi Panny.

Ten jeden dzień zmienił nasze wyobrażenia o Nazarecie.

Pomimo, że na ulicy widzimy pełno śmieci, jadące samochody, zmęczonych całym dniem ludzi - profanum nie zabiło sacrum. Nie tak wyobrażaliśmy sobie te miejsca, co zrozumieliśmy, nigdy tu nie byliśmy, ale widząc je, dotknęliśmy historii. Oddychaliśmy powietrzem, którym oddychali święci tyśiące lat temu. Nasze oczy widziały to, na co patrzyli ludzie żyjący w czasach Jezusa.

A ten, którego zawsze żarty się trzymają, opowiada świetny dowcip o małej złotej rybce, która może spełnić tylko jedno życzenie. Tego dnia mieliśmy już wszystko. To będzie druga i ostatnia noc w Nazarecie.

Poniedziałek, 25.11.

**Kana Galilejska - góra Tabor - Hajfa
- góra Karmel - Cezarea nadmorska - Betlejem**

Rano przed hotelem widzimy wzgórze z jakby kaplicą czy kościółkiem na szczycie. To tutaj Jezus miał być zrzucony ze skały. Po śniadaniu autobus wiezie nas do Kany Galilejskiej. Samo miasto na wysokich wzgórzach położone. Stoimy wśród wielu autokarów. Zaprowadzono nas do jakiegoś sklepu. Tam, oprócz świętych pamiątek, jakichś chustek, kupujemy również wino. „Wino z Kany Galilejskiej” - jak to brzmi! Na miejscu dają nam do zdegustowania różne próbki tego napoju. Przewodniczka stoi za ladą, jakby dobrze znała się z tutejszymi. Idziemy wąską uliczką do kościoła. Stoi on na miejscu jakiegoś dawnego domu weselnego. Ale czy tego, gdzie odbywało się tamto wesele? Nikt o tym nie zapewnia. W podziemiu przykrytym szkłem widać mury sprzed tysięcy lat. Autentyczna jest stągiew kamienna, pokazana za szkłem. Pochodzi z I wieku. Więc tak one wyglądały. Po drodze do kościoła wybrano druhenę czy też może starościny weselną. A przezorne kobiety, za namową pewnie przewodniczki, zakupiły u mijanych po drodze arabskich straganiarzy białe welony. Kościół dość nowoczesny. Ale msza niezwykła. Oto wybrano siedem par małżeńskich i usadzono po obu stronach blisko ołtarza. Kobiety założyły sobie na głowy białe welony. Mężczyźni stali tak jak przyszli. Czytanie stosowne na taką okazję. A Ewangelia o cudzie w Kanie, gdzie Jezus

przemienił wodę w wino. Następnie małżonkowie stanęli para za parą, tworząc szpaler. Odbył się jakby zbiorowy ślub. Przysięga, nakładanie obrączek, a nawet pocałunek. Komunia pod dwiema postaciami. Śluby krasnostawian w samej Kanie Galilejskiej. Błyskały flesze, kamery kręciły, słowem jak na najprawdziwszym ślubie. Największe wrażenie robiło to, co niewidzialne - świadomość miejsca tych okoliczności. Gdy wychodziliśmy już po tym wszystkim, na niewielkim dziedzińcu pokazała się wielka postać ubrana w ornat i biskupią mitrę. Zaraz zagadnął go po włosku ksiądz Jacek. Szybko ustawiono się z hierarchą do wspólnego zdjęcia. Był to kardynał z Hiszpanii, arcybiskup Seville. Purpurat w złotobiałej szacie. Obok niego stojący ksiądz Roman w pewnym momencie przytulił swoją głowę do jego piersi i nieco przykrył się kardynalskim płaszczem, jakby składał synowski hołd. No i co na to arcybiskup Budzik? Ma się te chody. No nie?

W autokarze należało trochę ochłonąć i zaplanować „wesele”, jak niektórzy podgadują, sugerując czego oczekują wieczorem od odnawiających swe śluby. No cóż, miejsca święte dalej pozostaną świętymi, a Polak - Polakiem. Tymczasem przed nami góra Tabor. Wielki masyw widoczny już z daleka. Zawsze miała wzięcie u tych, którzy zajmowali tę ziemię, od Egipcjan poczynając. Punkt strategiczny. Mający zarys kościoła na szczycie lesistej góry. Wspinamy się asfaltową drogą, mając coraz większy widok na okolicę. Na innym wzgórzu widoczna gęsta zabudowa górnego Nazaretu. W dolinie, jak w Polsce, na równinie żyzne uprawne pola, co jest tu widokiem niezwykłym, bo rzadkim. Po drodze mijamy arabskie domy. Stare kobiety szukają cienia w ten skwarne dzień. Autobus zatrzymuje się, dalej nie da rady. Przesiadamy się do busów. Niedługo miejsce na szczycie zostanie zamknięte dla zwiedzających, choć jest dopiero połowa dnia. W busiku jadą z nami turyści ze Sri Lanki. Na tej górze Jezus przemienił się w obecności dwóch apostołów. W latach 50. XX wieku wzniesiono kościół. Bryła przypomina trzy namioty, jakie apostołowie chcieli rozbić - dla Mojżesza, proroka Eliasza i Jezusa - gdy przyszli tu z Panem. Obok ruiny kościoła wzniesionego jeszcze przez świętą Helenę w IV wieku. Zachowała się jakaś mozaika. Szybkie zwiedzanie. Niedaleko stąd

Jezus dokonał drugiego wskrzeszenia. Na dziedzińcu kościoła ksiądz Jacek odczytuje fragment Ewangelii opisujący przemienienie się Jezusa. Ten dzień obchodzimy zawsze 6 sierpnia. W Tarnogórze jest nawet odpust na tę okazję. Kto przybył na to miejsce, myśląc o Pańskim Przemienieniu, już zawsze będzie miał przed oczyma tę górę. Ona od czasów Jezusa prawie się nie zmieniła.

Jedziemy w kierunku morza. Po drodze wioska druidów. U nich w restauracji zatrzymujemy się na obiad. Kobiety w białych chustach na głowie, nie pozwalają się fotografować. Mężczyźni mają oryginalne spodnie, nieco przypominające kozackie szarawary. Jedzenie u nich dobre i niedrogie. Są uczciwymi ludźmi. Nie można wyjść z ich kręgu, czyli zmienić wyznania. Wtedy odnajdą i zabiją. Jeśli ktoś urodził się druidem, druidem musi umrzeć. Późnym popołudniem dojeżdżamy do Hajfy. Jerozolima się modli, Tel Aviv bawi, a Hajfa... pracuje na pozostałych darmozjadów. Wieżowiec politechniki w Hajfie góruje nad okolicą i w pewnym przenośnym sensie nad światem. Z tej uczelni wywodzi się najwięcej noblistów. Poniżej, ciągle jadąc grzbietem góry Karmel, zatrzymujemy się, aby z tarasu widokowego podziwiać przepiękne ogrody bahajskie i panoramę Hajfy położonej nad zatoką. Mauzoleum Baala. Portowe dźwigi, zabudowa tak zróżnicowana, że chce się oglądać kawałek po kawałku. Ogólnie robi wrażenie czegoś wielkiego, a tego jeszcze 60 lat temu nie było. Jesteśmy ciągle na górze Karmel. Tyle razy słyszeliśmy o karmelitach i karmelitankach, chociażby tych wyrzucanych z terenu obozu w Oświęcimiu. Na końcu tego wzniesienia kościół Stella Maris skrywający grotę, w niej schronił się prorok Elizeusz. W kościele obraz świętej Edyty Stein, która jako nawrócona Żydówka zginęła w Auschwitz. Przed kościołem pomnik-piramidka. Miejsce pochówku 200 żołnierzy Napoleona, zmarłych w tym miejscu z ran odniesionych w Egipcie. Słońce zachodzi, gdy docieramy do Cezarei. Nad brzegiem morza ciągnie się długi akwedukt z czasów rzymskich. Spokojne morze obmywa nasze stopy. Spotykamy tu grupę z Parczewa, Lubartowa, Zamościa. Powrót przez Jerozolimę i granicę do Betlejem. Dziś w Betlejem. Zatrzymujemy się w hotelu Star. Wieczorem niemal wszyscy schodzą na dół. Jest coś na kształt oczekiwanego wesela. Niektórym

nawet, jak to się mówi „wary wiszą”. Wino z Kany, a jakże, nie przemienione, a prosto ze sklepu, i występy. Jest to one man show. W roli szołmena ksiądz proboszcz. On to cudownie przemienił się z kanonika w wodzireja. Ku wielkiemu pożytkowi pozostałych i ku ogromnemu zadziwieniu graniczącemu z szokiem, taką przemianą bardziej ortodoksyjnych krasnostawianek. Nawet Arabowie byli pełni zachwytu dla talentu estradowego księdza Romana.

Wtorek, 26.11.

Betlejem - Pole Pasterzy - Jerozolima - Betlejem

Po śniadaniu autokar z palestyńskim kierowcą, zwanym Kubicą, wiezie nas na Pole Pasterzy. Naprzeciw wejścia jest sklep z dewocjonaliami. Najpierw tu wstępujemy. Pracuje w nim Polka Ewa. Sklep ma należeć do arabskich chrześcijan. Mnogość tu wszelkich towarów. Różańce z drzewa oliwnego sprzedają tuzinami. Okazuje się, że chińszczyzna i tu już weszła. „Święte” made in China. No cóż, to też signum temporis - znak czasu. Na zewnątrz jacyś Palestyńczycy oferują szopki taniej niż w sklepie. One też są zrobione w Chinach. Po drugiej stronie ulicy betonowy łuk z napisem Pole Pasterzy. Betonową uliczką dochodzimy do małego kościółka z kopułą. W górze księżyc na niebieściutkim niebie. W dość małym wnętrzu rozlega się nasza kolęda „Anioł pasterzom mówił”. Zaraz przychodzą pielgrzymi innych języków. Na frontonie kościoła mosiężny anioł. Szukamy miejsca na odprawienie mszy. Tych ołtarzyków na otwartym powietrzu jest tu wiele. My zajmujemy grotę. Może to ta, w której tamci pasterze chronili się na noc? Wydrążona przez naturę, z powodzeniem mieści całą naszą grupę. Ksiądz Roman mówi kazanie o prostocie wiary. Anioł wybrał pasterzy, ludzi prostych. Nimi się posłużył. Z Pola Pasterzy widać jak na dłoni na zboczu następnej góry schodzące w stronę Palestyńczyków, nowe zwarte szeregi żydowskich domów, bloków, także wieżowców, zbudowanych na spornych terenach wbrew protestom Palestyńczyków i opinii świata.

Stąd jedziemy do Jerozolimy. Kościół św. Jana Chrzciciela. Na tym miejscu narodził się Jan. Kamienna gwiazda z łacińskim napisem: „Tu na-

rodził się poprzedzający Pana”. Kościół z wysoką wieżą. Na dziedzińcu wielkie tablice z Ewangelią. Książd Jacek odczytuje o narodzeniu Jana. Stąd idziemy pieszo do drugiej świątyni wystawionej na miejscu, gdzie był letni domek rodziców Jana. To tu odwiedziła Elżbietę Maryja, przybywając ok. 160 kilometrów z Nazaretu. Kościół nosi imię Nawiedzenia św. Elżbiety. Tablice na wielkiej ścianie informują o tym w różnych językach, w tym dwie nasze - po polsku i kaszubsku. U dołu, na ulicy woda wypływająca z kamiennej obudowy ma mieć cudowne właściwości. Tu wszystko jest święte. Okolice obu kościołów musi być niezmienną od czasów biblijnych. Dzikie rosną iglaste drzewa. Tu hasały mały Jan Chrzciciel. Jedziemy do Yad Vashem - muzeum i instytutu Holocaustu. Na wzgórzu wśród sosem widoczny dziwny pomnik - zwykły wagon. Wypożyczony z Polski za czasów Wałęsy i do tej pory nieoddany. Symbol zagłady. Wagonami przewieziono większość Żydów do obozów śmierci. Samo muzeum jest bardzo nowoczesnym, oszczędnym czy wręcz surowym w formie. Jeden z uczestników zamierza pozostawić w muzeum książkę (historia Żółkiewki), w której napisał rozdział o okupacji i wojnie, w tym także o zagładzie żółkiewskich Żydów. Słowa przewodniczki wywołują w nas wręcz oburzenie. Otóż, według niej, a mieszka w Izraelu i jest żoną ukraińskiego Żyda, można jej chyba wierzyć, izraelskie dzieci są uczone w szkołach, że Polacy to antysemita i naziści. O polskich obozach koncentracyjnych. Młodzi ludzie przed wojskiem nakarmieni taką właśnie antypolską strawą przychodzą do muzeum. Niedawno w Polsce, w Nowym Sączu dyrektorka gimnazjum zaprosiła na lekcję palestyńskiego działacza, bojownika o wolność Palestyny. Gdy dowiedział się o tym ambasador Izraela w Polsce, doprowadził do odwołania lekcji. A tu takie rzeczy, przy milczącej zgodzie Polski, która udaje, że o tym nie słyszała, uczy się w szkole nienawiści do Polski i Polaków. Widzimy tych młodych żołnierzy w mundurach koloru khaki, chłopców i mniej liczne dziewczyny. Wchodząc do sali wiecznego ognia, który nawiązuje do komory gazowej, nakładamy czarne kartonowe jarmułki. Są tam między innymi dobrze nam znane z Lubelszczyzny - Majdanek, Sobibór i Bełżec. Przechodzimy do ciemnego pomieszczenia poświęconego pamięci półtora

milionu dzieci zamordowanych w czasie zagłady. Pali się tam 6 świec, ale system luster czyni z tej liczby półtora miliona różnej wielkości światełek. Idziemy w ciemności, jakby wśród gwiazd, a głos spikera wymienia imiona i wiek dzieci. Już na zewnątrz przejmujący pomnik poświęcony Januszowi Korczakowi. Przytula do siebie przestraszone dzieci. Gdzieś mało widoczna wśród drzew replika monumentu, wymownego w swej formie, z obozu w Dachau. Widzimy Drzewka Sprawiedliwych. Irene Sendlerowej na początku. Całkiem niedaleko dwa obok siebie poświęcone Niemcowi Oskarowi Schindlerowi i jego żonie. Dużo z Holandii, o dziwo z Wielkiej Brytanii czy USA i Niemiec. Jedno kamienne wyraża wdzięczność nieznanemu sprawiedliwemu, choć tak naprawdę była to konkretna osoba, która w pociągu przytomnością umysłu uratowała żydowską dziewczynkę. Są i polskie drzewa, ale wśród tych innych wydają się mało liczne. Reszta jest gdzieś dalej, gdzie nawet nie chodzi się zwiedzać. Te drzewka to drzewa chlebowe. Nasionko tego drzewa to waga jednego karata, miara złota. Następne niemiłe zaskoczenie przy ladzie, gdzie wypożyczają „audioguidy” czyli audioprzewodniki. Są w ośmiu językach, ale po polsku nie ma. I pomyśleć, że miesiąc temu był w tym miejscu prezydent Polski. Pracownicy zawiadujące tymi przewodnikami, zapytane dlaczego nie ma po polsku, zaczęły coś tam tłumaczyć, że są w innych językach. Na słowa, że to nie jest w porządku, dopiero się nieco zmieszały. Książka o zagładzie żółkiewskich Żydów nie została zostawiona w instytucie Holocaustu, przejechała się tam i z powrotem. Wśród nas na gorąco zaczęły powstawać pomysły, aby taka wycieczka, usłyszawszy takie oszczerstwa pod adresem Polaków, pisała listy do polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z żądaniem wycofania antypolskich treści. Zapewne potrzeba wysiłku kilkudziesięciu tysięcy. Wtedy protest miałby szansę być zauważony. Ale wiedzieć o tym i milczeć? Jednocześnie ta sprawa uświadomiła niektórym z nas jak marne, słabe i strachliwe są władze naszego państwa. Z mieszanymi uczuciami wracamy do Betlejem.

Dziś czeka nas wielkie przeżycie. Idziemy pierwszy raz do Bazyliki Narodzenia Jezusa. Od naszego hotelu to kilka minut drogi. Ściana bazyliki dość niepozorna, ze śladami kul z 2001 roku,

gdy schronili się w niej Palestyńczycy myśląc, że Izraelczycy nie odważą się strzelać. Pomylili się. Aby wejść trzeba się schylić, to sposób, aby w dawnych wiekach nie wjeżdżali konno muzułmanie do wnętrza. Kolumnada widoczna, pochodzi z VI wieku i wszystko bez remontu 1400 lat. Dopiero teraz zaczynają się prace renowacyjne. Po drugiej stronie nawy głównej, kolumny osłonięte deskami. Co ciekawe, jest to wschodni obyczaj, wszędzie wisi dużo lampek, na sznurach wiszących półkolistie. Kościół posiadają prawosławni Grecy. Pilnują porządku. Ludzie tłoczą się w kolejce, aby zejść do Groty Narodzenia. Tuż przed schodkami prowadzącymi na dół, stoi kolumna z freskiem przedstawiającym Chrystusa. Tajemnicza twarz nie wiadomo czy patrzy, czy zamknęła powieki. Jeśli ktoś widzi opuszczone powieki Chrystusa - ma coś na sumieniu. Tyle razy widzieliśmy charakterystyczną gwiazdę na zdjęciach. I zaskoczenie, że to takie małe miejsce i gwiazda mała. Trzeba klęknąć i schylić się pod baldachimem. Tam też wiszą lampki. Ludzie kładą na centralny punkt gwiazdy, który jest małym, kamiennym zagłębieniem, różańce i inne święte przedmioty, chcąc nabrać dla nich sacrum z tego miejsca. Gdy się rozejrzeć dookoła, to można zobaczyć na ścianach stare obrazy zda się lichego pochodzenia. Wszystko tchnie starością, patnęę czasu widzi się i czuje. Ze dwa metry od gwiazdy oznaczającej miejsce narodzenia, znajduje się jeszcze niższy poziom, ze żłóbkim. Jest to marmurowy czy kamienny blat, bardzo gładki, w połowie odgródzony metalową siatką. Tu kapłani mają ołtarz, odprawiając w grocie. Panuje tu dość wysoka temperatura, słysząc warczenie wentylatora. Palą się znicze w lampkach.

Po wyjściu z Groty Narodzenia, przechodzimy do kościoła Świętej Katarzyny. Świątynia kryje grootę, miejsce pobytu św. Hieronima, który przetłumaczył Biblię. Gdzieś w pobliżu znaleziono w naszych czasach kości małych dzieci i kobiet, które, jak określono, pochodzą z rzezi niewiniatek za czasów Heroda. Nieopodal udajemy się pieszo do następnego kościoła - Groty Mlecznej. Tu Matka Boska, karmiąc Jezusa upuściła kroplę mleka. Obraz jedyny w swoim rodzaju Matka Boska Karmiąca. Tu kobiety modlą się o potomstwo. Obok starego, nowy kościół św. Katarzyny. I dwie niespodzianki. Jedna polska - obecność posagu

Matki Boskiej Ludźmierskiej, od której berło pochwyił kardynał Karol Wojtyła, co uznano za znak profetyczny, szybko zresztą spełniony. Druga to trwanie adoracji Najświętszego Sakramentu całą dobę, sprawowanej przez miejscowe mniszki. Tu składa się prośby napisane na kartkach. Kościół nowoczesny, biały, okrągły. Na uboczu Betlejem. Do hotelu wracamy pieszo. Kolacja. Jakby mało było wrażeń intensywnego dnia, większość jedzie na wycieczkę „Jerozolima nocą”. Zobaczymy serce tego miasta i państwa. Po drodze budynki rządowe. Każde z ministerstw ma osobny. Siedziba premiera kilkupiętrowy, banalnej architektury graniastosłup. Ale jednego z ministerstw - bardzo wyszukany, bodajże finansów, co zrozumiałe. Wyśiadamy naprzeciw Knesetu - izraelskiego parlamentu. Parterowy, oświetlony. Z ulicy mało widoczny. Stoimy pod wielką menorą, dar rządu Wielkiej Brytanii. Przedstawia ona sceny z życia Izraela. Jedno z ważniejszych miejsc zajmuje powstanie w getcie warszawskim. Obok siedzi żydowska para mająca się ku sobie, dość tradycyjna. Zaraz przybiegną młodzi ludzie, będą zachowywać się hałaśliwie, uniemożliwiając zrozumienie słów przewodniczki. Bawią się w jakieś ich podchody, na nas zupełnie nie zważając. Najbardziej podnieca nas zobaczenie dzielnicy ortodoksów, żyjących tak jak w XIX wieku. Jej nazwa brzmi Mea Sharim. Nie używają radia, telewizora ani gazet. Rabin podaje im informacje wypisane na wielkich plakatach. Są jemu całkowicie poddani i zdani na jego głowę. Sami jakby nic nie muszą myśleć. W ich ubraniach dominuje czerń. Mężczyźni, co zrozumiałe i bardzo widoczne, ale także u kobiet, a nawet dzieci. Jest późna pora, a tylu ludzi na ulicach. Dziwnie chodzą, wielu bardzo szybko, jakby się gdzieś śpieszyli. Nie patrzą na ruch uliczny, ani nie przestrzegają zasad poruszania się po ulicy, światła się palą, ale przy czerwonym idą wszyscy. Kobiety młode, w perukach, zakryte włosy, z mnóstwem dzieci otaczających rodzicielkę jak robotnice królową matkę. W takich strojach nasi Żydzi chodzili po Krasnymstawie i Izbicy. O dziwo, wielu rozmawia przez komórki. Krzywią się lub groźnie marszczą brwi, widząc jak nagrywamy ich lub fotografujemy. Przejazd tą dzielnicą, nocne światła, dawne stroje, zda się być jak w skansenie, ale widać, że jest to prawdziwe życie. Wrażenie niesamowite. Jedziemy

na Górę Oliwną. Jerozolima widziana nocą: złota kopuła, tuż poniżej żydowskie groby. Biała kopuła oznacza miejsce, w którym głęboko pod ziemią zakopano zwoje z Qumran - najstarsze zapisy Biblii. Głębokość schowka kapsuły przetrwa nawet atak atomowy. Co jest w tych zwojach tak ważnego? W jaskiniach Qumran mieszkali esseńczycy.

Z Góry Oliwnej jedziemy na inne biblijne miejsce - górę Syjon. Brama Syjońska, jedna z ośmiu bram starej Jerozolimy. Widać na niej ślady po kulach z roku 1947. Mury Jerozolimy wzniesione przez Sulejmana Wspaniałego w XV wieku spełniły swoją rolę 400 lat później. Wchodzimy na Stare Miasto. Najpierw dzielnica ormiańska. Po drodze spotykamy fragment odkryty przez wykopaliska. Jest tu dawny poziom ulicy, kolumny stojące przy domach, wszystko jakieś 5-8 metrów poniżej obecnego. To jest poziom z czasów Jezusa. Dwa tysiąclecia nagromadziły 8 metrów osadów, kamieni. Miasto burzono i budowano. W pobliżu synagoga o nazwie Hurwa. Wybudowana przez Żyda z Polski, który wyjechał w roku 1700. Podglądamy w niej nielicznych, modlących się młodych Żydów. Kiwiają się jak w transie. Jasne światło wypełnia świątynię. Zbliżamy się do Ściany Płacz. Kupujemy jarmułkę. Zaraz kontrola jak na lotnisku, wykrywacz metalu. Kobiety pod ścianą mają osobne miejsce po lewej stronie, odgródzone wysokim płotem. Żydówki modlą się nawet w toalecie. Przy murze niektóre płaczą, wznosząc ręce do nieba. Pod wielką ścianą, w załamach której sterczą małe, zrolowane karteczki z prośbami wielu modlących się ortodoksów. Ubrani w czarne stroje, białe koszule, czarne kapelusze, noszą oczywiście długie pejsy. Rozróżniamy już tych podwójnie koszernych po nakryciu głowy. Między modłącymi przechadzają się młodzi żołnierze uzbrojeni w karabiny. W synagodze stoją młodzi mężczyźni, nawet kilku w grupie i kiwiają się, trzymając w ręku pisma. Niektórzy mówią coś głośno gestykulując, zwróceniu do ściany, jakby rozmawiali z Bogiem. Nic ich nie rozprasza, nic im nie przeszkadza, jakby tych za nimi, tak licznych, w ogóle nie było. Choć jest już późno, widać także małych chłopców. Starzy siedzą w fotelach, rozmyślają nad księgami. Wszyscy mają jarmułki na głowach, turyści także. Jerozolima się modli. A my do Betlejem.

Środa, 27.11.

Pustynia Judzka - Jerycho - Qumran - Morze Martwe

Z hotelu w Betlejem jedziemy na Pustynię Judzką. Krajobraz inny niż dotychczas - kamienisto-piaszczyste góry. Mijamy grecki prawosławny klasztor stojący w miejscu, w którym anioł zawrócił trzech mędrców wracających od narodzonego Jezusa. Tutaj, ostrzeżeni, do Heroda już nie powrócili. Dalej droga kręta i stroma wiedzie niebezpiecznie w dół. Przez to widoki z lewa i prawa przepiękne. W dole niewielka rzeka, a przy jej brzegach nienaturalnie tutaj wyglądająca zieloność drzew i zarośli. Czarna, podwójna wstęga szosy wyraźnie jak tasienka rozciąga żółtość pustyni, wije się i pnie do góry. Gdzieś, daleko na wzgórzach wiele zbudowanych domów w kolorach odcienia pustyni. Wjechawszy w pustynię, gdy zniknęły domy, krajobraz stał się dziewiczy, ręką natury zdobiony - zatrzymujemy się. Na pagórku krzyż. Powietrze przesycone falującym ciepłem. Gdzieś tu żył na pustyni, żywiąc się szarańczą święty Jan Chrzciciel. Zaraz stoją młodzi Beduini z kramami, na których owoce i jakieś ozdoby. Mały, dziewięcioletni chłopiec wyciąga ręce po słodczyce i dostaje obficie. Po drodze mijaliśmy budy mieszkańców pustyni, właśnie Beduinów. O tej porze roku żadnych traw, wszystko wyschnięte. O dziwo, słychać jakiś szum, gdzieś w dole u podnóża góry. Cud, woda wypływa wprost ze skały i płynie małym strumykiem kręto wijącym się w głębokim wąwozie, nawet wyrosło coś zielonego. A dookoła, jak okiem sięgnąć piaskowy kolor pustynnych pagórków. W innym miejscu pustyni, koryto okresowej rzeki, całkowicie suche i nienaturalnie zielone jedno duże drzewo. Zza zakrętu wyłonił się jeździec jadący na osiołku. Był w dżinsach, a zdał nam się Chrystusem albo Janem siedzącym na grzbiecie biblijnego zwierzęcia. Albo sami chcieliśmy go takim widzieć, będąc tu. Jedziemy dalej, pustynny krajobraz ustępuje miejsca nizinie, na której coraz więcej palm, bananów i jakichś upraw. Pustynia a rodzi.

Kolejny cel to Jerycho, najstarsze miasto świata - 11 tysięcy lat istnienia. W pamięci mamy trąby jerychońskie, których głos rozwalili jego mury. Współczesny widok miasta tak banalny, tak zwyczajny, żadnych starożytności, aż rozczarowuje.

I brud jak wszędzie. Ciekawi Góra Kuszenia, a sami jesteśmy wystawieni na zgoła niespodziewaną i niezapowiadaną pokusę. Prowadzą nas do sklepu, tam wszyscy, zapominając o kuszeniu Jezusa rzucają się do zakupów. Daktyle suszone po 15 dolarów, sok na odporność także z daktyli, różańce, chustki, obrazki, kosmetyki z Morza Martwego. Oczywiście przepłacamy, dowiemy się o tym za późno. W cieniistym zakątku, spływająca woda obmywa napis po angielsku: „Jerycho the oldest city of the World”. W dali żółtopomarańczowy kolor Góry Kuszenia, gdzie Jezus spędził 40 dni. Zawiezie tam nas kolejka linowa z czerwonymi wagonikami. Zatrzymuje się ona w powietrzu, może zabrakło prądu, a ksiądz Jacek zaczyna niby spowiadać. Na urwistym zboczu schody i przyklejone mury klasztoru zawiadowanego przez prawosławnych Greków. Idziemy do groty, która była miejscem schronienia Jezusa przez 40 dni i nocy. Dotykamy kamienia, gładkiego od kładzenia milionów ludzkich rąk. Siedział na nim Chrystus, w czasie gdy diabeł podsuwał mu trzy pokusy. W ciasnej grocie jest bardzo ciepło, niektórzy chcą z jej gładkich ścian zabrać na pamiątkę choćby najmniejszy okrusz skały. Z tarasu nad urwiskiem widać całą dolinę i Jerycho. Za nim majaczą w mglistym powietrzu góry z miejscem, do którego dotarł Mojżesz i umarł. Lud izraelski sprowadził do ziemi obiecanej Jozue, a Jerycho było pierwszym miastem na ich drodze. Na prawo, w mglistych oparach znajduje się Morze Martwe. Jadąc przez Jerycho, zatrzymujemy się przy starym drzewie. To sykomora. W Ewangelii jest opis pobytu Jezusa idącego przez Jerycho. A w tłumie niewielkiego wzrostu celnik Zachaeusz, człowiek bogaty wszedł na sykomorę, aby zobaczyć Proroka. Jezus w swoich myślach rozpoznał pragnienie tego człowieka i mijając innych, podszedł prosto do będącego na drzewie celnika i oznajmia mu iż spędzi u niego noc. Sykomora stara, ale nie ta sama. Obok szkoły pod imieniem Ziemi Świętej znajduje się dość nowoczesny kościół. W nim sprawujemy mszę z czytaniem Ewangelii o kuszeniu Jezusa. Można powiedzieć, że biblijny hit (Jerycho i Góra Kuszenia) goni hit. Teraz udajemy się nad rzekę Jordan. Pustynia nizinna, więcej na niej roślinności, widzimy pasące się wielbłądy. Egzotyka, jakiej do tej pory nie spotkaliśmy. Po drodze mijamy mały obiekt, w którym chroniły się kiedyś na noc karawany. Jesteśmy przy

ważnym szlaku. Droga prowadzi do Jordanii, przez Jordan. Nią szedł Jozue ze swoim ludem. Po bokach pola minowe. Z daleka zieleni się dolina rzeki. W oddali, na pustkowiu złote kopuły kościołów, to już Jordania. Ciekawi nas jaka jest ta rzeka. W naszych myślach ciągle widzimy Jana polewającego głowę Jezusa stojącego w wodzie. Wreszcie dochodzimy. Wieprz w Krasnymstawie jest o połowę szerszy. Dookoła beton, w cieniu dwóch izraelskich żołnierzy z radiostacją przygląda się przychodzącym pątnikom. Do wody prowadzą drewniane szerokie schody. Takie same są po drugiej, jordańskiej stronie. Na tamtym brzegu ani żywej duszy. Sama woda barwy zielonej, nieprzezroczysta. Na murze ze 3 metry ponad obecny poziom zaznaczony stan Jordanu z 13.01.2013 roku. I to robi wrażenie. Ale największe powoduje refleksja, że w tym właśnie miejscu został ochrzczony Jezus, a Jozue wrócił do ziemi obiecanej z niewoli egipskiej. Proboszcz Roman Skowron schodzi najgłębiej, podkaszuje nogawki spodni do kolan, rozkłada ręce w modlitwie. Jest pełnia dnia, słońce świeci mocno. Brzegi rzeki porastają gęsto trzciny, łożyny i z rzadka palmy. Ksiądz Roman nabiera mętnej, ale świętej wody w plastikową półlitrową butelkę i następuje odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych. Pierwszym „ochrzczonym” jest ksiądz Jacek Lewicki. Zaraz ksiądz Jacek polewa siwą głowę swojego kolegi proboszcza. Potem reszta krasnostawsko-chełmsko-lubelsko-warszawsko-śląskiej owczarni. Zaraz znalazł się jakiś fotograf biznesmen. Kąsają miejscowe muchy. Przyjeżdżają jacyś prawosławni, chyba z Bułgarii. Ale nie ma tu tłoku. Wielkim jest przeżyciem znaleźć się tu, ale przede wszystkim za sprawą uświadomienia sobie okoliczności tego miejsca.

Po zielonej wodzie rzeki Jordan, przed nami Morze Martwe. Znowu droga przez pustynię znaczoną kępami roślinności. Słynne groty Qumran. Zwoje z Qumran odnaleziono przypadkowo w 1948 roku i głęboko ukryto w Jerozolimie. Zawierają one jakieś ważne prawdy. Także o Jezusie. W czerwieniastych skałach patrzą się oczy okien, wykutych przez ludzi otworów ich mieszkań. Mieszkali tu esseńczycy. Jan Chrzciciel był w tej sekcji. Docieramy nad Morze Martwe. Nie ma się wcale wrażenia największej depresji świata. Brzeg bardzo zagospodarowany. Mnóstwo autobusów przywozi licznych turystów. Izraelczycy w rozbitych namiotach całymi rodzinami.

Jakieś warsztaty artystyczne. Słysząc stukot kowalskich młoteczków wyrabiających rękodzieła żelaznej sztuki. Inni bawią się abstrakcyjną formą budowaną prostymi środkami. Ale co z wodą? Ciemnoszara, jest wprawdzie przed zachodem słońca. Ciekawych wielu z nas zanurza się. Brzeg, po którym się stąpa ma tłustą, dosłownie, ziemię, łatwo się po niej ślizgać. Woda bardzo słona piecze silnie, gdy dostanie się do oka. Płynąć się płynie, ale swobodnie można położyć się na wodzie i leżeć. To ta atrakcja, że się nie tonie nawet, gdy nic a nic nie umie się pływać. Nie można tu długo zostać w wodzie, ostrzegają. Niebezpieczne dla chorych na serce. Zapach wody, a szczególnie błota jest mdły, konsystencja tłusta, śliska. Prawie wszyscy schodzący do wody smarują swoje ciała błotem. Zawiera ono całą tablicę Mendelejewa. Skóra po takiej „kuracji” bardzo gładka. Bardzo dużo Azjatów. Z nami kąpią się Malezyjczycy, Rosjanie, Chińczycy. Temperatura 27 stopni. Nad wodą nie latają żadne ptaki, tylko jakieś śpiewają na brzegu, w trzcinach. Na granicy wody, na wbitych drutach zatknięte wymalowane ryby. I są to jedyne w tym morzu. Nad Morzem Martwym dosłownie dotknęliśmy tej ziemi. Niektórzy małe ilości ozdrowieńczego błota wzięli ze sobą do Krasnegostawu, tak jak i wody z Jordanu.

Wodzeni na pokuszenie, ochrzczeni, zanurzeni w Morzu Martwym i obmyci z błota, zmęczeni, ale jak nowo narodzeni wracamy do Betlejem.

Czwartek, 28.11. Betlejem - Jerozolima

Niektórzy o godzinie 5 odwiedzili bazylikę i miejsce narodzenia Pana. Pięknego, słonecznego poranka, czyli o pogodzie jak zwykle, pojechaliśmy naszym autobusem do Jerozolimy. Za każdym razem, gdy tam jedziemy, przekraczamy granicę z punktem kontrolnym, na którym są tylko uzbrojeni żołnierze, a po obu stronach rozciąga się betonowy mur z wąskich płyt wysoki na 8 metrów. Niedawno wzniesiony mur przeciw Palestyńczykom, zamyka ich jak w getcie. Odwet za zamachy terrorystyczne. W Jerozolimie widzimy bardzo piękną Dolinę Gehenny, przejeżdżamy nad nią. Jest to zagłębienie między dwoma górami, z zieloną trawą i niezbyt licznymi drzewami. To gdzieś tutaj powiesił się Judasz. Jedno ze zboczy tej doliny tworzy

góra Syjon. Ileż to razy słyszeliśmy o syjonistach. Nazwa pochodzi od tej właśnie góry. Docieramy do kościoła św. Anny, matki Maryi - miejsca, gdzie narodziła się Matka Boska. W kościele znajduje się w podziemiach Grota Narodzenia. Na niej freskowe malowidło. Ludzie zostawiają tu modlitwy na kartkach. A przed grotą, na pulpicie znajduje się wielki zeszyt w jedną linię, w którym zużytym długopisem można wpisać prośby, modlitwy. Tuż po wejściu do kościoła, po lewej stronie znajduje się rzeźba z białego marmuru przedstawiająca widok dla nas niecodzienny. Dwie postacie, młoda kobieta - to św. Anna z małą dziewczynką. To dziecko to maleńka matka Jezusa ze swoją matką. Kościoła tego nie zburzyli muzułmanie jak większości kościołów, a jedynie zaadaptowali na szkołę koraniczną. Śpiewamy pieśń poświęconą Matce Boskiej, aż echo odbija się od sklepienia.

W pobliżu kościoła św. Anny znajdują się robiące wrażenie wykopaliska i ruiny. To tutaj była sadzawka pasterzy (Betesda). My dziś widzimy wielki, prostokątny dół, w którym zbierano deszczową wodę dla świątyni jerozolimskiej. Po schodkach udajemy się do drugiej cysterny, na dnie której znajduje się nieco wody. Nad tymi dwoma zbiornikami zbudowano kościół św. Anny. Za cesarza Hadrianą zbudowano obok cystern pogańską świątynię, której fragment jeszcze się zachował. Nasi księża spotykają ponownie kardynała z Sewilli, tym razem ubranego jedynie w czarny garnitur z koloratką, w stroju zwykłego księdza z trudem mogliśmy go rozpoznać. Po placyku przed kościołem św. Anny przechadza się jakiś ksiądz w kremowym stroju, który mówił o sobie, że jest tutaj „jak mebel”. Okazało się, że przebywał kiedyś w Lublinie, szkoląc siostry na misję. Widzimy, że Grota Narodzenia Maryi robi wielkie wrażenie na pielgrzymach innych państw. Idziemy pieszo do miejsca, gdzie rozpoczęła się męka Jezusa. Idąc ulicą, niektórzy z nas mieli wrażenie jakby padał deszcz. Po drodze na wysokim murze za metalową barierką wykonują coś i podskakują maleńcy chłopcy. Gdy spojrzeliśmy w górę, wszystko się wyjaśniło. Na początku szła z polską flagą nasza przewodniczka. Mali chłopcy, skacząc i wrzeszcząc z wysokości 10 metrów pluli na nas. Były to dzieci ze szkoły koranicznej. Ale czy był to przypadek, czy takie dzieci rozpoznały polską flagę? Nie wiemy, pewnie rozpo-

znały chrześcijan. Docieramy do miejsca, w którym znajduje się niewielki kościół przykryty kopułą. Jego wezwanie to Biczowanie Pańskie. Na posadzce pielgrzymi z całego świata szukają niewielkiego fragmentu z zachowanymi jeszcze starożytnymi płytami. W nich niewielkie wgłębienie, jakby zrobione ludzkimi stopami i wydrapana na kamieniu kwadratowa plansza do jakiejś ówczesnej gry. Według tradycji, w tym miejscu Pan Jezus został ubiczowany przez rzymskich żołnierzy i tu miał włożoną cierniową koronę, a rysunek na kamieniu to plansza do ich gry. Tu prawdopodobnie rzucali kości o jego szaty. Tutaj jest nam dane odprawiać mszę z Ewangelią męki Pańskiej, księża nasi ubrani w czerwone szaty jako znak męczeństwa Chrystusa. Następnie przechodzimy do kościoła Skazania, gdzie prawdopodobnie Piłat osądził i skazał Jezusa.

Po mszy w kościele Biczowania ruszamy śladami Chrystusa. Ruszamy Via Dolorosa czyli drogą, którą przeszedł Chrystus, drogą od miejsca skazania do Golgoty. Dla idących nią po raz pierwszy wszystko jest dziwnie niezwykle. Bo oto gdy idziemy, powietrze napęlnia się śpiewem muzyczna. Ulica i tak już wąska schodzi w dół, zakręca i staje się coraz węższa. Dookoła toczy się normalne życie. Brzegi wypełnione otwartymi sklepikami z towarami wychodzącym na ulicę. Stojący przed nimi sprzedawcy, jak we wszystkich innych miejscach zachęcają do zakupu. W tę i z powrotem przeciskają się ludzie miejscowi, Arabowie i Żydzi, przede wszystkim pielgrzymi z całego świata. Głową niemal dotykamy wiszących dookoła towarów wystawionych na sprzedaż. Do tego przeciska się jeszcze samochód. My natomiast, odprawiający drogę krzyżową ze śpiewem i czytaniem zdajemy się wydawać miejscowym jak performerzy. Idąc uliczką w dół, skręcamy w lewo. Na rogu ulicy L-wad znajduje się III stacja - pierwszy upadek Jezusa z krzyżem. Dla nas może być wielkim zaskoczeniem, że jest to kaplica polska. Główną rzeźbę upadającego z krzyżem Chrystusa wykonał i podarował Polak Tadeusz Zieliński. Gdzieś u góry, w okrągłej kopułce polski orzeł w herbie, a nad wejściem do kaplicy od wewnętrznej strony półkolisty, niezwykle wymowny obraz. Na nim Chrystus jak duch z krzyżem przewodzący wielkiemu szeregowi mężczyzn ubranych w polskie stroje, z których każdy dźwiga krzyż. Obraz ten to alego-

ria polskich losów. Z kaplicy schodzimy przez jakiś sklep z przedmiotami kultu religijnego. W podziemiach jest piękna kaplica, a w bocznym korytarzu znajduje się odcisk stóp Jezusa. Każda ze stacji jest osobnym, niepowtarzalnym przeżyciem. Ta IV może szczególnie, gdzie jest ukazana boleść Matki przeżywającej mękę i cierpienie Syna. Przy V nie możemy pomieścić się w tłumie, do tego liczni sprzedawcy zachęcają po polsku do kupienia czegoś, a każdy z nas stara się dotknąć fragmentu ściany z odciskiem dłoni Pana Jezusa. Tu droga skręca i nie się do góry. Niespodziewanie zatrzymujemy się niemal przy gołej ścianie domu, gdzie mieszkała Weronika. Gdy przy stacji VIII czytany jest fragment Ewangelii „Córki jerozolimskie nie płaczcie nade mną” z góry właśnie schodzą trzy mużulmanki niosące dziecko i na nasze słowa oglądają się, choć wiemy, że ich nie rozumiemy. Wychodzimy już prawie na Golgotę. W górze kopuła ze złotym krzyżem nad Grobem Pańskim. Po naszej lewej stronie wysoki mur, a po drugiej stoją oparte o ścianę dwa drewniane krzyże, które wypożyczają pątnicy za 30 dolarów.

Do Bazyliki Grobu Pańskiego, która wydaje się być apogeuem naszej pielgrzymki, wchodzimy trochę od zplecza. Na środku kamiennego placu stoi ceglana, mała rotunda z kopułą, a dookoła widzimy lichej kondycji drzwi malowane na zielono, oznaczone krzyżami i małe, różnej wielkości okieneczka. Choć to wszystko jest murowane, robi wrażenie jakichś lepierek. Widzimy mnichów o brązowej skórze i wałęsające się koty. Jest to koptyjski zakon Kościoła etiopskiego. Kopuła przykrywa miejsce znalezienia przez św. Helenę drzewa Krzyża Świętego. Tu odprawiamy pozostałe stacje drogi krzyżowej, idąc dookoła kamiennej kopuły. Przechodzimy wreszcie na plac, z którego jest wejście do Bazyliki Grobu Świętego. Po lewej stronie portyku, jedna z trzech kolumn jest pęknięta. Według tradycji, tędy wydostał się święty ogień. Niemal cała bazylika jest we władaniu czterech zarządców. Tuż naprzeciwko wejścia widzimy charakterystyczny rząd wiszących lamp nad brązową, popękaną, prostokątną, kamienną płytą. Ku naszemu zdziwieniu, na tej płycie kładzione są reklamówki, z zakupami przez prawosławne kobiety, których głowy okrywają gustowne chustki. One też całują tę płytę. Jest to płyta namaszczenia Pana Jezusa po śmierci. Na nią w reklamówkach kładzione są różne przedmioty kultu,

a przede wszystkim świece. My tymczasem idziemy w górę na prawo po stromych schodach do tego miejsca bazyliki, które skrywa w sobie Golgotę. Panuje półmrok, palą się tu wotywnie, cienkie, długie świece. Kolejka pielgrzymów podchodzi do centralnego miejsca, na którym stał krzyż z Panem Jezusem. Brodaty mnich, mężczyzna dużej postury, w ciemnym habicie pilnuje tu dyskretnie porządku. Nic się nie odzywa. A to siądzie i się zamyśli, a to pogłodzi brodę, a to usunie wypadłą komuś niespodziewanie chustkę i nic się nie odzywa. Dostyc groźna jego postura samym wyglądem zda się porządkować to miejsce. Za szybą widzimy białe skały, pęknięte, same w sobie będące relikwią. Ale to najważniejsze miejsce niby gwiazda z dziurą w środku dostępna tylko wtedy, jeśli człowiek znajdzie się na kolanach. Na tym wszystkim bardzo wiele lamp i krzyż z Panem Jezusem, nad którym umieszczono tabliczkę z napisem w trzech językach. Dotykamy w tym miejscu najważniejszego punktu w życiu Jezusa jako człowieka. Każdy z nas może włożyć swoją dłoń w to miejsce. Ludzie robią sobie tu zdjęcia, kręcą filmy, nikt tego nie zabrania. Schodami kierujemy się do tej części świątyni, którą przykrywa ogromna kopuła wsparta na potężnych kolumnach. Po bazylice co jakiś czas przechodzą prawosławni księża i dość hałaśliwie potrząsają kadzidłem, którego mdły zapach wypełnia cały kościół. Tu znajduje się najważniejsze miejsce chrześcijaństwa - Grób Pana Jezusa. Skrywa go ciemnobrązowy graniastosłup chyba z kamienia. Z obu stron, jakby wzięty w żelazny uścisk współczesnej konstrukcji z belek stalowych. Przy jednej ze ścian palą się cienkie świeczki, które zapalają tu pielgrzymi i zgaszone zabierają do domu. Do Grobu Pańskiego ustawia się kolejka, a samo wejście, ogrodzone metalowymi barierkami, strzeże brodaty, energiczny mnich w średnim wieku. Ma się wrażenie, że miota się w nim jak podenerwowany lew. Ciągłe wchodzi do środka i wychodzi przed grób, przestawia barierki, pilnuje, aby nie robić zdjęć. Wpuszczane są po cztery osoby. Najpierw, jakby w przedsionku jest ukryty pod szkłem biały, sześcienny kamień, na którym anioł obwieścił o zmartwychwstaniu Jezusa. Przy jego brzegach palą się dwie świeczki. Następne, małe, prostokątne pomieszczenie, w połowie zajmuje coś na kształt kamiennej ławy, jasnego koloru

z półokrągłym, nieco wyniosłym brzegiem. Może tu klęknąć czterech pielgrzymów, a ich ręce dotykają kamiennej, bardzo gładkiej płyty. Płyta nie wydaje się być bardzo długa. To tu na tym miejscu złożyło ciało Jezusa i tu dokonało się najważniejsze - Zmartwychwstanie. Mnich tymczasem popędza z lekką niecierpliwością, zdającą się nie licować z powagą tego miejsca. Dla niego jesteśmy jednymi z kilku tysięcy pielgrzymów. Dla nas jest to jedno z największych przeżyć w naszym życiu. Musi wystarczyć krótka chwila refleksji i modlitwy. Tłoczą się przecież następni. Po przeciwnej stronie Grobu znajduje się jakby drugie miejsce przeznaczone tylko dla Koptów. W małym jakby ołtarzyku, przy kilku świecach brodaty mnich o smutno ascetycznym wyrazie oczu, skromnej posturze, przy całej swojej niepozornej fizjonomii niespodziewanie energicznie reagujący na odstępstwa od zasad. Widok tego mnicha i aura małego, mrocznego wnętrza są takie same jak przed wiekami. Przy głównym wejściu do Grobu Chrystusa płonie zwykła świeca, do której ustawiają się małe kolejki prawosławnych kobiet. Każda trzyma w ręku jak najwięcej świec, zapalając je od tego świętego ognia i natychmiast je gasząc w specjalnym kapturku. Świece te zabierano do swoich domów, cerkwi może. Katolicy nie mają takiej tradycji. Po obu stronach wejścia do Grobu, za barierkami stoją ozdobne, niby złote, wysokie lichtarze z wielkimi świecami. Na ich szczycie są energooszczędne żarówki. Do grobu czasem trzeba czekać kilka godzin w kolejce, toteż zdarza się, że przychodzący pertraktują z pilnującym mnichem wejście poza kolejnością. Widzieliśmy jak niektórym to się udało. Dokoła tego świętego miejsca nie panuje cisza, jak by nam się mogło zdawać, przy miejscach związanych tak blisko ze śmiercią i to kogoś tak niezwykłego. Słysząc ściszony gwar, słowa w różnych językach, błysk fleszy, przywołujących się nawzajem ludzi, nawet śmiechy. Nigdy nie wyobrażaliśmy sobie, jaka tam panuje atmosfera. Nie ma tu żadnych kwiatów. Barierki, które strzegą wejścia do grobu, mają zaskakujący dla nas napis w dwóch językach, w alfabecie hebrajskim i łacińskim „policja”.

Idąc korytarzem okalającym bazylikę, mijamy różne ołtarze. Wśród nich jest kamień jak półmetrowa kolumna umieszczona w szklanym graniastosłupie. Do tej kolumny był przywiązany

ny Chrystus podczas biczowania. W bazylice tej, w podziemiach znajduje się wielka krypta z grobem św. Heleny, której chrześcijaństwo tak wiele zawdzięcza. Tę bazylikę zbudowali krzyżowcy. Znajduje się tam gdzieś również grób Józefa z Arymatei, któremu pozwolono wziąć ciało Chrystusa i położyć w grobie. Gdy wychodziliśmy z bazyliki, przy płycie namaszczenia było pusto, a na niej leżały płatki kwiatów. Gdy zebraliśmy się na dziedzińcu, mając czas przyjrzeć się wszystkiemu dookoła, zobaczyliśmy, że wysoko na frontonie nad wejściem do bazyliki stoi drewniana drabina przystawiona do jednego z okien. Tak jakby zapomniano ją zdjąć. Kilkoro z nas poszło ponownie pod Ścianę Płacz. Dzisiaj wypada święto Chanuka - Święto Światła. Pod Ścianą Płacz stoi wielka menor, jeszcze bez świateł. Pod Ścianą wielu modlących się Żydów, bardzo różnie ubranych, w różnym wieku, a najwięcej ortodoksyjnych. Tego dnia widzieliśmy ciekawe zdarzenie. Żydzi wchodzący pod Ścianę umywają ręce, używając metalowych kubków przykutych łańcuchami. Wszyscy mężczyźni muszą nałożyć jarmużki. Dla przybyszów są białe, jakby stylonowe. Można było dzisiaj zobaczyć bar micwę 13-letniego chłopca w miejscu przeznaczonym dla mężczyzn. Odczytał on fragment Tory w obecności ojca i innych mężczyzn, podczas gdy kobiety z rodziny stały na krzesłach za ogrodzeniem i rzucały cukierki. Po modlitwie chłopiec, teraz już jako dojrzały mężczyzna odniósł zwoje Tory do synagogi. Przedtem widzieliśmy, jak do Ściany Płacz podszedł katolicki biskup w czarnej sutannie, w biskupiej piusce na głowie i z dość dużym krzyżem na piersi. Podszedł do Ściany Płacz i modlił się tam w skupieniu dłuższy czas, mający po swoich stronach tuż obok modlących się Żydów. Po jakimś czasie znalazło się kilku uzbrojonych w ciemne mundury mężczyzn, z którymi biskup musiał wyjść poza teren placu. Zaś młody człowiek z jego otoczenia, ze strapioną miną tłumaczył się obu mundurowym. W ostateczności nakazano im opuszczenie całego placu. A gdy ci szli, umundurowani, młodzi Izraelczycy kroczyli za nimi w niewielkiej odległości, aby upewnić się, że niepożądany gość rzeczywiście opuści ich święty plac. Krzyż dla Żydów jest profanacją tego miejsca.

Piątek, 29.11.

Betlejem - Jerozolima - Sierociniec - Betlejem

Muezin jak zwykle budzi nas o 4.15. Większość z nas ma zaplanowane nocne wyjście do Bazyliki Narodzenia. Z hotelu wychodzimy o 4.55 i spodziewamy się być pierwszymi, aby móc odprawić nabożeństwo w Grocie. Gdy zjawiamy się na miejscu, nieco po piątej, trwa tam jeszcze msza święta odprawiana po włosku. Kapłan na Żłóbku Pańskim. Dołączamy do Włochów i pozostajemy do końca. Wiemy, że nie możemy w tym miejscu sprawować Eucharystii, bo mają przyjąć greccy prawosławni. Oni tu są jakby u siebie. Nie ma tu zasady „kto pierwszy ten lepszy”. Znajdujemy miejsce na obrzeżach bazyliki w kaplicy św. Heleny. Na ścianach nieliczne freski, od razu widoczna starożytność kolorów i maniery malarskiej, ale wypełniają one ściany kaplicy tylko częściowo. Pozostałość pomalowana na białą, jakby niedawno tynkowana. Niekompletność fresków przypomina nieco salę refektarza w Krasnymstawie. Mszę rozpoczęła kołęda „Dzisiaj w Betlejem” tak przecież dobrze nam znana, ale w miejscu narodzenia uświadamia nam niezwykłość tego, w czym uczestniczymy. „Dzisiaj w Betlejem” śpiewane do tej pory przez nas w Krasnymstawie czy w Chełmie rozlega się właśnie w Betlejem, tym Betlejem. Naszym też. Nigdy tego w życiu nie doświadczyliśmy. Świadomość tego faktu rozbudza nas do reszty z krótkiego snu...

Ksiądz Jacek Lewicki w kazaniu, nawiązując do Ewangelii o pasterzach określił nas tam znajdujących się dzisiejszymi pasterzami, których zadaniem będzie, po powrocie do domu, głoszenie o tym, co tu się stało dwa tysiące lat temu. Jowialny i dowcipny ksiądz Roman wtrącił do tego z szelmowskim uśmiechem: „No, z opowiadaniem nie będzie problemu”. W tej niewielkiej kaplicy utworzenie kręgu z ludzkich rąk przechodzącego przez ołtarz z włączonymi księżmi podczas modlitwy „Ojcze nasz” dopełniło poczucia szczególności chwili i miejsca. Wracaliśmy do domu, gdy już się dobrze rozwidniło. Na ulicach byli pojedynczy przechodnie sprzątający śmieci, i koty. Wszystkie sklepy były jeszcze zamknięte zielonymi okiennicami i drzwiami. Przeważnie wyblakły ten kolor jest tu barwą narodową. Sam zdaje się wołać: „tu jest dom, sklep palestyński”. Betlejem spało. Gdy

zostawialiśmy bazylikę, w jej mrocznych wnętrzach brzmiały modlitwy prawosławnych, brodatych mnichów. Rozlegał się szcęk potrzęsanej kadzielnicy i unosił zapach dymu. Do bazyliki przyszła pierwsza grupa kobiet owiniętych w chusty. Prawosławne.

Po śniadaniu, znowu przekraczając granicę z wysokim murem, jedziemy do Jerozolimy. Wiemy, gdzie powiesił się Judasz i nasze oczy szukają szczegółów doliny. Na Górę Oliwną tym razem wjeżdżamy za dnia. Po drodze mijamy samochód pancerny jednego Żyda zamieszkującego w dzielnicy arabskiej.

Pierwszym kościołem odwiedzanym przez nas na Górze Oliwnej jest ten zwany „Pater Noster”. Kościół nieduży, kryjący w sobie grootę, w której Jezus wskazał uczniom jak mają się modlić, gdy ci go o to zapytali. Tak więc w tym miejscu Jezus wypowiedział tak często powtarzane przez nas Pater Noster - Ojczy nasz. Czymś niezwykłym w otoczeniu tego kościoła i w nim samym są pięknie ozdobione, dość oszczędne w stylu, przeważnie wielkie, kamienne tablice. Jedna przy drugiej wmurowane na ścianach kościoła, a poza nim - na murze otaczającym dziedziniec. Wszystkie one mają tę samą modlitwę „Ojczy nasz”. Pierwsza z tablic odnaleziona została podczas wykopalisk, napisana po aramejsku czyli w języku Jezusa, a obok napisana po hebrajsku. Dała ona początek pozostałym. Są tu trzy polskie akcenty. Pierwszą polską tablicę ufundowali żołnierze armii Andersa, druga pisana po kaszubsku i trzecia - mała, czarnego koloru niedaleko wejścia napisana alfabetem Braille'a. Ludzie różnych języków przychodzący z całego świata szukają każdy swojego „Ojczy nasz” (Chińczyków nie wykluczając). Według tradycji, to na tym miejscu miało dokonać się Wniebowstąpienie Chrystusa. Przy wejściu do kościoła Pater Noster stoi karzeł z gałązkami oliwnymi; one dolar - jedna gałązka.

Przed nami rozciąga się widok starej Jerozolimy leżącej na wzgórzach i widzimy stąd niemal wszystkie ważne miejsca. Od starej Jerozolimy oddziela górę, na której stoimy (Oliwną) Dolina Cedronu. Niby zwyczajna, porośnięta drzewami oliwnymi, niby gaj z nielicznymi chrześcijańskimi grobami z dawnych wieków. Jest miejscem, gdzie ma się dokonać Sąd Ostateczny. Ten fakt ma znaczenie dla ulokowania ogromnego żydowskiego

cmentarza pokrywającego większość tej dużej, łagodnie opadającej góry. Cmentarz bez żadnych drzew, z kremowymi nagrobkami, ciasno, ale regularnie wypełniającymi większość tego biblijnego wzgórza. Miejsce na nim kosztuje milion dolarów, a to dlatego, że poniżej znajduje się Dolina Cedronu, a według wyroczni będzie tylko cztery dni, aby się tu dostać. Stąd każdy chce dać sobie szansę i leżeć jak najbliżej. Z tego miejsca widzimy zamurowaną Złotą Bramę z dwoma łukami, którą Jezus wjechał na osiołku w Niedzielę Palmową. Błyszczą kopuła Złotego Meczetu, miejsca spornego trzech religii, pod którą ma się znajdować kamień węgielny ziemi. Widać stąd Golgotę, ale wcale nie tak wyraźnie z Bazyliką Grobu Pańskiego. Także po drugiej stronie Doliny Cedronu, na lewo od starej Jerozolimy widać miejsce, w którym stał pałac Kajfasza. Stojąc tu, widzimy jak na dłoni jaka jest odległość z ogrodu Getsemani (Ogrójca) do Kajfasza.

Wokół nas jest wiele grup z całego świata. Barwnie ubrani Nigeryjczycy, widzimy, że marzną. Mają czapki na głowach, a wielu z nich rękawiczki robocze, zapewne kupione tu na miejscu. Złodziej. Ostrzegano nas w tym miejscu przed kieszonkowcami. Właśnie okradł dwóch z nich i ucieka po żydowskim cmentarzu. Egzotyki tego miejsca dopełnia Beduin z osiołkiem sprzedający wizerunek ich obu za dwa dolary. Stary żebrak w jarmulce utykający na nogę, podpierający się szczudłem wołał do nas „daj tu!” Co kilkadziesiąt metrów są kamery. Po kamiennej drodze schodzącej ze Wzgórza Oliwnego schodzimy do niedużego kościoła Pan Zapłakał - Dominus flevit. W jego wnętrzu siedzą już Nigeryjczycy, a przewodniczka Anna mówi nam, że oni modlą się całym ciałem. Za chwilę mogliśmy się o tym przekonać. Rzeczywiście potrzęsają głowami i ciała opanowują małe drgawki, trochę kiwają się jak Żydzi, niektórzy głośno coś powtarzają. Przyglądamy się temu z cichym zdumieniem. To tu Jezus zapowiedział, że z Jerozolimy nie zostanie kamień na kamieniu, gdyż nie rozpoznała swojego czasu. Z tarasu przed kościołem widzimy błyszczące od złota cebulaste kopuły kościoła Marii Magdaleny, prawosławnego, postawionego przez Rosjan. Według prawosławnej tradycji, w tym miejscu nastąpiło wniebowstąpienie Jezusa. My schodzimy tymczasem do miejsca,

które bardzo często zajmowało naszą wyobraźnię, jest to Ogrójec. Jedno spojrzenie i zastany widok po raz kolejny obala nasze przez kilkadziesiąt lat pielęgnowane wyobrażenia, bo oto jest to prostokąt otoczony metalowym ogrodzeniem, wewnątrz poprzecinany alejkami, w którym znajduje się ze 30 drzewek oliwnych. Na wąskiej uliczce, przeciskani przez przechodniów odczytujemy fragment Ewangelii o pojmaniu Jezusa. Pewnie każdy z nas szuka wzrokiem drzewka, które mogłoby być tego świadkiem. Jest ich tu kilka o starych dziurawych pniach, które trudno by było objąć jednemu człowiekowi. I te - być może - są potomkami tamtych, pamiętających Chrystusa. Tuż obok znajduje się kościół Agonii Chrystusa, w przewodnikach zwany Kościołem Wszystkich Narodów. W nim wielkie przedstawienia scen z Ogrójca. Jak przystało na nazwę (Wszystkich Narodów), wlewa się do niego wielojęzyczny tłum ciągle uciszany głosem przez mikrofon.

Z kościoła Agonii przechodzimy znowu niżej, gdzie na widocznej płaszczyźnie znajduje się krypta z placem położonym 6 metrów poniżej, w której są pochowani rodzice Maryi, Anna i Joachim oraz św. Józef. Centralnym miejscem tego kościoła jest krypta, w której miało być złożone ciało Maryi. Pojedynczo idziemy tuż obok kamiennych murów. Tuż przy grobie stoją sztuczne kwiaty przybrudzone kurzem. Na ścianach stare obrazy. Wszystko może robić wrażenie zatrzymania się czasu kilkaset lat temu. U góry wiszą różnej wielkości lampki tak charakterystyczne dla obrządku Kościoła wschodniego. Niedaleko obok znajduje się grotta, w której przebywali apostołowie po pojmaniu Jezusa. Kiedyś było to ogrodem Getsemani czyli Ogrójcem. Wewnątrz grotty zakonnik w brązowym habicie nic się nie odzywa, jedynie pokazuje tekturową tablicę z napisem „cisza”. Napis w tej grocie informuje, że to tu Judasz zdradził Jezusa. Autokarem przejeżdżamy na drugą stronę Doliny Cedronu, na górę Syjon. Pod Bramą Syjońską kupujemy „bajgle”. Nie ma czasu uświadomić sobie, że oto jesteśmy na słynnym Syjonie. Przechodzimy do miejsca świętego dla Żydów, ale i ważnego dla chrześcijan - do grobu króla Dawida, tego samego, który pokonał jako mały chłopiec potężnego Goliata. To właśnie jego wyrzeźbił Michał Anioł jako młodzieńca z procą na ramieniu i tego samego, którego

psalmy śpiewamy. „Choćbym szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę...”. W małym pomieszczeniu stoi sarkofag przykryty jakby daszkiem, na którym jest czarna tkanina haftowana srebrem. Przychodzą tu przede wszystkim Żydzi i turyści. Żydzi, stojąc, pochylając, kładą się, wymawiając modlitwy, także kiwają się jak przy Ścianie Płaczu. W przedsiönku mogliśmy zobaczyć bar micwę. Trzynastoletni chłopiec odziany w tradycyjny strój czynił przygotowania nakazane tradycją. Prawą rękę owijał wąskim rzemieniem, palcem pokazywał wersy Tory. Obok przyglądał się ojciec i młodszy brat, ale wszystko to zdawało się być na niby, aby fotograf mógł wykonać zdjęcia, o taką sesję fotograficzną. Nam pozwolono fotografować w tej wnęce do woli. Fotograf zapytany przez nas o to czy jest to bar micwa zdziwił się, że o tym wiemy, myślał, że jesteśmy z Rosji. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy usłyszał, że z Polski. W drzwiach prowadzących do sarkofagu króla Dawida, na kamiennej futrynie znajduje się mezuzah. Żydzi, wchodząc do grobu króla i wychodząc, dotykają jakby od niechcenia dłońmi. Najdziwniejsze jest to, że być może w sarkofagu nie ma żadnego ciała, a Żydzi, wierni nakazom tradycji, nie pozwalają wykonać nawet zdjęć rentgenowskiego. Widać po ich gorliwych modlitwach, że takie badania nie są im do niczego potrzebne.

Z tego miejsca przechodzimy do następnego, równie niezwykłego i ważnego - do Wieczernika. W nim Jezus dokonał ustanowienia dwóch sakramentów: Eucharystii i kapłaństwa. Oczywiście budynek powstał znacznie później, ale ciągle jest to ta sama przestrzeń. Po Wieczerniku miało miejsce drugie ważne zdarzenie, już po Zmartwychwstaniu Chrystusa, gdy uczniowie zamknęli się w nim w obawie przed Żydami. W tym miejscu nastąpiło Zesłanie Ducha Świętego. Traf chce, że podczas naszej tam bytności była anglojęzyczna grupa modląca się w dziwny dla nas sposób, z głośnymi okrzykami, wyciągająca ręce do nieba z prośbą o dar Ducha Świętego. Z powodu zbyt dużego hałasu, nie możemy usłyszeć czytanej przez nas Ewangelii i musimy wyjść na dziedziniec, przez który pojedynczy Żydzi przemykają do synagogi. Na ulicy wiodącej do tych miejsc znajduje się duży pomnik króla Dawida grającego na harfie. Poniżej żywy młodzieniec rzępoli na gitarze za

pieniądze. Ale nad tym miejscem góruje potężny kościół Zaśnięcia Maryi. Wszystko to mieści się na górze Syjon. Wewnątrz tego kościoła potężną jego bryłę tworzy ogromna kamienna kopuła wsparta u podstawy półkolami, w których znajdują się ołtarze. Ale prawdziwa niespodzianka czeka nas w podziemiach. Oto w krypcie leżące na sarkofagu ciało Maryi naturalnej wielkości ze złożonymi na piersi rękami, z odsłoniętą twarzą, której śmiertelną bladość oddaje kość słoniowa. Kłękamy przy półkolistej kamiennej balustradzie, śpiewamy jedną zwrotkę pieśni maryjnej. Wszystko musi odbywać się szybko. Za nami wchodzą jacyś pobożni Azjaci, których tu w ogóle często spotykamy. Dla przeciwwagi stwierdzić należy i ocenić jako dziwne, że odwiedzając tak liczne miejsca, nie spotkałmy się z ani jedną całą polską grupą, nie licząc Cezarei.

Autokar przewozi nas już do ostatniego punktu zwiedzania w Jerozolimie. Widzieliśmy to miejsce z Góry Oliwnej. Jest to kościół Galicante, czyli Płania Koguta, albo Śpiewu. Gdy idziemy do tego miejsca, schodząc lekko w dół, widzimy zgrabne kopuły tego kościoła, a jedna z nich zwieńczona krzyżem. Na krzyżu - złoty kogut. W czasie naszego przemarszu na tym kogucie usiadła czarna wrona. Któż z nas nie powtarzał, a na pewno słyszał po wielokroć „od Annasza do Kajfasza”. Widzimy, że wykopaliska odsłoniły mury i doły stanowiące pozostałość po pałacu Kajfasza. Tutaj przyprowadzono Jezusa z Ogrójca przez Dolinę Cedronu. Pod pałacem znajdowała się, jak zwykle w tamtych czasach, ogromna cysterna czyli mniej więcej wielka, regularna dziura w skale, w której zbierano deszczową wodę. Schodzimy do niej wąskimi schodami i na jej dnie odczytujemy psalm 88 - psalm Dawida o odczuciach więźnia zamkniętego w ciemnicy. To Jezus po pojmaniu, stając się więźniem, został na noc po linie spuszczonej do tej cysterny, aby nie mógł stąd uciec. Psalm Dawida napisany kilkaset lat wcześniej przepowiada tę noc Jezusa.

Pewną ciekawostką jest to, że na jednej z czterech ścian, na której nic nie widać nawet przy wnikliwej obserwacji, gdy zrobimy zdjęcie, na ekranie ukazuje się zarys postaci. Jedni mówią, że jest to anioł, inni, że może to sam Chrystus. W każdym bądź razie odwiedzający to miejsce bardzo chcą

dostać się na dno skalistego zbiornika. To w tym miejscu na dziedzińcu pałacu Kajfasza Piotr zapytany czy zna Jezusa wyparł się go trzy razy nim zapiał kogut. Dla nas dziwne, ale tutaj to pewnie normalne, że w czasie naszego pobytu usłyszeliśmy jak gdzieś w oddali zapiał kogut. Można było się poczuć jak w czasach biblijnych.

Przy ruinach pałacu pokazano nam kamienne, częściowo zrujnowane schody idące lekko do góry. Po nich na pewno Jezus był prowadzony do Piłata, co podkreśla płaskorzeźba przedstawiająca postać Jezusa prowadzonego na czterech sznurach. Te schody, według przewodników, to podobno jedyny autentyczny z czasów Jezusa. Na miejscu zaparcia się Piotra postawiono kościół nazywany teraz Galicante. Na zewnątrz kościoła mosiężna rzeźba przedstawia św. Piotra siedzącego przy ognisku, kobietę wskazującą na Piotra, rzymskiego żołnierza i na marmurowej kolumnie metalowy kogut. Kościół ten ucierpiał w czasie wojny w 1967 roku. Odbudowały go różne narody.

Kończymy zwiedzać Jerozolimę. Jesteśmy w Palestynie i jedziemy do sierocińca prowadzonego przez polskie zakonnice elżbietanki. Wszyscy zastanawiamy się jak będzie wyglądać to miejsce. Tam odprawiona została msza święta, dla większości po raz drugi w tym dniu, z kazaniem księdza Romana, które śmiało można określić kazaniem słowno-muzycznym. Kątem oka obserwujemy starszą siostrę stojącą gdzieś na końcu i niekonwencjonalny sposób zachowania się homilety, który nie wzbudził u niej szoku, ale my się na ludziach nic nie znamy, bo szok był, ale u nas po wystąpieniu siostry Rafaeli. Prosta opowieść prowadzona zwyczajnym tonem, miejscami zabarwiona humorem wywarła na nas ogromne wrażenie, niektórym wycisnęła łzy z oczu, tak że na zakończenie mogliśmy swoje uczucia do niej wyrazić oklaskami na stojąco. Trudne do uwierzenia, jak ta drobnej postury kobieta zmagająca się w swoim życiu z wojną, śmiercią, przeciwnościami ze strony ludzi tu mieszkających, przeważnie Żydów. Prowadziła swoje heroiczne dzieło, niosąc miłosierdzie i pomoc dzieciom osieroconym przez wojnę. Również wielkim zaskoczeniem było dla nas słuchanie o cudach pomocy, jakiej dostała niby w przypowieściach biblijnych. To wystąpienie uświadomiło nam, jak tu w Polsce mamy dużo, a narzekamy, żyjąc

w luksusowych warunkach, w porównaniu z tym, co jest udziałem ludzi tutaj. Prawdę powiedziawszy, baliśmy się skorzystać z toalety wiedząc, że woda jest tu wielkim skarbem przywożonym raz na dwa tygodnie. Ten niespodziewany punkt naszej pielgrzymki zrobił na nas równie duże wrażenie jak odwiedzane wcześniej miejsca.

Gdy opuszczamy sierociniec jest już noc. Jutro jedziemy do Emaus, do którego Jezus szedł z dwoma uczniami. Czy znowu upadnie mit naszych wyobrażeń?

Sobota, 30.11.

Betlejem - Emaus - Jaffa - Jerozolima

To już ostatni dzień pielgrzymki. Ksiądz Jacek idzie do Bazyliki Narodzenia o 4.30. Ma niepowtarzalną okazję odprawienia w koncelebrze mszy w Grocie Narodzenia po włosku. Gdy o tym mówił wczoraj, czuło się ekscytację w jego głosie. Ksiądz Roman prowadzi małą grupę pół godziny później. Idąc pustymi ulicami, głośno śpiewają kolędę, w której jak przerywnik pobrzmiwa głośnie „wstać”. Ktoś rzucił im worek ze śmieciami. Rano, zamiast muezinów, były dzwony z kilku kościołów, jak nigdy w tych dniach, kiedy jesteśmy. Nasza grupa w różnym czasie dociera do bazyliki. Ci, którzy idą po 7 rano widzą dwuosobowe patrole policji palestyńskiej rozstawione co jakieś 100 metrów. W samej bazylice dość pusto. Bez problemów schodzimy do samej groty. Wracając, wcale nie spotykamy wielu miejscowych, żebraczka, zamiatacze ulic, rozkładający warzywa na małym jarmarku. Tuż obok hotelu jakaś potworna kłótnia Palestyńczyków na ulicy. Policja nie studzi emocji dostawców owoców, którym blokuje się wjazd. Coś ma tu się chyba dziś wydarzyć, stąd te utrudnienia w ruchu i patrole policji. Przed hotelem robimy pamiątkowe zdjęcia z Palestyńczykiem przebranym w turecki strój. Bardzo sympatyczny i chętnie pozuje. Znowu jedziemy przez Pustynię Judzką do miasta, czy też wsi, gdzie Jezus lubił przychodzić, do domu Marty i Łazarza, jej brata. Tego wcześniej na ulicach nie widzieliśmy - wiszące tusze baranów. Kilka w rzędzie, niektóre osłonięte folią. Na wielu osobach widok ten budził wstręt. Domyślać się należy, że to bardziej głęboka prowincja. Na miejscu, gdzie zatrzymuje się autobus stoi facet z wielbłą-

dem. Bierze jedną z naszych pań, wsadza jakby wbrew jej woli na wielbłąda i leżące dotąd zwierzę wstaje do zrobienia małego kółka po parkingu, jako przejażdżkę. Właściciel zaraz wsadza księdza Jacek, wygląda to jakoś promocyjnie, oni się wcale do tej atrakcji nie palili. Zdawać się mogło, że to w celu zachęty dla innych. Ale nie, od pierwszych acz niechętnych, zaraz zainkasował po 5 dolarów. Zamiast wyglądać miejsca nabożnego, już stragany kuszą swoimi wystawionymi towarami. Większość wchodzi do wnętrza sklepu, gdzie gości częstują kawą z kardamonem. Ceny okazały się równie zawyżone jak i w innych sklepach, gdzie podano nas na tacy. Znowu oglądanie, targowanie, wybieranie, supłanie w portfelach, które zdają się być niewyčerpalnymi. Na miejscu domu Marty stoi kościół nowoczesny w formie, również projektu architekta Berluciego. Droga pod górę, ulicą wspinamy się do groty, która miała być grobem Łazarza. Schodzi się dość głęboko. Na uliczce oczywiście straganiarze. Jakiś inwalida liczący na jałmużnę. Tu Jezus wskrzesił Łazarza. Znowu droga w kierunku Tel Avivu. Góry dość lesiste.

Jedziemy do Emaus. Tu Jezus ukazał się po raz pierwszy uczniom po Zmartwychwstaniu. To wydarzenie w naszych wyobrażeniach uzmysławia fragment Ewangelii i słynny obraz. Gdy dojeżdżamy na miejsce, oczy od razu niszczą obrazy tkwiące w głowie przez lata. Ruiny kościoła zbudowanego przez krzyżowców. Stoi on w miejscu, gdzie dwaj uczniowie zasiedli razem z Jezusem, i jak poznali go po łamaniu chleba. W tym miejscu będziemy uczestniczyć w liturgii. Nasi księża idą do prowizorycznej zakrystii mieszczącej się w baraku z blachy. Zawiadują dwie zakonnice Francuzki. Środek kościoła z ruin przykrywa brezentowy dach chroniący przed słońcem. Ołtarzowy stół oparty na jednej nodze, dużej kolumnie, jakby ułamanej pod wierzchem, wbitej w ziemię, podtrzymującej kamienną płaszczyznę ołtarza. Przy końcu mszy Leszek Janeczek podziękował księżom w imieniu całej grupy. Jedna z miejscowych zakonnice obecna na całej liturgii, nieznaną polskiego powie na zakończenie, że była to dobra grupa. Całkiem w pobliżu toalety jest i muzeum pokazujące przede wszystkim fragmenty zachowanych mozaik z pierwotnego kościoła. Ale myśl, choć pośpiech, trzeba zestawić krzesła, pójść do toalety, śpieszyć do

autokaru, wciąż podsuwa zadziwienie - to jest to słynne Emaus. Na ścianie zrujnowanego kościoła obraz wiszący tu dla unaocznienia ewangelicznego wydarzenia.

Gdzieś o zachodzie słońca docieramy do Jaffy. Na ulicach pełno ludzi, to muzułmanie, tam gdzie mieszkają Żydzi było pusto, trwał jeszcze szabat. Zwiedzamy kościół św. Piotra nad brzegiem morza. Wieje silny wiatr. Dalej piękna panorama cypla z wielkimi wieżowcami i rozlewające się szeroko spienione fale. Wzgórze Abrahama z bramą jego imienia. Czy tu miał ofiarować Izaak? Obok ruiny egipskiego jeszcze miasta, kilka tysięcy lat. Uliczki nazwane znakami Zodiaku, drzewko pomarańczowe rosnące w glinianym konie nad ziemią. Zapada zmrok, palą się uliczne lampy, to już koniec zwiedzania. Droga do lotniska wypada już ciemną nocą. Tam też będą pewne emocje związane z kontrolą. Po drodze przygotowujemy się do tego. Przewodniczka poucza nas gdzie mamy kłamać, wyjeżdżając z Ziemi Świętej. Przede wszystkim wszyscy mamy mówić, że pochodzimy z jednej parafii i wszyscy znamy się, że sami pakowaliśmy bagaż, nie dostaliśmy żadnych podarków, a te które mamy, kupiliśmy w sklepie. Rzeczywiście do naszej kolejki na lotnisku podszedł wysoki, o ciemnawej skórze, młody, w garniturze, pytał dziewczynę z Warszawy czy zna - tu wybrał i pokazał z daleka Dorotę Zakrzewską. Tamta powiedziała, że tak. A jak ma na imię. Nie miała pojęcia, szybko skłamała. Ale nie podchodził i nie sprawdzał imienia. Prawie wszyscy musieli podchodzić do stołów, wystawiać swoje walizki i otwierać. Dość zabawna scena, gdy dwie starsze panie, z siwymi włosami, ledwie dźwigające na stół jedną walizkę, gdy ktoś powiedział „to tak wyglądają terrorki?”. Wszystko na lotnisku trwało dość długo, ale ostatecznie wszyscy znaleźliśmy się w samolocie Wizzair i dolecieliśmy szczęśliwie do Warszawy, którą Izraelczycy nazywali Warsza. Tu zimno. Na samym lotnisku dość pustawo i senno. Krasnostawski autobus zabiera nas w drogę powrotną. Tu rozbrzmiewają mowy dziękczynne i śpiewy. W Krasnymstawie jesteśmy po czwartej. Ze wszystkich stron ciemność pochłania pasażerów z ich bagażami. Pożegnania, uściski, życzenia. I koniec.

dr Leszek Janeczek

Waldemar Michalski



Z podróży na Wschód

*Z dwóch Beduinów mój orszak się składał,
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadł
I podawał mi ręce... i tak szedłem długo...*

Juliusz Słowacki

1. Jaffa

Jaffa w nocy jak sen
na pustyni - być i żyć
sztuka wybranego plemienia
a w nocy drzewa to nie drzewa
domy to nie domy
jak Jonasz wyrzucony
na brzeg morza - świadectwo
niepokornych i nieśmiertelnych
biblijnych i dzisiejszych.
Żyd-Polak z Alei Róż w Warszawie
Antoni Słonimski mówił mi
zanim sam to zobaczyłem
i uwierzyłem: Jaffa w nocy
- sen który się spełnił.

2. W Cezarei

Może Cezar nawet tu był
na pewno zawsze było morze
słone i gorzkie żywe i martwe
i był jeden z niewielu
na imię miał Piotr
uwierzył w słowo -
było konieczne i oczekiwane
dzień po dniu
z chlebem i bez chleba
z nadzieją i wiarą
aż na szczyt Golgoty.

3. Jezioro Genezaret

Pod drzewem modli się
apostoł z długą brodą
przybył z daleka
mowa jego inna a jednak znajoma.
W lustrze wody cisza sprzed wieków
i kamień milczący świadek
w zielony brzeg łódź wpisana
jak kołyska zawieszona na fali
raz bliżej raz dalej
czy trzeba nowego objawienia?
Panie, tu jestem,
dlaczego odpływasz?

4. Nazaret

Najpierw do synagogi
później do składu z przyprawami
pieprz papryka smakowite ziarno
palestyńska dziewczyna
jak z obrazu Madonna
odlicza szekle
być znaczy mieć
nikt nie myśli o górze straceń
o wygnaniu bez winy.
Poranek - wszystko wraca do normy -
jest ogrodem
wiosennie kolorowym.

5. Kafarnaum

Przyjechali zobaczyli uwierzyli
otworzyły im się usta
kolumny białej synagogi
podtrzymują błękit nieba wysoki
jak blisko do nieba
jak daleko do domu -
dom Piotra nakryty dachem
jak baldachimem.

Przełamuję chleb i karmię się rybą
Panie dokąd nas prowadzisz?

6. Hajfa

Port dla błędzących po morzu -
na redzie statki pełne ziarna i oleju
i od wieków
zielone winnice Karmelu.

W klasztorze śniadanie w stylu francuskim
pełne misternej elegancji
i dobrego apetytu.

Prorok Elias z klasztornej grotty
wzywa do pojednania
nie każdemu to w smak
i do strawienia:
nic o nas co przeciw nam!

Nad głowami nowoczesne myśliwce
znaczą na niebie znak krzyża -
ale krzyż nie jest tu znakiem
nadziei.

7. Nad Jordanem

Ocean daleko - pustynia blisko
ostatnią kroplę wypila rzeka
przychodzimy bosi i nadzy
głowę chowając w ramiona
Jan dłonią nabiera wodę
i Słowo staje się znakiem
tu nad Jordanem
dziś bardziej współczesnym
niż widmo Krzyża
gdzieś za górami
za plecami
w sercu przebitym włócznią.

8. Morze Martwe

Jeżeli piekło może być słone
to jesteś u jego brzegów
pochłonęło Sodomę i Gomorę
i nadal cierpliwie czeka.
żadna gwiazda nie spada do jego
wypalonej misy.

Zmywamy ostatnie krople
niech sól idzie do soli
przyjechałeś żeby dotknąć
prawdy:
ona jest w tobie.

9. Jerycho

Jerycho u stóp klasztornej góry
sykomora niby ta sama
i źródło które daje życie
słyszę słowa:
zejdź z drzewa choć ze mną
zostaw swój codzienny bagaż
weź sandały - przydadzą się na drogę
która ma początek ale nie ma końca
trąby jerychońskie zburzyły bramy
abyś żył wolny nie jako ślepiec
i nie wracał już na drzewo.

10. Betlejem

Schyl głowę
jeśli nie chcesz mieć guza
brama jak ucho igielne
przyjść tu ze świeczką
znaczy rozświecić dłonie
oddać Bogu to co boskie
napęlić dom swój radością
hotel nie każdemu pisany.

W podróży do Betlejem
już dziś daj się zapisać
od nowa jak wczoraj
księga wieczysta
zna imion wiele
a twoje?

11. Dolina Pasterzy

Beduini ciągle w odwrocie
kamienne szalasy, wielbłądy, pustynia
ze skały nie tryska woda
ogień nie zapala jałowca

manna i ryba ciężko zapracowane
jak w życiu
coraz trudniej
odnaleźć zagubioną owcę
Betlejem blisko
czy gwiazda ta sama?

12. Jerozolima

Kamień na kamieniu - skała na skałe
w Dawidowym mieście pamięć
znaczy początek a to więcej
niż to co jest i było -
kręte uliczki wysokie bramy
wołanie muezzina
kolorowe kramy
przy ścianie świątyni-matki
stary żyd z wnukiem
karteczkę wciska w szczeliny
adres wiadomy i prośba znana.

Na ramionach krzyż niosą pielgrzymi
z chustą czeka Weronika
procesja idzie na Golgotę -
jutro zapiszę w kronice świata:
Jeruzalem żyje!

Epilog

Podróżować to jakby trochę mniej umierać
wędrujemy więc po światło Wschodu
i w Rzymie uparcie Słowa szukamy.

Chrystus patrzy z przydrożnego krzyża
jakich śladów wypatrujesz - pyta
staję jak niemowa otwarty na wrota

- tylko miłość wciąż ta sama
czeka na progę
spod przewodniej gwiazdy.

Marzec 2013 r.

Zbigniew Atras

Sobolowa Pani z krasnostawskiego zamku, czyli Baszta Carycy



Opowieść piąta

Jak mówią stare przekazy, krasnostawski zamek królewski posiadał trzy narożne baszty. Jedna z nich, zawierająca w sobie bramę wjazdową, na pamiątkę więzienia w niej pretendenta do tronu polskiego Maksymiliana Habsburga „Maksymiliańską” była nazwana. Dwie pozostałe nie miały aż tak barwnej historii, ale czy ustępowały tej pierwszej? Raczej nie. Zwłaszcza ta położona tuż nad rzeką, najbardziej na wschód wysunięta, nie tylko wyglądem, ale i swoim niesamowitym lokatorem niejednego mocno zaskoczyła, a nawet zmroziła krew w jego żyłach i może dlatego, że kojarzyła się często z syberyjskim zimnem, Basztą Carycy była nazywana. Skąd ta nazwa się wzięła i dlaczego, spróbuję wyjaśnić.

Początki tej opowieści sięgają trzeciego dziesięciolecia XVI wieku, gdy do Polski z terenu Moraw zbiegł wraz z rodziną i wszelkimi posiadanymi dostatkami Mikołaj Mniszech, chroniąc się przed gniewem cesarza Ferdynanda na dworze króla polskiego Zygmunta I. Powodem cesarskiego prześladowania rodziny Mniszców był wyznawany przez nich kalwinizm. Po przybyciu do Polski, Mikołaj nawrócił się na katolicyzm i ożenił wkrótce z Barbarą Kamieniecką, córką kasztelana lwowskiego, hetmana wojsk królewskich i podolskich na Rusi Marcina Kamienieckiego h. Pilawa. Mikołaj szybko piął się po szczeblach kariery, otrzymując tytuły: starosty łukowskiego, podkomorzego nadwornego, podkomorzego wielkiego koronnego i burgrabiego krakowskiego. Doczekał się dwóch synów - Jana oraz młodszego Jerzego i zadbał o ich solidne wykształcenie, wysyłając na studia do Królewca, a następnie do Lipska. Starszy syn ożeniony z Jadwigą Firlejówną objął po ojcu starostwo łukowskie, a w 1572 roku otrzymał starostwo krasnostawskie, o które w następnych latach wiódł długotrwałe spory z Pawłem Uchańskim. W 1590 roku, za zgodą króla Zygmunta III Wazy,

Jan Mniszech przekazał starostwo krasnostawskie na rzecz syna Mikołaja, a po jego przedwczesnej śmierci w 1594 roku scedował je na młodszego syna, też Jana, który utrzymał ten tytuł do końca 1611 roku. Tymczasem młodszy z synów Mikołaja Miniszcha - Jerzy, idąc drogą kariery, uzyskał kolejno stanowiska kasztelana radomskiego, wojewody sandomierskiego, krajczego wielkiego koronnego, starosty lwowskiego, samborskiego, sokalskiego, sanockiego i rohatyńskiego. Ożeniony z Jadwigą Tarło, córką sekretarza królewskiego Mikołaja Tarły, doczekał się kilkorga dzieci, w tym młodszej z córek, Maryny, urodzonej w 1588 roku. Jerzy zamieszkiwał w Samborze, który z racji posiadanego starostwa uczynił swoją siedzibą. Łatwość zdobywania nadeń ziemskich na wschodzie, ich ogrom, wielkość czerpanych stąd zysków i bezgraniczne wręcz możliwości w tym względzie pchnęły Jerzego w niekontrolowaną wprost pogoń za władzą i bogactwem. W 1603 roku na dworze Adama Wiśniowieckiego w Brahiniu Jerzy Mniszech spotkał Dymitra Samozwańca, a poznawszy jego historię, związał z nim całkowicie swe dalsze losy. Kim był Dymitr Samozwaniec, do dzisiejszego dnia nikt nie potrafi odpowiedzieć. Być może to prawosławny mnich zbiegły z Monasteru Czudowskiego w Moskwie. W każdym razie na dworze Wiśniowieckiego przedstawił się jako cudownie ocalony carewicz Dymitr, młodszy syn i następca cara Iwana IV Groźnego. Ta informacja pobudziła wyobraźnię i rządze nie tylko Jerzego Mniszcha, czy Adama Wiśniowieckiego, ale wielu magnatów osiadłych na Kresach Rzeczypospolitej.

Tu należy pokrótce przypomnieć, że Iwan Groźny - pierwszy, koronowany car Rosji był twórcą rosyjskiej potęgi. Zasłynął niezwykle wprost okrucieństwem. Z jego polecenia wymordowano tysiące ludzi, a głównymi ofiarami prowadzonych przez niego reform byli bojarzy. W napadzie szatki zamordował własnego syna i następcę tronu - Iwana. Młodszy syn Dymitr zginął lub został zamordowany w nieznanych bliżej okolicznościach. Następcą tronu po śmierci Iwana Groźnego został jego trzeci syn Fiodor. Ożeniony z córką Borysa Godunowa, doradcy ojca, jemu praktycznie oddał pełnię władzy w Rosji. Wkrótce Fiodor zmarł bezpotomnie, a carem został Godunow. Był dobrym władcą, jednak w pierwszych latach XVII wieku,

wskutek kilkuletnich nieurodzajów, w Rosji zapawał wielki głód. Dodatkowo pojawiły się informacje, że syn Iwana Groźnego, Dymitr żyje i jemu należy się tron ojca. W kraju narastały niepokoje, bunt chłopów i bojarskie. W 1605 roku zmarł Godunow. Na tron wstąpił jego syn Fiodor, ale wkrótce wraz ze swą matką został zabity. W Rosji nastąpił okres bezkrólewia i walki o władzę zwany czasem „Wielkiej Smuty”.

Tymczasem w Polsce w dobrach Wiśniowieckich pracowano wytrwale nad przygotowaniem Dymitra Samozwańca I. Szkolono go, uczono ogłady i władczych manier. Już w 1604 roku, za wstawiennictwem polskiej magnaterii Dymitr przybył do Krakowa. Miał gotowy plan wyprawy na Moskwę i przejęcia carskiego tronu, ale nie uzyskał zainteresowania i poparcia króla Zygmunta III Wazy. Otoczenie dworu królewskiego też odrzucało te plany, uważając je za szkodliwe i niebezpieczne dla Rzeczypospolitej. Jednak magnackie rody Mniszchów i Wiśniowieckich z wielkim pożądaniem spoglądały na wschód, w kierunku Moskwy i bezkresnych połaci Rosji. Coraz mocniej wierzyli w zdobycie nowych ziem i władzy niemal równej królewskiej, a kto wie, może i większej. To kusiło i pociągało. Sprzymierzeńców znaleźli w rosyjskich rodach bojarskich Szujskich, Bielskich, Romanowów i Mściśławskich liczących na przywileje równe tym, jakie posiadali polscy magnaci. Szalę przeważyło potajemne przejście Dymitra na katolicyzm i obietnica podporządkowania Cerkwi Prawosławnej Stolicy Apostolskiej, co pozwoliło na uzyskanie poparcia Kościoła. Gdy żądzę bogactwa i władzy ubrano w szaty wiary, wyprawa na Moskwę była pewna i coraz bliższa realizacji. Największym zwolennikiem wyprawy był Jerzy Mniszech i on liczył na największe zyski. Już 26 maja 1604 roku podpisał z Dymitrem kontrakt, na mocy którego Samozwaniec, po zdobyciu moskiewskiego tronu miał pojąć za żonę jego córkę Marynę. W zamian Jerzy Mniszech miał otrzymać od przyszłego cara milion złotych polskich oraz księstwa siewierskie i smoleńskie, a Maryna, oprócz licznych nadań ziemskich miała być księżną pskowską i nowogrodzką. 15 sierpnia 1604 roku Dymitr Samozwaniec, Adam Wiśniowiecki i Jerzy Mniszech wyruszyli na Moskwę. Do wojsk liczących 2500 żołnierzy pol-

skich dołączyło 2000 kozaków dońskich i siły bojarsów rosyjskich. Rozpoczęły się krwawe boje i po prawie roku walk, 20 czerwca 1605 roku Dymitr Samozwaniec zajął Moskwę. Uznany za prawdziwego syna przez carycę Marfę (żonę Iwana Groźnego), został 30 lipca koronowany na cara Rusi. Zgodnie z podpisanym kontraktem 27 listopada 1605 roku w Krakowie, Maryna poślubiła go per procura. Ślubu w języku polskim i ruskim udzielił biskup krakowski, kardynał Bernard Maciejowski, a w zastępstwie cara wystąpił poseł rosyjski. Na uroczystości obecny był król Zygmunt III Waza i nuncjusz apostolski Klaudiusz Rangoni. W dniu 17 kwietnia 1606 roku Maryna wraz z orszakiem przekroczyła granicę Rzeczypospolitej, a 12 maja uroczyście wjechała do Moskwy, gdzie 18 dnia tego miesiąca, jako pierwsza w dziejach Rosji kobieta została koronowana na carycę. Ceremonia odbyła się w Soborze Uspieńskim na Kremlu, w obrządku bizantyjskim. Wspólne rządy Maryny i Dymitra trwały zaledwie kilka dni i zostały gwałtownie przerwane 27 maja w czasie zamachu stanu przeprowadzonego przez bojara Wasyla Szujskiego, kiedy zbuntowany tłum mieszczan moskiewskich wdarł się na Kreml i zamordował Dymitra Samozwańca. Maryna uniknęła losu męża, wykupując się kosztownościami. Udało się jej zbiec z pałacu kremlowskiego, kryjąc się pod spódnicą ochmistrzyni Barbary Kazanowskiej i dotrzeć do obozu polskiego. Jednak 2 czerwca została schwytana podczas rzezi Polaków i uwięziona wraz ze swym ojcem w Jarosławiu pod Moskwą. Oboje przebywali tam prawie dwa lata, do maja 1608 roku. Na carskim tronie zasiadł przywódca buntu Wasyl Szujski, który na mocy rozejmu podpisanego z królem polskim Zygmuntem III Wazą uwolnił Mniszchów. Jednak te doświadczenia i niemal cudowne ocalenie życia własnego i córki nie nauczyło wiele Jerzego Mniszcha. Rządza bogactwa i władzy była w nim silniejsza. W drodze powrotnej do Polski, wojewoda sandomierski postanowił jeszcze raz zawalczyć o tron moskiewski. Zawrócił i przyłączył się do zbuntowanych oddziałów przeciwnych carowi i oblegających Moskwę. Tam poznał Dymitra Samozwańca II, który dołożył do historii Rosji jeszcze jeden cud, podając się za cudownie ocalonego Dymitra Samozwańca. Jerzy Mniszech

przekonał Marynę, by rozpoznała w nim swojego męża i przystąpiła do spisku. Tak też się stało. Maryna potwierdziła, że Samozwaniec II jest Dymitrem, carem oraz jej mężem i potajemnie go poślubiła. Jako zapłatą za to oszustwo nowy Dymitr zobowiązał się wypłacić jej ojcu 300 tysięcy rubli i ofiarować 14 miast na pograniczu Rosji i Rzeczypospolitej. Przez kolejne dwa lata Maryna przebywała u boku swojego starego-nowego męża. Jednak do Moskwy już nigdy nie wróciła. W grudniu 1610 roku Dymitr Samozwaniec II zginął z ręki swojego giermka, a będąca w ciąży Maryna urodziła syna i związała się z atamanem kozaków dońskich Iwanem Zaruckim. Wspólnie z nowym mężem podjęła walkę o tron moskiewski dla swego syna. Trzy lata później doszło do buntu kozaków. Zarucki i Maryna z synem zostali pojmani i przekazani nowemu carowi Michałowi I Romanowowi. Na jego rozkaz, Iwana Zaruckiego wbito na pal. Dwuletni syn Maryny został powieszony, a ona sama uniknęła śmierci, ale skazana na zesłanie do Kołomy, została osadzona w jednej z baszt miejscowego kremļa.

Tam miała dużo czasu, by przemyśleć swoje życie. Najchętniej wracała pamięcią do lat dzieciństwa, a najczęściej powracało do niej wspomnienie pobytu na zamku w Krasnymstawie u swojego ulubionego, stryjecznego brata Jana. Wiosną 1615 roku jej zdrowie raptownie pogorszyło się, najprawdopodobniej z powodu podanej trucizny. Leżała bez ruchu na swym łożu, tracąc powoli świadomość. Jej pragnące jeszcze życia oczy powoli zamykały się przesłaniane coraz cięższymi, niczym otów powiekami. Myśli przebiegały szybko i bez składu. Nagle uspokoiły się i Maryna ujrziała dobrze znany obraz z dzieciństwa. Obraz tak prawdziwy, że z radością wybiegła mu na spotkanie. Zobaczyła jak latem 1600 roku na krasnostawski zamek przybył orszak wojewody sandomierskiego Jerzego Mniszcha, jej ojca, który zdążając na Podole zjechał odwiedzić swego brata Jana i bratanka też Jana - starostę krasnostawskiego. Obaj Janowie byli wielce radzi tym odwiedzinom. Spotykali się przecież rodzeni bracia, ale chyba jeszcze bardziej cieszył się młodszy z Janów, starosta krasnostawski, który będąc zagorzałym kawalerem uwielbiał wprost młodszą ze stryjecznych siostr, dwunastoletnią

wówczas Marynę. Chyba właśnie na nią skierował całą swoją potrzebę uczuć. Maryna odwzajemniała to braterskie uwielbienie, a w Krasnymstawie czuła się bardzo dobrze i lubiła tu przebywać. W towarzystwie starszego przecież dużo brata była szczęśliwa. Kochała ich wspólne spacerować, długie, poważne rozmowy i dalsze wycieczki po okolicznych uroczyskach. Miała nawet tajny plan, który realizowała już od pewnego czasu, przygotowując swoich rodziców do tego, by pozwolili jej zostać w Krasnymstawie na oba letnie miesiące.

Tymczasem powitaniom nie było końca. Cała zamkowa służba uwijała się, przygotowując należyte przyjęcie dla tak szacownych i bardzo oczekiwanych gości. Bracia Jan i Jerzy spacerowali po murach zamku. Jan pokazywał zamkowe umocnienia i armatnie uzbrojenie, a miał się czym chwalić. W końcu krasnostawski zamek królewski nie był byle zameczkiem, ale potężnym i dobrze ufortyfikowanym zamczyskiem. Niejeden już najeżdźca połamał swoje kopie na tych solidnych murach. A i samo miasto nie ustępowało innym urodą. Jego obraz, zwłaszcza od strony wielkiego stawu podziwiali i sławili wszyscy przyjezdni. Otoczone murami, z trzema bramami i licznymi basztami, nad którymi lśniły dachy i wieże katedry diecezji chełmskiej, kościoła Augustianów, cerkwi i miejskiego ratusza musiało zachwycać. Zwłaszcza o wschodzie i zachodzie słońca, gdy wygląd nieba przybierał różnokolorowe i ostrzejsze barwy, odbijający się w wodzie obraz miasta wprost zaskakiwał swoim niepowtarzalnym pięknem. I właśnie ten widok zapamiętała na zawsze i pokochała Maryna. Mogła go oglądać bez końca i była szczęśliwa, bo już dziś miała go ponownie zobaczyć. Tymczasem biegła co sił w nogach do wschodniej baszty, gdzie jak zawsze podczas wizyty w Krasnymstawie oczekiwał na nią jej ulubiony pokój na trzeciej kondygnacji wieży. Z okna tej właśnie komnaty roztaczał się przepiękny widok na okoliczne wzgórza porośnięte lasami, wielki staw podmiejski i piękne miasto, nie bez racji zwane Krasnymstawem. Po wejściu do pokoju, swoje kroki skierowała ku starej, bogato zdobionej szafie gdańskiej. Otworzyła z ciekawością jej skrzypiące głośno drzwi i aż podskoczyła z radości. Jan jednak pamiętał o niej. Na półce szafy leżało małe, czerwone pudełko i bukietik

polnych kwiatów. „Kochany braciszek” - pomyślała, wdychając kwiecisty zapach krasnostawskich łąk i sięgając czym prędzej po podarunek. Ze wzruszeniem odwiązywała złotą wstążeczkę i z bijącym mocno sercem odchyłała wieczko, zaglądając do wnętrza, gdzie na czerwonej poduszeczce spoczywało ciemnożółte, bursztynowe serduszko zawieszone na delikatnym złotym łańcuszku. Uradowana przytuliła je do ust i szybko założyła na szyję. Rozejrzała się po komnacie i podeszła do okna by popatrzeć na ulubiony widok. Spojrzała w dół ku murom i na zamkowym moście ujrzała Jana, który spoglądał w jej okno. Wybiegła czym prędzej z komnaty by uściskać ulubionego brata. Spotkała go na moście i rzuciła się w jego ramiona, a on pochwycił ją i niczym małe dziecko uniośł do góry, przyjrzał się jej, przytulił i ucałował z miłością. Rozmawiali długo i chaotycznie, przeskakując z tematu na temat, bo przecież tyle mieli sobie do powiedzenia. Tyle rzeczy się wydarzyło, tyle tematów było do omówienia, że nie sposób tego tak od razu uporządkować. Trzymali się za ręce i śmiali na głos, ciesząc oczy wzajemnym widokiem. I staliby tak zapewne jeszcze długo, gdyby nie wołania ojców, którzy spacerując po kurtynie zamkowych murów przypomnieli im o oczekującym posiłku. Nie puszczając swoich dłoni, skierowali się ku zamkowym pokojom. Maryna cieszyła oczy uwielbianymi obrazami starego zamku. Z lubością wkraczała na wielkie zamkowe schody prowadzące do jego wnętrza. Spoglądała na surowe ściany sal ozdobionych królewskimi portretami. Tak, tu czuła się najlepiej i kochała to zamczysko. Wkroczyli do sali jadalnej, gdzie już zebrali się wszyscy i usiedli obok siebie przy stole. Rozmowom i radości ze spotkania nie było końca. Wszyscy domownicy i goście byli z tego faktu niezmiernie szczęśliwi, ale najbardziej radosna była właśnie Maryna.

- A cóż to, Mościa Panno cię tak odmieniło? - zapytał Jerzy Mniszech, widząc szczęśliwą twarz i uśmiech córki. - Jeżeli to zamczysko tak dobrze na ciebie wpływa, to może tu na jakiś czas zamieszkasz - powiedział - oczywiście, jeżeli stryj twój, a mój brat jedyny zechce cię tu ugościć. Na te słowa Maryna wstała i czym prędzej podbiegła do stryja, a rzucając mu się na szyję, mocno go ucałowała. Wszyscy wybuchnęli głośnym śmie-

chem, a zmieszany nieco stryj, Jan Mniszech spojrzał na Marynę z udawanym zakłopotaniem. - Oł, lichu utrapione - wysapał - niech już tak będzie, bo przecież gotowa mnie udusić. Żarty i rozmowy rodzinne przeciągnęły się do późnych godzin, a obaj braciszki, Jan i Jerzy, wspomagając siły mocniejszymi trunkami dyskutowali aż do rana. Maryna zaś zasypiała szczęśliwa w ulubionej komnacie i śniła o czekających ją od jutra niezapomnianych przeżyciach w Krasnymstawie.

Ostry ból przywrócił na chwilę jej świadomość. Czuła jak jej wnętrze pali gorący ogień, a spieczony żołądek rozrywa się na kawałki. Zażyta nieświadomie trucizna podana jej razem z pokarmem niszczyła od wewnątrz całe ciało. Paliła poszczególne organy, które stawały się twardą, spieczoną skorupą, pękającą przy najmniejszym nawet ruchu. Jej śnieżnobiała skóra przybierała powoli kolor ziemisty. Czuła, że umiera, że jej żywot dobiega końca i nie ma od tego odwrotu. Oczami wyobraźni ujrzała swoje ostatnie lata. Trudne rozmowy z ojcem burzące jej wszystkie plany, chwilę gdy poznała Dymitra, ślub na Wawelu, podróż do Moskwy i uroczystości w soborze na Kremlu. Była carycą. Jednak tych kilka wzniosłych chwil nie przesłoniło tego wszystkiego, co je otaczało i co było później. Mordy, ucieczki, poniżenie, walka, śmierć syna. Ciągły strach i ból. Czy kochała Dymitra, czy to było prawdziwe uczucie, czy tylko posłuszeństwo wobec woli ojca? W ich związku nie było żadnego ciepła, żadnych uniesień. Tylko zimna kalkulacja, żądza władzy i bogactwa. Czy to osiągnęła? Czy pożądaną władzę i majątności zdobył jej ojciec? Umarł zniszczony walką na przedpolach Moskwy. Nawet nie wie gdzie spoczywa, jeżeli w ogóle został pogrzebany. Czy warto było poświęcić swoje młode życie? Porzucić dom i ojczyznę? Była piękna, mądra i bogata. Miała tylu zacnych adoratorów. Takie wspaniałe perspektywy i co osiągnęła? Nie miała do nikogo pretensji. Gdyby miała odwagę odmówić, uciec, szukać pomocy u stryja... Po jej policzkach płynęły łzy. Drżącą ręką sięgnęła po szklankę napelnioną wodą, by ugasić ten niesamowity żar ciała. Z trudem uniosła naczynie do ust, lecz słabość nie pozwoliła jej ugasić pragnienia. Szklanka wypadła z ręki, a ona opadła bezwładnie na łóżce. Zanim straciła przy-

tomność, usłyszała tuż przy łóżku czyjś nieznany głos - „jeszcze żyje”.

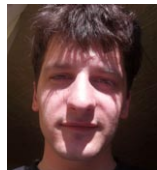
Wiosnę następnego roku Maryna spędziła też w krasnostawskim zamku. Przywiózł ją tu ojciec, by skorzystała z prywatnych nauk profesorów krasnostawskiej szkoły przykatedralnej. Miała zdobyć wiedzę i ogładę, jaką powinna się cechować panna z najlepszego domu. Ćwiczyła zwłaszcza retorykę, by posiadać umiejętność rozmowy z najwyższymi tego świata. Jej stryjeczny brat Jan Mniszech, starosta krasnostawski nadal pozostawał w kawalerskim stanie, a ich braterskie uczucie jeszcze bardziej się pogłębiło. Spędzała z nim każdą chwilę. Rozmawiali, dyskutowali, odbywali dłuższe i krótsze wycieczki konne w najpiękniejsze okolice Krasnogostawu. Maryna uczestniczyła w sprawowaniu przez Jana obowiązków starościńskich. Wiele się w tym czasie nauczyła. Wydoroślała i wypiękniała. Stała się panną, o której rękę już niedługo mieli się ubiegać kawalerowie z najlepszych, magnackich domów Rzeczypospolitej. Pierwsi pretendenci już zajeżdżali do Krasnogostawu, chcąc poznać piękną Mniszchównę. Stawali jak najbliżej podczas mszy w krasnostawskiej katedrze, w których uczestniczyła codziennie. Niejednokrotnie jej młode serce w takich chwilach mocniej zabiło. Poznała też wówczas, że uczucie, jakie żywił do niej Jan było naprawdę braterskie i czyste. Życzył jej jak najlepiej i pomagał trzeźwo patrzeć i oceniać zalotników. Uczył ją skromności i dobroci, by w swoim życiu kierowała się sercem. Tu, w Krasnymstawie Maryna uczyła się patrzeć inaczej na życie. Poznawała inne jego wartości, jak odpowiedzialność za drugich, dążenie do ogólnego, narodowego dobra, czasami nawet bezinteresowność, a nie tylko przez pryzmat własnych korzyści. Widzenie świata ze starościńskiego poziomu jej stryja i brata Jana było tak odmienne od magnackiego spojrzenia jej ojca. O wiele bardziej ludzkie. To było coś, co zaczynała rozumieć i czego nigdy nie doświadczyła w domu rodzinnym. Ale najważniejsza dla niej była przyjaźń z Janem. To właśnie ich wspólnie spędzone chwile dawały jej najwięcej. Bezinteresowne, rodzinne uczucie, jakiego nie doznała nawet ze strony ojca było czymś niespotykanym w jej dotychczasowym życiu. To otrzymywała tylko tu, w rodzinie stryja, w Krasnymstawie. Tu była szczęśliwa.

Nagle ból znowu powrócił. Poczuła jak ktoś nachyla się nad nią i dotyka jej piersi. „Żyje - usłyszała ponownie obcy głos - ile to jeszcze potrwa?” Ktoś inny coś odpowiedział, ale nie rozumiała sensu słów. Głosy nieco ucichły i jakby się oddaliły. Minęło kilka chwil, w czasie których odczuwała tak niesamowity ból, że aż chciała głośno krzyczeć. Nie mogła jednak wydobyć głosu z zaciśniętej krtani. Z wielkim trudem wykonywała płytkie i coraz radsze oddechy. Znowu poczuła czyjąś obecność. Ktoś odkrył jej piersi. Nagle jej ciałem wstrząsnął mocny skurcz spowodowany silnym ukłuciem i okropnym bólem między żebrami. Poczuła zimno ogarniające całe jej ciało, od serca aż po stopy i palce dłoni. Jakiś dziwny spokój i niemoc zewsząd poczęła ją ogarniać. Ostatkiem sił odwróciła głowę w kierunku okna, ku światłu, ku ostatnim okrucynom świadomego życia, ku ułomowanemu miastu i ukochanemu bratu. „Jakże chciałaby tam teraz być” - pomyślała w ostatniej chwili swojego życia.

W poczuciu lodowatego zimna i całkowitej obojętności, przez mglistą zasłonę zobaczyła samą siebie leżącą na łożu czerwonym od krwi. W jej piersiach tkwił głęboko wbity sztylet. Nie była zaskoczona i patrzyła na swoje martwe ciało spokojnie, tak jakby do niej nigdy nie należało. Nie czuła żalu, widząc jak mordercy zdejmują z jej ręki drogocenne pierścienie i złoty łańcuch. Jak ściągają jej ciało z łoża na podłogę, zawijają w jakieś stare płótna i wnoszą z komnaty. Nagle obraz zaczął się oddalać, a jej świadomość wędrować w kierunku jakiegoś coraz wyraźniej odczuwalnego źródła ciepła. Zbliżała się do czegoś znajomego, czegoś, gdzie już była, gdzie odczuwała to niezwykle, niemal rodzinne ciepło. W końcu się zatrzymała. Była w pomieszczeniu, które dobrze знаła. Podeszła do starej, gdańskiej szafy i otworzyła skrzypiące drzwi. Na półce leżał zeschnięty bukiet polnych kwiatów i bursztynowe serce. Jej łożo czekało starannie zasłane, a przez uchylone okno płynęła do wnętrza woń skoszonego siana. Popołudniowe słońce intensywnie oświetlało zachodnie ściany miejskich kamienic i ich kolorowe dachy. Mieszczanie zapelniali wąskie ulice. Od strony rynku, jak zwykle dobiegał nieustający gwar. Było cudownie. Maryna była u siebie.

Karol Bosek

Guma za dziesięć groszy



Jan Mniszech, starosta krasnostawski pozostał na zawsze kawalerem. Zmarł w 1611 lub 12 roku i nie doczekał tragicznych chwil życia swojej ukochanej stryjecznej siostry. Jego duch odszedł w spokoju i nikt nigdy nie słyszał by się pojawiał w zamkowych murach. Duch Maryny powrócił jednak do miejsca, gdzie za życia była tak szczęśliwa i zamieszkał we wschodniej baszcie. Zachowywał się tak jak go tutaj uczono za życia. Nie straszył, nie snuł się po zamkowych murach, nie wydawał niesamowitych odgłosów, nie przechodził przez ściany i nie stawał na drodze żyjącym. Zamieszkiwał i pozostawał stale w swojej komnacie we wschodniej baszcie. Jedyny dźwięk, który był związany z jego pobytom i jaki można było usłyszeć czasami to skrzypienie otwieranych drzwi starej szafy gdańskiej. Skąd więc wiadomo, że powrócił i że tam mieszkał? Otóż czasami w komnacie paliło się dziwne jasnoniebieskie, nieziemskie światło, w blasku którego można było zauważyć cień przesuwającej się postaci kobiecej. Zdarzały się też dni, kiedy w oknie baszty pojawiała się postać młodej dziewczyny ubranej w carski płaszcz z sobolowymi obszyciami i patrzącej z zachwytem na staw i miasto. To wszystko. Jednak na wszelki wypadek przez wiele lat do komnaty we wschodniej baszcie nikt nie wchodził, a liczba osób, które ducha widziały była tak duża, że nie znalazł się taki, kto odważył się wątpić w jego istnienie, czy mu przeszkadzać. W końcu dla ducha spokoju wejście do komnaty zamurowano i nigdy już tam nikt nie zajrzał. Z czasem ducha nazwano Sobolową Panią, a baszta zaczęła nosić nazwę Baszty Carycy. Tak było przez wieki.

Dziś murów królewskiego zamku w Krasnymstawie już nikt nie zobaczy. Został rozebrany doszczętnie. Jedynie ziemia kryje pozostałości jego murów i ocalałe, zamkowe piwnice. Są tacy, którzy namawiają do ich odkopania, a nawet odbudowy, ale wszyscy rozsądni i trzeźwo myślący ludzie, których na szczęście jest więcej, wiedzą doskonale, że lepiej tego nie ruszać. W końcu duchy nie wyginęły, bo niby jak i dlaczego. Zeszły tylko nieco niżej, do ocalałych piwnic i z niecierpliwością czekają by znowu powrócić.

Zbigniew Atras

Był chłopcem, gdy któregoś lata zobaczył, że w sklepie na ladzie są gumy za dziesięć groszy. Obmyślił, że za oszczędzoną złotówkę, co dzień przez dziesięć dni będzie miał gumę. Przychodził co dzień do sklepu i wyciągając oszczędzone pieniądze, mówił: - Poproszę gumę za dziesięć groszy - licząc, który to dzień, ile zostało gum i bojąc się, czy dobrze się to ułoży.

Z ostatnią gumą za dziesięć groszy, jaką wówczas dostał, ukrył się w szopce na narzędzia. Siedział w tej szopce od przedpołudnia do zachodu słońca, dopóki nie złąkł się kocura, który też ukrył się przed czymś w szopce. Przyjęto go wówczas - jak człowieka, który wyjechał za niedostępną granicę (do jeszcze bardziej niedostępnych krajów, choć sama granica była niedostępna), by wrócić w rodzinne strony - z nieodgadnionym uczuciem wybaczącym wszystkie błędy, w szczęściu pojednania, z nadzieją na poprawę i oczekiwaniem na mnóstwo wieści. Tego dnia każdy miał poczucie, że widział go wędrującego w jakichś dziwnych rejonach miasteczka, wszczęto więc akcję poszukiwawczą, pod wieczór bliską włączenia śmigłowca.

Kiedy był nieco starszy, zauważył, że pod oknem jego pokoju jest daszek, na który łatwo zeskoczyć, choć trudniej potem z niego zejść, a że daszek jest poniżej okien, nikt go nie zauważy, jeśli się tam schowa. Pewnego deszczowego popołudnia daszek tak go przyciągał, że otworzył okno i zeskoczył. I nie mógł potem zejść. Matka dostrzegła jednak uchylone okno w jego pokoju, zauważyła go na daszku i dozorca przyniósł z piwnicy drabinę, po której przy asekuracji zszedł z daszku.

Kiedy był jeszcze starszy, wiele rzeczy w codziennym życiu zaczął postrzegać jako zmienne. Pchnęły go do tego oceny w szkole, które wpływały tylko na to, ile w domu było stresu. Dobra nota ograniczała stres, zła nota nie była w stanie stresu zablokować. Jako że oceny miały konsekwencje w życiu, zaczął postrzegać świat jako zbiór zmiennych - środków wiodących do lepszych lub gorszych konsekwencji emocjonalnych, od których

uzależniało się życie, co wprawdzie było złudne, ale on traktował to jako wymóg, który lekceważąc, uległby zniszczeniu.

Zaczął się zastanawiać nad liczbami - lepsze czy gorsze sytuacje i warunki życiowe dostrzegał mimowolnie w towarzystwie liczb, od których, tak mu się wydawało, uzależniona jest ludzka egzystencja. Świat, który od dzieciństwa do adolescencji był dlań jakimś dalekim fantazmatem, zaczął mu się teraz jawić jako konsekwencja kilku zmiennych, którym podlegał ze względu na ludzi i swoje życie, żył jednak mimo owych konsekwencji, obserwując tylko, jak się wypełniają.

W momencie, kiedy lekcewżył sytuacje życiowe, przejawiało się to w najbardziej dobitny sposób. Konsekwencje te były najmocniejsze, kiedy lekcewżył emocje - zdarzało się, że choć nie zamienił z nikim słowa, dostrzegał w swoim otoczeniu stres: nagle wszystkie psy zaczynały ujadąć jak wściekle, psuły się komputery, wyłączał się prąd, a telefony komórkowe traciły zasięg.

Kiedy mimo niekorzystnych warunków życiowych żył beztrosko, czuł zawsze nacisk, który mógł być tylko przejawem jego intuicji, a jednak w ostatecznym momencie, kiedy wszystko układało się źle, a on po prostu jadł naleśniki, podszedł do niego człowiek w szarym garniturze, wyjął z teczki torebkę z dużym, ciemnym ludzkim sercem i spytał go, czy to rozumie.

Kiedy ignorował seks, zaczęła go przygryzać kobieta na ulicy (stwierdzeniem będącym wyrazem lekkiej rozpacz, czy może choć on ją przeleci), a w knajpie podeszła do niego jakaś dziewczyna i wyznała, że jest uzależniona od seksu i chodzi na terapię, a chciałaby się z nim lizać.

Ilekoć lekcewżył takie sygnały lub ogarniały go wątpliwości, czy to nie psychotyczne, sygnały te nasilały się, jakby przynosząc ostateczne potwierdzenie, że są to rzeczywiste konsekwencje jego czynów (a raczej życiowych postaw). Żył więc niejako w swojej psychice, a wszystkie codzienne zdarzenia zaczął widzieć jako symboliczne i podane umysłowi.

Karol Bosek, rocznik 1987, urodził się w pobliżu Kołobrzegu. Studia dziennikarskie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Publikacje w „Lampie” (proza i wiersze) i „Twórczości” (proza).

Arkadiusz Frania

Trzy dni urlopu



Muszę wykorzystać urlop do końca roku. Wiszą pisane paragrafy kodeksu pracy i rejestrowany przez stetoskop kodeks zdrowia. Trzeba odpocząć od siebie w sytuacjach oficjalnych, od siebie w roli człowieka pracującego, od siebie w ciele mężczyzny skutego marynarką i spodniami w kancik, od swoich włosów z grzywką na prawo. Ochłonać. Odsapnąć. Oprzytomnieć. Wywczasować neurony, uspokoić ciśnienie krwi. Wytopić się z nadmiaru toksyn. Wyleżeć się w sobie bez planu - dla prostackiego leniuchowania. Dodać do tego barłożenie, czyli picie w łóżku. I nieść własnym uszom dobrą nowinę o tym, że po zjedzeniu banana wyjętego prosto z lodówki, robi się łacniej, choć na dworze plucha, ciapa, fronty. Rozmodlenie przejdzie od ciemienia bitego przez paproszek w pępku, aż do płaskiej stopy lewej i nielewej. Mam własny sposób konsumpcji tego owocu ziemniaczano-skrobiowego. Wpierw odzieram ze skórki, odgryzam końcówki, normalnie bym zjadł, ale Agatka mówi, że są w nich zarazki, więc wyrwam, wypłuwam w rękę i wyrzucam do kosza. Dwa pierwsze kęsy, krótkie, zachłanne, szybkie, rozpoznawcze. Potem pewien odcinek banana wzdłuż grzbietu odrywam zębami jak rybę, następnie wyrównuję, by stało się zadość symetrii, ale najbardziej lubię zeszkrobywać wierzchnią warstwę białego frukta, wtedy ukazuje się mięszsz śliski, lepki, mokry, słodki, bez napletka. Do szkliwa przykleja się masa, przyjemnie drażni.

Tak bardzo chciałbym mieć dla Agatki słowa pocieszające, błyszczące, puchowe, słowa takie, na które pewnie czeka, słowa rozświetlające duszę, jakby zamiast muchy połknęło się robaczka świętojańskiego. W „Wikipedii” przeczytałem, że w Polsce żyją trzy gatunki tych chrząszczy świetlikowatych: świeciuch, iskrzyk, świetlik świętojański. Niektóre samice przyciągają partnerów zielonozimnymi błyskami na pożarcie. A Agatka niech mnie dotknie tak, żebym się nie rozpadł. Czuję przecież, że cera wysycha jak płaszczyzna błota. Stygnę, czerstwieję. Mam coraz mniej wody w so-

bie. W żrenicach piasek. Ostatnie wilgocie wypływają ze mnie, gdy tylko pomyślę o czymś suchym, na przykład wykrochmalonym prześcieradle. Cementem parszywieje twarz i każdy uśmiech to bolesny grymas. Na zewnątrz drobny deszcz, woda jak kasza manna.

Wziąłem krótki urlop na nabranie dystansu do siebie, na zachcenie się siebie w świecie. Który to już raz w ostatnich latach? Trzy dni wolnego na żądanie układu nerwowego. Odczyniam więc hece z czasem. Dwie godziny później zawsze zdają się starszy, dużo bardziej niż wynika to z upływu minut. Poczynania i odczynniki. Chciałem pospać i nie tłumaczyć snów. Agatka nieznanym sen (kiedy w książkowym translatorze marzeń nie ma recepty) rozbraja wzorem, przelicza, dodaje, dzieli i ma ogólną aurę majaka. Super - dobrze - raczej niech będzie - obłeci - tak sobie - nie najlepiej - źle - do kitu. Ja tuż po przebudzeniu spoglądam w okno i zapominam, kim byłem w krainie Morfeusza, w jakich pozach uprawiałem swoje zoniryzowane człowieczeństwo.

Agatka wyszła do pracy, godzina: parę minut po siódmej. Jedna połówka jabłka jedzie fiattem Seicento do szkoły w Dźbowie (dzielnica Częstochowy), druga zamierza wygnić się w pieleszach, z głową pod koldrą, w pozycji „nie ma mnie, chłodku”. Nie dam rady leżeć, boli krzyż, marszczy się łupina. Poranne powstanie listopadowe, mycie, śniadanko na słodko - kawa z ekspresu ze śmietanką i rogalik z dżemem na zimno. Istnieję trochę w kuchni, trochę w łazience, trochę w pokojach, przelotnie w przedpokoju. Przed-pokoju, po-pokoju, w-pokoju. Posiaduję, przemieszczam się między kątami, zaglądam za szafę, za firanki. Siedzę w domu i popadam w stany: przygnębienie jako źródło niewidocznej euforii. Dzwoni Jeżyk. Gadamy o dopełniaczowej formie wyrazu „donator”. Odmieniamy według paradygmatu i rozważamy konstrukcję frazeologizmu „dupa Maryny”. Jeżyk nagle przerywa, mówi, że przekreśli później, bo teraz musi wydać zwłoki, przyjechała rodzina i zakład pogrzebowy.

Wyglądam przez okno, wyglądam na człowieka patrzącego. Na chodniku rozciągnięty przedłużacz, czarny łączy się z brązowym, brązowy z żółtym. Spółdzielnia pobiera prąd, montuje drzwi do drugiego śmietnika. Telefon od siostry. Dzwoni

przed południem, gdyż wie, że się urlopuję. Mały Człowiek ma przygotować umysł na sprawdzian z podziału wyrazów na sylaby i głoski, a dotąd tego drugiego nie uczyli. Siedzę w domu, popadam w stany i dzielę przez słuchawkę na głoski wszystko z dwuznakami, co mi się przypomina: „sz”, „ch”, „cz”, „dz”, „dź”, „dż”, „rz”. Sz-y-b-a, Ch-i-n-y, cz-y-r-a-k, dz-w-o-n-e-k, dż-w-i-g, Dż-a-k-a-r-t-a, rz-o-d-k-i-e-w-k-a. Jak napiszę tekst do końca, poproszę Agatkę o korektę, jako logopeda jest bieglejsza w klocki lingwistyczne.

Świat to czary, życie to czary, literatura to czary. To dlatego świat mnie rozczarowuje, życie mnie rozczarowuje, literatura mnie rozczarowuje. Tracę i zyskuję. Nie potrafię jednak niczego ostatecznie zliczyć, podsumować, zestawić. Klecę, zamiast zbudować. Chciałbym wdrapać się na ostatni poziom ściany wspinaczkowej, ale nagle się orientuję, że powyjmowano zaczepy, haki, zalepiono dziury. Przede mną, nade mną goła, płaska, pionowa tafla. Na dole rozciągnięta folia jak do malowania. Może powinienem urodzić się ośmiornicą. Natura wyposażyla ośmiornice w odnogi. Prócz przyssawek niektóre posiadały w darze jasnovidztwo i są wróżbitami. W tym tygodniu w niemieckim akwarium zdechł głowonóg o imieniu Paul, który prawidłowo typował zwycięzców w meczach piłkarskiego mundialu w Republice Południowej Afryki. W historii świata czarodzieje zawsze umierali młodo. Dzieje pełne czarowania i rozczarowywania.

Agatka nieopatrznie wrywa mnie z odrętwienia, gdy leży obok w niebieskich skarpetkach, różowej piżamie z napisem „Sweet sheeps”. Literki sterczą na piersiach. Na kciuku lewej dłoni zawieszony kubek, ciepłym spodem przylega do uda. Paruje wywar z czarnej porzeczki. Dzień przygasa. Swoją mistrzowski popis rozpoczęła zwyciężczyni XVI Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego imienia Fryderyka Chopina - Julianna Awdiejewa z Rosji. Rosja kocha Polskę, Polska kocha Rosję, tylko ci politycy miesza ją w kociołkach.

Wziąłem trzy dni urlopu. Docicham.

Arkadiusz Frania

Arkadiusz Frania

Wspomnienie z wakacji



Przeszłość, zwłaszcza dzieciństwo, obfituje w zdarzenia, których nie sposób wymyślić; takie są nierzeczywiste, takie nie do wyprzedzenia z samej wyobraźni, bez oparcia w faktach, przeżyciach. Sytuacje zadziwiające muszą się po prostu stać, żeby tkwić w świadomości, żeby czas ich nie stał. Jeśli piasek zasłoni klapę, pod którą rozpościera się jaźń, wiatr oczyści klamkę lub uchwyt. Jestem pewny, że życie ludzkie to suma chwil dawnych, a „dzisiaj”, „teraz”, „jutro”, „pojutrze”, „za tydzień” przedstawiają jakiś walor wyłącznie jako materiał, zadatek przeszłości. Bo minione, zaczyna istnieć dopiero od momentu przyjscia czasu teraźniejszego.

Lato. Wakacje. Zamiast na obóz, czy na wypoczynek pod gruszą w ramach funduszu wczasów pracowniczych, pojechaliśmy do dziadków nad morze. Tak się mówiło w rodzinie: „dziadkowie nad morzem”. W rzeczywistości do linii brzegowej Bałtyku było ponad sto kilometrów, ale to i tak bliżej niż z Częstochowy. Kilka tygodni poznawania lasu, wody. Jezioro w środku listowia. Kąpaliliśmy się, nie wiedząc, że pełni ono również funkcję wodopoju dla krów i pływają w nim wszelkiego rodzaju bakterie. Kto jednak wtedy przejmował się zarazkami, chorobami, zakażeniem. Skaleczenie opatrywało się zasypką z piasku albo przyklejało liść, mocując go do ranki śliną. Czystsza woda niosła się małuskim potokiem pod średnich rozmiarów mostkiem. Puszczaliśmy tam statki z papieru. Okręty szybko grzęzły między kamieniami i miękły. Rozpaczane marzenia o wyprawach za ostatnie granice na ziemi. Potem przestałem snuć w myślach zamorskie podróże, coraz bardziej kuląc się w sobie jak w skorupie. Wyścibianie głowy było coraz trudniejsze.

Pewnego dnia trochę przed północą wujek wrócił pijany i narobił rumoru. Zbiegowisko przy stole. Dziadek, ojciec wujka, pomstował. Wujek bełkotał, próbował powiedzieć, że się powiesi, bo za dużo trzeźwego życia wokół, a on człowiek o szczerym sercu nie potrafi się w tym odnaleźć.

Dziadek chciał naszykować postronek, ale wujek nie skorzystał. Ucichł, już nie chciał umierać. Wypił piwo, nie odejmując od warg butelki, i runął na wyro. Ja - świadek pogrozek, wymówek - żalów notowałem w głowie. Będzie czym wypełnić wypracowanie na temat „Moje wspomnienie z wakacji na wsi”. Położyłem się z mocnym postanowieniem zostania pisarzem. Przysnąłem. Poleciało mi oko jak kropla na dno studni. W odmět niewiadomego. Czuwanie przygasło. Wujek chrapał i jęczał na przemian, będąc w tych majakach i synem, i mężem, i kumplem. W jego pokoju przy telewizorze stał gadżet, który otwierał moją fantazję. Lampka niby zwykła - żarówka, plastikowy klosz z napisem „drink bar” i mazami sugerującymi rozrywkę z kolorowymi alkoholami i dziewczynami za jeden uśmiech, podobizny jakiegoś króla z banknotu. Klosz się obracał, na ścianach i sufitach migotało wyobrażenie zabawy do późna.

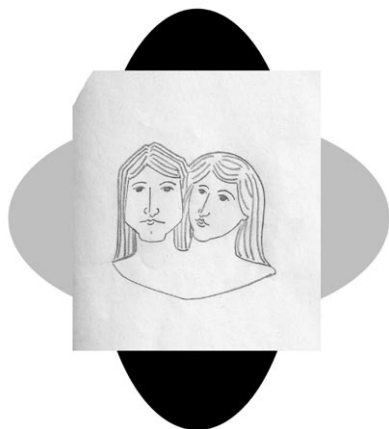
W nocy, po tej awanturze między dziadkiem a wujkiem, obudziło mnie pisknięcie. Myślałem, że to część gry w złudzenia, nierealność. Przymknąłem znowu powieki, ale wrzask się powtarzał. Skąd? Dlaczego? Wstałem i jak lunatyk przeszedłem przez pokój telewizyjny. W szybie zobaczyłem światło wypełniające ramę drzwi do stodoły. W kuchni ciemno. Drzwi łączyły ją z gankiem, z niego było przejście do stodoły. Pisk nieustannie intrygował. Prócz dźwięków, uciętych pomruków ni to ludzkich, ni zwierzęcych, dało się wyłowić pojedyncze słowa, monosylaby. Byłem coraz bliżej źródła dźwięków. Dochodziłem do postaci człowieka, szamoczącego się z czymś workowatym. Przywieszony do belki nad głową worek jęczał. Na belce wisiały kosy, narzędzia, stary sierp. Spojrzałem, zobaczyłem i stanąłem strwożony. Dziadek obdzierał ze skóry królika. Tata mojej mamy, gdy mnie spostrzegł, powiedział, że pierwszy raz mu się zdarzyło coś tak okropnego. Królik powinien nie żyć - dziadek uderzył go w kark zgodnie z zasadą sztuki. Zwierzę nie ruszało się, gdy zaczął je przygotowywać na jutrzejszy obiad. Mój dziadek był mężczyzną roslm jak dąb, takim, co to podkowę zaplatał na palcu jako obrączkę. Wiedział, czym jest ubój i gdzie znajdują się punkty łagodnej śmierci u wszelkiej maści gadziny. Zabicie bezstresowe. Słyszałem, że dawniej dziadek hodował nутrie, kochał konie.

Królik musiał jednak doznać tylko szoku, który przyniósł mu cierpienie. Podczas obdzierania ze skóry, zwierzę ocknęło się i zaczęło pisać. Dziadek kilka razy walnął tę „rozebraną” do połowy szkaradę swoją stalową pięścią. Cisza. Futro odłaziło od ścięgien lekko. Reszta przyczepiona do sznurka znowu zmartwychwstała... Następne uderzenie uciszyło królika, który, o zgrozo, ożył, gdy łamano mu kości.

Zastanawiam się do dzisiaj, czy ból był bólem. Może tylko adrenalina, nerwy, punkty przewodzące odruchy jako ostatnie opuściły królicze ciało. Szarpanie się, ocknięcia nie łączyły się z torturą. Tak się nieraz dzieje z kurami. Wyskakują bez łbów z wiadra i straszą inne kury. Przychodzą mi na myśl żywoty świętych. Wielu z nich przed śmiercią poddawano torturom, żywcem zdzierano płaty skóry, wyrywano zęby, obcinano palce, wydłubywano oczy.

Poza wszystkim i poza niczym chciałbym jednak zostać zbawiony, powiedziany na niebieskie łono. Położę się bez skrupowania i wyrzutów sumienia na błękitnym runie. Bez kołatań, pulsowań, stresów, odrętwień. Będą krążyć nade mną Aniołowie skorzy do pogawędek na tematy błahe: ile soli przypada na szczyptę, jaką temperaturę ma pogoda ducha. Wyzwolę się wreszcie od widoku królika bez ślepi, bez futra, szarpiącego się na sznurku, po którym wstąpił do nieba dla zwierzęcych męczenników.

Arkadiusz Frania



„Zaljubjeni”, Emilia i Stojče Tocinovski
ze stolicy Macedonii Skopje.

Prace nagrodzone w IX Konkursie Literackim „Mój Anioł – Zwiastun przemian”.

Jury w składzie Janina Młynek i Weronika Pazyna pod przewodnictwem Jana Henryka Cichosza przyznało w dziale szkół podstawowych nagrodę dla Weroniki Magier (Szkoła Podstawowa w Chłaniowie, nauczyciel Dorota Kielbasa) i wyróżnienie dla Elizy Kozłowskiej (Szkoła Podstawowa im. M. Reja w Rejowcu, nauczyciel Barbara Wójcik). W dziale gimnazjów nagroda przypadła Weronice Banaszuk (Zespół Szkół nr 5 im. Orłąt Lwowskich, nauczyciel Dorota Szpakowska-Matczuk), natomiast w dziale szkół ponadgimnazjalnych nagrodzono Amandę Dzik (Liceum Ogólnokształcące im. Wł. Jagiełły w Krasnymstawie, nauczyciel Dorota Matysiak).



Weronika Magier

Anioły istnieją, wiem to na pewno. Czasami takimi posłańcami od Boga są ludzie. Prości, zwykli ludzie, którzy pomagają innym i chcą szczęścia innych. Ci dobrzy ludzie, po swoim odejściu z tego świata otrzymują aureolę i są już pewnymi, prawdziwymi aniołami.

Był to grudzień 2012 roku. Wszyscy byli szczęśliwi, że już lada dzień nadejdą święta. W ogromnym zapale ubieraliśmy choinki, wszyscy przygotowywaliśmy się do tych pięknych dni. Wszędzie unosił się zapach jemioli i pierniczków

oraz świeżej choinki. Dzieci szukały prezentów, a za kilka dni miała się rozpocząć przerwa świąteczna w szkole.

Rano wstałam, przygotowałam się i poszłam na przystanek, z którego codziennie zabierał nas autobus szkolny. Stałam z moimi koleżankami, gdy przyszedł kolega i powiedział okropną rzecz, że nasza wychowawczyni z klas 1-3 zmarła. Wszyscy myśleliśmy, że to głupi żart. Przyjechał autobus i wsiedliśmy do niego. Zapytaliśmy opiekunki, czy wie coś może. Ona zadzwoniła do innej nauczycielki i, jak się okazało, wszystko było prawdą. Tego dnia rano pani Agnieszka zmarła. Wszyscy siedzieliśmy nieruchomo, tylko małe dzieci nie wiedziały w czym rzecz i nadal wesoło rozmawiały. Nikt nie miał odwagi nic powiedzieć. Była cudowną kobietą. Umiała świetnie uczyć, ale była też naszą drugą mamą, z którą można było szczerze porozmawiać i poradzić się w razie problemu. Pani Agnieszka była zawsze taka ruchliwa, wesoła i pogodna. Jeszcze dzień wcześniej chodziła szybkim krokiem po szkole i angażowała się we wszystko.

Nie zawsze los jest sprawiedliwy. Nasuwa mi się pytanie: dlaczego Pan Bóg zabiera tych najlepszych ludzi? Na pewno każdy je zadaje po śmierci kogoś bliskiego. Do tego te święta, nie wyobrażam sobie jak mógł się wtedy czuć syn pani Agnieszki. Przecież to czas Bożego Narodzenia, kiedy rodzina jest razem, to czas, kiedy Pan Jezus przychodzi na ziemię. Dni w szkole już nie były takie same, w ogóle nic już takie nie było. Brakowało człowieka, który nadawałby wszystkiemu kolor i kształt. Smutek, żal, gorycz - takie uczucia wtedy panowały wszędzie.

Tego dnia miał odbyć się pogrzeb. Wszyscy z bólem serca, ze spuszczoneymi głowami weszli do kościoła. Najpierw każdy powstrzymywał się od płaczu, chociaż nie było się czego wstydzić. Tak było aż do kazania. Otóż ksiądz proboszcz zacytował fragment z utworu „Kolęda dla nieobecnych”. Mówił, że „nadzieja znów wstąpi w nas, nieobecnych pojawią się cienie, uwierzmy kolejny raz w jeszcze jedno Boże Narodzenie” i poprosił Boga „daj nam wiarę, że to ma sens, że nie trzeba żałować przyjaciół, że gdziekolwiek są dobrze im jest i są z nami choć w innej postaci...”. Wtedy w ruch poszły chusteczki. Nie było człowieka, który by nie płakał, a jeśli tego nie robił, to nie miał chyba duszy.



Potem była droga na cmentarz. A później najgorszy moment... opuszczenie trumny do grobu. Wtedy wszystko już straciło sens. Nawet kolory straciły swój blask, ten świat Boży stał się szary. Każdy uświadomił sobie, że już nigdy nie zobaczy naszej pani Agnieszki. Wszystkie dzieci wrzuciły do grobu białe róże, które były wyrazem szacunku dla niej. Koniec, nie było już nic, co mogłoby dać jakikolwiek cień sprawiedliwości, nadziei i radości. Wszyscy ze łzami i spuszczoneymi głowami stali bez słowa. Potem tylko droga do domu i właściwie tu można byłoby skończyć, ale jednak nie.

Nie było, nie ma i pewnie nigdy nie spotkam osoby z takim charakterem jak pani Agnieszka. Nikt i nic już nie zastąpi tej pustki, jaką po sobie pozostawiła ta cudowna kobieta. Nie dość, że wysłuchiwała czyjś problem, to jeszcze pomogła drugiemu człowiekowi, jak prawdziwy anioł. Nie zrobiłaby krzywdy nawet mrówce. Oprócz tego umiała świetnie uczyć. Miała wypracowane wspaniałe metody. Uczyła jeszcze mojego tatę i nabierała przez te wszystkie lata doświadczenia, aby potem nauczyć tego wszystkiego mnie i moją klasę. Pani Agnieszka była bardzo cierpliwa i wyrozumiała.

Uważam, że to najlepszy anioł stróż jakiego ktokolwiek i kiedykolwiek miał. Czuję, że pani Agnieszka jest przy mnie w każdej trudnej chwili, chociaż jej nie widzę i że zawsze udziela mi dobrych rad. Czuję, że wspiera mnie i daje mi energię oraz siłę do dalszego działania. Zawsze była dla mnie przykładem i tak jest nadal. Każdy anioł i człowiek powinien być taki, jak pani Agnieszka.

Weronika Magier
Szkoła Podstawowa w Chłaniewie

Eliza Kozłowska

Kilka miesięcy temu miałam bardzo poważny wypadek. Leżałam w szpitalu przez cztery miesiące. Byłam w krytycznym stanie. Miałam wiele operacji, które niewiele mi pomagały. Byłam z tego powodu bardzo przygnębiona. Lekarze dawali mi małe szanse na przeżycie. Myślałam, że odejdę z tego świata, ale jednak gdzieś tam w niebie, mój Anioł Stróż czuwał nade mną przez całą tę tragiczną sytuację. Po wyjściu ze szpitala pojechałam wraz ze swoją rodziną do domu. Moi rodzice i rodzeństwo bardzo się ucieszyli z mojego powrotu.

Nadeszła noc. Położyłam się do łóżka i szybko zasnęłam. Śniłam o swoim bohaterze, który uratował mnie przed śmiercią - o Aniele Stróżu. Był wieczór, niebo było granatowe, a zarazem bardzo gwiazdziste. Wszystkie gwiazdy były bardzo blisko mnie. Jedna z nich spadła na mokrą od rosy, zieloną trawę. Z tej, która była najbliżej mnie, wyszła postać. To był mój Anioł! Był dosyć wysoki, ręce miał złożone jakby do modlitwy, a głowę spuszczoną. Szedł prosto ku mnie. Rozłożył ręce, podniósł głowę do góry i rzekł:

- Jestem twoim Aniołem. Czuwałem, czuwam i będę czuwał nad tobą przez całe twoje życie.

Nagle się obudziłam. Przetarłam oczy, a tu, ku mojemu zdziwieniu, na krześle tuż obok mojego łóżka, siedział uśmiechnięty Anioł. Po raz kolejny przetarłam oczy, a on znikł. Nagle zadzwonił telefon. To była moja koleżanka Ola. Przywitała się ze mną, zapytała jak się czuję i zaproponowała wyjście „na miasto”. Od razu się zgodziłam, gdyż człowiek, który leżał przykuty do łóżka przez cztery miesiące, niestety, ale może zwariować. Miałyśmy się spotkać w parku, o godzinie 15. Wyruszyłam, więc o podanej godzinie do wyznaczonego miejsca. Spotkałyśmy i przywitałyśmy się. Usiadłyśmy na ławce i zaczęłyśmy naszą pogawędkę. Większość rozmowy była o szkole, gdyż miałam zaległości do nadrobienia. W towarzystwie koleżanki czas szybko płynął. Ola, niestety musiała już iść do domu. Nie byłam z tego powodu zmartwiona, gdyż i ja sama musiałam wracać.

Po powrocie do domu nie zastałam rodziców, tylko kartkę. Wzięłam ją do ręki i przeczytałam:

„Aniu, jesteśmy w pracy, a twoje rodzeństwo jest na basenie. Wracamy o 20.00. Obiad w lodówce”.

Poszłam do swojego pokoju, a tam znów Anioł. Nie wiedziałam, o co chodzi. Uśmiechnął się do mnie i odleciał przez okno. Gdy po chwili chciałam sprawdzić dokąd poleciał, jego po prostu już nie było. Czyżbym miała jakieś zwidy? Nie rozumiałam tego. Codziennie widziałam tego samego Anioła, który był w moim śnie. A może to nie był sen? Może było tak naprawdę. Wątpiłam w to, bo przecież, kiedy się obudziłam, byłam w moim pokoju.

Tydzień później, poszłam do szkoły. Tak jak i w domu, wszyscy ucieszyli się na mój widok. Pytali dosłownie o wszystko, co było związane z moim pobytem w szpitalu. Widać było, że przez cały ten czas mojej nieobecności w szkole, bardzo się o mnie martwiono. To było miłe. Wróciłam do domu. Już chwyciłam za klamkę, a otworzył mi Anioł! Szybko poszłam do swojego pokoju i rozmyślałam o tym wszystkim. Jednak coś mi się przypomniało. We śnie Anioł oznajmił, że: czuwał, czuwa i będzie czuwać nade mną. Czyli jak widać, wszystko było już wiadome. Następnego dnia, gdy przebierałam się w szatni, dziewczyny rozmawiając ze mną, wspomniały coś o szkolnej dyskotekce. Zaproponowały mi wspólną zabawę. Zgodziłam się. Koleżanki bardzo się ucieszyły. Dyskoteka trwać miała od 16 do 19.30. Była zima, więc o tak późnej porze było bardzo ciemno. Zaczęła się dyskoteka. Wszyscy się dobrze bawiliśmy. Panowała miła atmosfera. Niestety, ale jak wiadomo wszystko, co dobre, musi się skończyć. Wracałam sama, bo krótką miałam drogę od szkoły do domu. Zza krzaka wyszedł Anioł. Ale nie było już to dla mnie takie dziwne, iż wiedziałam, o co chodzi.

Po upływie kilku lat, byłam już przyzwyczajona do obecności mojego Anioła Stróża w pobliżu. Od tamtej chwili wiem, że Anioł Stróż odgrywa dużą rolę w naszym życiu. A teraz, mój Anioł jest moim najlepszym przyjacielem. Po prostu wiem, że trzeba cenić życie obojętnie, jakie ono jest. Gdy taki ktoś jak Anioł czuwa nad nami, to nawet nie trzeba się martwić o jutro.

*Eliza Kozłowska**Szkoła Podstawowa im. M. Reja w Rejowcu*

Weronika Banaszuk

Mój dom, dziadkowie, mama, tata i On. Od kąd zaczęłam rozumieć świat, był dla mnie kimś wyjątkowym. Pierwsze spacer, zabawy - On zawsze był przy mnie. Mój starszy o dwa lata brat. Był dla mnie jak „Anioł Stróż”. Mimo, że sam był jeszcze dzieckiem, potrafił mnie ustrzec od wielu niebezpieczeństw. Trudno zrozumieć skąd u niego brała się ta potrzeba opieki nade mną? Chociaż byłam mała, miałam do niego pełne zaufanie. Uczył mnie robić moje pierwsze babki z piasku. Wymyślał takie zabawy, żebym i ja mogła brać w nich udział. Tylko z moim bratem miałam odwagę iść pobawić się z innymi dziećmi. Nie wiem dlaczego tak się działo, ale tylko z nim czułam się bezpieczna.

Pewnego dnia, kiedy się obudziłam, Mateusza nie było, nie było też naszej mamy. Trwało to kilka dni, a ja nie rozumiałam dlaczego tak się dzieje. Czułam się wtedy bardzo samotna i nieszczęśliwa. Brat był chory i leżał z mamą w szpitalu. Kiedy wrócili po kilku dniach, z samochodu wysiadła tylko mama, jej widok niezbyt mnie ucieszył. Dopiero gdy z samochodu wyskoczył On, odetchnęłam z ulgą i uznałam, że wszystko jest w porządku.

I tak biegł dzień za dniem. Wspólne gry, zabawy, spacer. To przy nim nauczyłam się jeździć na rowerze, na sankach i nartach. Nikt tak nie potrafił się bawić w chowanego, jak mój brat. On przewodził całej grupie dzieci z naszej okolicy.

Zmieniały się pory roku, my robiliśmy się coraz starsi, a brat ciągle pilnował mnie jak „oka w głowie”. Idąc do pobliskiego sklepu, ani na chwilę nie wypuszczał mojej ręki. Gdy nadjeżdżał samochód, sprowadzał mnie na pobocze i osłaniał mnie sobą, aby nic mi się nie stało. Na jednym ze spacerów zaatakował nas pies sąsiada. Chociaż brat też się go bał, myślał tylko jak mnie przed nim uchronić. Na szczęście sąsiad był w pobliżu i nic nam się nie stało. Chociaż Mateusz tak o mnie dbał, ja wcale nie byłam dla niego taka dobra. Ciągnęłam go za włosy, on miał łzy w oczach, tato na mnie krzyczał, a on mnie bronił mówiąc: „Tato nie krzycz na nią, ona jest malutka”. Ale gdy ktoś mnie zapytał: „Czyja ty jesteś?” - odpowiadałam, że Mateusza.

Kiedy już oboje chodziliśmy do szkoły, nawet tam potrafił się mną opiekować, pilnować, aby mi „włos z głowy nie spadł”.

Pewnego zimowego dnia kiedy wracaliśmy ze szkoły, poszłam z koleżankami ślizgać się na zamrożonej rzeczce, która była w pobliżu. Brat prosił mnie, abym zeszła, ale go nie posłuchałam. W pewnej chwili lód zaczął pękać i jedną nogą wpadłam do wody nie mogłam sobie poradzić, bardzo się przestraszyłam, koleżanki uciekły, lecz Mateusz zachował zimną krew. Poprosił kolegę, aby pobiegł po kogoś dorosłego, a sam mnie uspokajał. Zdjął swój szalik i kazał mi się za niego mocno złapać. Sam trzymał drugi koniec. Bałam się, bo lód coraz bardziej pękał. Na szczęście nadeszła pomoc. Pomogli bratu wyciągnąć mnie z wody. Byłam przemoczona i przemarznięta. Brat poprosił starszego pana, aby nas odwiózł do domu. Gdyby nie on, utopiłabym się. Na szczęście skończyło się tylko na strachu i przeziębieniu.

W czasie mojej choroby Mateusz także się mną opiekował, przynosił mi lekcje od koleżanki, spełniał moje zachcianki. Po tym zdarzeniu brat jeszcze bardziej mnie strzegł i martwił się, abym znowu niczego głupiego nie wymyśliła. Jego troska i ciągła opieka, dawały mi duże poczucie bezpieczeństwa. Wiedziałam, że przy nim nic mi nie grozi.

Nasze relacje jako rodzeństwa są bardzo dobre. Teraz, gdy jesteśmy już starsi, rozumiałam jaką miał do mnie „anielską cierpliwość”. Kiedyś takiego brata zazdrościły mi wszystkie koleżanki i nie tylko one. Teraz też niewiele się zmieniło. Mogę mu zaufać i na nim polegać. Ja również odpłacam mu się tym samym. Po prostu jesteśmy przyjaciółmi. Cieszę się, że jest właśnie taki, a nie inny.

Gdybym miała przedstawić wizerunek „Anioła Stróża”, mój nie miałby skrzydeł ani aureoli. W mojej wyobraźni „Anioł...” to po prostu mój brat, dobry, troskliwy i pomocny dla którego ja jestem kimś najważniejszym.

*Weronika Banaszuk
Zespół Szkół nr 5 im. Orląt Lwowskich
w Krasnymstawie*

Amanda Dzik

Gdy pusto

Myślałam, że wiem
 że rozumiem
 w końcu chciałam pomóc
 dziwiłam się, że nie chcą słuchać
 mylisz się - mówili
 i zniknęli
 a przecież obiecali
 być

Dokąd prowadzi pewność?
 skutki odbiegły od przyczyn
 chciałam pomóc
 nie słuchając

Szok jest lepszy od niepewności
 niepoprawna nadzieja niszczy
 mimo, że już się nie cofnę
 widzę więcej
 nie pytam czemu
 już wiem, nic na siłę
 do tragedii nie trzeba wiele

To w porządku, nic nie zmienisz
 można tylko spojrzeć na siebie
 odrzucić to, co nieludzkie
 wtedy już niewiele trzeba
 do harmonii istnienia



Amanda Dzik

I LO im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie

Jurata Bogna Serafińska

Przestrzeń i czas w powieści
 „Mistrz i Małgorzata”
 Michaiła Bułhakowa



Referat wygłoszony 16.01.2014 r. na Konferencji Naukowej „Filozofia w literaturze” zorganizowanej przez Koło Naukowe Metafizyków, Instytut Filozofii UKSW w Warszawie.

Wstęp

Na wstępie pragnę przybliżyć postać Bułhakowa. Michaił Afanasjewicz Bułhakow¹ (1891-1940) był z wykształcenia lekarzem, a z powołania dramatopisarzem i prozaikiem, autorem między innymi powieści filozoficzno-satyrycznej *Mistrz i Małgorzata*.

Pomysł powieści powstał w grudniu 1928 roku, ale autorowi nie udało się doprowadzić za życia do jej wydania. Przez kilkanaście lat² pracował nad dziełem, stale je przeredagowywał, niszczył poprzednie wersje, zmieniał tytuły, doprecyzowywał czas akcji, dopisywał nowe sceny.

Znane były różne wersje powieści i różne jej tytuły, jak: *Czarny mag*, *Kopyto inżyniera*, *Żongler z kopytem*, *Syn Wieliara*, *Gościnne występy*. Dowiedziawszy się o tym, że władze zakazały wystawienia jego utworu *Zmowa świętoszków*, Bułhakow zniszczył w marcu 1930 roku pierwszą redakcję *M i M*, o czym napisał do władz³. Ponownie zaczął pracować nad powieścią w roku 1931 i wtedy pojawiła się postać Małgorzaty, której pierwowzorem była trzecia żona pisarza Jelena Siergiejewna z domu Niurenberg⁴, która poznała Bułhakowa w zapusty 1929 roku i w 1932 roku rozwiodła się dla niego ze swoim drugim mężem Jewgienijem Szyłowskim.

¹ Encyklopedia Popularna PWN, Wydawnictwo Naukowe PWN, Wydanie trzydzieste szóste, Warszawa 2011, s. 147.

² Boris Sokołow, *Michaił Bułhakow - Leksykon życia i twórczości*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2003, ss. 369-383.

³ Tamże, s. 213: - „ja sam własnoręcznie wrzuciłem do pieca brulion powieści o szatanie”.

⁴ Tamże, s. 82.

We wrześniu 1933 roku pisarz czytał pierwsze rozdziały powieści w mieszkaniu Nikołaja Lamina. W styczniu 1934 roku wrócił po przerwie do pracy nad dziełem. W lipcu 1934 roku zaczął przeredagowywać powieść i pracował nad nową redakcją do września 1934 roku. W październiku ukończył pierwszą wersję powieści (37 rozdziałów). W październiku 1935 roku założył zeszyt z uzupełnieniami, które kompletował jeszcze w lecie 1936 r. W październiku 1937 roku zaczął pisać kolejną, szóstą już wersję powieści i pracował nad nią również zimą i wiosną 1938 r. Kolejne poprawki podyktował żonie w październiku 1939 roku i w lutym 1940 roku.

Bułhakow zmarł nie doczekawszy się publikacji powieści. Pierwsza publikacja *Mistrza i Małgorzaty* miała miejsce dopiero w 1967 roku w miesięczniku „Moskwa” nr 11/1966 - nr 1/1967.

Przestrzeń i czas

W najwcześniejszych wariantach powieści *Mistrz i Małgorzata* sceny moskiewskie i jerozolimskie dzieją się w tych samych czerwcowych dniach w czasie prawosławnego Wielkiego Tygodnia⁵. Jednakże miesiąc nisan w kalendarzu juliańskim nigdy nie odpowiadał czerwcowi. W wersji *M i M* z 1933 roku Bułhakow zmienił czerwiec na maj. W środę majowego wieczora Wolant i jego świta przybywają do Moskwy. W XX wieku środa Wielkiego Tygodnia przypadała w maju zgodnie z kalendarzem gregoriańskim (przyjętym w Rosji w 1918 roku) tylko w 1918 albo 1929 roku. Ale w 1918 r. panował czas komunizmu wojennego, nie było wtedy na przykład opisanych w powieści czerwotców. Akcja moskiewskich wydarzeń toczy się więc u schyłku epoki NEP-u⁶ w 1929 roku, kiedy prawo-

ślawna Pascha przypadała 5 maja (22 kwietnia starożytnego stylu). Stalin nazwał ten rok, rokiem wielkiego przełomu, miał wtedy nastąpić koniec NEP-u, kolektywizacja i uprzemysłowienie kraju. Wtedy też zabroniono wystawiania sztuk Bułhakowa⁷.

Wydarzenia jerozolimskie, tak samo jak moskiewskie, obejmują cztery dni Wielkiego Tygodnia - od środy do soboty. Akcja tych wydarzeń w powieści *Mistrza o Piłacie*, która jest powieścią w powieści, toczy się w ciągu jednego dnia. W redakcji *M i M* z 1929 roku czas, który upłynął od sądu nad Jezusą Ha-Nocri do pojawienia się w Moskwie Wolanda ze świtą i wydobycia mistrza z kliniki psychiatrycznej był dokładnie określony. Jezua rzekł do Piłata - *minie tysiąc dziewięćset lat zanim wyjaśni się ile oni nakłamlali, zapisując moje słowa*⁸. W wersji ostatecznej powieści czas ten jest określony mniej dokładnie⁹, Bułhakow nie precyzuje daty i pisze o czasie równym prawie dwóm tysiącom lat¹⁰.

Przestrzenie trzech światów *M i M* - dawny świat jerozolimski, wieczne zaświaty i współczes-

stwowego w przemyśle ciężkim, handlu zagranicznym, bankowości i instytucjach finansowych. Wprowadzenie NEP-u było wymuszone słabym uprzemysłowieniem Rosji, co uniemożliwiało budowę socjalizmu. Polityka NEP-u poskutkowała szybką odbudową ekonomiczną kraju. W końcu 1929 roku odrzucono całkowicie NEP. Stalin zastąpił go systemem gospodarki nakazowo-rozdziałowej, powracając do założeń komunizmu wojennego (za: Encyklopedia Popularna PWN, Wydawnictwo Naukowe PWN, Wydanie trzydzieste szóste, Warszawa 2011, s. 701).

⁷ Tamże, s. 220.

⁸ Boris Sokołow, *Michaił Bułhakow - Leksykon życia i twórczości*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2003, s. 221.

⁹ M. Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2007, s. 30: - „a wszystko dlatego, że on niedokładnie zapisuje to, co mówię”.

¹⁰ Tamże, ss. 519, 520: - „chciałem ci zatem pokazać twego bohatera. Prawie od dwóch tysięcy lat siedzi on na tym szczycie i śpi, ale kiedy nadchodzi pełnia księżyca, dręczy go, jak widzisz, bezsenność. [...] kiedy śpi, śni mu się ciągle to samo - pasmo księżycowego światła, którym chciałby iść i rozmawiać z więźniem Ha-Nocri, ponieważ [...] nie zdążył czegoś dopowiedzieć wówczas, dawno temu, czternastego dnia wiosennego miesiąca Nisan. [...] - Dwanaście tysięcy księżyców za jedną księżycową noc sprzed lat, czy to aby nie za dużo? - zapytała Małgorzata”.

⁵ Tamże, s. 219.

⁶ NEP to określenie Nowej Ekonomicznej Polityki - (Новая экономическая политика), która określała doktrynę polityki gospodarczej Rosji Radzieckiej w latach 1921-1929. NEP oznaczał odejście od komunizmu wojennego i wprowadzenie bardziej rynkowych mechanizmów gospodarczych, między innymi przywrócenie funkcji pieniądza i zniesienie obowiązkowych dostaw żywności od chłopów. Zezwolono na powstanie małych prywatnych przedsiębiorstw i koncesjonowanej działalności gospodarczej międzynarodowych przedsiębiorstw, przy pozostawieniu monopolu pań-

ny świat moskiewski łączą się, ale mają własne wymiary czasu. W zaświatach czas jest wieczny i niezmienny, tak jak północ¹¹, która ciągle trwa na balu u szatana. W świecie jerozolimskim panuje czas przeszły, a w moskiewskim - teraźniejszy. W zakończeniu *Mistrza i Małgorzaty* w paschalną noc poprzedzającą niedzielę sceny moskiewskie łączą się z jerozolimskimi¹². Jest to więc jednocześnie 5 maja (22 kwietnia) 1929 roku i 16 nisan 29 roku. Świat jerozolimski i moskiewski stają się wspólną przestrzenią, z tym że następuje to w zaświatach, którymi włada książę ciemności Woland. Nasuwają mi się skojarzenia z treściami wykładu o czasoprzestrzenności kosmosu, z którego wynika jedna wspólna struktura czasoprzestrzeni. Bułhakow mógł wykorzystać najnowsze nowinki naukowe, pisząc swoją powieść kilkanaście lat po opublikowaniu ogólnej teorii względności Einsteina.

W scenie ostatniego lotu powieść o Piłacie zespala się z ewangelią Wolanda. Przebacząc prokuratorowi, Mistrz kończy jednocześnie dwie powieści - swoją i szatana. Dystans dziewiętnastu stuleci zostaje zredukowany, dni tygodnia i miesiąca w dawnej Jerozolimie i współczesnej Moskwie są te same.

Struktura czasowo-przestrzenna powieści, jak i koncepcja etyczna opiera się na troistości, o czym powiem za chwilę więcej, omawiając wpływ filozofa Florenskiego na twórczość Bułhakowa. Bułhakow stworzył w powieści czwarty wymiar, czyli świat pozorny. Świat ten, zgodnie z założeniami Florenskiego, nie jest elementem konstrukcji powieściowej i nie ma odrębnego znaczenia. Pozorny świat to wewnętrzna hipostaza świata moskiewskiego, połączona przestrzennie z teatrem Varietés i z fatalnym mieszkaniem przy Sadowej. Postaci pozornego świata są uzupełnieniem trójek z pierwszych trzech światów, czyniąc z nich czwórki. Przykłady: Poncjusz Piłat - Woland - Strawiński - dyrektor teatru Rimski. W pozornym świecie (zgodnie z teorią rozprawy Florenskiego *Wielkości urojone*),

bohaterowie dokonują pozornych czynów, te zaś odnoszą pozorne skutki, na przykład konferansjer Żorż Bengalski podobnie jak Michaił Aleksandrowicz Berlioz stracił głowę, lecz jego śmierć jest pozorna. Bułhakow wprowadził również wymiar piąty. W scenach wielkiego balu u szatana spotykamy się z dotyczącym przestrzeni piątym wymiarem^{13,14}.

Czy nie przypomina nam to trochę dzisiejszych, związanych z ogólną teorią względności, współczesnych teorii o czasoprzestrzenności kosmosu, w których spotykamy różne rodzaje przestrzeni i takie zjawiska, jak na przykład paralaksa, chociaż wiemy, że żyjemy w przestrzeni trójwymiarowej prawie Euklidesowej, nawet jeśli nie dokładnie Euklidesowej.

Wpływy filozofii Florenskiego i inne wpływy

Troistość świata¹⁵ w *Mistrzu i Małgorzacie* ma związek z poglądami Pawła Aleksandrowicza Florenskiego¹⁶ (1882-1937), rosyjskiego filozofa religii, teologa, matematyka, fizyka i literaturoznawcy, który wykładał historię filozofii na Moskiewskiej Akademii Duchownej w latach 1908-1919, a którego prace (między innymi książka *Wielkości urojone w geometrii*) miały duży wpływ na Bułhakowa. Florenski pisał, że troistość jest najogólniejszą charakterystyką bytu, a liczba trzy występuje jako podstawowa kategoria życia i myślenia i wiązał tę kategorię z chrześcijańską Trójcą. Jako przykłady rangi liczby trzy podawał: trójwymiarowość przestrzeni, trzy kategorie czasu, trzy osoby gramatyczne, fakt, że liczba trzy jest najprostszym wyrazem asymetrii. Opisywał znaczenie nadziemskiej sfery nieba, w której powinny funkcjonować prawa pozornej wielkości przestrzeni.

Troista struktura powieści *Mistrz i Małgorzata*¹⁷ odzwierciedla te idee filozoficzne. U Bułhako-

¹¹ Tamże, ss. 379, 399: - „Usłyszała ku swemu zdumieniu, że gdzieś bije północ, która według jej rachuby, dawno już minęła”; - „święteczną północ miło jest zatrzymać nieco dłużej odpowiedział Woland”.

¹² Boris Sokołow, *Michaił Bułhakow - Leksykon życia i twórczości*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2003, s. 222.

¹³ Tamże, s.334.

¹⁴ M. Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2007, s.: - „Ci, którzy są otrzaskani z piątym wymiarem, bez trudu mogą powiększyć lokal do potrzebnych rozmiarów”.

¹⁵ Boris Sokołow, *Michaił Bułhakow - Leksykon życia i twórczości*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2003, s. 228.

¹⁶ Tamże, s. 142.

¹⁷ Tamże, s. 229.

wa postacię współczesne i z zaświatów są jakby karykaturami bohaterów świata ewangelicznego. Pozorna przestrzeń jest miejscem przebywania sił ciemności.

Florenski głosił, że wszechświat¹⁸ ma swój początek i koniec, jednak Bułhakow nie poddał się tym poglądom i w *Mistrzu i Małgorzacie* wyraził idee nieskończoności. W scenie ostatniego lotu główni bohaterowie powieści opuszczają Ziemię. Czarna rozpadlina, w której znika diabeł ze swą świtą bywa czasem interpretowana jako odpowiednik czarnej dziury w tym znaczeniu, jakie nadaje tym słowom współczesna fizyka. Natomiast wieczny Dom Mistrza i Małgorzaty usytuowany został na granicy między niebem a ziemią w miejscu, w którym zbiega się przestrzeń rzeczywista i urojona.

W powieści Bułhakowa odnajdujemy nie tylko wątki biblijne i wpływy Florenskiego. Są tam odniesienia do Arystotelesa, Kanta (scena ostatniego lotu, w której Mistrz upodabnia się do Kanta), wreszcie ukochana Mistrza Małgorzata ma swój rzeczywisty pierwowzór w postaci żony pisarza Jeleny, jednak na płaszczyźnie literackiej postać ta jest spokrewniona z Małgorzatą z *Fausta* Goethego, a także z licznymi królowymi noszącymi imię Małgorzata. Również imię Wolanda zostało zapożyczone ze sceny Nocy Walpurgii Goethego, a postać Wolanda kojarzy się z faustowskim Mefistofelem.

Rękopisy nie płoną

Powieść Bułhakowa zawiera wiele wyrażeń, które weszły na stałe do języka literackiego. Jednym z nich jest wyrażenie „rękopisy nie płoną”. Te słowa Wolanda i wskreszenie „powieści w powieści” to ilustracja łacińskiej sentencji „Verba volant, scripta manent” czyli „słowa ulatują, pisma pozostają”. Imię diabła w *Mistrzu i Małgorzacie* jest przybliżone do słowa wolant i Woland w powieści rzeczywiście ulatuje. Szmer ulatujących słów słyhać po scholastycznej tyradzie Behemota o sylogizmach, wygłoszonej podczas gry w szachy z Wolandem¹⁹.

¹⁸ Tamże, s. 146.

¹⁹ M. Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2007, s. 348: - „usiadę - odparł kot, siadając, ale z tym ostatnim nie mogę się zgodzić. To, co powiedziałem to [...]”

Dobro i zło

Problem dobra i zła został wpisany przez Bułhakowa już w motto powieści, gdzie odnajdujemy cytaty^{20, 21} z *Fausta* Goethego. Wprawdzie czytając powieść, często zdarza się nam uważać postępowanie Wolanda za sprawiedliwe, a czasem nawet za dobre, słuszne i powinno, jednak nie można zapominać o tym, że uosabia on siły zła i ma największe zło na swoim sumieniu. W dyskusji szatana z Mateuszem Lewitą argumenty tego pierwszego brzmią przekonująco, zwłaszcza gdy zadaje pytanie o to na co by się zdało dobro, gdyby nie istniało zło. Słowa Mateusza, który w odpowiedzi nazywa Wolanda starym sofistą nie dają nam odpowiedniej satysfakcji²².

Przed sceną ostatniego lotu Woland wspomniałomyślnie nie pozwala zniszczyć wysłanego za nim myśliwca bojowego i pośpiesznie opuszcza Rosję razem ze swą świtą. Mówi wtedy o człowieku, który słusznie postępuje, a na jego obliczu maluje się siła i męstwo. Chodzi tu o Józefa Stalina, który według słów Bułhakowa postępował słusznie z punktu widzenia szatana. Te słowa przeraziły słuchaczy, którym Bułhakow czytał rękopis. Ale być może to właśnie było główne przesłanie Bułhakowa - stworzyć wspaniałą powieść, na końcu której zostanie napiętnowane zło. Jednak wydawcy, nawet ci późniejsi obawiali się wydania powieści z omawianym wyżej fragmentem i konsekwentnie usuwali go w czasie redakcji. Wycięty fragment można po polsku przeczytać obecnie chyba tylko w Leksykonie Borisa Sokołowa²³.

konsekwentny ciąg sylogizmów, które oceniliby tacy znawcy przedmiotu, jak Sykstus Empiryk, Martianus Capella, a być może nawet sam Arystoteles”.

²⁰ Tamże, s. 5: - „wiec kimże w końcu jesteś? Jam częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro”.

²¹ Boris Sokołow, *Michaił Bułhakow - Leksykon życia i twórczości*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2003, s. 226; motto w tłumaczeniu zespołu tłumaczy z czterotomowej edycji dzieł Bułhakowa, wydanych przez Wydawnictwo Muza, Warszawa 1994.: - „Więc kimże w końcu jesteś? Jam siły częścią drobną, co zawsze złego chce, a zawsze czyni dobro”.

²² M. Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza SA, Warszawa 2007, s. 491.

²³ Tamże, s. 227.

Zakończenie

Powieść Bułhakowa *Mistrz i Małgorzata* uchodzi za powieść filozoficzno-satyryczną. Szkoda, że do dzisiaj nie została wydana jej pełna wersja. Tej straty nie powetują seriale osnute na powieści, chociaż muszę przyznać, że ostatni serial, jaki wyświetlała nasza publiczna telewizja w roku 2008 bardzo mi się podobał i zainspirował mnie do napisania cyklu wierszy związanych z tematami powieści. Recenzja tomiku tych wierszy („Behemoty”) została opublikowana w grudniowym wydaniu czasopisma „Radostowa”²⁴ jako przedruk z Pisma Artystyczno-Literackiego Stowarzyszenia Twórczego POLART „Hybryda”²⁵.

A oto jeden z moich wierszy z tomiku „Behemoty”, poświęcony właśnie Behemotowi:

Z przymusem²⁶

Z pudrem na wusach,
Nieogolony
Z przymusem leci...

Stale się wtrąca.
Lecz z dobrej strony
Znamy go przecież!

Mruczący kocur,
Co przepowiada
Nieodgadnione?

Przesłanie losu -
Bał, maskarada,
Mroku zasłony...

Jurata Bogna Serafińska

²⁴ Ignacy Stanisław Fiut, *W szalonym świecie Behemota*, Ilustrowany Miesięcznik Społeczno-Kulturalno-Literacki „Radostowa”, Nr 11-12/2013, s. 56.

²⁵ Tenże, *Trzy oblicza poezji kobiecej*, Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART „Hybryda”, Nr 18/2011, ss. 43, 44.

²⁶ Jurata Bogna Serafińska, *Behemoty*, Oficyna Wydawnicza Ston2, Kielce 2008, s. 26.

Marzena Mariola Podkościelna



kłębek

- Konradowi Grocheckiemu

jestem zazdrosna
o twojego Anioła Stróża o jego źródła
wszystkie jego źródła pulsujące w tobie
które uzdrawiają zwinięte w kłębek
ciało

pod wykrochmaloną koszulą rozczulające drobiazgi
uwalniają ciepło z dotknięcia niewidocznej dłoni
sny o chlebie
domu
skwarne polne drogi wychodzące prosto
z zacienionych sadów w których zabawnie kołysz się
słońce
oplecione nim gruszki chowasz pod koszulą w kolorze
bławatkowego wina
zbieraliśmy osobno rozgrzane kwiaty upychając je
w szklanych butelkach
lata były pełne śmiechu i pachnących bułek z serca
glinianego pieca
pszczoły nie zeszły jeszcze z czereśni ani lip brzęczą
głośno
ukryte
za pazuchą dziadek trzyma odpustowe szczyпки
w bibułkowym papierku
a ty w piegach od ucha do ucha tupiesz ze szczęścia bo
świat

nie przyszedł jeszcze po ciebie
a ja jestem
poza twoim ciepłem
prasuję koszule w których wychodzisz z gruszkami za
pazuchą

i nie dosięgam
serca mężczyzny zwiniętego w kłębek

Konrad Grochecki



Stukot z deszczem

noc czernią krwawi. brak ściegów
nie widać pocerowanej płachty nieba
ni księżyc. ni myśli
w nią zawiniętych
wszystko zgaszone
dmuchnięciem boskim
ukryte maki na polu zielonego
jeszcze zboża - niedaleko mu
do chleba
a ja w oczekiwaniu
na pianie koguta
siedzę przy lampce
i stukam
sercem
raz po raz
razem z deszczem
o Twój parapet

Godzina W

nie idźmy spać
szklane miasto jeszcze
światło ma na sobie

na dłoniach dźwiga nas czas
połączeń gwiazd
i czerwonych autobusów
po nawierzchni z kocich łbów
ulicy zapachu nr 5

kwitnie wczesnym ciepłem
wiosny co ostygła po dniu
spoglądając
przechodniom ostro w oczy
neonem forsycji

Południe sprzed dwudziestu lat

traszka złapana przedpołudniem w strumieniu
zapala świat na swoim podbrzuszu
i czas w południe zmienia
w słoiku płaz
w trawie świeższe
i rozprażone maliny
stopniowo wypełniają się cukrem po brzegi swoich kulek
zielony płomień na pagórkach
prowadzących w nizinę
faluje całą swoją rzeźbą
jak ręce kobiety tańczącej flamenco
która zamiast
marakasów trzyma maki
wino bławatkowe w tym roku będzie dobre
słoneczne i słodkie
w sadzie stoją jabłonie
pachnie południem i cieniem
rozgrzanymi drewnianymi schodami
lipą
zżętą trawą
pszczołami
które chodzą od kory do łyka
spichlerzem
i żelazem nagrzanym o kant nieba
że można by na nim wykuć
ponownie cały świat



„Zaljubjeni”, Emilia i Stojče Tocinovski
ze stolicy Macedonii Skopje.

Elżbieta Petruk

Pasja - rzecz o Zdzisławie Beksińskim



Jestem spokrewniona z Beksińskim, nie prawdę, ba, nawet nie poznałam go osobiście, ale jest uosobieniem tego, co mi szczególnie bliskie. Po pierwsze, bo odkąd pamiętam: człowiek i historia jego życia. Był postacią niebanalną, intrygującą, w której pozór i szczerość są dwiema stronami tegoż samego medalu. Indywidualista, którego życie wewnętrzne zdaje się być bardziej sekretne, niż sądzić by można po fasadzie, i którego koniec jakby wzięty z filmowego scenariusza (został zamordowany we własnym mieszkaniu). Po drugie: malarz, którego dzieła można zgłębiać, pochylając się bądź nad sprawnością jego ręki, techniką malowania w najbardziej wyrafinowany sposób, gdzie nie ma drogi na skróty, bądź nad symboliką opowiadanych historii. Magiczny realizm jego obrazów automatycznie odsyła do tajemnicy, której na imię „człowiek”. Po trzecie: fotograf, którego portrety zrobiły na mnie wrażenie z tegoż samego powodu. I wszystko się zazębia: człowiek sam w sobie, człowiek podmiot i przedmiot kreacji.

Zapytany kiedyś, jak to się stało, że ukończył architekturę, a został malarzem odpowiedział: „Nie umiem pracować w kolektywie. Architektura jest domeną działalności kolektywnej. [...] Radości doznaję tylko w indywidualnym działaniu”.

Po ukończeniu studiów, przez kilka lat był inspektorem budowlanym w Krakowie oraz Rzeszowie. Po pewnym czasie przeniósł się do rodzinnego Sanoka. Tu, w fabryce autobusów, pracował tylko na pół etatu, po to, aby móc kontynuować swoje pasje artystyczne (fotografia, rzeźba, rysunek, malarstwo). Od fotografowania Beksiński zaczynał, pod koniec życia (był fanem wszelkich nowinek technicznych) zajmował się grafiką komputerową, ale największą jego spuścizną jest malarstwo, dzięki któremu znany jest także poza granicami kraju. Wielokrotnie oglądałam jego niesamowite obrazy. On sam mówił, że namalować może, ale nic sensownego powiedzieć o swoim obrazie nie potrafi: „Nie lubię mówić o swoich obrazach; określam je jako fajne lub nie... i tyle”. Nie przyznawał się do jakiegokolwiek misji,

zdawał się być poirytowany pytaniami w stylu: „co autor miał na myśli?”. Nawet nie nadawał obrazom tytułów i wcale nierzadko dziwił się snutym przez innych koncepcjom interpretacyjnym swoich prac. Odżegnywał się od malowania na zamówienie: „Przyjmując zlecenie, chciałbym bardzo wywiązać się z niego ku zadowoleniu zleceńodawcy - jest to kwestia elementarnej uczciwości rzemieślniczej - a zarazem ten stan byłby dla mnie tak męczący jak niezapłacony dług. Po co więc mam brać na siebie tego typu zobowiązania?”. Wydawałoby się, że najważniejszy dla niego był sam akt tworzenia, a jednak powiedział, że gdyby wskutek jakiejś katastrofy został na świecie sam, z pudełkiem farb tylko, to raczej by nie malował. Może w marności tego świata relacja z drugim człowiekiem liczy się najbardziej? Na filmach jest pogodny, uśmiechnięty, chociaż uważał, że tak naprawdę wszechobecna jest nicość. Był pesymistą racjonalnym. „Jeżeli mamy czekać na wypełnienie się bezsensu istnienia, to wygodniej jest siedzieć w fotelu niż na kaktusie” - radził swojemu synowi, ale ten był pesymistą totalnym. Więc uśmiechnięty, skromny, normalny, w niewielkiej pracowni przekładał na płótno kadry z projektora w swojej głowie. „Sztuka - powiedział - jest jak butelka wódki dana skazańcowi przed śmiercią”. Tworzeniu podporządkowana była jego codzienność, niemal tak, jakby poza tym nic nie było.

Chciałam poczuć tę atmosferę, zobaczyć obrazy z bliska, w oryginale, nie na ekranie komputera czy reprodukcjach. Zrobiłam wycieczkę śladami malarza. Najważniejsze są dwa - Częstochowa i oczywiście Sanok. W Częstochowie są do obejrzenia zbiory będące własnością państwa Dmochowskich. Piotr Dmochowski przez wiele lat był marszandem Beksińskiego i to on spopularyzował go za granicą. Czyni to nadal poprzez Wirtualne Muzeum Zdzisława Beksińskiego bogate w zbiory i informacje o artyście. Sanok to miejsce szczególne, bowiem to Muzeum Historycznemu w Sanoku Beksiński zapisał w testamencie cały dorobek artystyczny. Znajduje się tu największa kolekcja obejmująca kilka tysięcy obrazów, reliefów, rzeźb, rysunków, grafik i fotografii, zapisy multimedialne, listy i filmy dokumentujące życie rodzinne twórcy. Osobną atrakcją jest precyzyjnie zrekonstruowana pracownia Beksińskiego, pierwotnie znajdująca się w jego warszawskim mieszkaniu. Tu śla-

dy ostatnich chwil: reklamy pizzerii i niezażyte leki w dniu brutalnie przerwanych przez śmierć.

Pracownia mnie zachwyciła - majstersztyk organizacji. Szafy i szafki, szuflady i szufladki, zakamarki, a wszystko zapelnione w niesamowitym porządku. I masa równiutko poukładanych płyt z muzyką. Mówił, że o obrazie myśli w taki sam sposób, jak o poemacie symfonicznym z końca XIX wieku i dodawał: „...obojętne jest, co zostanie na obrazie namalowane - ważne jest to, czego nie umiem wyrazić w słowach, ale - mam nadzieję - udaje mi się wyrazić w niektórych najlepszych obrazach”. Rozbrzmiewała, więc muzyka, gdy tworzył, także ze względów praktycznych, żeby odizolować się od blokowych odgłosów. W ogóle był bardzo pragmatyczny: „Jestem jak ogórek, który dostosowuje się do butelki, w której się znajduje”. Mówił też: „Jestem konformistą, bardziej mnie interesuje malowanie obrazów niż zmienianie świata”. Miał autorską galerię w Paryżu, w której nie był (prawdopodobnie w ogóle nie wyjeżdżał z kraju), nie lubił chodzić na swoje wernisaże, nie znosił wystaw, większość wywiadów udzielał u siebie w pracowni, czuł się speszony swoją wielkością, a był jednym z najdroższych i najbardziej znanych współczesnych polskich malarzy. Najchętniej nie opuszczałby pracowni: „Przy mojej kompletnej niezdolności do zainteresowania się stroną organizacyjną własnej kariery, rzeczywiście nie miałbym zapewne do dnia dzisiejszego żadnej wystawy, gdyby nie państwo Boguccy” - wspominał właścicieli galerii, którzy przez długie lata organizowali pokazy jego dzieł. W ogóle nie znosił zmian w swoim życiu, a przecież ono samo przyniosło istotne: choroba i śmierć żony, samobójcza śmierć syna. Zmian nie lubił nawet w odżywianiu: Od śmierci żony żywił się w sposób skrajnie uproszczony: był to fast food, albo potrawa, którą nazwał „szybki przysmak Beksińskiego”, czyli wołowina z puszki z ryżem, które - podobnie jak napoje - kupował w dużych ilościach, na zapas. Jedzenie, jego zdaniem, powinno być szybkie, biesiadowania nie znosił.

Malowanie nazywał „robotą”. Mówił, że tak zwane natchnienie to ułamek sekundy, a potem na obrazie jest dużo więcej rzeczy zamalowanych niż namalowanych. Uważał, że „inspirujemy się wszystkim dookoła i to w sposób [...] niezmierzony i mało uświadamiany”. Nakręcał filmy dokumentujące powstawanie obrazu. Fascynujące jest obserwować

jak zaczyna od szkicu na świstku papieru, przenosi go na podobrazie, jak obraz się zmienia, a nawet nie przypomina tego, co było na początku. Obrazy swoje rzadko niszczył tylko „piłował” do końca. „Błogosławieni, którzy mogą sobie pozwolić psychicznie, żeby nie lizać” - mówił, bo jego każdy obraz był „zalizany na śmierć”. Precyzja, perfekcja, dbanie o szczegół widać na każdym kroku. Obraz powstawał około dwóch tygodni, potrafił pracować po kilkanaście godzin dziennie: przygotowywał podobrazie, malował, oprawiał, a jak trzeba było sam szykował do transportu. Zawsze dawał szczegółowe wytyczne do sposobu prezentacji prac na wystawach. Wszystko, co było związane z tworzeniem traktował z ogromną powagą, drobiazgowością, rzadko idąc na jakikolwiek kompromis. A twórcą był niezmiernie płodnym.

Pełna ekscytacji chodziłam po kolejnych salach sanockiej galerii. Oglądałam, zaglądałam, podglądałam, wsłuchiwałam się i nagle... cisza, ciemność, wyrwa w drodze. Uświadomiłam sobie, że to koniec. Ciąg dalszy nie nastąpi. Jestem wściekła. Zostałam z podatkiem na życie mordercy.

Elżbieta Petruk

Jurata Bogna Serafińska

Czasoprzestrzeń miłości



W 2013 r. ukazała się nowa powieść poetki i pisarki Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej „Niedorzeczna miłość”. To kolejna pozycja prozatorska po „Cieniu Boga”, „Magicznym kręgu”, „Związku bez zobowiązań”, „Donosie”, „Doktorze Q”, „Zdradzie” i „Nieślubnym synu”.

„Niedorzeczna miłość” to powieść będąca studium kobiety współczesnej - wykształconej i wyemancypowanej, świadomej swojej wartości i... poszukującej najwyższego stopnia, romantycznej, wielkiej i prawdziwej miłości. Powieść pisana jest w pierwszej osobie, co potęguje wrażenie autentyczności sytuacji przeżywanych przez główną bohaterkę. Poznajemy kobietę inteligentną i wykształconą, pochodzącą z dobrego domu, no-

woczesną pod każdym względem i zajmującą odpowiedzialne stanowisko, do tego piękną i mającą powodzenie u mężczyzn. Jesteśmy świadkami jej kolejnych wzlotów i upadków, jej wieloletniego konsekwentnego poszukiwania prawdziwej, wielkiej miłości. Jest to walka o wszystko i przeciwko wszystkiemu, której przyświeca cel nadrzędny, a mianowicie odnalezienie drugiej połowy własnego ego.

Bohaterce udaje się w końcu odnaleźć tę miłość. Jednak przejście od namiętnego romansu do stałego związku wymaga od niej wiele cierpliwości i starań: [...] *Wyśniony i wymarzony mężczyzna mojego życia nie zabiegał o moje uczucia. [...] zależało mu natomiast i to z całą pewnością, na kontakcie fizycznym, na seksie, który okazał się być dla nas obojga wysoce satysfakcjonujący. [...] Związek bez zobowiązań blisko pięćdziesięcioletniego mężczyzny z kobietą o piętnaście lat młodszą był tym, co artyści lubią najbardziej. Myśl, że niebawem wymieni mnie na nowszy model nasuwała się sama przez się. [...]*

Bohaterka osiąga swój cel, miłość zostaje przypieczętowana narodzinami dziecka i małżeństwem. I co robi po osiągnięciu tego najważniejszego celu? Otóż w pewnym sensie wyrzeka się swojej nowoczesności i przyjmuje tradycyjną rolę matki i żony. Zajmuje się urządzaniem domu, zakupami, gotowaniem i sprzątaniami, a także wydawaniem przyjęć dla znajomych i przyjaciół męża. Wszystko to jako drugi domowy etat, po wykonaniu obowiązków zawodowych, związanych z zajmowaniem odpowiedzialnego stanowiska.

[...] *Kiedy kończył się tydzień i zaczynał weekend było tyle rzeczy do zrobienia i wydawało mi się, że nigdy nie opanuję pogłębiającego się wokół mnie chaosu. - Nie możesz przez pięć dni w tygodniu być prokuratorem, a przez pozostałe dwa sprzątaczką, kucharką i Bóg jeden wie, kim jeszcze - protestowało moje drugie ja, dowodząc, że pozwalam się wykorzystywać mężowi, który nawet palcem nie kiwnie, choć mógłby odciążyć mnie od nadmiaru obowiązków. [...] Zamiast tego oczekiwałam, że trzydaniowy obiad zjawi się na stole jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki. [...] Przez dom przewijały się na co dzień tabuny ludzi, coraz to jacyś nowi znajomi z kraju i z zagranicy, a ja musiałam witać ich w progu z uroczym uśmie-*

chem, prowadzić konwersację z polotem w kilku językach, popisywać się erudycją, aby nie wyjść na kołtuna. [...]

A więc bohaterka zapłaciła wysoką cenę za realizację swojego projektu pod tytułem miłość-szczęście-rodzina. Czy było warto? Zapewne tak, skoro mówiąc o mężu używała w dalszym ciągu zwrotu - *mężczyzna mojego życia* i pisała o nim *On*, używając wielkiej litery, jednak o tym, że zdawała sobie dobrze sprawę ze swojej sytuacji świadczą następujące słowa: [...] *nie rozczulaj się nad sobą - odezwało się moje alter ego. [...] Pamiętaj, że przywilejem jest występowanie u boku męża. Tak było zawsze. W czasach twojej matki i babki, a nawet prababki, kobieta ledwo trzymając się na nogach po urodzeniu dziewiętego dziecka, z czującą uśmiechem szła na bal. - Ale nie pracowała zawodowo i miała cały sztab służby - utyskiwałam, lecz w głębi ducha rozpieła mnie дума, że udało mi się wejść w świat bohemy i mogę uczestniczyć w wielkich wydarzeniach artystycznych, wernisażach, salonach poezji, premierach i koncertach, że jestem żoną uznanego artysty. [...]*

A jednak okazało się, że ten wymarzony mąż potrzebował czegoś więcej niż żony, matki dzieciom i pani domu. Potrzebował inspiracji, natchnienia, nowej muzy, był wszak znanym artystą malarzem - muza, z którą się ożenił straciła już dla niego urok nowości: [...] *W dniu, w którym stanęłam twarzą w twarz z bolesną prawdą, że utraciłam dotychczasowe atuty i zostałam ostatecznie zdezonizowana, poczułam się jak żona Henryka VIII przed egzekucją, nie wiedziałam tylko, jaki zastosuje wobec mnie rodzaj kary, odsunie od stołu i łóża, skaże na banicję, czy sam się wyprowadzi do tej młodszej, choć niekoniecznie piękniejszej kobiety. [...]*

A więc banał? Okazuje się, że jednak nie. Bohaterka powieści pragnie i potrafi wybaczyć, chociaż, jak sama przyznaje, mąż o wybaczenie nie prosi. - *Nieważne gdzie byłeś, skoro jesteś teraz tutaj ze mną* - myśli, ale nie mówi tego głośno. Jednak zdobywa kolejne doświadczenie, może wydać się to dziwne, że dopiero teraz w czasie trwania trzeciego już związku małżeńskiego, bohaterka traci przynajmniej część swoich złudzeń: [...] *uświadomiłam sobie, jak wielką przepaść oddziela nasze młodzieńcze wyobrażenia o przy-*

szłości, o miłości, o życiu we dwoje z ukochanym człowiekiem, od rzeczywistości, która stopniowo odsłaniała kolejne prawdy o ludzkiej egzystencji, utwierdzając nas coraz bardziej w przekonaniu, że nie wolno nikomu ufać bezgranicznie. [...]

Tak, „Niedorzeczna miłość” to nie tylko opis czasoprzestrzeni miłości, to również powieść psychologiczna. Co wynika z opisanych sytuacji uczuć? Czyżby to, że od wieków nic nie zmieniło się w kwestiach damsko-męskich? Że kobiety oczekują od swych wybrańców bezgranicznego oddania i są zdolne do skrajnych poświęceń, że potrafią się wyrzec kariery i własnej drogi intelektualnej, albo jak nasza bohaterka, kosztem własnego zdrowia próbują łączyć własny rozwój z pracą domową, pichcąc i klejąc te wszystkie przewspañiałe torty, pieczenie i pierożki? A ukochany, owszem będzie chętnie pałaszował podsuwane smakołyki i z całą przyjemnością odda się swoim pasjom w czasie kiedy partnerka wykonuje obowiązki jego i swoje, ale natchnienia i inspiracji, tak samo teraz, jak i przed wiekami poszuka poza domem. Ale nie chcę tu krytykować i potępiać wyłącznie mężczyzn. Przedstawicielki płci pięknej też mają swoje wady i winy. A sprawą istotną w tym konkretnym przypadku jest to, że bohaterka powieści z góry wiedziała, iż jej zaangażowanie w związek jest silniejsze niż zaangażowanie jej przyszłego męża. Napisała przecież wyraźnie, że: *[...] Spędziliśmy ze sobą wiele upojnych nocy, ale on wciąż trzymał mnie na dystans, na tak zwaną bezpieczną odległość i nigdy nie padło ani jedno słowo ani o miłości, ani o wspólnej przyszłości. Liczyły się jego potrzeby, moja potrzeba stabilizacji życiowej nie. [...]*

A więc bohaterka świadomie podjęła ryzyko i weszła w niezbyt pewny dla siebie związek: *[...] zniewolona z jednej strony uczuciem, a z drugiej pożądaniem, brnęłam w tę kipieli, nie bacząc na to, że mnie pochłonie, zupełnie tak, jakby raptem pozbawiono mnie nie tylko zdolności przewidywania, ale również resztek zdrowego rozsądku. Liczył się tylko On. [...]*

Wiele mówi tytuł powieści „Niedorzeczna miłość”. Robert Sternberg, amerykański psycholog i psychometra, profesor psychologii i kształcenia na Uniwersytecie Yale, wyróżnia siedem rodzajów miłości, a „niedorzeczną miłość” klasyfikuje jako zaangażowanie i namiętność, ale bez intymności.

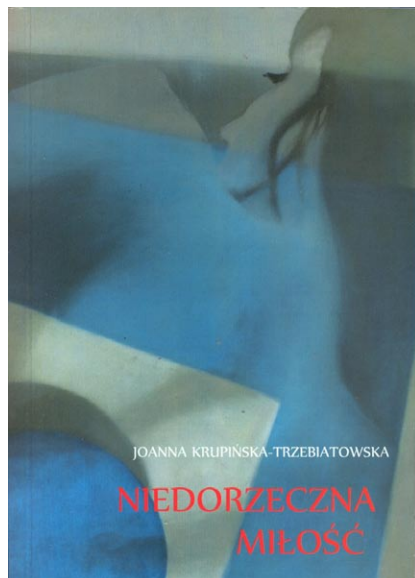
Zgodnie z jego teorią, bohaterka powieści zdecydowała się świadomie na związek, w którym nie mogła liczyć na wzajemne zrozumienie, szacunek i wsparcie. Zgodziła się na to, co partner mógł i chciał jej zaoferować. A więc, czy było tu miejsce na ewentualne rozczarowanie?

Myślę, że tak, bo zawsze liczymy, że los da nam więcej. Ale dalsze rozważania psychologiczne nie mają już większego sensu. Opisana historia to fabuła powieści, a nie zapis autentycznych wydarzeń. Autorka zaznaczyła zresztą wyraźnie na ostatniej stronie powieści, że opisała historię, która nigdy się nie wydarzyła, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących jest całkowicie przypadkowe.

Powieść Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej ma, poza wyżej opisanymi, również walory związane z szeroko zarysowanym tłem społecznym i politycznym. Akcja rozgrywa się w Gdańsku na przestrzeni lat 1981-2006. Świetnie oddany jest też klimat obyczajowy środowiska prawniczego, a także artystycznego, z ich powiązaniem, konieksjami i koligacjami bohaterów.

Tę książkę warto przeczytać.

Jurata Bogna Serafińska



Joanna Krupińska-Trzebiatowska, *Niedorzeczna miłość*, Wydawnictwo i Drukarnia Kurii Prowincjonalnej Zakonu Piłarów, Kraków 2013.

Jurata Bogna Serafińska**Paradoks żółwia**

Już wieki całe
I dłuższą chwilę
Trwa ten paradoks
Żółwia, co biegnie
I nie jest w tyle
Za Achillesem.

Czy wiele trzeba?
Ach, tylko tyle
By zdefiniować
I zmierzyć chwilę.
A żółw już wtedy
Przegra z kretelem.

W czasoprzestrzeni

Jesteśmy tutaj
W czasoprzestrzeni,
Czy w czasie pętli?

Jesteśmy zatem,
Czy to oznacza
Przepływ energii?

Jesteśmy w mroku,
Jesteśmy w blasku,
Tylko przez chwilę...

Co dla nas znaczy
Interwał czasu -
Przestrzeń omyłek?

Pan Żabon

Spotkałam pana Żabona.
- *Nie musisz mnie całować,
Nie zamienię się w księcia* -
Powiedział żabi potwór.

- *Szkoda, panie Żabonie,
Zrobię więc tylko fotkę
Na okoliczność braku
Mojego księcia z bajki.*

Łamanie symetrii

Czas skwantowany,
A może nie?
Dyskretny, ciągły...
Dobrze czy źle?

Era inflacji,
I Hadronowa...
Dwa scenariusze,
Zero lub Kolaps.

Dyskretnie słuszny,
Ciągle powinny
Pejzaż wszechświata
Taki czy inny?

Punkt zero

Gdy sens swój traci
Pojęcie punktu,
Gdy nie ma czasu
Ani przestrzeni,

Początek względny
Czy absolutny?
Czy to punkt zero?
Któż to oceni...

Grymaśny czas

Grymaśny czas,
Pijany świat
I coraz więcej zająć.

Pytamy wciąż
Co, kiedy, jak,
Czy może być wspaniale?

Pytania te
Stawiamy tak
Że odpowiedzi nie ma.

Dlaczego wciąż
Nie wiemy jak
Ten opracować temat?

Czytając Bergsona

Czytałam Bergsona
Gdy deszcz lunął za oknem.

Akompaniament deszczu
Zagłuszył wspomnienia?
Nie, to tylko pozór,

Wspomnień się nie wymaże.
Są zapisane w naszej
Podwójnej pamięci.

Jakby w dwóch językach
Istniejących na różnych
Płaszczyznach świadomości.

Za oknem ściana deszczu...
Wróciłam do lektury.

Temporalne obroty

Temporalne obroty
Przeszłości i przyszłości -
Imitacja wieczności.

Lecz, cóż my wiemy o tym?
My - wybrańcy ludzkości
Żądni nieśmiertelności.

Płaszcz na gwoździu

Świadomość braku płaszcza,
Brak płaszcza świadomości...
I dlaczego w tym tekście
Zwykły gwóźdź też zagościł?

Gdzie materia, gdzie pamięć?
Paralelizm szeregów?
Stron jest w książce za mało,
Aby zgłębić dlaczego.

po lekturze książki Bergsona „Materia i pamięć”

Parasol zapomniany (czytając Derridę)

Nawyk pisania
I znaki znaków.
Grzech pierworodny pisma.

Znany z *Fajdrosa*

Mądrości pozór
Błędy nie każdy wyzna.

Czymże jest pismo,
Czy szatą mowy?
Gdy mowa myśli szatą.

Czy podwojenie,
Uzupełnienie?
A może... coś ponadto.

Głuche czytanie,
Nieme pisanie...
Derridy księgi niełatwe.

Dziwny parasol,
Style, ostrogi...
Czy chochlik to pogmatwał?

Może to chochlik
Zdekonstruował

Parasol zapomniany

Który był ale
Stał się symbolem
Nadinterpretowanym.

To nadparasol
Nad parasole...
Ocalał zapis po nim

I cały rozdział
W *Stylach z ostrogą*...
Więc o nim nie zapomnij.

Dekonstrukcja

*Nie ma nic poza tekstem.
(Jacques Derrida)*

Jest tekst i już nic poza nim,
Słowa, znaki, brak znaczonego.
A chciałoby się czasami
Zapytać po co, dlaczego?

Po co są tekstów miliony,
Gdy wciąż desygatów nam brak?
Sens naszych słów oddalony,
Gdy w różni powtórzeń tkwi ślad.

Coś spoza pojęciowości,
Co trwa w jedności przeciwieństw
I nic nie mogą uprościć
Teorie dekonstrukcyjne.

Monika Nagowska

Gorąca linia



opracowania dotyczące jego dokonań. Zasłużonym propagatorom działalności Cieszkowskiego, Klub Profesorów „Wierzenica” z Bydgoszczy wręcza statuetki jego imienia. Przykłady można by wymieniać dłużej.

Najintensywniejsza działalność w związku z obchodami 200 rocznicy urodzin cichego bohatera XIX wieku ma miejsce w mieście i gminie Swarzędz oraz w Luboniu. Zawiązany w 2010 roku komitet organizacyjny skupił działania entuzjastów z wielu środowisk. W Wierzenicy, gdzie August mieszkał do końca życia, nowi właściciele, w latach 2011-2012 wyremontowali okazały dwór Cieszkowskiego. Obecnie służy on gościom i mieszkańcom jako centrum agroturystyczne i miejsce uroczystych spotkań. Sukcesem zakończyła się prowadzona w tych samych latach restauracja krypty grobowej Cieszkowskich w wierzenickim kościele, za co parafia została w 2013 roku wyróżniona odznaką ministra kultury i dziedzictwa narodowego „Za Opiekę nad Zabytkami”. Smutkiem napawa w tym kontekście stan pałacu Cieszkowskich w Surhowie. Choć za dobry zwiastun zmian można by uznać renowację ołtarzy w miejscowym kościele i wydobywie ich dawnego piękna spod wielu warstw przemalowań.

O tym, co dzieje się wokół postaci dawnego właściciela Wierzenicy można na bieżąco śledzić w czasopiśmie „Wierzeniczenia”, wydawanym przy tamtejszej parafii św. Mikołaja. Redakcja w osobach ks. Przemysława Kompfa, Grażyny i Macieja Dominikowskich oraz Ewy J. i Włodzimierza Buczyńskich dostarcza czytelnikom najnowsze wieści i nieustająco przypomina o Augustcie Cieszkowskim. Ich praca została doceniona i w 2013 roku, po czterestu latach działalności czasopismo uhonorowano nagrodą „Znak Dobra” im. Romy Brzezińskiej.

To z lektury „Wierzeniczeń” i rozmów prowadzonych za pomocą gorącej linii telefonicznej dowiadaliśmy się o szeregu jubileuszowych inicjatyw. Ich efekty to: wydanie okolicznościowej kartki pocztowej, uruchomienie nowej strony internetowej (www.cieszkowski.parafia-wierzenica.pl), liczne konkursy w szkołach, którym patronuje Cieszkowski, piękna wystawa tematyczna, inwestycje w infrastrukturę, konferencje, wykłady i publikacje. Główne uroczystości planowane na wrzesień, zostały objęte honorowym patronatem przez prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Bywają niespodziewane telefony z daleka, jakby z innego świata. Ta konkretna rozmowa telefoniczna pokonała dystans z Wierzonki w powiecie poznańskim do Siennicy Różanej w powiecie krasnostawskim. Męski głos, który zabrzmiał z głębi słuchawki przedstawił się jako Włodzimierz Buczyński, co przed rokiem nic nam jeszcze nie mówiło. Okazało się, że przy pomocy paru życzliwych osób z Zespołem Szkół CKR w Siennicy Różanej skontaktowali się najwięksi na zachód od Wisły admirałtorzy Augusta hr. Cieszkowskiego - państwo Ewa J. i Włodzimierz Buczyńscy. Hrabia Cieszkowski - dawny właściciel majątku w Surhowie - na naszym terenie był do niedawna postacią nieco zapomnianą. Do czasu, aż siennicka szkoła rolnicza w obliczu zbliżającego się jubileuszu 50-lecia, zaprzęgnęła przybrać imię. Czy wybór byłby tak oczywisty, gdyby nie pomoc nowych przyjaciół z Wierzonki, którzy od lat zajmują się propagowaniem spuścizny Augusta Cieszkowskiego? Pomiedzy Wierzonką a Siennicą powstała gorąca linia do przekazywania najnowszych wieści. Dzięki wielu cennym informacjom, August dał się lepiej poznać i w symboliczny sposób powrócił na ziemię krasnostawską, oficjalnie stając się 14 czerwca 2014 roku patronem siennickiej szkoły. Podczas uroczystości nadania imienia, wśród gości nie mogło zabraknąć państwa Buczyńskich, reprezentujących komitet obchodów 200 rocznicy urodzin Augusta Cieszkowskiego.

To, co dla nas okazało się odkryciem, dla mieszkańców Wielkopolski od dawna było oczywiste. August Cieszkowski to w tamtym regionie postać nie tylko dobrze znana, ale i szanowana ze względu na niezwykłą osobowość, ponadprzeciętne zdolności i pracowitość. Żywym pomnikiem jego osiągnięć jest Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu, czyli dawna Akademia Rolnicza, która przybrała w 1996 roku imię Augusta Cieszkowskiego. Kolejny przystanek, to Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, którego Cieszkowski był pierwszym prezesem. W bibliotece Towarzystwa wytrwale bada się pozostałości księgozbioru Cieszkowskiego i jego intelektualną spuściznę. Publikowane są liczne

Inauguracja roku jubileuszowego odbyła się w rocznicę śmierci Augusta. Miała miejsce w kościele w Wierzenicy podczas mszy św. sprawowanej przez abp Stanisława Gądeckiego - nowego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Natomiast nadanie siennickiej szkole imienia Augusta Cieszkowskiego, zainaugurowane zostało w parę miesięcy później mszą św. w kościele w Siennicy Różanej sprawowaną przez bp Artura Mizińskiego - nowego sekretarza Konferencji Episkopatu Polski. I tak oto dwóch duchownych, którzy przygotowywali swoje homilie o Auguście wkrótce spotyka wielki honor służenia Kościołowi - arcybiskupa Gądeckiego w marcu, a biskupa Mizińskiego w czerwcu. Przypadek? Czy po prostu świat jest mały i wielu z nas kiedyś w końcu i tak spotka się przy jednym stole - nawet ci, którzy mieszkają daleko i są jakby z innego świata.

Monika Nagowska

Jan Henryk Cichosz

Listopadowe dzieci



Najnowszy tomik wierszy Haliny Sitarskiej-Ruzik „Takie to życie moje”, który został wydany nakładem własnym przez poetkę, zawiera czterdzieści trzy wiersze. Tylko dwa z nich, pierwszy i ostatni, zostały opatrzone tytułami. Pierwszy to *Lipcowy wieczór*, a ostatni *Listopadowe dzieci*. Zamiar poetki spięcia klamrą pozostałych wierszy jest zbyt czytelny, aby nie można było odczytać tego inaczej niż znak (ścieżka) pozostawiona dla czytającego.

*cisza utulona szalem mgły
zastyga w konarach drzew
za widnokretem chmury
nieruchomo drzemią
i wszystko trwa aż do ranka
do następnego wypoczętego dnia
zaciskam dłonie
to życie moje
niech trwa*

(*Lipcowy wieczór*, s. 5)

*listopadowe dzieci
noszą w sobie piętno śmierci
już przy narodzinach (...)
(...) choroba często ich dopada
i trzyma w swoich szponach
czasami dusi
najczęściej wygrywa
ta pani w czarnej sukni*
(*Listopadowe dzieci*, s. 53)

Zawarte w tym zbiorze wiersze nie zachwycają kolorem, muzyką metafor, ani też radością, ponieważ są to wiersze bardzo bolesne. Wiersze, w których Halina Sitarska-Ruzik opisuje swój świat, który obecny jest w niej i obok niej. Pisze w tym tomiku o przedwczesnie zmarłym bratanku i o stracie Bułki - suczki poetki. Jest także wiersz o porzuconych psach. Jednakże najwięcej w tym tomiku jest wierszy, w których Halina Sitarska-Ruzik opowiada o zmaganiach (walce) ze swoją chorobą.

*jestem zupełnie łysa
i co z tego?
mało łysych na ziemi
tłumaczę sobie
zaciskam oczy
by nie widzieć
swojej bezradności
oczy jakoś mi postarzały
i usta i ręce
nie policzę już zmarszczek
a miałam takie
piękne włosy
gęste
ciemne jak noc*
(***, s. 38)

Otóż te, jakże bardzo smutne wiersze są zarazem pełne intymnych wynurzeń... i są pełne odwagi w otwieraniu się na drugiego człowieka.



Jan Henryk Cichosz

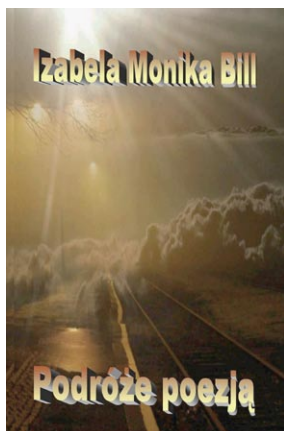
Halina Sitarska-Ruzik,
Takie to życie moje,
Poniatowa 2014, ss. 56.

„Nestor” w podróży poezją

„Podróże poezją” to czwarta książka wrocławskiej poetki Izabeli Moniki Bill (więcej na www.kochankapoezji.jimdo.com). Tomik z fabułą, przedstawiający fragment życia/świata kobiety-poetki, która podróżując po Wrocławiu, Polsce i w głąb siebie - szuka wartości idealnych. Bohaterka ma ulubione trasy tramwajowo-autobusowe. Podczas przejażdżek snuje refleksje, pisze wiersze, obserwuje. Komunikacja staje się drugim bohaterem tomiku. Ma też ulubione miejsca na wrocławskim rynku. Poznajemy jej środowisko twórcze - pokój, blok, kota. Poetka nieustannie szuka sposobu na ból istnienia i zagadki egzystencji poetyckiej. Raz w przyrodzie, raz w miłości, innym razem w pisaniu. Kiedy się „sparzy” - ucieka pociągiem.

„Podróże poezją” to poetycki oprowadzacz po Wrocławiu. Może nie prezentuje wszystkiego jak przewodnik, ale pokazuje Wrocław oczami poetki, to co być może interesuje, inspiruje niejednego poetę. Spotykamy w nim klasyczne zabytki, jak i miejsca objęte intymnym sentymentem. Znajdziemy liczne wątki biograficzne i powiązania z poetką. Wstęp odautorski odpowiada na wiele pytań, które smakosz poezji zada sobie podczas lektury. Wiersze uzupełniają fotografie. Posłowie napisał Tadeusz Lira-Śliwa, krytyk i poeta, który przedstawił męski punkt widzenia na tematykę tomiku.

Patronem medialnym „Podróży z poezją” jest Czasopismo Artystyczne „Nestor”. Autorkę Izabelę Monikę Bill mieliśmy okazję poznać w 20. numerze.



Izabela Monika Bill, *Podróże poezją*,
Drukarnia Tołem, Inowrocław 2014, ss. 59.

Izabela Monika Bill



Koleje pewnej znajomości

począłeś we mnie
słowa

przepychaliśmy
równoważniki zdań
szukając wspólnej
puenty

w sklepie z ubrankami
dla wierszy
wybraliśmy ten sam kolor
to samo imię

potem pchaliśmy
wózek pełen
napoczętych strof
a każde
i z ciebie
i ze mnie

dojrzały
zakwitły
wydawały plony

my
przekwitliśmy

Kot poety

ciało wygięte
w łuk wersu
z pięciolinii wąsów
kapią krople
natchnienia
w rytm symfonii
kociego mruczanda
wygładzone
różowym korektorem

dojrzewa
czarno-białe
zboże wierszy
zbierane kombajnem
rąk poety
do przyszlórocznego tomiku

most milenijny

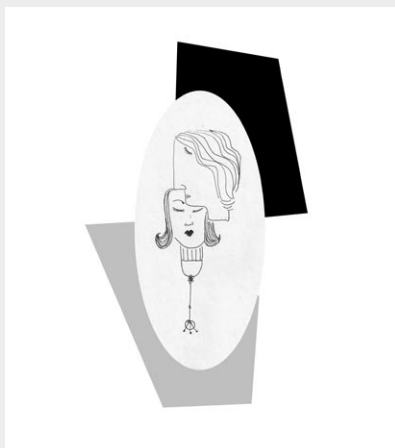
język
przerzucony przez Odrę
aby jedna połowa miasta
mogła zrozumieć drugą

nowe milenium
w komunikacji serc

wieczny portier
żegnający i witający
gości

patron pieszych
i rowerzystów

most milenijny
pomarańcza
w ogrodzie Wrocławia



„Zaljubjeni”, Emilia i Stojče Tocinovski
ze stolicy Macedonii Skopje.

Lucjan Cimek

Wiersze spod żrenicy nieba



Lidia Jurkiewicz jest debiutującą, dobrze zapowiadającą się poetką. Z zawodu jest nauczycielem, polonistą i... nauczycielem sztuki poetyckiej, mistrzynią formy: kunsztu słowa, rytmu i rymu. Jej wiersze reprezentują daleko idącą niezależność. Krytyka postulatyczna zawsze gorszy się twórcami niezależnymi. Upływ czasu szybko odsuwa w cień twórczość poetów dawniejszych - wypiera ją nowa, filozoficzna poezja. Nieoczekiwanie, zniechęca jesteśmy ujęci, ogarnięci jej niepodjętym wdziękiem i mądrością. To dobrze wróży na przyszłość.

Odkryć urodę wierszy Lidki - wydaje się całkiem proste, ponieważ poezja ta nie stawia żadnych barier przed czytelnikiem. Jest komunikatywna, bardzo otwarta na odbiorcę, zmuszająca do myślenia. Nie dystansuje czytelnika niezwykłością i osobnością wyobraźni ani też indywidualizmem języka i trudnością metafory. Jest bardzo oszczędna w słowach. Nie ma w niej egotyzmu, a z doznań subiektywnych i przeżyć osobistych do głosu dopuszczone są tylko te, które mają wymiar ogólnoludzki, uniwersalny, które mają „swoją zapisaną przeszłość”.

Lidia Jurkiewicz to przede wszystkim poetka myśli. Dlatego też jej utwory mogą być dla czytelnika propozycją refleksyjnego pochylenia się nad własną egzystencją, nad miejscem człowieka w świecie, nad fenomenem wszelkiego bytu i moralną odpowiedzialnością za przeżywane uczucie, za dane sobie życie. Jest w tej poezji, świadomej smutku i bólu istnienia, męstwo i godność w mierzeniu się z losem, w podejmowaniu jego wyzwań, wbrew poczuciu ludzkiej znikomości i małości wobec potęgi Kosmosu i ograniczoności ludzkiego poznania wobec nieskończoności Wszechświata. Rozpięta, jak serce ludzkie, między rozpaczą i nadzieją, próbując przezwyciężyć pesymizm, zdobywa się na wysiłek wiary, wbrew złu i okrutnym błędom popełnianym przez ludzkość, w lepszą niezbywalną część człowieczeństwa. Część ta, w ujęciu Lidii Jurkiewicz wyraża się w pragnieniu

dobra, które kiedyś ukierunkuje działanie człowieka i nada sens zbiorowym делам ludzkości. Zapewne możemy powiedzieć - jest to wiara, którą łatwo zakwestionować. Ale wartość tkwi w samym wysiłku poszukiwania oparcia i wiary, a nie w odpowiedzi, która bywa różna w różnych czasach.

Refleksyjne wiersze Lidii Jurkiewicz mówią o odwiecznym głodzie ludzkości, głodzie nieśmiertelności i nieskończoności, głodzie ideałów piękna, wolności i miłości, głodzie szczęścia osobistego i sensu życia; mówią też o lęku wobec zagrożeń niesionych przez historię i naturę. Jej wiersze obracają się wśród uniwersaliów wpisanych w egzystencję każdej jednostki ludzkiej - są więc głosem każdego i dla każdego. Ale nigdy nie jest to głos namiętny, nie ma w nim silniejszego tonu emocjonalnego i osobistego. Wypowiedź poetycka płynie spokojnie, w sposób opanowany, oznajmiając prawa i prawdy ogólne, określające człowieka jako istotę świadomą własnej dramatycznej sprzeczności między nieograniczoną wolnością ducha i determinizmem materii. Poczucie ułomkowości i ograniczoności ludzkiego poznania wobec tajemniczych obszarów bytu, kruchości i znikomości człowieka wobec trwania natury przenika wiersze Lidii Jurkiewicz i uobecnia się w opisie pejzażu „Siennickiej ziemi”, gdzie autorka „wsluchana sercem w siennickie pradzieje”, zachwyca się nad pięknem przyrody i oznajmia, że „tu byli słowiańscy rycerze”.

Ta postawa może być czytelnikowi bliska, ponieważ i dziś, mimo wielkiego postępu poznawczej działalności człowieka można powtórzyć za Lidią Jurkiewicz:

*Wieżo ludzkich serc!
Ile udźwigniesz wiary
By w niebiosą się wznieść
Czy wystarczy ci ziemskiej miary? (...)*

*Kiedy jestem tu, mam ziemię własną
Kiedy jestem tu, myśli me nie gasną
Tu jestem krok od Boga
Tu opuszcza mnie ludzka twoga.*

Ukojenia bólów istnienia i dramatu ludzkiej świadomości szuka poetka w pięknie - nie tylko świata przyrody, lecz także ludzkiej kultury. Dzie-

dzinę piękna uważa Lidia za przyrodzoną ojczyznę człowieka, miejsce jego osobowego zakorzenienia i ostatecznego spełnienia, nadające sens делам ludzkości. Owa religia piękna każe nam widzieć apogeum piękna nie tylko w przeszłości, ale ufać w pełnię tryumfu tegoż piękna w przyszłości, wychylać się proroczo...

*W bagiennej otchłani ego
w zamkniętej szczelnie muszli serca
w drugim obiegu egzystencji
w przyjaźni z czasem
rodzi się
niematerialna materia
szlachetna
świełtista
święta
perła duszy.*

Jest to wzruszające, wzniosłe marzenie poetki, charakterystyczne zresztą dla nurtu myśli ekohumanistycznej i wyzwień wobec współczesności. Ale jest ono usprawiedliwione, bo także i takie są racje istnienia poezji. Do czytelnika zaś należy, co przyjmie on z tej poezji za swoje. A jest z czego wybierać, zarówno w tym, jak też zapewne w następnym tomiku.

Lucjan Cimek



Lidia Jurkiewicz, *Pod niebem żrenicy*,
Wydawnictwo POLIHYMNIA, Lublin 2014, ss. 40.

Lidia Jurkiewicz

Rozmowa

porozmawiaj ze mną
poprzez dotyk
bo słowa wirują
tańczą
i świecą
odbijają się
od twarzy
upadają byle gdzie

na kanapie serca
niech usiądą myśli
pod niebem żrenicy
szukajmy własnego dnia
a nasze minuty
nie odliczą zachodu

Przeładunek

konwersja symboli wciąż trwa
Ikar zakończył lot
Pandora zamknęła puszkę
Prometeusz zgasił pochodnię
a Ty?
zanim wyruszysz
wybierz bagaż
dla siebie



Jan Henryk Cichosz

Z podróży na Wschód

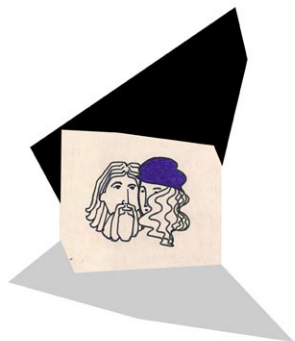


Pewnego rodzaju drogowskazem do tego tomiku, jest umieszczenie przez poetę jako motto fragmentu wiersza „Piramidy” Juliusza Słowackiego: *Z dwóch Beduinów mój orszak się składał, każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadł i podawał mi ręce... tak szedłem długo...* I chociaż w tym motcie zabrakło partykuły „tylko”, to i tak w pełni odzwierciedla to wszystko, co za chwilę spotka wertującego ten tomik.

Poezie nie można nie wierzyć. W tym przypadku szczególnie, albowiem poetycki reportaż Waldemara Michalskiego jest mocno osadzony w historii i realiach miejsc tak bardzo związanych z judaizmem, chrześcijaństwem i islamem. W „Podróży na Wschód” jest zaledwie, a może aż dwanaście wierszy. Wierszy dosłownie wplecionych w miejsca, które na stałe wpisały się w historię religijną świata. O ile ktoś posiada wystarczające środki finansowe, to bez wielkiego trudu może polecieć w tamte rejony Bliskiego Wschodu i zrobić kilkadziesiąt zdjęć. Napić się wina. Dobrze zjeść. I zobaczyć to i owo. A po powrocie, w domowym zaciszu pochwalić się tym wszystkim sąsiadom i znajomym. Tymczasem poeta ma o wiele ważniejszą powinność, albowiem ma za zadanie opisać to wszystko - co widział, czuł, dotykał, oraz to wszystko czego nie widział, a przeczuwał - w taki sposób, aby czytający nad każdym wierszem pochylał się z należnym podziwem i szacunkiem.

*Jaffa w nocy jak sen
na pustyni - być i żyć
sztuka wybranego plemienia
w nocy drzewa to nie drzewa
domy to nie domy*
(Jaffa, s. 6)

W tym przypadku poecie Waldemarowi Michalskiemu, który okazał się zdolnym poetycko fotografem i takim samym reporterem, udało się opisać nie tylko tamte miejsca i historie z nimi związane, lecz także uchwycić powiew wiatru, jak



„Zajubieni” Emilia i Stojce Tocinowski
ze stolicy Macedonii Skopje.

również głosy i odgłosy oraz zapachy i smaki. Dlatego te wiersze dla czytającego są pewnego rodzaju pasami transmisyjnymi. W jakże pięknym wierszu „Dolina Pasterzy” (s. 16) poeta pisze: *Beduini ciągle w odwrocie/ kamienne szatały, wielbłądy, pustynia/ ze skały nie tryska woda/ ogień nie zapala jałowca/ manna i ryba ciężko zapracowane/ jak w życiu/ coraz trudniej/ odnaleźć zagubioną owcę/ Betlejem blisko/ czy gwiazda ta sama?*

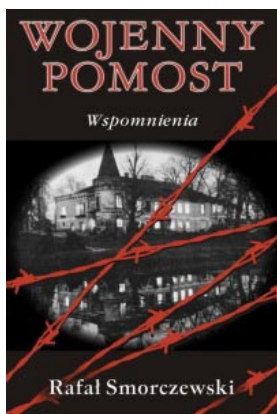
Warto, aby Waldemar Michalski częściej podróżował.

Jan Henryk Cichosz

Waldemar Michalski, *Z podróży na Wschód*, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2013, ss. 19.

Wojenny pomost. Wspomnienia

Autobiografia autora, pisana z godnym podziwu dystansem do często wstrząsających kolei własnego życia, przynosi szkieletową wizję minionej epoki - życia rodzin ziemiańskich z ich radościami i smutkami. To - jak mówi autor - mglisty obraz podróży przez osiemdziesiąt trzy lata życia, ukazujący dawny świat unicestwiony przez II wojnę światową i powojenne realia. Autor przedstawia także pierwsze kroki w nowej ojczyźnie - Anglii i urywki z dojrzałego już życia w gronie rodziny. Addendum zamieszczone w książce zawiera rodowód autora i jego bliskich oraz opis majątków rodzinnych.



Rafał Smorczewski, Iwona Żółtowska (tłum.),
Wojenny pomost. Wspomnienia,
Wydawnictwo DiG, Warszawa 2009, ss. 308, il. 64.
Książkę można zamówić na stronie internetowej
wydawnictwa DiG.

Artur Borzęcki

**Antoni Wieniarski -
dziewiętnastowieczny prozaik.
Literacka droga syna rządcy
dóbr Wierchowina**



Przy różnego rodzaju okazjach, jak np. z racji obchodzonego 23 kwietnia Światowego Dnia Książki i Praw Autorskich, w dyskusjach pojawia się pytanie o przyszłość tradycyjnej książki. Ludzie kultury zastanawiają się, czy słowo drukowane na papierze przetrwa, jeśli tak to jak długo, czy jest możliwa symbioza słowa utrwalonego na papierze i w postaci cyfrowej, czy może zero-jedynkowe nośniki danych ostatecznie zabiją papier? Pozostawiając spór niejako na boku, uznać trzeba, że dla autorów mniej znanych, takich, których dzieł nikt nie wznawia, szansą na przetrwanie oraz szerszy obieg jest paradoksalnie właśnie digitalizacja. Przykładem pisarza z ziemi krasnostawskiej, którego część twórczości właśnie odkurzone cyfrowo jest dziś niemal zapomniany, a urodzony w Wierchowinie Antoni Wieniarski. W ramach akcji „Białe kruki na e-booki” polegającej na wznawianiu w formie elektronicznej godnych uwagi książek wydanych przed laty w tradycyjnej, papierowej formie, wydane zostały w 2012 r. na zasadzie e-booków: „Nasze strony i nasi ludzie” oraz „Obrazki lubelskie” Wieniarskiego.

Antoni Wieniarski urodził się 21 lutego 1822 r. we wsi Wierchowina koło Żółkiewki. Data urodzin literata wymaga tutaj wyjaśnienia, mianowicie w nielicznych opracowaniach, w których zamieszczony jest biogram Wieniarskiego widnieje dzień jego urodzin jako 21 stycznia 1823 r. Data ta, jakkolwiek nieprawdziwa, została przejęta przez szereg autorów (piszący te słowa również niegdyś popełnił ten błąd) z artykułu z „Tygodnika Ilustrowanego” z 1869 r. Tam, w pośmiertnym tekście poświęconym Wieniarskiemu cytowano jego słowa, który jakoby miał mówić, że urodził się właśnie 21 stycznia 1823 r. Błędą datę urodzin Antoniego „wyprostował” i najprawdopodobniej zrobił to jako pierwszy, serdeczny kolega piszącego, a „ziomek” pisarza - Grzegorz Zawiślak. Grzegorz w aktach metrykalnych parafii w Chłaniowie ustalił właści-



Antoni Wieniarski,
(fot. Biblioteka Narodowa, sygn. F6736/www.polona.pl).

wą, zapisaną tam datę urodzin Wieniarskiego - potwierdźmy raz jeszcze - na 21 lutego 1822 r.

Antoni pochodził z dobrze sytuowanej rodziny, jego ojciec Stanisław, w chwili urodzin syna, był rządcą dóbr Wierzchowina, matka Elżbieta pochodziła z rodziny Dziewulskich. Świadkami, w obecności których sporządzony został akt urodzenia byli zamieszkali w Chłaniowie: Kajetan Pruski - były rewizor komory celnej oraz Franciszek Szydłowski - rządcą dóbr Chłaniów. Co ciekawe, w metryce ślubu rodziców Antoniego (pobrali się w Chłaniowie w 1818 r.), nazwisko Stanisława zapisane jest nie jako Wieniarski, a Winiarski. Antoni miał rodzeństwo, braci urodzonych również w Wierzchowinie: Piotra (ur. 1826) i Michała (ur. 1832). Życie od początku nie rozpieszczało Antosia, w szesnaście dni po urodzeniu zapadł na ciężką chorobę, z której wyszedł, zostając kaleką z garbem na plecach i bezwładem w prawej nodze. Zły stan zdrowia chłopca sprawił, iż nauki pobierał w domu, głównie za sprawą wuja - Stanisława Dziewulskiego, niegdysiejszego wyróżniającego się ucznia warszawskiego liceum. To właśnie wuj przygotował podwaliny pod warsztat pracy przyszłemu pisarzowi. Wieniarski od najmłodszych lat czuł wyraźny pociąg do pisania, a za pierwszą poważną swą pracę uznawał modlitwę napisaną w wieku 12 lat. Modły te przechowywał bardzo starannie, wciąż wierząc, że to właśnie im zawdzię-

cza zaistnienie na polu literackim i jako takie powołanie. Pozostałe dziecięce teksty i mowy niszczył w obawie, iż dostaną się w niepowołane ręce i narażą go na pośmiewisko.

Antoni już jako młodzieniec przez cały czas pomagał ojcu w administrowaniu, najpierw ich własną posiadłością Suche Lipie. Majątek Suche Lipie ojciec Stanisława kupił w 1838 r. od Ferdynanda Kosteckiego, zaś w roku kolejnym powiększył o część otrzymaną od Katarzyny z Rogowskich Głowaczowej. Suche Lipie nie było długo w posiadaniu Wieniarskich. Już w 1840 r. 200 morgów odkupił od nich Klemens Skawiński, a resztę - Agnieszka z Wisłockich Rozwadowska. Niektóre opracowania podają, że dobra Suche Lipie rodzina Wieniarskich straciła, na skutek zrządzenia losu, tak czy inaczej ojciec Antoniego powrócił do administrowania dobrami, tym razem - Wysokie oraz Łęczna.

Około 1846 r. Antoni nawiązał korespondencję z warszawskim dziennikiem „Gazeta Codzienna”, wysłał do redakcji kilka powiastek, a ich niezwłoczne opublikowanie zachęciło go do dalszej pracy na niwie literackiej. W 1848 r. został powołany do Warszawy na stanowisko urzędnika w kancelarii Ordynacji Zamojskich. Pracę w kancelarii starał się godzić z pisanem, nie tylko do czasopism, zaczął pisać również opowiadania, powieści, małe sztuki teatralne, niekiedy ukrywał się pod pseudonimem Grzegorz Kostrzewa. Trudno było pogodzić pisanie z pracą zawodową, stąd też za sprawą natłoku obowiązków służbowych w kancelarii, poczynawszy od 1860 r. Wieniarski znacznie ograniczył aktywność literacką.

Wychowany na wsi lubił zieleń, kwiaty i świeże powietrze, mury miejskie przytłaczały go, stąd też często i bardzo chętnie przesiadywał na ławeczce w warszawskim Ogrodzie Saskim. Zauważył to redaktor „Kuriera Warszawskiego”, pisząc, że Wieniarski spędził tam połowę życia. Z pozoru był ostry i złośliwy, rozdrażniony rwał się do polemiki, ale potrafił także przyznać rację oponentom. Szczególnym szacunkiem darzył kobiety, zresztą nie bez wzajemności, stąd też zdecydowanie wołał damskie towarzystwo od męskiego. Jedynie zaufani wiedzieli, że ten prześmiewca wad społecznym jest dobroczyńcą warszawskiej biedoty, której to oddawał po cichu swoje oszczędności,

pod koniec życia był zresztą członkiem Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Jako satyryk był nieubłagany dla wad społecznych, ich przyczyn nie szukał w konkretnych ludziach, ale ogólnie w ludzkości. Kochał lud, dlatego też starał się nie czynić go przedmiotem swojej satyry, wprost przeciwnie, na postacie ludowe zlewał wszystkie blaski swego pióra.



Portret A. Wieniarskiego w „Tygodniku Ilustrowanym” 1869.

W swych szkicach i komedijkach próbował łączyć fotograficzną wierność z surową, choć sprawiedliwą oceną moralną przedstawianych osób i zdarzeń. Nikogo imiennie nie potępiał, ale też specjalnie nie dbał o urazy, jakie mogli czuć do niego ci, którzy poczuli się dotknięci. Z tego powodu bywało, że miał problemy z ogłoszeniem drukiem swych co bardziej dosadnych w krytyce rękopisów. Pomimo tego, teksty Wieniarskiego wydawali m.in. tacy warszawscy nakładcy, jak Samuel Orgelbrand czy Józef Unger. Gdy podjął jakiś temat, starał się doprowadzić go do końca. Nie był pisarzem bez znaczenia, choć sam nie wyolbrzymiał swych zasług w piśmiennictwie. W rękopisie mającym formę autobiografii pisał [...] *wiem bardzo dobrze, że nie mam prawa stanąć w rzędzie powieściopisarzy lub autorów dramatycznych, bo jedynym celem moich drobnych prac było wypowiedzieć, co serce czuło. Doznałem też niejednokrotnie najmiłszej dla mnie nagrody, to jest uznania tego celu przez publiczność. Przedstawienia moich komedijek, pomimo*

kilku nieprzychylnych recenzji, będą dla mnie niezatartą pamiątką tego uznania [...]. Taką nieprzychylną recenzję odnośnie krotchwilii „Nad Wisłą” poczynił Wieniarskiemu dziennikarz i dramaturg Wacław Szymanowski. Autor sztuki dał odpór krytyce na łamach „Gazety Warszawskiej” (1856, nr 233), gdzie punkt po punkcie obszernie bronił swojego dzieła. Kończąc polemikę, przypominał, że podobna krytyka spłynęła również na inną jego sztukę pt. „Ulicznik warszawski”, a ta przecież była grana kilkadziesiąt razy i to zawsze przy dużym „zadowoleniu publiczności”. W sztuce „Nad Wisłą” Wieniarski umieścił autentyczną osobę Jana Stypułkowskiego, bardziej znanego w Warszawie jako „Nosiwoda”. Postać ta została tak wiernie oddana, że spadkobiercy Stypułkowskiego zgłosili się do Wieniarskiego o poradę, w jaki sposób i gdzie szukać majątku pozostawionego przez skrzętnego i skąpego krewnego.

Wracając do utworów scenicznych, wspomnieć należy, że w repertuarze Teatru Rozmaitości w Warszawie, który wówczas wchodził w skład Warszawskich Teatrów Rządowych, były też napisane przez Wieniarskiego: „Warszawiacy i hreczkosieje”, „Szwaczka warszawska” czy „Gospodarz i lokatorowie”. Dwadzieścia lat po śmierci Wieniarskiego Teatr Nowy w Warszawie przypomniał wodewil „Nad Wisłą”. Pokłosiem tego przedstawienia stał się artykuł w tygodniku artystyczno-literackim pt. „Echo Muzyczne, Teatralne i Artystyczne”, w którym autor (podpisujący się jako Al. R.), uznając co prawda Wieniarskiego za grafomana, ostatecznie stwierdził, iż dobrze, że teatr przypomniał komedijkę, bądź co bądź, stanowiącą żywą fotografię niegdyś Warszawą. Wieniarski grywany był zresztą nie tylko w Warszawie, a wspomnianą sztukę „Nad Wisłą” wystawiał np. w teatrze amatorskim w Lublinie Aleksander Buchholtz. Wśród rządowego spisu zalecanych sztuk dla teatrów ludowych w guberniach Królestwa Polskiego w 1899 r. znalazły się też sztuki Wieniarskiego „Ulicznik warszawski” i „Szwaczka warszawska”. Nawiasem mówiąc „Ulicznik warszawski” cieszył się też znacznym powodzeniem w latach 30. XX wieku. Wystawiany był w amatorskich teatrach ludowych działających przy Związku Strzeleckim czy kołach Związku Młodzieży Wiejskiej. Sprawozdania z działalności związków młodzieżowych poka-

zują jak szeroki był zasięg sztuki, którą wystawiano m.in. w województwie krakowskim, łódzkim, białostockim czy wileńskim. W województwie lwowskim „Ulicznika” wystawił zespół amatorski Strzelca w Groblach. Na ziemię krasnostawską sztuka również zawiatała, a stało się to za sprawą Michała Paczosa organisty z Gorzkowa, który ok. 1913 r. przygotował wraz z dziećmi przedstawienie.

W swej twórczości Wieniarski opisywał Warszawę, jaką znał i o jakiej słyszał, ale pamiętał też o tym skąd pochodził. Posiadał bogaty zbiór notatek dotyczących przeszłości guberni lubelskiej. W tekstach publikowanych m.in. w „Tygodniku Ilustrowanym” czy „Dzienniku Literackim” pisał m.in. o Czernięcinie, Krupem, Wysokiem, Wygnanowicach, Suchemlipiu, uroczysku Kleparz koło Żabna, zaś w artykule o Koziatulskim wspominał państwa Debolich z Krasnegostawu. Lata spędzone w Łęcznej zaowocowały opowiadaniem „Obrazek św. Cecylii”, opisał tam m.in. swoje odkrycia archeologiczne.



E-book „Obrazki lubelskie” A. Wieniarskiego.

Wieniarski zmarł w Warszawie 30 maja 1869 r. po krótkiej, ale ciężkiej chorobie. Zgodnie z informacją zamieszczoną w „Kurierze Warszawskim”, uroczystości pogrzebowe miały odbyć się w kościele św. Antoniego w Warszawie, zaś ciało miało spocząć na warszawskich Powązkach.

Był pisarzem swojej epoki, obecnie raczej zapomnianym, wymieniają go jedynie niektóre

współczesne pozycje słownikowo-encyklopedyczne poświęcone literaturze polskiej. W związku z tym wręcz za ewenement można uznać to, iż w wykazie lektur dla II klasy gimnazjum (obowiązującym do 2008/2009 r.) Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Stemplewie znalazła się powieść Wieniarskiego pt. „Historia Jadwisi i Janka”. Prace Wieniarskiego wydane w poł. XIX wieku (lub też później, po jego śmierci) nie doczekały się współczesnych wznowień, były co prawda przedrukowywane, ale jedynie w częściach np. przy okazji różnych antologii. Obecnie, dzięki szerokiej digitalizacji zbiorów bibliotecznych utwory Wieniarskiego, poza wspomnianymi na początku e-bookami, dostępne są na stronach bibliotek cyfrowych, chociażby Polskiej Biblioteki Internetowej lub Cyfrowej Biblioteki Narodowej „Polona”. Tam właśnie na zasadzie tzw. domeny publicznej (*public domain*) znalazły się m.in.: „Powieści z podań i dziejów polskich”, „Pogadanki. Szkice z teraźniejszości”, „Warszawa i warszawianie”, „Szkice towarzyskie i obyczajowe”, „Włodawa i Różanka” czy „Nad Wisłą”.

Spośród prac Wieniarskiego, w tym też krotchwil, wydanych oddzielnie lub jako zbiory można wymienić jeszcze m.in.: „W domu i za domem”, „Piotr Konaszewicz”, „Góra Biruty”, „Wysokie w XVII w., czyli Aryjanie w Polsce”. W „Kalendarzu krakowskim” zamieścił opowiadania: „Wiązka gałęzi”, „Jan Lorenzo Papagoda, obrazek z XVI stulecia” czy „Pamiętka”.

Artur Borzęcki

Literatura w wyborze:

1. Archiwum Państwowe w Lublinie, Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej w Chłaniowie sygn.1658.
2. Borzęcki A., *Antoni Wieniarski - poeta, prozaik, „Ziemia Krasnostawska”* 2002, nr 1, s. 15.
3. Szymanowski W., *Antoni Wieniarski. „Tygodnik Ilustrowany”* 1869, nr 76, s. 277-278.
4. Wiśniewski S., *Łęczyńskie reminiscencje Antoniego Wieniarskiego*, „Merkuriusz Łęczyński” 1988, ss. 3,6-7.
5. Zawiślak G., *Antoni Wieniarski (1822-1869) wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza” 2002, nr 135, dod. „Lublin”, s. 6.

W taką noc Teatr Pokoleń nie śpi.
Premierowe przedstawienie

Od dwóch lat obecność Teatru Pokoleń zaczęła się wpisywać w tradycję muzealnych nocy. 17 maja 2014 roku o godz. 21.00 w refektarzu Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie rozpoczął się przedpremierowy spektakl pt. „Teatr w Pipidówce” wg prozy Michała Bałuckiego i scenariusza Krzysztofa Babickiego w adaptacji Andrzeja D. Miśiury. Reżyserią i scenografią zajęł się Tadeusz A. Kiciński, a interesujące kreacje znanych artystów Teatru Pokoleń, wzbogacone zostały świetną grą debiutujących aktorów z Siennicy i Krasnegostawu. Oficjalna premiera spektaklu odbyła się dwa tygodnie później w Siennicy Różanej, a następne przedstawienie - 8 czerwca w Krasnostawskim Domu Kultury. Jak twierdzą widzowie, sztuka robi spore wrażenie, a jej wykonanie oceniane jest na profesjonalnym poziomie, dzięki czemu teatr otrzymał propozycje kolejnych występów.

„Teatr w Pipidówce” jest już ósmą realizacją siennickiego zespołu, po ubiegłorocznej nowatorskiej adaptacji „Zemsty” i spektaklu „Synteza”, który odbył się na przełomie roku dla uczczenia setnej rocznicy amatorskiego ruchu teatralnego w Siennicy Różanej.

“Dzieje siennickiego teatru”

Pod takim tytułem ukazała się dawno zapowiadana książka opisująca historię teatru w Siennicy Różanej. Opowieść sięga roku 1913, czasu gdy Franciszek Zaraza z Woli Siennickiej założył pierwszy zespół teatralny. Od tamtej chwili z różnymi przerwami sztuka teatralna kwitła na terenie gminy. Ostatnio w 2008 roku odrodziła się w postaci Teatru Pokoleń dzięki staraniom Ireny Zarazy ze Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Siennickiej. Zespół od sześciu lat pracuje pod kierunkiem Tadeusza Kicińskiego i Andrzeja Misiury i przygotował aż osiem premier (!) - wynik na miarę zawodowego teatru.

Oprócz najdawniejszych wspomnień, książka relacjonuje przygotowania do ostatnich przedstawień i prezentuje najciekawsze zdjęcia. Zamieszcza kalendarium występów, plakaty, podziękowania, wspomnienia aktorów i nazwiska wszystkich, którzy przyczyniali się do wystawiania poszczególnych sztuk.

TEATR W PIPIDOWCE

**Teatr Pokoleń Centrum Kultury
w Siemnicy Różanej**
przedstawia komedię w czterech aktach
na podstawie Michała Bałuckiego oraz
scenariusza Krzysztofa Babickiego

scenariusz David Misiura
reżyseria i scenografia
Tadeusz Andrzej Kiciński














GRZYMOTNICKI
KATARZYNA
SIELKO
DMUCHALSKI
KAMILLA
FIŁATOWSKI
AURELIA
WANDIA OLECKA
DIETALSKA
PIETRZYKOWSKA
PIETRZAK
SATURNIN
HRABINA
MATUSIA
WALIS
NARRATOR

burmistrz miasteczka Bogdan Karzul
jego żona Ewa Dziedzic
doktor Sławiński profesor Adam Baran
jego żona Maria Zajac
ratny Bartek Anna Guz
jego siostra
flemingowa Dorota David Misiura
emancypantka Konradziec
emancypantka Złotowa Sawa
emancypantka Ewelina Atlas
domowniczka Anna Furtak
domowniczka Marek Karzul
właścicielka i jej
służąca
służąca



„Dzieje siennickiego teatru” są cennym dokumentem ostatniego stulecia, autorstwa Ireny Zarazy i Andrzeja D. Misiury. W pracach redakcyjnych wydawnictwo wsparli: Paweł Piłat, Wiesław Krajewski i Tadeusz Kiciński.



*Irena Zaraza i Andrzej D. Misiura,
Dzieje siennickiego teatru, Centrum Kultury
w Siennicy Różanej, Krasnystaw 2013, ss. 92.*

Ewa Magdziarz

Filmowe II LO w Krasnymstawie



Premiera filmu dyplomowego „Fotografia”

„Fotografia” została zrealizowana z uczniami przez lokalnego lidera FilMOTEKI Szkolnej i opiekuna MDKF-u działającego przy II LO w Krasnymstawie i KDK. Film to praca kończąca studia podyplomowe praktycznej edukacji „stART!” w Warszawskiej Szkole Filmowej w ramach programu FilMOTEKA Szkolna.

Program uroczystości, która odbyła się 14 marca 2014 r., obejmował m.in. warsztaty „Analiza filmów dyplomowych z Warszawskiej Szkoły Filmowej” prowadzone przez Jarka Kupścia - opiekuna artystycznego projektu, reżysera kina niezależnego, absolwenta wydziału reżyserii szkoły filmowej w San Francisco. Zajęcia warsztatowe odbyły się w Pracowni FilMOTEKI Szkolnej II LO. Wzięli w nich udział nauczyciele z Lublina, Świdnika i Dukli, którzy także ukończyli studia podyplomowe „stART!”. W warsztatach uczestniczyli również nauczyciele i uczniowie z gimnazjów nr 5 w Krasnymstawie i w Małochwieju Dużym, I i II LO, ZSP nr 2, a także z SOSW.



Premiera „Fotografii” połączona z pokazem fragmentów filmów Jarka Kupścia odbyła się w sali widowiskowej KDK. Następnie w sali konferencyjnej odbyło się spotkanie autorskie z opiekunem artystycznym i uczestnikami projektu. Jarek Kupść mówił o współpracy ze studentami studiów dziennych i podyplomowych, porównał także spo-

sób pracy reżysera w Stanach Zjednoczonych i w Polsce. Rozmawiano również na temat kina niezależnego i filmu „Fotografia”. Reżyser podkreślał staranność w odtworzeniu realiów z okresu II wojny światowej i przemyślaną kompozycję „Fotografii”. Na widzach duże wrażenie zrobiła gra aktorska Marka Nowosadzkiego, który wcielił się w rolę kapitana Wehrmachtu. Filmowy bohater był wzorowany na Wilmie Hosenfeldzie - Niemcu, który w czasie okupacji uratował wielu Polaków i Żydów.

Spotkanie autorskie zakończyły wystąpienia gości, którzy gratulowali Ewie Magdziarz osiągnięć w zakresie edukacji filmowej. „Fotografię” można obejrzeć na stronie www.youtube.com/watch?v=JAZZZh06ARM&feature=share.

Polski Instytut Sztuki Filmowej otwiera Pracownię FilMOTEKI Szkolnej w II LO!

Uroczystość otwarcia pierwszej w województwie lubelskim Pracowni FilMOTEKI Szkolnej rozpoczęła się 19 marca 2014 roku w II LO w Krasnymstawie od powitania gości przez dyrektora Annę Cichosz.

Na uroczystości przybyli m.in. Anna Sienkiewicz-Rogowska - pełnomocnik dyrektora PISF wraz z zespołem, prof. Sławomir Bobowski z Uniwersytetu Wrocławskiego, Katarzyna Szczuka-Nieza-bitowska - redaktor TVP Kultura, aktor Zbigniew Waleryś, Anna Bielak i Błażej Hrapkowicz - krytycy filmowi, Ryszard Stańczak - dyrektor Departamentu Finansów w Urzędzie Marszałkowskim w Lublinie, Henryk Czerniej - wicestarosta krasnostawski, Andrzej Jakubiec - burmistrz Krasnegostawu, Edyta



Fidecka - wicedyrektor Wydziału Wspierania Rozwoju Edukacji w Kuratorium Oświaty w Lublinie, Edward Kawęcki - przewodniczący Rady Miasta Krasnostaw, Marek Nowosadzki - przewodniczący Rady Powiatu Krasnostawskiego.

Uroczystość rozpoczęła się od pokazu materiału filmowego promującego Filmotekę Szkolną. Kolejny punkt programu to konferencja prasowa z udziałem dyrektorów szkół, nauczycieli i uczniów oraz mediów, którą prowadził przedstawiciel PISF Piotr Szymański - kierownik Zespołu ds. Nowych Mediów. Goście wypowiadali się na temat znaczenia edukacji filmowej i roli, jaką w tym zakresie odgrywa program Filmoteka Szkolna. Następnie dyrektorzy szkół i placówek kulturalno-oświatowych oraz nauczyciele zostali zaproszeni do czytelnymultimedialnej na wykład „X Muza a edukacja i wychowanie w szkołach ponadpodstawowych” profesora Sławomira Bobowskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego. Profesor Bobowski z entuzjazmem wypowiadał się o programie Filmoteka Szkolna i podkreślał znaczenie wpływu obrazów filmowych na kształtowanie systemu wartości młodych odbiorców sztuki filmowej. Natomiast Ewa Magdziarz przedstawiła prezentację multimedialną pokazującą dobre praktyki edukacji filmowej zainspirowane programem Filmoteka Szkolna, który realizowany jest w II LO od 2009 r., m.in. Powiatowy Konkurs Filmowy „Inspiracje Filmoteką Szkolną”, letni projekt „Kręcmy film!”, spotkania autorskie z twórcami filmowymi, film dyplomowy „Fotografia” zrealizowany w ramach studiów podyplomowych w Warszawskiej Szkole Filmowej.

W Pracowni Filmoteki Szkolnej odbyła się debata filmowa prowadzona przez Annę Bielak i Błażeja Hrapkowicza. W debacie udział wzięli uczniowie ze szkół krasnostawskich: z gimnazjów nr 1, 3, 4 i 5, z I LO i z SOSW, a także z powiatu krasnostawskiego: z gimnazjów w Małochwieju Dużym, Izbicy, Siennicy Nadolnej, Krupem oraz Rejowcu. Dla uczniów z II LO odbyły się warsztaty reportażowe prowadzone przez dziennikarzy z TVP Kultura, w czasie których nagrano materiał filmowy z uroczystości. Warsztaty zakończyły się pokazem reportaży. Prowadzący chwalili uczniów za profesjonalizm i zaangażowanie w pracę w czasie zajęć filmowych.

Na zakończenie Anna Sienkiewicz-Rogow-

ska podziękowała dyrekcji szkoły - Annie Cichosz i Annie Antydze oraz liderowi Filmoteki Szkolnej Ewie Magdziarz. Również dyrektor II LO dziękowała jeszcze raz za Pracownię Filmoteki Szkolnej, która będzie służyć upowszechnianiu edukacji filmowej, wspomagając nauczycieli w procesie dydaktycznym i realizowaniu działań filmowych angażujących młodzież i lokalną społeczność.

Premiera filmu „To, czego nie widać”

Film powstał w lipcu 2013 r. w czasie 3. edycji letniego projektu „Kręcmy film!” zrealizowanego przez MDKF „Iluzjon”. Premiera odbyła się 5 kwietnia 2014 r. w sali widowiskowej Krasnostawskiego Domu Kultury. Po projekcji aktor Grzegorz Emanuel - opiekun artystyczny projektu i reżyser filmu przedstawił odtwórców głównych ról Justynę Badio, Michała Ciężkiego, Zbigniewa Atrasa, Zofię Żurawską oraz Jakuba Wójcika. Miłą niespodzianką dla widzów był pokaz teledysku zrealizowanego



z uczestnikami letniego projektu przez Sławomira Kozyrskiego i Artura Kiciaka. W sali konferencyjnej KDK odbyło się spotkanie autorskie, które prowadzili Ewa Magdziarz i Grzegorz Emanuel. Reżyser zaprosił osoby grające w filmie role dorosłych bohaterów: Janinę Młynek, Annę Antygę, Zbigniewa Atrasa, a także osoby zaangażowane w realizację projektu - Sławomira Kozyrskiego i Piotra Galińskiego. Następnie wywołana została cała ekipa młodych, m.in. Justyna Badio, Michał Ciężki, Zofia Żurawska, Jakub Wójcik, Piotr Gózdź, Magdalena Krupa, Natalia Szczupak, Karol Domański. Odtwórcy głównych ról dzielili się wspomnieniami z planu filmowego i odpowiadali na pytania publiczności.

Ważnym punktem uroczystości były podziękowania, gdyż projekt wsparło finansowo wiele urzędów i instytucji. Na koniec spotkania dyrektor II LO Anna Cichosz wyraziła uznanie dla realizatorów filmu i podziękowała, m.in. koordynatorowi projektu Ewie Magdziarz i opiekunowi artystycznemu Grzegorzowi Emanuelowi, podkreśliła także znaczenie tej dziedziny sztuki w ofercie edukacyjnej „Norwida”.

Trailer filmu „To, czego nie widać” można obejrzeć na www.youtube.com/watch?v=LV_Dpb5mbK8&feature=share

12. edycja Powiatowego Konkursu Filmowego

Organizatorem konkursu o zasięgu powiatowym „Inspiracje Filmoteką Szkolną” jest MDKF „Iluzjon”. Finał konkursu odbył się 11 kwietnia 2014 r. w sali widowiskowej KDK. Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych po raz kolejny ufundowała dla laureatów nagrodę specjalną - akredytację na 15. Letnią Akademię Filmową w Zwierzyńcu.



Konkurs ma na celu popularyzowanie Filmoteki Szkolnej, a także szerzenie edukacji filmowej wśród uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych Krasnegostawu i powiatu krasnostawskiego. Honorowy patronat objęli: starosta krasnostawski Janusz Szpak oraz wiceprzewodniczący Rady PF DKF Piotr Kotowski. Uczestnicy XII Powiatowego Konkursu Filmowego przygotowali prace w dwóch kategoriach: praca filmowa/fotograficzna/fotokast na temat „Inspiracje Filmoteką Szkolną” lub plakat do filmu z Filmoteki Szkolnej wybranego z zestawienia podanego przez organizatora.

Zaproponowane kategorie spotkały się z dużym zainteresowaniem. Uczniowie wykonali na konkurs 94 prace. Szkoły, z których nadesłano prace, to: gimnazja z Małochwieja Dużego, Siennicy Nadolnej, Krupego, Rejowca, Izbicy, Fajslawic oraz szkoły z Krasnegostawu: gimnazja nr 1, 3 i 4, I i II Liceum Ogólnokształcące, Zespół Szkół Zawodowych nr 3.

W ramach pierwszej części uroczystości „Edukacja filmowa - Inspiracje Filmoteką Szkolną” odbyło się szkolenie dla nauczycieli i uczestników konkursu prowadzone przez lokalnego lidera Filmoteki Szkolnej i opiekuna MDKF-u. Ewa Magdziarz przypominała ogólne informacje dotyczące Filmoteki Szkolnej, szczegółowo przedstawiła aktualności programu i działania lokalnego lidera, a także plany współpracy ze szkołami dotyczące edukacji filmowej (m.in. otwarte zajęcia dla uczniów prowadzone w Pracowni Filmoteki Szkolnej czy filmową grę miejską). Następnie odbył się pokaz prac zgłoszonych na konkurs w kategorii film/fotografia/fotokast. Wystawę wybranych plakatów filmowych nadesłanych na konkurs można było obejrzeć w holu KDK pod koniec uroczystości.

Na uroczystość finałową przybyli zaproszeni goście m.in.: Janusz Szpak - starosta krasnostawski, Piotr Kotowski - wiceprzewodniczący Rady PF DKF, Andrzej Jakubiec - burmistrz Krasnegostawu, Marek Nowosadzki - przewodniczący Rady Powiatu, Edward Kawęcki - przewodniczący Rady Miasta, Damian Kozyrski - dyrektor Krasnostawskiego Domu Kultury, Tadeusz Kiciński - pracownik Starostwa Powiatowego, dyrektor Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie Elżbieta Patyk. Obecne były również Anna Cichosz - dyrektor II LO i wicedyrektor szkoły Anna Antyga.

W kategorii praca filmowa/fotograficzna/fotokast pierwszą nagrodę zdobył Damian Karczmarzyk z II LO. Drugie miejsce zajęli ex aequo Daria Werus i Paweł Goncikowski z Gimnazjum nr 1 oraz Weronika Gwarda z Gimnazjum nr 3 w Krasnymstawie, a także Karol Domański z II LO. Trzecią nagrodę w drugiej grupie wiekowej otrzymali Oliwia Zajączkowska i Rafał Wójcik z II LO. W kategorii plakat filmowy I miejsce w pierwszej grupie wiekowej zajął Mateusz Jaremek z Gimnazjum nr 4 w Krasnymstawie, w drugiej grupie wiekowej - Angelika Samoraj z II LO. Drugie miejsce

zajęli ex aequo: Karolina Koterwas z Gimnazjum nr 1 w Krasnymstawie i Jakub Poznański z Gimnazjum w Małochwieju Dużym oraz Aleksandra Czerniak z II LO. W kategorii wiekowej uczniowie szkół gimnazjalnych trzecią nagrodę otrzymali: Patrycja Marcinkowska z Gimnazjum nr 1 oraz Karolina Gaweł, Martyna Gawron i Gabriela Grzybowska z Gimnazjum nr 3 w Krasnymstawie. Trzecie miejsce ze szkół ponadgimnazjalnych zajęli ex aequo: Olga Madeja z I LO oraz Aleksandra Semla, Joanna Poznańska i Agata Makuch z II LO w Krasnymstawie. Na zakończenie finału odbyła się prezentacja pracy filmowej „Krótki dramat” laureata Damiana Karczmazy z II LO, którego zainspirował film „Wesele” w reż. Andrzeja Wajdy. Zgromadzona publiczność obejrzała także „Sen o Krasnymstawie” - filmik, który powstał w czasie warsztatów animacji zorganizowanych przez MDKF w listopadzie 2013 r.

„Sen o Krasnymstawie” jest dostępny na www.youtube.com/watch?v=1LQmoAszKN8.

Sponsorzy nagród to: Polski Instytut Sztuki Filmowej, Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie, Urząd Miasta Krasnostaw, Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych, Stowarzyszenie Filmowców Polskich, Centrum Edukacji Obywatelskiej, Krasnostawski Dom Kultury, Stowarzyszenie „Porozumienie Ziemi Krasnostawskiej”, Wydawnictwo STENTOR, Wydawnictwo DANTE Oficyna, „Rzeczpospolita”, dwutygodnik „Gala”, Czasopismo Artystyczne „Nestor”, sponsor indywidualny Marek Nowosadzki oraz Zakład Cukierniczo-Piekarniczy „KAWA”.

Za organizację konkursu odpowiedzialne były Ewa Magdziarz, Joanna Szufnara i Ewa Żelazko. W prace organizacyjne włączyli się Beata Pasik, Renata Czerniak i Andrzej Ziarko oraz uczennica z kl. III D Aleksandra Czerniak, a także uczniowie z kl. II A i I B.

Finał konkursu zakończyło wystąpienie starosty Janusza Szpaka, który podkreślał szczególnie zaangażowanie organizatorów, przypomniał, że odkąd objął urząd 12 lat temu, konkurs filmowy ma zasięg powiatowy. Janusz Szpak zwrócił uwagę na rolę edukacji filmowej w II LO i coraz szerszy krąg uczniów zainteresowanych sztuką filmową dzięki działalności MDKF-u. Następnie głos zabrał przewodniczący Rady Miasta Edward Kawęcki,

który przypomniał początki edukacji filmowej w II LO i rolę Piotra Kotowskiego w popularyzacji tej dziedziny sztuki w powiecie krasnostawskim. Dyrektor II LO Anna Cichosz także podziękowała organizatorom konkursu oraz instytucjom i osobom wspierającym to duże przedsięwzięcie edukacyjne. Dyrektor szkoły przypomniała o realizacji przez Ewę Magdziarz autorskiego programu z edukacji filmowej.

Filmowa Gra Miejska

Ogólnopolski projekt organizowany jest przez Polski Instytut Sztuki Filmowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej, Filmotekę Szkolną i Nowe Horyzonty Edukacji Filmowej. Filmowa Gra Miejska, realizowana przez II LO w Krasnymstawie, ma na celu popularyzowanie Filmoteki Szkolnej i filmu polskiego.

MDKF „Iluzjon”, we współpracy z koordynatorem projektu Michałem Chabierą, zorganizował warsztaty „Filmowa Gra Miejska”, które odbyły się 14 maja w II LO. Spotkanie prowadziła animatorka Lila Majchrzycka. W warsztatach wzięli udział uczniowie z II LO, którzy byli organizatorami gry na terenie Krasnegostawu. Lila Majchrzycka zapoznała



uczestników z założeniami Filmowej Gry Miejskiej, przedstawiła relacje filmowe z gry w różnych miastach, m.in. Warszawie, Krakowie czy Poznaniu. Następny etap zajęć to praca nad scenariuszem gry organizowanej przez II LO dla uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych z Krasnegostawu i powiatu krasnostawskiego. Ustalono czas trwania gry i liczebność zespołów, analizowano motywy filmowe do wykorzystania w grze, opra-

cowano przykładowe zadania dla uczestników. Ważnym punktem zajęć był podział obowiązków między organizatorami gry. W tym celu wyznaczono sekcje: medialną, informacyjną, scenariuszową, porządkową i scenograficzną. Na zajęciach MDKF-u 16 maja dyskutowano nad szczegółami dotyczącymi gry. Ustalono m.in. miejsca, w których były organizowane punkty, a także wstępną listę filmów z Filmoteki Szkolnej, na podstawie której zaplanowano zadania dla uczestników.

Gra rozpoczęła się 30 maja o godzinie 10.00 w II LO w Krasnymstawie w Pracowni Filmoteki Szkolnej. Wzięło w niej udział 56 uczestników, a także 26 uczniów z II LO, którzy zaangażowali się w prace organizacyjne. Uczniowie wcielili się w studentów Krasnostawskiej Szkoły Filmowej, którzy mieli zebrać w indeksie (karta gry) zaliczenia z poszczególnych zajęć. Od punktu do punktu kierowali ich organizatorzy wcielający się w rolę wykładowców uczelni. Zestawienie filmów proponowane przez organizatorów to „Zdjęcia próbne” A. Holland, „Gadające głowy” K. Kieślowskiego, „Wszystko może się przytrafić” M. Łozińskiego, „Zmruż oczy” A. Jakimowskiego, „Cześć, Tereska” R. Glińskiego, „Lawa” T. Konwickiego, „Rejs” M. Piwowskiego, „Fotografia” E. Magdziarz. „Studentci” otrzymywali wskazówki i zagadki, aby trafić do kolejnego punktu. Uczniowie zostali podzieleni na zespoły, zapoznano ich także z zasadami gry. Dwa punkty znajdowały się w II LO, kolejne zadania były do wykonania w Muzeum Regionalnym, na rynku miejskim i w Krasnostawskim Domu Kultury. Na zakończenie gry w sali konferencyjnej KDK odbyła się loteria. Uczniowie z entuzjazmem wypowiadali się na temat gry i obiecali, że wezmą udział w tej wspaniałej zabawie w następnym roku.

II LO na 5. Festiwalu Filmoteki Szkolnej

Festiwal Filmoteki Szkolnej odbył się 9 i 10 czerwca 2014 r. w Warszawie. Organizatorami byli Polski Instytut Sztuki Filmowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej i Warszawska Szkoła Filmowa. W festiwalu wzięło udział ponad 200 uczestników z 42 szkół. II LO reprezentowali: Angelika Samoraj, Weronika Sawicka, Jakub Pitucha oraz Ewa Magdziarz.

Pierwszego dnia uczestnicy brali udział w warsztatach integracyjnych i wizytach studyjnych, m.in. w Mistrzowskiej Szkole Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy, Warszawskiej Szkole Filmowej czy w Platige Image. Grupa z Krasnegostawu odwiedziła The Chimney Pot. Wieczorem odbył się pokaz filmów uczniowskich komentowanych przez ekspertów. W programie znalazł się m.in. zwiastun filmu „To, czego nie widać” realizowanego w czasie 3. edycji letniego projektu „Kręcmy film!” w II LO. Warsztaty dla uczniów prowadzili Grzegorz Emanuel i Maciej Prykowski. Natomiast nauczyciele uczestniczyli w warsztatach „Jak kręcić filmy z uczniami - zagrożenia i szanse”, które prowadził Marek Brodzki (WSF).



Uroczyste powitanie w Warszawskiej Szkole Filmowej przez Annę Sienkiewicz-Rogowską, pełnomocnika dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Macieja Ślesickiego - kanclerza Warszawskiej Szkoły Filmowej oraz Alicję Pacewicz - dyrektora Centrum Edukacji Obywatelskiej rozpoczęło drugi dzień festiwalu. Następnie odbyły się targi projektów młodzieżowych związanych z Filmoteką Szkolną. Zespoły przygotowały stanowiska, na których prezentowały różnorodne projekty. Uczniowie z II LO zaprezentowali działania zrealizowane w roku szkolnym 2013/14 oraz prezentację multimedialną poświęconą projektom filmowym inspirowanym Filmoteką Szkolną. Nagrodami w konkursie przygotowanym przez grupę z Krasnegostawu były płyty z filmami „Królowna” i „To, czego nie widać” oraz materiały promujące szkołę i Krasnystaw. Następnie odbyły się spotkania z ekspertami m.in.: Kają Klimek, Anną Bielak, Sandrą Staniszwską, Kamilem Polakiem, Mate-

uszem Banasiukiem, Markiem Brodzkim. Uczniowie z II LO rozmawiali z Piotrem Głowackim, który obejrzał fragment filmu „To, czego nie widać”. Ekspert udzielał cennych rad związanych z pracą nad projektami filmowymi.

Uczestnicy festiwalu otrzymali dyplomy, publikacje związane z filmem oraz grę planszową „Belfedar”. Na koniec wysłuchali wypowiedzi ekspertów, którzy odpowiadali na różnorodne pytania związane ze sztuką filmową. Uczniowie i opiekunowie zgodnie twierdzili, że festiwal jest doskonałą formą wymiany doświadczeń, które na pewno zainspirują do działania w następnym roku szkolnym.

Projekt „Kręcmy film! 4” rozpoczęty

4. edycja letniego projektu rozpoczęła się 13 czerwca 2014 r. od warsztatów prowadzonych w II LO przez aktora Grzegorza Emanuela. Projekt będzie realizowany od 5 do 11 lipca. W warsztatach uczestniczyło 45 uczniów z gimnazjów nr 1 i 3 w Krasnymstawie, w Małochwieju Dużym, Siennicy Nadolnej, Siennicy Różanej, a także z I i II LO w Krasnymstawie. W spotkaniu wzięli udział również opiekunowie.



Propozycje dotyczące kolejnego projektu pojawiły się już 6 kwietnia na spotkaniu organizacyjnym po premierze „To, czego nie widać”. Uczniom bardzo spodobał się pomysł na film pełen tajemniczości, czarów i magii. Grzegorz Emanuel pytał uczniów o oczekiwania, przedstawił również zarys scenariusza, nad którym pracował z uczestnikami projektu. Mówił także o oczekiwaniach odbiorców, którzy spodziewają się filmu jeszcze lepszego od „Jestem tu”, „Królowny” czy „To, czego nie widać”. Zwrócił uwagę na wybrane elemen-

ty języka filmowego, które będą bardzo ważne w nowym projekcie, np. muzyka czy scenografia. Niewątpliwie ważna jest także obsada, dlatego pojawiły się już propozycje dotyczące osób, które mogłyby zagrać określone role. W związku z tym, że scenariusz nie jest jeszcze gotowy, prowadzący zaproponował pracę w grupach polegającą na dokończeniu określonych wątków, które pojawiły się w scenariuszu. Przedstawiona historia zaciekawiła uczestników warsztatów, dlatego z ożywieniem dyskutowali na temat możliwych rozwiązań scenariuszowych. Następnie poszczególne grupy prezentowały swoje niesamowite historie i różne wersje zakończenia scenariusza.

Przed nami trudny etap przygotowania dokumentacji filmowej i fotograficznej, dopracowanie scenariusza, zdobycie kostiumów, a czasu zostało niewiele, gdyż projekt zaczyna się 5 lipca. Praca nad zdjęciami do filmu potrwa do 11 lipca, a więc realizacja będzie musiała odbyć się tak samo sprawnie, jak w poprzednich projektach.

Przedsięwzięcia filmowe organizowane przez II LO realizowane są w ramach zadania Edukacja filmowa „Iluzjon”, finansowanego ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie i Urzędu Miasta Krasnymstaw. Sponsorem 3. edycji letniego projektu „Kręcmy film!” był także Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie. Znacznego wsparcia udzieliły również Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Krasnymstawie oraz Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna w Zagrodzie.

*Ewa Magdziarz
opiekun MDKF „Iluzjon”
lokalny lider Filmoteki Szkolnej*



„Zaljubljeni”, Emilia i Stojče Tocinovski ze stołicy Macedonii Skopje.

Spotkanie autorskie z Katarzyną Enerlich

W czwartek, 15 maja w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie odbyło się spotkanie autorskie z pisarką Katarzyną Enerlich. Spotkanie zorganizowane zostało w ramach działającego w bibliotece Dyskusyjnego Klubu Książki, a finansowane było przez wspierający wszystkie DKK w Polsce Instytut Książki.

Katarzyna Enerlich mieszka koło Mrągowa i zakochana jest w Mazurach. Debiutowała książką „Prowincja pełna marzeń” (2009), która stała się początkiem popularnej serii. Poza cyklem mazurskim, spod jej pióra wyszły m.in. „Czas w dom zaklęty” (2010), „Kwiat Diabelskiej Góry” (2010), „Czarodziejka Jezior” (2012). Píše też poezję. Jej powieści są ciepłe, mądre, z przesłaniem, ukazują cichy świat mazurskiej prowincji. Pomimo tego, iż osiągnęła sukces ogólnopolski, jak sama przyznała, lubi być określana mianem pisarki regionalnej.



Katarzyna Enerlich (fot. Artur Borzęcki).

Enerlich ma doskonały kontakt z czytelnikami, lubi z nimi rozmawiać nie tylko za pomocą książek. W trakcie blisko dwugodzinnego spotkania w Krasnymstawie opowiadała jak zaczęła się jej przygoda z pisarstwem, a początki nie były łatwe. Zanim na dobre zajęła się literaturą, była dziennikarką, pracownikiem socjalnym, pracowała też w urzędzie miasta. Mówiła o inspiracjach, które w dużej mierze czerpie z opowieści zasłyszanych od innych ludzi. Na odwieczne pytanie ludzkości:

co było pierwsze?, zdradziła, że w jej przypadku najpierw powstaje tytuł, a dopiero potem treść. Pisarka odpowiadała też na szereg pytań ze strony publiczności, a apetyt na wiedzę z tej strony był duży, ponieważ miesiąc wcześniej właśnie o twórczości Enerlich rozmawiali na spotkaniu członkowie DKK. Czytelników interesowały nie tylko sprawy ogólne, ale i konkretne fragmenty powieści czy też sformułowania użyte przez pisarkę. Poruszano również kwestie dotyczące ewentualnych planów ekranizacji, jak i to dlaczego w jej powieściach jest tak mało gwary mazurskiej. Były też pytania o najbliższe plany wydawnicze. Na te i inne zagadnienia pisarka cierpliwie udzielała wyczerpujących odpowiedzi. Spotkanie zwyczajowo zakończyło się podpisywaniem książek i wspólną fotografią.



Katarzyna Enerlich i członkowie DKK (fot. Artur Borzęcki).

Pisarka przyznała, że w swych licznych podróżach po kraju nie miała dotychczas okazji odwiedzić Krasnegostawu. Kto wie, może teraz będzie tutaj częstszym gościem. Zresztą skoro w znanym utworze Cezarego Makiewicza „Wszystkie drogi prowadzą do Mrągowa”, to może przynajmniej jedna z nich wiedzie przez Krasnystaw.

DKK Krasnystaw

**ODNAWIANIE
pamiątek rodzinnych
obrazy – ramy – rzeźby
tel. 609 653 211**

Andrzej David Misiura

Sala im. Janusza Trzebiatowskiego w Siennicy Różanej

Z Siennicą Różaną związał się już w latach dziewięćdziesiątych, początkowo uczestnicząc w plenerach plastycznych, a później w życiu kulturalnym gminy. Otrzymał honorowe wyróżnienie Zasłużony dla Siennicy Różanej, w postaci statuetki jednorożca, a w piątek 13 czerwca 2014 roku, podczas uroczystej sesji Rady Gminy przyznano mu pierwsze w historii honorowe obywatelstwo Siennicy Różanej. Uroczystość zbiegła się z jubileuszem 60-lecia pracy twórczej artysty. Podczas niej nastąpiło otwarcie nowej sali znajdującej się w murach Urzędu Gminy, która otrzymała imię jubilata.



Spotkanie zwińczył wernisaż stałej wystawy dwudziestu pasteli i obrazów olejnych znajdujących się we wspomnianej sali - daru wdzięczności dla gościnnej Siennicy Różanej. Nie był to koniec spotkań z plastyką, bo już następnego dnia otworzono drugą stałą wystawę prac Janusza Trzebiatowskiego, tym razem reprodukcji plakatów w miejscowym Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego. W wydarzeniach uczestniczyła Julia Chabowska-Reca, kustosz Muzeum J. J. Trzebiatowskiego w Chojnicach. Gospodarze: wójt Leszek Proskura i przewodniczący rady Waldemar Nowosad oraz zaproszeni goście, a wśród nich wiceprezes NIK Marian Cichosz, gorąco gratulowali autorowi. Środowisko artystów plastyków reprezentowała Teresa Chomik-Kazarian. Natomiast redaktor naczelny „Nestora” zaprosił zgromadzonych do lektury niniejszego numeru, w którym zaplanowano publi-



kację recenzji najnowszej książki małżonki artysty - Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej.

Podczas wernisażu uczniowie Gimnazjum Zespołu Szkół w Siennicy Różanej czytali wiersze J. J. Trzebiatowskiego, a młoda pianistka Katarzyna Witt z Milejowa prezentowała dzieła muzyki klasycznej.



Podobne jubileuszowe uroczystości odbyły się w innych terminach w Chojnicach, rodzimym mieście artysty, oraz w Krakowie, miejscu zamieszkania. Spotkaniom towarzyszyła promocja najnowszego albumu malarstwa „Impresje chińskie” inspirowanego kulturą Wschodu, gdzie artysta święcił niedawne sukcesy.

Janusz Jutrzenka Trzebiatowski jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zajmuje się malarstwem, rzeźbą, plakatem, scenografią i medalierstwem. Ma na swoim koncie blisko sto wystaw indywidualnych i pięćset międzynarodowych. Jego dzieła znajdują się w ponad stu muzeach. Wydał dwanaście zbiorów poetyckich.

Andrzej David Misiura

Mirosław Iwańczyk**Wernisaż**

Na wernisażu
 pejzaże oddychają
 fakturą radosnych barw
 rozległa przestrzeń deszczem umyta
 usłana słonecznymi kwiatami
 kobieta z obrazu Renoira
 na pianinie nokturn gra
 tancerki z gracją
 wirują w piruce
 księżna słucha lirycznej galiardy
 jakaś dama absynt sączy z kieliszka
 naga Maja tajemniczo się uśmiecha
 zakochana w irysach van Gogha
 nenufary skrzą się w zielonkawej wodzie
 galeria rozrasta się
 jak przestwór olbrzymie
 płótna szumią morską bryzą
 wypełnione powietrzem
 rozpostarte niczym żagle szkunera
 rozwijają powierzchnie szarych chmur
 budzą się nieznane obszary umysłu
 i płynę brygantyną
 wśród sztychów holenderskich
 trafiłem na spieniony szkwał
 i znalazłem się na wyspie zielonej
 w dolinie wóz z sianem
 zapach ziół roznosi się
 nad spektakularnym zmierzchem
 pastuszek z fujarki
 wypuszcza rzewne frazy
 a pierrot stoi samotny smutny
 i patrzy w dal

Siewca barw (Vincent van Gogh)

Wyrwał z mroku trud nędzarzy
 spożywających kartofle jak świętą Komunię
 wykreował świat przeciwieństw
 radosny i tragiczny
 świetlisty i ponury
 po którym stąpał jak Jezus po wodzie
 jego życie to sztuka i walka z szaleństwem
 posłaniec głębi świtu
 apostoł kolorowej ekspresji
 pielgrzym nie z tego świata
 wędrujący samotnie w zdartych butach
 outsider zakochany w jaskrawych kolorach
 i gwiaździstych nocach
 potęgę bytu odczuwał w przyrodzie
 barwami ożywił przestrzeń
 rozświetlił rozmigotał
 uwiecznił konwulsyjne obsesje
 abstrakcyjne niebo w cyklonie
 galaktyki wkręcające w siebie czas
 drogi prowadzące donikąd
 klucz złowrogich kruków
 mknący za horyzont
 bezkształtny lęk cichy ból
 w otchłani duszy stłumił rozpacz krzyk
 jak heros zmagał się z demonami
 wzgardzany poniżony barwami krzyczał
 w szaleństwie ujrzał prawdę
 kosiarza co ludzkość kosił
 w ekstazie malował płonące złotem niebo
 pomarańczowy księżyc
 słoneczniki śpiewające sakralnym światłem
 cyprysy szepczące mistyczną modlitwę
 gaje oliwne drżące niepokojem
 ziemię ubrał w czerwień i fiolet
 duchowość wyraził blaskiem
 jednego tonu
 pędzlem zapisał zamię wieczności
 męczennik awangardy
 siewca barw co nie doczekał zbiorów

Henryk Radej

Poetka z Kamienia



W upalną sobotę, 7 czerwca br., podczas podróży na Rostocze rozdzwoiła się moja komórka. Koleżanka z pracy informowała mnie, że w Kamieniu koło Chełma widziała rozwieszone klepsydry informujące o śmierci Bronisławy Fastowic. A jednak. Stało się. Niewinny z pozoru zabieg chirurgiczny nie dał powrócić jej do zdrowia. Po tem były esemesy, mnóstwo esemesów i telefony od i do znajomych. Taki informacyjny znak czasu, zamiast pogrzebowego ziała idącego przez wieś. Ruszyła lawina wspomnień - tych dawnych i całkiem świeżych. Pani Bronisława nie chciała, aby ją odwiedzać w szpitalu. Byłem u niej tylko dwa razy. Wolala, żeby dzwonić na komórkę, jaką przy łóżku zostawiła jej córka. Krępowała ją bezsilność wobec własnej cielesności. Więcej milczeliśmy, niż rozmawialiśmy ze sobą. Niczego nie chciała, nie potrzebowała, przepraszała, że jest nieuczesana, że tyle tu śmierci na co dzień. Jedno było plusem, że ma wreszcie dużo czasu na rozmyślanie, nie tylko o swoim życiu. Przez telefon wołała słuchać niż mówić, więc opowiadałem jej jakieś bzdurne historie o swojej pracy, o wyjazdach na targi książki, o imprezach literackich, jakieś plotki i sensacje z Internetu. Jak zwykle, zbierałem dla niej gazety, aby po powrocie do domu mogła o wszystkim przeczytać. Pokażny stosik różnych wydawnictw leży na moim biurku do dziś.

I nie będzie już listów od Pani Bronisławy, choć lubiła je pisać pasjami i dzielić się swoimi przeżyciami nie tylko ze mną. A prawie w każdym jakiś nowy wiersz lub pomysł ledwo naszkicowany. I wiele, wiele historii z własnego, trudnego życia opisanych tak od serca. I coś jeszcze o ostatnich lekturach, o wrażeniach ze spotkań z ludźmi, o swoim smutku i samotności po śmierci syna, że chciałaby kochać wszystkich, a to takie trudne. Były też małe radości, które przynosiły jej sukcesy literackie, jakieś nagrody, kolejne książki z jej wierszami i pociecha z kształcących się wnucząt. Z czasem przyszły choroby i przyćmiły wszelkie radości.

9 czerwca br. Kamień pożegnał poetkę Bronisławę Fastowic. Mieszkała tu od 1961 roku. Dzieciństwo i młodość spędziła w Siennicy Różanej oraz Krasnymstawie, gdzie ukończyła liceum. Po maturze wybierała się na studia romanistyczne do Krakowa, ale plany zburzyła młodzieńcza miłość. Całe swoje życie była bezsilna wobec miłości, której nie zaznała od swoich rodziców - matka zmarła tuż po jej urodzeniu, ojca nie znała. Wychowywała ją babka, dobrzy nauczyciele i literatura. Od najmłodszych lat była wrażliwa na ludzi, przyrodę i treści zapisane w książkach. Dużo czytała, nauka przychodziła jej z łatwością. Od kłopotów życia realnego uciekała w świat fikcji i na siennicki cmentarz, gdzie „odwiedzała” znajomych. Tam wskrzeszała swoje dzieciństwo - często biedne i bose, ale niepowtarzalne, bo pełne uroków siennickiej przyrody i wspólnych zabaw z rówieśnikami.

W Kamieniu, w czasie wolnym od prac gospodarczych czytała książki i pisała mnóstwo listów do przyjaciół, którzy, w przeciwieństwie do niej, zdążyli rozjechać się po całej Polsce. Poświęcała czas rodzinie i dzieciom i ciągle czuła się niespełniona w tym, do czego zmuszało ją życie skupione na gospodarczej hodowli lisów i trzody chlewnej. Ciągle chciała czegoś więcej i na wyższym poziomie. Ceniła sobie znajomości i nawiązywane przyjaźnie - zwłaszcza z ludźmi kultury. Potrafiła korespondować z Marią Kuncewiczową po lekturze „Cudzoziemki” i z aktorami po obejrzanych spektaklach teatralnych w telewizji. Polemizowała z autorami wielu artykułów prasowych i audycji radiowych.

Zamiłowania do lektur oraz swojego talentu poetyckiego Pani Bronisława nie ujawniała światu aż do roku 1991. Wtedy zaczęły ukazywać się jej wiersze drukowane w chełmskiej prasie. Ich autorka zaczęła nieśmiało pojawiać się na zebraniach towarzystwa rodzin kresowych i spotkaniach literackich w kręgu pisma „Kresy Literackie”, gdzie miała okazję czytać swoje wiersze. Potem przyszła kolej na tomiki poetyckie i własne spotkania autorskie. Była dobrą poetką dzięki swemu talentowi i pracowitości. Pokazała, że można żyć i tworzyć z dala od przepychanek i skandali, bo najważniejszy dla niej był autentyzm poetyckiego skupienia, refleksyjna postawa wobec świata i budowanie na tym własnej filozofii życiowej. Najpierw była żoną,

matką, babcią - a dopiero potem poetką. Jakże trudno na co dzień pogodzić te role z ulotnością poetyckich przeżyć. Przez całe życie los nie skąpił jej traumatycznych doznań, gdy musiała zmierzyć się z chorobą, a potem śmiercią swego ukochanego syna Jerzego. Ratunek znalazła w poezji, która okazała się skuteczną autoterapią. Zaczynała od bardzo osobistych wierszy, często o tematyce religijnej, by z czasem sprostać tematowi uniwersalnym o Polsce i życiu człowieka w kontekstach historycznych. Doświadczona życiowo, zawsze potrafiła wysłuchać innych i pomagać w cierpieniu - i nieważne, czy był to starszy sąsiad zza miedzy, zagubiony młody człowiek, czy wygnańcy zza Bugu.

We wstępie do tomiku „Ścieżek złoty piach” (Chełm, 1996) tak pisałem o poezji Bronisławy Fastowiec: *To bardzo mądra poezja na miarę poetyckiego doktoratu z życia. Autentyzm przeżyć jest dominujący, a romantyczne natchnienie i odczytanie literackie rządzą jej twórczością. Stąd niewyszukane słownictwo, proste rymy, zmienna i nieregularna stroficzność. Wydaje się, że inny zapis byłby nieszczerzy, napuszony uczonością, niepotrzebnie uduziwniony.* Dziś podtrzymuję te słowa.

W jednym z listów pisała: *A kiedy już umrzemy, niechaj coś z nas pozostanie, po tych wszystkich pożegnaniach, powrotach, odejściach - choćby smutny badył, liść na wietrze, choćby małe piórko...* Ten fragment stał się z czasem piękną strofą o nadziei w krótkim wierszu o przemijaniu.

Wydany w roku 2006 wybór wierszy i prozy Bronisławy Fastowiec nosi tytuł „Zostanę w słowach i tęczy”. Dziś tęczy nadaje się jakieś nowe, pokrętne znaczenia ideowe, ale jej piękno nadal urzeka. Na szczęście słów raz zapisanych (i wydrukowanych!) nie da się przekręcić. W nich zostajemy na zawsze.

Pani Bronisława, oprócz wierszy została nam przykład kobiety niezłomnej, silniejszej od przekornego losu. Zostali jej najbliżsi, zostało jeszcze trochę zdjęć w albumach i cała skrzynia pamiątek, listów, wycinków z gazet. Tylko Ona potrafiła jedną herbatą ogrzać atmosferę zimnego pokoju, by czas zatrzymał się w rozmowie na kilka godzin. Kiedy żegnaliśmy ją na kamieńskim cmentarzu, dookoła kwitły polne maki. Jeden z nich, tuż obok trumny Poetki gubił swoje płatki wraz



z upływem czasu potrzebnego na obrzędy pogrzebowe i żegnających ją mówców. Zanim wszystko się skończyło, sterczała tylko naga łodyga. Świat zubożał o element naturalnego piękna. Jakby dla przypomnienia prawdy, że wraz ze śmiercią poety ubożeje literatura o nienapisane przez niego wiersze.

Henryk Radej

Bronisława Fastowiec (1937-2014) urodziła się w Siennicy Różanej, w części wsi zwanej Browarówką. W Kamieniu koło Chełma mieszkała od roku 1961. Debiutowała wierszem w „Zwierciadle Chełmskim” (dod. tyg. „Dziennika Lubelskiego”) w roku 1991. Wydała 10 tomików wierszy i jeden wybór utworów poetyckich oraz fragmentów prozy. Należała do Stowarzyszenia Twórców Ludowych (od 1992 r.), Bractwa Literackiego Białego Pasterza w Krakowie (od 1995 r.) i do Związku Literatów Polskich (od 2004 r.).

W roku 2009 otrzymała w Chełmie Nagrodę im. Kazimierza Andrzeja Jaworskiego za osiągnięcia w dziedzinie twórczości literackiej i artystycznej. Zmarła 6 czerwca 2014 roku; pochowana w grobowcu rodzinnym w Kamieniu.

Bronisława Fastowiec



A kiedy mnie już nie będzie

A kiedy mnie już nie będzie
nic się przecież nie zmieni
spadnie śnieg albo deszcz
i liść pożółknie w jesieni

A gdyby to była wiosna
ulepi gniazdo jaskółka
wilga zawoła „Zofija”
zakuka na szczęście kukułka

I kwiaty będą pachniały
trawa się zazieleni
bo kiedy mnie już nie będzie
to nic się przecież nie zmieni

Nadzieja

A kiedy już umrzemy
niechaj coś z nas zostanie
po tych wszystkich
pożegnaniach
powrotach
odejściach

Choćby smutny badył
choćby liść na wietrze
choćby małe piórko
unoszone przez powietrze

Dajesz mi go w nocy
na krótką chwilę snu
bym tym boleśniej
odczuwała jego nieobecność

Każdego dnia nadstawiam
drugi policzek

Każdego dnia podnoszę krzyż

Tylko nie rozumiem
dlaczego tak

Siennicka kapliczka

Między wioskami zielonymi
na rozwidleniu polnych dróg
w małej kapliczce pobielonej
bezpieczne miejsce znalazł Bóg

Matki ramieniem otulony
i modlitewnym ciepłem słów
z uśmiechem patrzy na klęczących
małeńki Jezus pośród brzoź

Ave Maryja! nad polami
w kapliczce śpiewa wierny lud
o Matko przyczyni się za nami

Wołanie

Pomiędzy lękiem a nadzieją
pomiędzy bólem a otuchą
wołam do Ciebie z matni grzechów
na dnie rozpaczcy Ciebie szukam

Ojcze
pamiętaj jestem tutaj
ziarenko piasku w galaktyce

Pochyl się
Słyszysz
Jeszcze krzyczę

Pozwól Boże

Niedziele są takie długie
a smutek pełen goryczy
zanim zagrodisz mi ścieżkę
pozwól się jeszcze wykrzyczeć

Pozwól zapomnieć się w wierszu
wyszeptać w słowach zmyślonych
nim wejść w milczenie wieczne
nim przejdę na drugą stronę

Wieczne okna

Po to wieczory są samotne
Żeby się przyrzeć własnej duszy
popatrzeć w ciemne okno
otrzeć łzy
i się nie wzruszyć

W lustro spojrzeć -
niech odbije
twarz dawną pełną mych warkoczy

Nadzieją rozplomić oczy
odejść
na obce
i
niczyje

Noce etiudy

I

Popatrz
Gwiazdy lecą
Zimny księżyc spogląda
z ukosa
Daj mi rękę
tak będzie bezpiecznie
Już się nie bój
Noce nie są wieczne
Dotknij trawy
- wstaje ranna rosa.

II

Zostań ze mną
takich gwiazd nie można
liczyć w samotności
Pospadają

i nie zgodzi się nigdy
rachunek odrzuconej
miłości.

III

Noc przywiodła ze sobą
ciemne chmury
szare myśli
Wierszem szarym otuliła
i wabiła
by postawić krok
ostatni
Z góry

Pod jarzębiną

Pod jarzębiną usiąść i nie wstawać wcale
tu odpoczywać od człowieczej doli
to nic
że złamię gałąź razem z czerwonym korałem

Pod sosną stanąć i szyszką zostać
zrzucić na zawsze smutną ludzką postać
to nic
że zerwę i trochę zaboli

Trawą zieloną wrosnąć mocno w ziemię
w czas zimy zmarznąć - wiosną się odrodzić
albo szuwarem w zimnej wodzie brodzić
i tak odchodzić
wolno stąd odchodzić

Z Chagalla

W małym mieście
na wysokiej wieży
ni to cerkwi
ni to kościoła
skrzypi rzewnie blaszany kogucik
gdy obraca się z wiatrem dokoła

Nad nim płyną futrzane obłoki
trzymając się miękko za ręce

niby pary zakochane
 Na ziemi maleńkie ludziki
 spoglądają ciekawie do góry
 i na wieżę i na kogucika
 i na zakochane chmury

Tylko w rogu
 gdzie już nikt nie stoi
 po tej stronie
 gdzie już nikt nie mieszka
 na podniebnej drodze podskakuje
 nienamalowany powóz do Witebska

i koników też nie ma
 a koła turkocą
 jedzie dwoje do ślubu
 niewidzialną karocą

Cmentarz w Trajkurach

Na cmentarnym polu
 szukam śladów
 waszego istnienia

Na mogiłach
 które kiedyś były
 szumią trawy
 kiwają się kocanki
 ciągnie złotą nitkę rozchodnik

Taka cisza
 jakby wieczność była
 od zarania
 jakby wiatr historii
 nigdy nie wiał

Boże
 po co było tyle
 ludzkiej męki

Po co było
 Boże
 ścinać drzewa
 kiedy nie ma nawet
 krzyża do ucałowania

Już pacierze wszystkie wyszeptane
 już się gwiazda za księżycem chowa
 a ja stoję w oknie i powtarzam
 niepotrzebne nikomu słowa

Do słowika mówię i do puszczyka
 do dzięcioła - co wciąż kuje drzewa
 aż się sroka pod boki ujęła
 i zaśmiewa się ze mnie zaśmiewa

Aż się brzoza liśćmi zasłoniła
 i rechocze w grząskim błocie żaba
 czemu w oknie stoisz
 na co czekasz
 - co za głupia i uparta baba

A ja stoję w oknie
 - i posyłam
 dziś nikomu niepotrzebne słowa

Wczesna jesień

Wiatr poruszył leciutko firanką
 zaszumiało liściasto na dworze
 mgła uniosła się cichym porankiem
 i skoszono ostatnie już zboże

Moja jesień skrada się po polach
 taka cicha nieśmiała i młoda
 już nie może się ukryć w kąkolach
 ni w bławatach ni w makach - a szkoda

Bo ta jesień nie - jest już tamta
 i ten wiatr niby taki a inny
 w oknie wisi ta sama firanka
 - ulatuje już innym trzepotem

[wybór: HR]

Zbigniew Atras

Wspominki z Gdeszyna



W samo południe dojechałem wreszcie na parking przed miejscowym kościołem parafialnym. Piszę „wreszcie”, bo moja podróż rozpoczęła się o godzinie piątej rano spod częstochowskiego Domu Pielgrzyma i z krótkimi przerwami na kawę i dla rozprostowania kości, oraz z chwilą odpoczynku w domowym zaciszu w Krasnymstawie, trwała prawie siedem godzin. Na szczęście zdążyłem w samą porę. Punktualnie o godzinie dwunastej przekroczyłem próg miejscowej świątyni. Wyjazd planowałem już od dawna, bo była to uroczystość przeniesienia z 30 stycznia. Wówczas na przeskocznie stanęła niesprzyjająca aura w postaci nagłego ataku ostrej i śnieżnej zimy. Z tego właśnie powodu termin uroczystości przeniesiono na kwiecień. Czasu na zaplanowanie podróży było pod dostatkiem. Jednak, jak to często bywa, życie lubi korygować nasze plany. Niespodziewanie wypadła mi podróż do Częstochowy. Na szczęście i ku mojemu zadowoleniu oba wyjazdy udało się pogodzić i choć przyszło mi to z trudem, to jednak z moich gdeszyńskich planów nie musiałem rezygnować. Zwłaszcza, że pogoda sprzyjała podróży, a dzień był słoneczny i ciepły, chociaż nieco wietrzny. Mój wyjazd do Gdeszyna nie był pierwszym. Z tą miejscowością łączą mnie rodzinne związki ze znanym księdzem palotynem Janem Pałygą, który tu właśnie się urodził i tu spędził swoje dzieciństwo. Powiem szczerze, że od pewnego czasu lubię przyjeżdżać do Gdeszyna. W miejscowym, małym kościele zbudowanym kilka lat temu na miejscu dawnego, drewnianego, powstaje powoli Sanktuarium Pojednania Polsko-Ukraińskiego, którego patronem jest błogosławiony ksiądz Zygmunt Pisarski, pierwszy i jak dotąd jedyny krasnostawianin wyniesiony na ołtarze Kościoła katolickiego. Kamień węgielny pod nowy kościół poświęcił 12 czerwca 1999 roku papież Jan Paweł II podczas swej wizyty w Zamościu.

Całe swoje dotychczasowe życie spędziłem w Krasnymstawie. W tym mieście chodziłem do szkoły podstawowej oraz liceum i tu kształtowa-



ła się moja osobowość. Podobnie jak błogosławionego Zygmunta Pisarskiego. Z tą jednak różnicą, że ja w Krasnymstawie pozostałem. Tutaj pracuję, tu założyłem rodzinę i wybudowałem własny dom. Błogosławiony Zygmunt Pisarski po ukończeniu lubelskiego seminarium duchownego i uzyskaniu święceń kapłańskich, decyzją biskupa został skierowany do parafii Modliborzyce. W kolejnych latach był przenoszony do innych parafii, aż 1 września 1933 roku objął probostwo parafii w Gdeszynie. Tutaj zastała go wojna i tu stracił życie z rąk hitlerowskich oprawców. Postawa życiowa księdza Zygmunta Pisarskiego świadczy o jego wielkim człowieczeństwie i miłości do bliźniego. Jego kult narodził się już w chwili męczeńskiej śmierci. 13 czerwca 1999 roku papież Jan Paweł II beatyfikował go w grupie 108 męczenników za wiarę.

Stara prawda mówi, że najtrudniej być prokiem we własnym kraju. Dotyczy to chyba też błogosławionego Zygmunta Pisarskiego. Bo tak prawdę mówiąc to jaki procent mieszkańców naszego miasta wie kim był błogosławiony, jak zginął, czy gdzie mieszkał? Nie zadaję tego pytania po to, aby pokazać innym, że właśnie ja znam odpowiedź. Prawda jest taka, że jeszcze do niedawna też nic nie wiedziałem, no może poza tym, że ktoś taki był. Informacje o błogosławionym Zigmuncie Pisarskim, które usłyszałem w krasnostawskich kościołach jakoś tak przeleciały mi mimo uszu i nie zostały na dłużej. Tak przecież najczęściej bywa, gdy człowiek nie poświęci danemu tematowi większej uwagi i zainteresowania. Mój pierwszy, głębszy kontakt z kultem Zygmunta Pisarskiego miał miejsce dwa lata temu w krasnostawskim kościele Trójcy Przenajświętszej, do którego przybyła de-

legacja wiernych z parafii w Gdeszynie na czele z jej proboszczem. To właśnie słowa, które wówczas usłyszałem skierowały me zainteresowanie na osobę błogosławionego Zygmunta Pisarskiego.

Niedługo po tym spotkaniu pojechałem do Gdeszyna i od tej pory zaglądam tam przynajmniej dwa razy w roku. Pamiętam, jakim zaskoczeniem było dla mnie to, że praktycznie cała wieś naznaczona jest obecnością błogosławionego Zygmunta. Wokół kościoła istnieje wiele miejsc świadczących o pielęgnowaniu jego kultu. Pokazuje to przykościelny drogowskaz, na którym wiszą tabliczki kierujące



pielgrzymów w różne miejsca związane z życiem i kultem błogosławionego. Stacyjki Drogi Krzyżowej prowadzą nas od sanktuarium do miejsca śmierci księdza Pisarskiego, gdzie stoi krzyż i znajduje się tablica pamiątkowa. Na plebanii zebrano pozostałe po nim pamiątki, tworząc małą izbę pamięci. Oznakowana droga prowadzi od kościoła na pobliski cmentarz parafialny, na którym znajduje się grób błogosławionego. W niedalekiej przyszłości planowane jest przeniesienie doczesnych szczątków błogosławionego do kościoła, gdzie zostaną złożone w sarkofagu przy ołtarzu. W sąsiedztwie kościoła łatwo odnajdziemy miejsce świadczące o uznaniu kultu błogosławionego Zygmunta Pisarskiego. Do gdeszyńskiego sanktuarium przybywa bowiem Pielgrzymka Zamojskich Krwiodawców, co poświadcza obelisk ustawiony z okazji jej piątego pielgrzymowania. W pobliżu upamiętniono także inne zdarzenia dotyczące np. wizyty w Gdeszynie marszałka Józefa Piłsudskiego, czy pamięci po-



wstańców styczniowych. Oznakowano też miejsca związane z pamięcią księży Syroki i Mischczuka, z których drugi przez długie lata prowadził pasterską posługę w kościele św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie.

Bardzo pięknym miejscem świadczącym o wielkiej czci dla prochów własnych przodków jest niewysoka kolumna ustawiona na cmentarzu przykościelnym, będąca rodzajem ossarium. Tutaj złożono szczątki ludzkie odkopane w czasie rozbiórki starego i budowy nowego kościoła w Gdeszynie. Nie chcę w tym miejscu siać zatrutego ziarna i dlatego zakończę ten temat krótkim westchnieniem, bo jak bardzo brakuje takiego miejsca i takiego, jakże ludzkiego podejścia do tej sprawy w Krasnymstawie.

Kilkaset metrów od kościoła znajduje się Szkoła Podstawowa im. bł. Zygmunta Pisarskiego uratowana przed likwidacją i prowadzona przez Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Gdeszyńskiej.



W jej wnętrzu umieszczona jest piękna i duża tablica patrona szkoły. Taka mała miejscowość, a tyle w niej upamiętnionych miejsc związanych z błogosławionym Zygmuntem Pisarskim. Aż ciśnie się na usta pytanie, dlaczego w jego rodzinnym mieście jest tak inaczej? Miejmy jednak nadzieję, że ogłoszony w Krasnymstawie rok 2014 Rokiem ks. Zygmunta Pisarskiego zmieni wiele w tym temacie.



Wnętrze kościoła w Gdeszynie wypełniali już wierni. Miejscowy proboszcz ks. Ryszard Ustasz wprowadził uczestników uroczystości w jego tematykę. Mszę celebrował krasnostawski prałat ks. Piotr Kimak. W swoim kazaniu nawiązał do osoby błogosławionego Zygmunta Pisarskiego i mającej nastąpić dnia następnego kanonizacji bł. sługi bożego Jana Pawła II. Z ołtarza głównego gdeszyńskiego kościoła spoglądał w stronę wiernych odnowiony obraz Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, który znajdował się dawniej na plebanii, a przy którym na modlitwie spędzał długie chwile błogosławiony ksiądz Zygmunt Pisarski. Ołtarz błogosławionego, nawiązujący w swej



ornamentyce do tradycji prawosławnej i grekokatolickiej znajduje się po prawej stronie gdeszyńskiego kościoła.

Po mszy świętej wierni udali się w procesji do grobu księdza Zygmunta, gdzie odmówiono modlitwę i złożono wieńce i kwiaty. Pozostała



część uroczystości odbyła się w miejscowej szkole, której uczniowie przedstawili okolicznością wiązankę słowno-muzyczną. Dopiero po tym wszystkim przyszedł czas na luźne rozmowy, nawiązywanie nowych znajomości, spotkania ze znajomymi. Późnym popołudniem opuszczałem gościnny Gdeszyn, planując w myślach kolejny wyjazd 15 czerwca, kiedy to będzie miało miejsce uroczyste zakończenie triduum gdeszyńskiego będącego dziękczynieniem za wyniesienie księdza Zygmunta Pisarskiego na ołtarze Kościoła katolickiego, w 15 rocznicę jego beatyfikacji.

Zbigniew Atras
Gdeszyn, 26 kwietnia 2014 r.

Marian Janusz Kawałko**Biały kruk. Spowiedź****Biały kruk I**

biały kruk
księżycą przepęłza niechętnie po
niecce nieboskłonu jakby
za chwilę miał rozpaść się
na krocie gwiazd a ja
niczym mrowka głodu
zapadam się w Tobie
nie-opatrzenie
bezużytecznie
bezgłośnie

Ty splatasz wszystkie
nitki moich sprzeniewierzeń
i zszywasz nimi
świeże rany po
kolejnym
niespełnieniu

biały kruk
księżycą
odwraca oblicze

ciemna struga nieba
tłucze o moje
okrątowane
okno

Lublin, 22 IV 2014 r.

Biały kruk II

biały kruk
księżycą kryje swoje zaczernione
oblicze przed natrętnością
podglądaczy
tak jak bór skrywa przed drwalami
ostatnie
mrowisko

rzebrany za niewidomego
mnicha
niepostrzeżenie wkrada się
do mego zabarykadowanego
sumienia pustosząc jego
peryferie
po czym znowu zawiesza się
chyttrze na pętli mlecznej
drogi

z zimną drwiną
spuszczam bezgłośnie żaluzje
powiek kluczem
Salomona odczyniam uroki nad
kołyską nocy i naczerpuję z niej
pełne sito
tlenu

wielka połącz snu
kipi nad krajobrazem moich
myśli

rzeczywistość tonie

fala ciszy
potężnieje

dotyk kruczej poświęty
parzy moje
ciało

Rybie, 5-8 V 2014 r.

Biały kruk III

biały kruk
księżycą przepoczwarzony
w salamandrę
krzywi się na myśl że jest
częścią nieba
przecież z Bogiem ma
mizerne stosunki
a satelitom
nie wierzy w ogóle

szpiegują jak
judasze z kontrwywiadu

aż do samozagłady

tymczasem wilk miotający się
we mnie wyje z bólu
po Twojej ucieczce
z wiekuistego
wiersza

pełzająca salamandra
księżycy ściera na proch
bezgłośnie cmy obłoków

drapieżna noc buszuje
po moim śnie

Rybie, 6 VI 2014 r.

Biały kruk IV

biały kruk
księżycy skrył się dzisiaj za
podwójną gardą
śnieżnych chmur

jedzie wielka sanna mówią
myśli

nie dowierając im
zaglądam do
sennika
śnieg widzieć -
ochłodzenie uczuć
między kochankami

nie będzie kuligu na
świeżo wyprasowanym bezkresie
nostalgii

mówię do siebie utracilem
zasięg

Biały kruk V

na próżno szukam dziś
białego kruka
księżycy

postanowił skorzystać
z amnestii dla długowiecznych
lunatyków oskarżonych o
obdzieranie wilków ze skóry

i zniknął za kresowymi
taborami nieboskłonu

wychodzę do parku
najeżonego chlorofilami
rozpalonymi do
zieloności

warkocze plecione
z leżących pokotem
mgieł piszą na mej skórze
dreszczowca

o tonącym
chwytającym się
wody
zaklinającym ostatek
tlenu w ustach

wracam pospiesznie znad
stawu i na wszelką
okoliczność telefonuję do
siebie

telefon wciąż
zajęty

na szczęście

Rybie-Lublin, 10 VI 2014 r.

Lucjan Cimek

Mało symbiozy tradycji z nowatorstwem



W pośpiesznej, hałaśliwej atmosferze epoki atomu, eksploracji kosmosu i przystosowywania komputerów do coraz to nowych zadań, zwrot ku czasowi minionemu, mniej lub bardziej odległemu, jest zjawiskiem zrozumiałym, poprawia samopoczucie. *Śpiąca królewna* przypomina nam o szanse obudzenia się w lepszym świecie, jeśli z godnością potrafimy znieść przeciwności losu.

Wzrastająca inflacja, podwyżki cen nośników energii, towarów i usług i ta ciągła pogoń za sukcesem kasowym paraliżuje wszelką działalność i zmusza do schlebiania gustom odbiorców. Domaga się tego publika - czyli my sami. I co tu robić, gdy brak ambitnych planów, np. w sferze działalności kulturalnej. Nic więc dziwnego, że twórcy różnych profesji zwracają się jeśli nie ku przeszłości, to na pewno ku rodzinnym stronom.



W symbiozie ze znakiem wiary. Fot. L. Cimek.

Dzisiaj istnieje bardzo dużo zespołów folklorystycznych, grup rekonstrukcyjnych itp., cieszących się ogromnym powodzeniem. I od nich społeczeństwo oczekuje występów opartych

o starodawne wzory. Ale zespoły te z uporem szukają nowych rozwiązań. Liczne studia baletowe podejmują eksperymenty w dziedzinie choreografii, dzięki czemu w wielu programach obok pozycji klasycznych pojawia się jazz, muzyka elektroniczna i country. Daje to ciekawe, niekiedy nawet fascynujące wyniki.

Krasnystaw nie jest przesycony działalnością artystyczną i kulturalną. Każdy rok podobny jest do poprzedniego z tendencją zniżkową. O czym świadczy wyeliminowanie z „Chmielaków” kapel podwórkowych czy zaniechanie tradycyjnego widowiska obrzędowego, jakie ongiś odbywało się na stadionie miejskim. Wprowadzenie nowych pomysłów z występem popularnych gwiazd i kabaretów jest przedsięwzięciem oczywistym, lecz bardzo kosztownym - a także dowodem braku szacunku dla przeszłości w dziedzinie obrzędowości, utrzymania tradycji i eksponowania 620 lat historii miasta, w którego herbie dumnie błyszczą dwa złote karpie. Stwierdzenie to jest prawdziwe do wielu sfer działania i życia społeczno-gospodarczego, dotyczy także kultury i sztuki, która pochłania duże sumy, a rezultaty są mierne.

Dzisiejsze „być” stanowi w Krasnymstawie brak zainteresowania przeszłością w takim samym stopniu jak dzień jutrzejszy. Przypomina więc niejako szeroką autostradę, której pasma sąsiadują ze sobą na znacznym odcinku trasy, mimo że prowadzą w odwrotnych kierunkach. Stojący między nimi boi się zrobić choćby jeden krok, nie podejmuje żadnego ryzyka, aby nie narazić się jadącym i tak może stać i stać w tym samym miejscu, aż do... emerytury.

Lucjan Cimek



„Zajubieni”, Emilia i Stojce Tocinowski ze stolicy Macedonii Skopje.

Wiesław Krajewski

Niezawodny sposób na odchudzanie



Mam wrażenie, że kobiety ciągle się odchudzają. Mężczyźni też, ale może nie ciągle. Z jednej strony to dobrze, bo świadczy o trosce o swój wygląd i zdrowie. Z drugiej strony, może to być przyczyną stresu z powodu ciągłych wyrzeczeń, wyrzutów sumienia z powodu braku wytrwałości, uszczerbku na zdrowiu z powodu przesadnej diety. Tak czy owak, sprawa pozbywania się nadmiaru kilogramów jest tematem wielu rozmów, przyczyną wizyt u lekarza, bywa, że spędza sen z powiek, a nierzadko jest nieosiągalnym celem samym w sobie wielu osób. No właśnie, już sam fakt, że niektórzy odchudzają się permanentnie świadczy, że nie jest to proces łatwy i szybki. Nie jest też przyjemny - wymaga wielu poświęceń, samokontroli i żelaznej konsekwencji. I nic dziwnego, że efekty tego katowania się są mizerne, a o sukcesie na tej trudnej drodze przez mękę mogą mówić tylko nieliczne wyjątki.

A wszystko chyba przez lansowany wszędzie ideał kobiecego ciała. Według tego kanonu, kobieta atrakcyjna powinna być zgrabna, szczupła i wysoka. Co niektórzy sprzeciwiają się temu wizerunkowi, ale on nadal funkcjonuje. Wystarczy obejrzeć pierwszy lepszy pokaz mody. W sklepach też z reguły oferowane są stroje w rozmiarze „S”, a dla osób „przy kości” tworzone są specjalne sklepy „XXL”, co tylko potwierdza regułę. Takie mamy czasy. Taki przyjął się ideał. Póki co, tak kobiety są postrzegane i tak same siebie widzą. Bo uważają, że takie właśnie są atrakcyjne, takie się będą podobać. Podobać płci brzydkiej, ale kobiety mają to do siebie, że chcą wyróżniać się także wśród przedstawicielek własnej płci. Nie zawsze tak było. Kiedyś obowiązywały odmienne preferencje. W starożytności rola kobiet była inna i ceniono w nich przede wszystkim cechy związane z płodnością i macierzyństwem. Kształty kobiety miały więc gwarantować urodzenie i wykarmienie dzieci. Inne gusty mieli już starożytni Egipcjanie. Przypomnijmy sobie długą szyję i ogoloną głowę Nefretete lub wyraźne kształty i ostry makijaż bliższej

nam Kleopatry. Ciało Wenus z Milo zachwyca i dziś niejednego miłośnika nie tylko antycznych greckich rzeźb. Trudno nie wspomnieć o ulubionych modelkach Rubensa tak bardzo charakterystycznych na jego obrazach. Ich obfite kształty już same przez się nie mogą zostać niezauważone. Przeciwnie, nierzadko są wątkiem i blade, a przede wszystkim chude do przesady modelki Amadeo Modiglianiego.

Dziś wzorcem kobiecej sylwetki są wątkie aktorki i modelki. Parę konkretnych? Proszę bardzo: Nicole Kidman, Angelina Jolie, Lindsay Lohan, Sharon Stone, Julia Roberts, Demi Moore, Ally McBeal. Wystarczy? Trudno wśród nich znaleźć osoby mające choćby trochę więcej ciała, a dominują filigranowe „patyki”. Sprawiają wrażenie, jakby w czasie wichury bały się wychodzić z domu. Bardziej wzbudzają obawę o ich zdrowie i nasuwają podejrzenia o anoreksję. Ich ciało jest mało urozmaicone. W miejscu, gdzie powinny być wyniosłości, jest płasko, a tam, gdzie powinno być płasko, spotykamy zagłębienia. Póki co, żyjemy w czasach, w których modne jest odchudzanie.



Venus z Willendorfu, paleolit, Naturhistorisches Museum Wiedeń.

Venus z Milo, Luwr.





A. Modigliani, *Kobieta w kapeluszu*, 1918, kolekcja prywatna.



P. P. Rubens, *Trzy Gracje*, Prado.

Jak się odchudzić? - oto jest pytanie.

Właściwie w odchudzaniu powinna wystarczyć umiarkowana głodówka. Po prostu trzeba mniej jeść, skończyć z dogadzaniem sobie, więcej pościć, nie objadać się, odżywiać się regularnie, nie podjadać między posiłkami, więcej warzyw, mniej kalorii, trochę umiaru, dużo rozważ, chrupki, sucharki, krakersy, paluszki. Może więc głodówka? Guzik prawda, to nie działa.

Pomóc może farmakologia. Tabletki zmniejszające apetyt, specyfiki przyspieszające przemianę materii, preparaty hamujące łaknienie, balsamy wyszczuplające, pigułki na odczucie głodu, na spalanie tłuszczu, substytuty cukru, niskokaloryczne zamienniki, wypełniacze dające poczucie sytości. Może więc tabletki? Trele-morele, one mogą tylko zaszkodzić.

Trzeba spróbować specjalnej diety. Dieta kapuściana, Atkinsa, Dukana, Kwaśniewskiego, Gersona, niskowęglowodanowa, śródziemnomorska, jogurtowa, kefirowa, szwedzka, makrobiotyczna, hollywoodzka, niskotłuszczowa, owocowo-warzywna, wegetariańska i 150 innych diet. Może więc dieta-cud? Klituś-bajduś, w odchudzaniu cudów nie ma.

Warto byłoby odchudzać się poprzez sport. Pływanie, ćwiczenia gimnastyczne, spacer, marsze, biegi, marszobiegi, nordic walking, sauna, masaż, jazda na rowerze, rolkach, łyżwach, narciach, wrotkach, gra w piłkę i bez piłki, fitness, aerobik, jogging, zumba, pilates, hula hop, pompki, brzuszki, przysiady, skakanie, wspinanie lub choćby chodzenie po schodach, dźwiganie zakupów, trzepanie dywanów. Może więc postawić na sport? Koszałki-opałki, po tym się jeszcze bardziej chce jeść.

Jest jeszcze szansa w chirurgii. Może zafundować sobie jakiś zabieg operacyjny? Odsysanie tłuszczu, liposukcja, kriolipoliza, pozbywanie się fałdek, body lifting, wycięcie paru metrów jelita, zmniejszenie żołądka, chirurgia plastyczna, korekta biustu, pośladków, brzucha, bioder, podbródka, wygładzenie zmarszczek, naciągnięcie skóry. Może więc operacja? Tere-fere, to już może lepiej od razu sobie zaszyć usta.

Słyszałem też o bieleźnie wyszczuplającej. Modelujące sylwetkę gorsety, obcisłe rajstopy elastyczne, pasy odchudzające, spodnie, w które trzeba się wcisnąć i dopinać na wydechu, maskujące niedoskonałości legginsy, wygładzające nierówności bermudy, korygujące kształty body, specjalne kurczliwe materiały, włókna poliamidowe, elastanowe, neoprenowe, usztywniacze, poprawiacze, wygładzacze, fiszby, haftki, ściągacze, opaski, lateksy, push-up-y, press-up-y. Może więc odpowiednia bielizna? Hocki-klocki, to tylko oszukiwanie samego siebie.

A może rzecz leży w psychice? Może trzeba zmienić sposób postrzegania swojego ciała? Założyć różowe okulary, albo przynajmniej ciemne, zgasić światło, nie oglądać się w lustrze, albo sprawić sobie lustro wklęsłe - wyszczuplające, nie stawiać na wagę, w ogóle pozbyć się wagi, stroje, w których trudno się dopiąć zamienić na luźniejsze, nie robić sobie zdjęć, albo wykorzystać możliwości Photoshopa, poszerzyć drzwi, przestać liczyć kalorie, zaprzężyć się z kimś jeszcze grubszym. Nie, nie nie, to jest bez sensu.

Więc jak schudnąć? Droga Czytelniczko (Czytelniku), jeśli jesteś „szczupła inaczej” i chcesz przeprowadzić na swoim puszystym ciele jeszcze jeden nieudany eksperyment - proszę bardzo. Możesz dalej nie czytać. Możesz zadowalać się stwierdzeniami typu „kochanego ciała nigdy za wiele” lub „nie jestem gruba, jestem tylko 3D”. Jeśli jednak naprawdę chcesz stracić na wadze - służę pomocą. Znam sposób rewelacyjny, niezawodny, a co najważniejsze - o udowodnionej naukowo skuteczności i niedający żadnych powikłań. Odchudzanie tym sposobem to czysta przyjemność i gwarantowany efekt. Nie wiem dlaczego właściwie nikt nie wpadł na to wcześniej. Przecież jest to sposób znany od tysiącleci. Powiem dokładniej - co najmniej od III wieku przed naszą erą! Uczy się o tym już dzieci w szkole podstawowej. Każdy o tym słyszał, a nikomu nie przyszło do głowy, aby zastosować ten pomysł w praktyce. Czyżby nauka poszła w las?! Jak mogliśmy o tym zapomnieć?! Czas zastosować wreszcie wiedzę wyniesioną ze szkoły w codziennej praktyce.

Czy słyszeliście o Archimedesie? Pewnie, że słyszeliście. A znacie prawo Archimidesa? Jasne, że znacie. Wiecie jak do niego doszedł? Oczywiście, wszyscy to wiedzą. Ten grecki uczony filozof i matematyk z Syrakuz został poproszony przez króla Hierona II o zbadanie czy jego korona została wykonana ze złota, czy oszukano go i dodano do niej srebra. Nie można było przy tym zniszczyć misternie wykonanej korony. Popularna legenda głosi, że pomysł rozwiązania tego problemu przyszedł Archimedesowi podczas kąpieli w wannie. I był to moment sformułowania przez niego podstawowego prawa hydrostatyki. W uproszczeniu brzmi ono: „Ciało zanurzone w wodzie traci na wadze tyle, ile wynosi ciężar wypartej przez to

ciało wody”. No właśnie! Czy mam coś jeszcze dodawać? Przecież wystarczy często się kąpać! Ilekroć zażywamy kąpeli, tylekroć tracimy na wadze. Przecież o to właśnie chodzi! Celem odchudzania jest utrata wagi. Czy się mylę? Eureka!



Giuseppe Nogari, Archimedes, olej na płótnie.

Kąpmy się! Kąpmy się w wannie, nie pod prysznicem! Prysznic jest dla zabieganych, oszczędnych, niemających czasu, jest tylko spełnieniem obowiązku higienicznego, spryskaniem ciała wodą, prostą ablucją. Natomiast kąpiel w wannie to zupełnie co innego. Ma swoją filozofię i przesłanie. Z pianą, olejkami, solami. Pozwala odpocząć, oderwać się od codzienności. Delektując się chwilami błęgiego spokoju, przestajemy myśleć o trapiących nas problemach, a niezmaczony umysł pozwala nam przejść na zupełnie inny poziom świadomości. Przyjemność pluskania się, kiedy nikt i nic nie mąci naszego skupienia to jedna z najintymniejszych chwil w życiu. Pławienie się w gorącej wodzie, relaks, odprężenie, swoboda, kameralność, nieskrępowanie, czas na twórcze rozmyślenia nadają wyższości właśnie kąpeli w wannie. To wszystko ważne, ale to tylko elementy uboczne. Najważniejsze jest „zanurzenie ciała w wodzie”. I rewelacyjny efekt odchudzania. Prysznic jest w tym wypadku zupełnie bezużyteczny. Przypadek Archimidesa to nie przypadek. Pomysł napisania tego artykułu przyszedł mi do głowy też w wannie.

Wiesław Krajewski



Adam Dobosz

Adam Dobosz, z wykształcenia prawnik, z zamiłowania malarz. Ur. w 1933 roku. W Krasnymstawie mieszkał w latach 1944-1953. Odbił trzyletni kurs nauki malarstwa prowadzony przez Macieja Bijasa, artystę plastyka i pedagoga. Od 1970 roku członek Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Lublinie, zauroczony impresjonizmem, a szczególnie malarstwem Aleksandra Gierymskiego. Wystawy indywidualne i udział w wystawach zbiorowych w kraju i za granicą, m.in. w Lublinie, Warszawie, Paryżu, Bois-Colombes, Dijon, Samur, Berettyóújfalu, Debreczynie. Podróże artystyczne: Austria, Bułgaria, Czechosłowacja, Francja, Niemcy, Węgry. Prace w zbiorach prywatnych i instytucjach w kraju oraz w Austrii, Australii, Belgii, Czechosłowacji, Francji, Niemczech, Nowej Zelandii, Japonii, Stanach Zjednoczonych i na Węgrzech.



galeria jednego obrazu



„Kazimierz”, 40x30, akryl, płyta, 1986. mal. Adam Dobosz